Wstęp

Celem niniejszego opracowania jest ocalenie od zapomnienia choćby niewielkiej cząstki bogatej spuścizny dziejowej tego przepięknego zakątka Beskidu Niskiego. Skąd zrodził się pomysł ? Otóż przez okres blisko 25 lat pobytu w Krempnej i okolicy przekonałem się, że niewielu jej mieszkańców zna prawdę o przeszłości. Wielu posiada błędne mniemanie o Łemkach. Zbyt mało jest publikacji ogólnodostępnych w tym temacie. Przeszłość do niedawna była niejako tematem tabu. Temat uważano za zbyt drażliwy. Czas goi rany. Młode i dorastające pokolenie ma zbyt mgliste pojęcie o tym co działo się nie tak dawno na tych ziemiach. Stąd mity i uogólnienia nie sprzyjające wyświetleniu prawdy. Lektura wielu publikacji, rozmowy ze świadkami zdarzeń pozwoliły mi zgłębić temat.

Opracowanie jest adresowane przede wszystkim do tych, którzy chcą mieć świadomość gdzie się urodzili, osadzili, gdzie pracują, żyją, dokąd przyjechali wypocząć, bądź przyszli turystycznym szlakiem.

Życzę przyjemnej lektury.

A u t o r.

I. Położenie geograficzne. Klimat. Fauna i flora.

Miejscowość Krempna leży w obszarze Beskidu Niskiego nad rzeką Wisłoką. Wraz z 13 sąsiednimi miejscowościami tworzy od 1975r Gminę Krempna. Sąsiaduje ona od północy z Gminą Nowy Żmigród i Gminą Osiek Jasielski. Od wschodu z Gminą Dukla i od zachodu z województwem nowosądedzkim. Granicę południową wyznacza Granica Państwa ze Słowacją.

Gdy nastąpiło ostateczne ukształtowanie się Karpat, nasunął się z północy potężny lądolód skandynawski. Nie doszedł on jednak do obecnego obszaru Gminy Krempna. Zatrzymał się w okolicach Jasła na grzbiecie Liwocza i innych wzniesieniach Pogórza. Zatarasował on rzekom karpackim drogę ich spływu ku północy i zmusił do rozlania w ogromne jezioro, którego wody przelewały się do zlewiska Morza Czarnego. Świadkami tych pradawnych czasów są naniesione przez wodę lub zepchnięte przez lodowiec głazy narzutowe w okolicach Jasła. Na dnie jeziora powstało przez wyrównanie rozległe obniżenie tektoniczne zwane Dołami Jasielsko - Sanockimi.

Czy pojawił się tu człowiek jaskiniowy żyjący pod koniec epoki lodowej jak w sąsiadujących rejonach przemyskim i krakowskim - brak dowodów. Są natomiast jaskinie, które by na to wskazywały np. na Magurze Wątkowskiej i u stóp Liwocza.

Kiedy lodowiec wycofał się ostatecznie z ziem polskich /8000-4000 lat p.n.e./ klimat stał się łagodniejszy i pojawiły się w okolicy gromady ludzkie posługujące się łukiem z granitowymi strzałami. Ślady bytności tego człowieka odnaleziono nad Wisłoką.

Nastaje młodsza epoka kamienna z ciepłym i wilgotnym klimatem atlantyckim. Gromady ludzkie zmieniają tryb życia z wędrownego - koczowniczego na osiadły. Gładzono siekierę kamienną, dłuta, toporki i motyki. Sporą ilość tych narzędzi pochodzących z okresu 3-4 tyś. lat p.n.e. odnaleziono w Załężu, Pielgrzymce, Osieku, Dębowcu, Cieklinie.

Teren obecnej Gminy Krempna porastała Puszcza Karpacka. Nastaje epoka brązu /1700-700 lat p.n.e./. Coraz liczniejsze są znaleziska /Załęże, Cieklin, Osobnica, Świerchowa, Osiek/, i ślady kultury łużyckiej w dorzeczu Wisłoki. Około III w. p.n.e. upada wspomniana kultura a obszar pozostaje w zasięgu oddziaływania kultury celtyckiej i rzymskiej /liczne znaleziska monet rzymskich, celtyckie nazwy: Ropa, Nida, Raba, San/. Najbliżej znaleziono monetę rzymską w okolicach Nowego Żmigrodu. Z VII-X w. pochodzi odkryte w pobliskiej Brzezowej grodzisko ze śladami chat półziemianek.

Pod koniec X wieku osadnictwo objęło cały region jasielski poza terenami wybitnie górskimi.

Na przełomie X i XI wieku ziemie wchodzące w skład Gminy Krempna stały się ziemiami kresowymi Państwa Polskiego. Krzyżowały się tu interesy tworzących się organizmów państwowych Polski, Rusi i Węgier. Najprawdopodobniej w okresie panowania Chrobrego granice Państwa Polskiego na południu sięgały poza Karpaty. W XI wieku granica z Węgrami przesunęła się na odległość 20 km od Nowego Żmigrodu. Z państwem ruskim granica przebiegała na linii górnej Jasiołki.

W tym okresie średniowiecza nasilają się wędrówki rusko - wołoskich pasterzy. Z tymi wędrówkami wiąże się osadnictwo w regionie Krempnej.

U schyłku IX wieku tereny położone na północ od Krempnej znalazły się prawdopodobnie pod wpływami Metodego, który posiał tu chrześcijaństwo.

W XV wieku przychodzi nowa fala osadnictwa wdzierająca się coraz bardziej w głąb Beskidu. Powstaje wiele osad w związku z ekspansją pasterzy Wołochów. Przesuwając się w ciągu stuleci, pasterze ci mieszali się z elementem ruskim, polskim słowackim i innymi,

przyjmując z czasem miejscowy sposób bytowania i zwyczaje oraz narzucając również swoje miejscowej ludności.

Na obszarze tym spotykamy się z zagadnieniem znacznych różnic etnicznych, jakkolwiek okres po II wojnie światowej uczynił je już prawie historycznymi.

Na obszarze Gminy Krempna klimat ma cechy typowe dla obszaru górskiego. Średnia temperatura roczna jest niższa niż na Pogórzu. Opady roczne są też wyższe i ich wysokość wzrasta wraz ze wzrostem wysokości nad poziomem morza. Zima charakteryzuje się dość długo trwającą pokrywą śnieżną ok. 120 dni a nawet więcej. /W 1995/96r blisko 150 dni z pokrywą śnieżną/. Dni z mrozem bywa przeciętnie 7- do 75. Klimat charakteryzuje się zmiennością pogody w zimie i lecie.

Krempna posiada swoisty bezwietrzny mikroklimat w przeciwieństwie do okolic będących z zasięgu przykrych wiatrów wiejących przez Przełęcz Dukielską. Przez tę przełęcz przelewają się na południe masy oceanicznego powietrza. Natomiast na północ masy suchego powietrza kontynentalnego.

Około 2/3 obszaru Gminy Krempna pokryte jest lasami z rozmaitymi gatunkami drzew. Obok buków liczne są jodły oraz brzozy, jesiony, sosny, świerki, wiązy, brzosty, jawory, olchy, osiki itd. Wszystko pomieszane w bardziej lub mniej zwartych połaciach. Występują też zespoły bukowo – jodłowe.

Od nazw drzew i krzewów czy innych roślin wywodzi się wiele nazw miejscowości: Grab, Ożenna, /od jeżyna - ożyna/, Czeremcha - wzniesienie, Grabanina itp.

W okresie średniowiecza królowały w okolicy dęby i buki. Nasiona tych drzew służyły za pokarm dla świń, które wypasano w lesie.

Z biegiem lat wraz z rozwojem osadnictwa obszary leśne kurczyły się.

Pradzieje roślinności na opisywanym obszarze to osobliwy rozdział, zainteresujący nie tylko przyrodników. Badania wykazały, że na obszarze tym rosły limby i kosodrzewina. Natomiast gdy klimat stał się nieco cieplejszy, przeważającym stał się las sosnowo - modrzewiowy. Przy kolejnych ochłodzeniach pojawiły się świerki i brzozy. Przeobrażenia te trwały setki i tysiące lat, aż zapanowały drzewostany jodłowo - bukowe. Na Kornutach do niedawna można było spotkać relikty kosodrzewiny /krzew na wys. 833m/, najniżej położony na terenie Karpat. Spotyka się też liściaste porosty /Kornuty, Diabli Kamień nad Foluszem/.

Z roślin chronionych rosną storczyki, wawrzynek wilczełyko, zawilec leśny, dziewięćsił bezgłowy, przebiśnieg pospolity, śnieżyca wiosenna, lilia złotogłów, widłak bobimor, bluszcz i sasanka a także bez czarny, skrzypy i wiele innych.

Niegdyś pospolite były niedźwiedzie. Występował też żubr, Łoś i tur. Z wymienionych pojawia się tylko niedźwiedź i Łoś. Z drapieżnych zwierząt nadal częsty jest wilk, który rozmnożył się w pierwszych latach po II wojnie światowej. Występują też dziki - utrapienie rolników. Ludność posiadająca uprawy pod lasem musi być w stałym pogotowiu. Używa się pomysłowych środków ochronnych jak kołatek, dzwonków. Stosuje się nocne stróżowanie. Z innych drapieżników występuje ryś i żbik. Są też kuny leśne, jenoty, zające a najwięcej saren i jeleni.

Skórką kuny płacono panu, gdy dziewczyna szła za mąż do innej wsi. Z czasem daninę zamieniono na pieniężną zwaną „kunicznym". Futro z kuny stanowiło ozdobę czapek. W miejsce wyginiętych bobrów pojawiły się sztucznie wprowadzone do rozlewisk i dopływów Wisłoki. Rzadkim stał się borsuk. Sporo jest ptactwa drapieżnego, w tym rzadkie gatunki chronione oraz inne gatunki ptactwa w tym także wiele chronionych o czym później. Podobnie z innymi gatunkami fauny. Wiele jest osobliwości geologicznych.

Z dniem 1.01.95r rozpoczął funkcjonowanie Magurski Park Narodowy z siedzibą w Krempnej o pow. prawie 20 tys. ha. Powierzchnia jego otuliny wynosi blisko 23 tys. ha. Jest jednym z największych parków narodowych w Polsce i największym w obrębie pasm beskidzkich.

Bardzo ciekawy pod względem fizjograficznym i geobotanicznym, Stanowi ważne brakujące ogniwo systemów wielkopowierzchniowych obszarów chronionych w Karpatach. Na terenie parku występują dobrze zachowane naturalne starodrzewy jodłowe a dominują starodrzewy bukowe. Bogata jest fauna puszczańska szczególnie ptaków i ssaków. Występują rzadkie gatunki owadów. Ciekawa jest flora oraz urozmaicone formy skalne, w tym wychodźce. Występuje tu 40 gatunków roślin chronionych w tym 30 całkowicie.

Obszar parku jest jedną z najbogatszych w Beskidzie Niskim ostoi fauny. Żyje tu 35 gatunków ssaków. Ciekawym drapieżnikiem jest wydra. Występuje 137 gatunków ptaków w tym 108 lęgowych a wśród niech wiele gatunków ptaków rzadkich i zagrożonych jak orzeł przedni, orlik krzykliwy - symbol parku, bocian czarny i inne. W faunie wodnej rozpoznano 10 gatunków ryb w tym pstrąg potokowy. Występują liczne gatunki ptaków i gadów, w tym żmija zygzakowata i gniewosz plamisty oraz wiele gatunków ginących motyli. Ogółem żyje tu co najmniej 200 gatunków zwierząt objętych ochroną całkowitą /119 ptaków, 15 ssaków, 11 płazów i gadów oraz 12 bezkręgowców/. Ochroną ścisłą projektuje się objąć około 15% powierzchni parku. Przez teren parku i otuliny przebiegają liczne dotychczasowe i

nowowyznaczone szlaki turystyczne. Są to: czerwony szlak beskidzki, niebieski szlak graniczny, szlaki żółte, czarne i zielone.

II. Początki osadnictwa, pochodzenie Łemków i ich kultura.

Osadnictwo wołoskie wniosło nowe metody życia pasterskiego. Wprowadziło hodowlę bydła, owiec, kóz a także świń w warunkach górskich. Ożywczy wpływ na samą ludność miało zmieszanie się ludności autochtonicznej polskiej z nową pasterską, wołoską, już skrzyżowaną po drodze wędrówek z elementem rumuńskim, albańskim, serbskim i bułgarskim.

Wołosi nie byli więc ludnością czystej krwi. Stanowili skrzyżowanie elementów etnicznych zahartowanych w trudnym życiu wśród nieprzychylnej im przyrody o silnej i prężnej naturze, rozmiłowani w wolności i niezależności. Rozwojem osadnictwa wołoskiego w Beskidach zainteresowani byli zarówno król, jak i możne rody oraz klasztory, gdyż te obszary nie przynosiły żadnych dochodów.

Pierwsze osady wołoskie w okolicy zaczęły powstawać w XV wieku, były to: Myscowa /1420r/, Brzezowa /1420r/, Bednarka /1420r/.

Główne nasilenie osadnictwa przypada na XVI w. Powstają wtedy: Nieznajowa /1546r/, Wapienne /1546r/, Smerekowiec /1521r/. Wiele wsi lokalizowano na nowo na prawie wołoskim.

Na początku była puszcza, w której pierwsi osadnicy wyrębowali zarębek na zarębku, gdyż zaczynali na surowym kamieniu. Prymitywne narzędzia były w rękach człowieka żyjącego w zwierzęcych warunkach wszystkim. Otrzymując kawałek puszczy był pierwszy osadnik w zasadzie jej właścicielem zostawionym samym sobie w ogromie lasów. Był drwalem, myśliwym, bartnikiem, rybołówcą i na koniec rolnikiem. Zaczynał pracę od wypalania skrawka lasu. Pierwszym nawozem był popiół z żaru wypalonych drzew, siłę pociągową stanowiły ramiona człowieka. Pierwszym narzędziem było prymitywne i nieporadne radło. Poruszało ono zaledwie wierzch ziemi i nie usuwało chwastów, które szybko zarastały glebę i niszczyły trud człowieka. Jego swobodę ograniczała przyroda piętrząca przed nim nieustanne trudności. Był wolny na tyle, na ile pozwoliła puszcza i jej żywioły. Gdy z coraz większym nasileniem rysowały się osadnicze plany związane z krzepnięciem państwowości i militarnymi potrzebami rozbudowy zaplecza na pograniczu, wzrastało też zainteresowanie księcia lub przez niego obdarowanych „dobrych rycerzy" i zakonników wynikami pracy osadnika, zwolnionego dotąd od ciężarów i danin. Kolonizacja

na prawie niemieckim przyniosła reorganizację życia, nowe i lepsze narzędzia pracy oraz nieznane dotąd sposoby uprawy ziemi. Ziemia zmuszona była dawać więcej niż przedtem, praca stawała się łatwiejsza, lecz wcale jej nie ubywało, gdyż człowiek zdobywał pod uprawę coraz to nowe obszary, coraz głębiej wdzierał się w puszczę i w góry, z dolin na stoki ku grzbietom. Na żyźniejszych połaciach, na tarasach rzek zaczyna rozwijać się gospodarka płodozmianowa, trójpolowa. Niemniej z czasem doskonaliło się opanowywanie przyrody, lecz równocześnie kształtowały się feudalne zasady władania chłopem, który z właściciela stał się tylko użytkownikiem ziemi. Za cenę użytkowania jej chłop musiał teraz płacić czynsze i ponosić ciężary, coraz to większe i coraz to nowe. Przywileje lokacyjne określały wolniznę przeważnie na okres 6 lat. Uprzywilejowane stanowisko na wsiach mieli sołtysi. Gospodarzyli na większej ilości łanów, brali udział w dochodach z karczmy, młynów a także w czynszach. Najlepiej powodziło się kmieciom mającym inwentarz /konie, woły, krowy/, gorzej zagrodnikom, małorolnym lub bezrolnym, a już nędzę cierpieli nie posiadający nic prócz obowiązku oddawania swej siły roboczej komornicy. Osobną warstwę stanowili rzemieślnicy: kowale, szewcy, rzeźnicy i piekarze.

Wieki XVI i XVII przyniosły szlachcie rozkwit dobrobytu, a dla chłopów dalsze obciążenia i pogłębianie biedy spotęgowanej przez stacjonujące oddziały wojska. Opisuje ówczesną sytuację Wacław Potocki „Drze, łupi, pije, huczy cudzym chlebem hojny. Niepłatny żołnierz, lub kto nazwie się żołnierzem". Jak pisze wspomniany pisarz i poeta wówczas „a wilcy na Podgórzu ludzi jedli". Sytuację pogarszały zarazy, zawleczone przez przemaszerowujące wojsko tak, że niektóre wioski wymierały całe.

Nagminne było zbiegostwo w tym na Węgry, do Bardiowa co wywoływało nieraz konflikty. Zbiegowie wsi uciskanych „ludzie luźni" i „ludzie swawolni" nie znający granic państwowych i narodowościowych także zwykli przestępcy a również niespokojne jednostki spośród napływowych Wołochów, łączyli się w kompanie już od XV wieku. Grasowały one na pograniczu, napadały na dwory i na kupców przewożących towary przez beskidzkie przełęcze. Nazywano ich beskidnikami. Ludność widziała w beskidnikach uosobienie bohaterstwa i wiązała z nimi nadzieję poprawy bytu. Ludność wiejska brała często rozbójników w obronę, a nawet za schwytanymi beskidnikami wstawiała się gromadnie dając gwarancję, że nic złego nie popełnią. W 1645r rozszerzono przywilej „Prawa Miecza" dla Biecza uchwalając podatek na utrzymanie oddziału harcowników do walki z beskidnikami. Schwytanych złoczyńców po śledztwach i torturach mających na celu wydanie wspólników

ścinał biecki kat. Większość beskidników pochodziła ze wsi wołoskich, w tym najwięcej ze Zdyni, Koniecznej i Smerekowca.

Kiedy na Pogórzu przeważały zajęcia rolnicze, bliżej gór dominowała hodowla i wyrób przetworów mlecznych, sera i bryndzy, żętycy i bundzu. We wsiach na Pogórzu w rolnictwie trwał w zasadzie system gospodarki tradycyjnej, trójpolowej. Ziemia była nawożona licho obornikiem, a tego zawsze brakowało. Wiodło to do pozostawienia „czarnych ugorów" zwanych też „świętojańskimi" /gdyż trwały do orki przed św. Janem/ - „aby ziemia odpoczęła". Ugory te wykorzystywano na wiosnę i w jesieni na pastwiska.

Na obszarach Łemkowszczyzny, w górach, kultura rolna była jeszcze niższa, toteż plony były tam nikłe. Obszary te jeśli chodzi o zboża chlebowe, nie były samowystarczalne. Oziminy zaczęły się rozpowszechniać na Łemkowszczyźnie dopiero w drugiej połowie okresu międzywojennego. Gdy na Pogórzu uprawiano wszystkie podstawowe gatunki zbóż, to na Łemkowszczyźnie przede wszystkim owies, jęczmień i żyto. Uprawiano też proso, tatarkę i dwuletnie żyto zwane kszycą. Z roślin okopowych sadzono głównie rzepę, a później ziemniaki /bandurki, kumpery/, których uprawa wprowadzona była w XVIII w. przez dworskiego ogrodnika Holendra w Klimkówce i rozpowszechniła się wszędzie w XIX wieku.

Gospodarka na wsi Łemkowskiej opierała się od dawna na prymitywnym rolnictwie, hodowli i eksploatacji lasu oraz dodatkowych zajęciach. W wyniku wspomnianej już trzebieży żarowej lasów uzyskiwano w lasach miejsca na wypasy i uprawy. W ten sposób powstawały polany, zwane Polanami, Pasikami, Czerteżami, na których pasano później trzody, bydło rogate i owce. W dużej ilości wypasano też woły używane do obrabiania pola a następnie sprzedawane na targach handlarzom, którzy odsprzedawali je na Śląsk i Morawy.

Woły o maści brunatno-szarej, czasem rudo-żółte i czerwone wypasano dniem i nocą. Zostawiano je niemal samym sobie. Uodpornione w dzikich warunkach bytowania umiały sobie nawet poradzić z wilkiem. Przypatrując się takiemu stadu wołów Wincenty Pol pisał siedząc w cieniu starego buka i wdychając wonny aromat siana: „Ani wół z kompani rzymskiej nie jest okazalszy. Rogi i kształt biorą od węgierskich wołów, ale wagę budowę kości i ogrom od polskiego wołu. Gdy spojrzeć na stado werchowskich wołów, zdaje się jak gdyby z suchego lasu wychodziły tak ogromne sterczą ponad stadem rogi". Z wypasem znane były ciekawe zwyczaje i obrzędy pasterskie, niezwykły świat wierzeń, obyczajów z różnymi atrybutami urządzeń życia szałaśniczego. Do stałych zajęć ludności należało bartnictwo /Bartne, Bartnia Góra/, łowiectwo i rybołóstwo. Jednym z najstarszych zajęć był przemysł leśny /drzewny/ związany z lasem, którego tu nie brakowało. W głębi gór powszechne było

smolarstwo. W prawie każdej wsi rozwijała się ciesiołka. Wielu zajmowało się gonciarstwem, przy czym niektóre wsie specjalizowały się w wyrobie gnotów /Zdynia/. Małastów wyrabiał taczki. Gdzie dostępny był surowiec rozwijało się kamieniarstwo /Bartne, Bodaki, Wapienne, Krempna/. Krempna słynęła z kucia kamiennych kapliczek i kamieni młyńskich. Popularnym rzemiosłem było kowalstwo w tym artystyczne /okucia do wozów, krzyże na cerkwiach, cmentarzach, kurki na dachach/. Wyrabiano również maź drzewną, używaną do smarowania kół, osi młynów i tarczy. Później wyrób ten zastąpiono produktami ropy naftowej wyrabianych na swój sposób.

Szklarze zwani „błoniarzami" wędrowali po Podkarpaciu nosząc tafle szkła na plecach. Na dużą skalę rozwijało się płóciennictwo. Tkactwem zajmowała się niemal każda wieś. Wiele wiosek górskich nad potokami miało młyny sukiennicze z walidłami czyli foluszami do folowania /Świątkowa, Hałbów/. Na Łemkowszczyźnie nie było ośrodków garncarskich w odróżnieniu od Pogórza. Po wsiach wędrowali tzw. „druciarze". Przychodzili oni z sąsiedniej Słowacji opuszczając swe ubogie domy wczesną wiosną a wracali późną jesienią. W poszukiwaniu zarobku wędrowali setki kilometrów. Drutowali naczynia gliniane i kamienne, wyplatali z drutu pułapki na myszy, a gdy rozpowszechniły się garnki metalowe nauczyli się lutowania. Docierali aż do Warszawy /opisywał ich Bolesław Prus, rysował Franciszek Kostrzewski/.

Ponieważ nie brakowało drewna w Beskidzie Niskim, powstawało sporo hut szkła. W XVII wieku wyrabiano tu szklanki i kieliszki /Ropa, Uście Ruskie - obecnie Gorlickie, Huta Krempska i Polańska/. Po tych hutach pozostały w terenie i nazwach topograficznych tylko ślady.

Osadnictwo łemkowskie należy do dziejów tutejszych okolic i zostawiło na pograniczu mimo zniszczeń wojennych trwałe ślady etnograficzne.

Nazwa „Łemko", Łemki lub Łemkowie oraz później utworzona nazwa Łemkowszczyzna pochodzi od słowa „Łem", używanego przez ludność łemkowską w znaczeniu polskiego „lecz", „tylko". Słowa tego nie używali ani sąsiadujący z Łemkami od wschodu Bojkowie ani Rusini, toteż stało się ono przezwiskiem nadawanym na wpół drwiąco ludziom mówiącym dla ucha Rusinów nieczystym ruskim językiem. Nazwa ta nie była używana nawet przez samych Łemków, którzy siebie nazywali Rusnakami. Dziś przyjęta jest przez wszystkich badaczy Łemkowszczyzny. Łemkowskie były między innymi: Myscowa, Hałbów, Desznica, Jaworze, Świerzowa Ruska, Pielgrzyma, Kłopotnica, Folusz, Wola

Cieklińska, Bednarka, Rozdziele i wszystkie wsie na południe od wymienionych. Polskimi były tylko wspomniane Huta Polańska i Huta Krempska jako przysiółek wsi Krempna.

Istnieją dwie teorie pochodzenia Łemków. Są to teorie podstawowe. Nie brak innych o mniejszym znaczeniu.

Zgodnie z opinią dawnych badaczy ruskich i ukraińskich /M. Hruszczewski, J. Tarnowycz/ twierdzi się, że enklawa Łemków w Karpatach jest pozostałością pierwotnego osadnictwa ruskiego, które kiedyś obejmowało tereny położone jeszcze dalej na zachód i północ.

Polscy uczeni w oparciu o nowsze wyniki badań historycznych, etnograficznych i językoznawczych /K. Dobrowolski, R. Rainfuss, S. Stieber/ widzieli Łemkowszczyznę jako wynik skrzyżowania się starszego osadnictwa rolnego, etnicznie polskiego, z późniejszym osadnictwem pasterskim ludności wołoskiej /XIV i XV w./, która wcześniej zetknęła się w Karpatach Wschodnich z ruskim elementem etnicznym. Tą drugą wersję uważam za bardziej prawdopodobną, aczkolwiek nie wykluczam pierwszej.

Wspomniane już osadnictwo ruskie rozwijało się aż do czasów Kazimierza Wielkiego. Niewiele jest źródeł pisanych na ten temat, ale archeologowie odkryli sporo wiarygodnych materiałów w tej kwestii. Wynika z nich, że miejscowości powstałe przed 1340r skupiły się w dolinach ważniejszych rzek do Wisłoka i Osławy włączenie. Czy osadnictwo to posunęło się dalej jak utrzymuje pierwsza wersja pochodzenie Łemków - brak dowodów. Jednak nie można tej hipotezy wykluczyć.

Od połowy XIV w. na teren opanowanej przez Kazimierza Wielkiego Rusi Czerwonej zaczęli napływać Wołosi. Jako ludność pasterska osiedlali się na obszarach górskich, niezdatnych przy ówczesnej technice rolnej do uprawy i dlatego nie zasiedlanych. W drugiej połowie XIV w. pojawili się Wołosi w Sanockiem, a od pocz. XV w. na ziemi bieckiej. Kolonizacja wołoska otworzyła przed wielką własnością ziemską możliwości eksploatacji terenów górzystych, dotychczas nieproduktywnych ekonomicznie. Największe nasilenie osadnictwa wołoskiego przypadło na 2 połowę XV w. i 1 połowę XVI w.

Na czym polegała kolonizacja na „prawie wołoskim" ? Kolonizacja wołoska to przede wszystkim proces społeczny, a nie etniczny. Polegała ona nie tyle na osiedlaniu się wyłącznie Wołochów, ale na przejmowaniu form prawnych i gospodarczych charakterystycznych dla życia pasterskiego, wykształconych przez pasterzy bałkańsko-rumuniskich.

Na terenie Karpat Wschodnich zmieszali się z miejscową ludnością ruską, z którą łączyło ich prawosławie. Im dalej na zachód tym bardziej w osadnictwie pasterskim element

wołoski był słabszy etnicznie a lokalny ruski, czy dalej na zachód - polski lub słowacki silniejszy.

Niewiele źródeł pisanych poświęconych kolonizacji wołoskiej przetrwało do dziś. Z tego co zachowało się wiemy, że na czele wsi stał kniaź, odpowiadający sołtysowi we wsiach zakładanych na prawie niemieckim, ale o nieco większych kompetencjach, zaś nad grupą wsi należących do jednego właściciela /starostwo, klucz biskupi lub magnacki/ wojewoda zwany krajnikiem. Ludność wołoska nie płaciła właścicielowi ziemskiemu czynszu w pieniądzach, lecz w naturze, co regulowano w dniu Św. Piotra i Pawła, a nie jak we wsiach rolniczych na Św. Marcina. Oddawano panu po wiepsrzu, serze wołoskim, poprzegu, 5 owiec od setki, dziesiątego wiepsrza wypasanego na buczynie, po dwa jarząbki na Wielkanocne Święta i Boże Narodzenie lub 2 kapłony ewentualnie z zamianą po 1 grosz od sztuki, oraz miód z barci. Kniaź otrzymywał po 2,5 łana ziemi, dwa obszary do wypasu 300 owiec, karczmę i młyn oraz 1/6 dawanych panu wsi, czynszów w naturze. Ponadto kniaź sprawował sądy nad osadnikami wg. prawa wołoskiego, a do jego uposażenia należało także dysponowanie zbudowaną przez niego cerkwią.

Każdy we wsi wołoskiej zobowiązany był odrabiać rocznie jeden dzień przy sianokosach i tyleż przy żniwach u kniazia.

Do końca średniowiecza obserwuje się tendencję upodobania się wsi wołoskich do wsi rolniczych.

W 2 i 3 ćwierćwieczu XIV w. nastąpiła intensywna kolonizacja terenów dotąd nie zasiedlonych, w tym Beskidu Niskiego. Akcja osadnicza, podjęta przez Kazimierza Wielkiego, nie przyniosła spodziewanych rezultatów. W górzystej i nieurodzajnej południowej części ziemi bieckiej wystąpił w XV w. ciekawy proces wyludniania się wsi rolniczych, lokowanych na prawie niemieckim i osiedlania się w tym samym miejscu ludności rusko-wołoskiej, zajmującej się pasterstwem. Np. Bednarka jeszcze w 1401 r była wsią założoną na wzór niemiecki, a od 1420r na wzór wołoski.

W kolonizacji górnego dorzecza Wisłoki zasłuży się ród Stadnickich, który w połowie XV w. usadowił się w Żmigrodzie i okolicy. Stadniccy byli pod koniec średniowiecza właścicielami następujących wsi w Beskidzie niskim: Radocyny, Długiego, Nieznajowej, Rozstajnego, Ożennej, Grabiu, Świątkowej, Krempnej, Żydowskiego, Ciechani, Polan, Ropianki, Olchowaca, Myscowej, Kątów, Jaworza, Desznicy, Brzezowej, Skalnika, zaś na Pogórzu Jasielskim - Starego i Nowego Żmigrodu z pobliskimi miejscowościami: Mytarzy, Mytarki, Tokami, Świerchową i Osiekiem.

Jak potwierdziły badania archeologiczne w Karpatach i na Pogórzu, niezbyt wysoki łańcuch górski nie stanowił bariery uniemożliwiającej przepływ ludności z jednej strony gór na drugą. Nie były one nawet unikane przez osadnictwo, o czym świadczą ślady odkrywane tu i ówdzie przez archeologów. W opisach historycznych Karpaty przejawiają się jako tereny bezludne, pokryte zwartym płaszczem borów, do których nieśmiało i powoli wzdłuż koryt rzecznych zbliża się zarówno z północy jak i z południa proces osadniczy. Ludność wypierana ze swoich pierwotnych siedzib z powodu przeludnienia, przesuwa się ku górom, wybiera przede wszystkim szerokie wśródgórskie kotliny nadające się najlepiej do celów rolniczych.

Ważną arterię osadniczą stanowiła dolina Wisłoki. Wzdłuż niej płynęła ku górom struga polskiego osadnictwa. Było to na początku osadnictwo rzadkie i słabe. Nasiliło się za czasów panowania króla Kazimierza Wielkiego. W głąb gór osadnictwo polskie przesuwało się bardzo powoli i to głównie wzdłuż dróg wiodących na drugą stronę Karpat przez przełęcze. Na wschód od Jasiołki, która do czasów zajęcia Rusi Halickiej przez Kazimierza Wielkiego stanowiła na terenie Beskidów granicę między Polską a Rusią, w okolicach Krosna i Sanoka występowało osadnictwo mieszane polskie i ruskie, które w XIV w. nie przekraczało w kierunku południowym pasma Bukowicy. Głębiej w góry XIV wieczne osadnictwo weszło jedynie w rejonie Przełęczy Dukielskiej, gdzie w 1360r powstały Jaśliska, a w 1386 Jasionka.

Pewną rolę w zasiedleniu przedproża Beskidów odegrali Niemcy. Spotykamy ich po obu stronach Karpat. Brali udział w zasiedlaniu gorlicko-jasielskiego Pogórza, stanowili dość znaczny procent ludności miejskiej w Bieczu, Krośnie, Sanoku. Spotykano ich również we wsiach. Wiele miejscowości nosiło pierwotnie nazwy niemieckie /Jaśliska-Hohstad, Jasionka-Biskopeswald/ itd. Niektórym dopiero niedawno nadano brzmienie polskie /Rychwałt-Owczary/.

Za zachodnim Pogórzu /Gorlickie, Jasielskie/ proces osadniczy zakończył się w zasadzie już w 2 połowie XIV w. Wiąże się to z pojawieniem nowej fali osadnictwa, która zapoczątkowała w Karpatach tzw. osadnictwo wołosko-ruskie. W tym właśnie czasie w lasach beskidzkich zjawili się pasterze wołoscy. Przyczyna, która spowodowała ich wędrówkę nie jest do końca wyjaśniona. Być może było nią wyczerpanie się pastwisk na Półwyspie Bałkańskim a może napór łupieskich Turków, dość, że w XIII w. zjawiają się ze swoimi stadami nomadzi wołoscy w Siedmiogrodzie, a stamtąd w następnym stuleciu zaczynają swoją wielką wędrówkę grzbietami Karpat na zachód. U nas najwcześniej widzimy ich w Bieszczadach, gdzie źródła historyczne odnotowują obecność Wołochów w XIV w. Czy to

początek ich wędrówki karpackiej - trudno powiedzieć. W pierwszym etapie wędrówki stanowili bowiem drobne, koczujące grupki rodzinne, szybko przemierzające ze swymi stadami tereny Beskidu, sięgając na Zachodzie po Beskid Śląski i Morawy.

Pasterze Wołoscy kontynuowali zrazu tryb życia, który przynieśli z Bałkanów. Lata spędzali ze swymi stadami /głównie owcami i kozami/ w górach, a na zimę przenosili się w odległe od gór tereny puszczańskie /Puszcza Sandomierska i in./, gdzie klimat był łagodniejszy i łatwiej było przezimować zarówno pasterzom jak i ich stadom.

Wędrówki Wołochów, ludu niespokojnego i skłonnego do rozboju, odbywały się na wiosnę i w jesieni przez tereny rolnicze, lecz ze względu na szkody wyrządzane przez owce i kozy były dla ludności uciążliwe. Z drugiej strony właściciele górskich obszarów leśnych i pastwiskowych nie mieli z pasterzy większych korzyści, bo chociaż Wołosi płacili za prawo wypasu składając daninę w baranach i serach, to egzekwowanie jej było trudne nie mówiąc o kontroli wielkości wypasanych stad.

Wielka własność ziemska wywierała na koczujących pasterzy nacisk, by osiedlali się w górach na stałe.

W czasie surowej zimy 1490/91 Wołosi srogo z tego powodu wycierpieli w górach od mrozów i śniegów. Wielu przypłaciło zimowy pobyt w srogich warunkach życiem.

Osadnictwo wołoskie w Bieszczadach poczyniło postępy w XV w. a w sąsiadującym Beskidzie Niskim pędzili oni jeszcze żywot koczowniczy. „Dzikich i nieokrzesanych Wołochów" nawracano na wiarę chrześcijańską na mocy odpowiednich zarządzeń.

Skład etniczny osadnictwa zwanego „wołosko-ruskim" nie jest dotychczas w pełni wyjaśniony. Poglądy w tej materii są różne. Na terenie Łemkowszczyzny największe nasilenie procesu osadniczego przypada na XVI w. W źródłach ówczesnych występują już prawie wszystkie wsie istniejące obecnie. Niektóre z nich istniały już nieomal symbolicznie. W XVII i XVIII wieku lokacje osiedli na tym, terenie zdarzają się już bardzo rzadko. Są to z reguły osiedla o charakterze przemysłowym /np. huta szkła/, zakładane wśród lasów przez własność ziemską przy pomocy osadników obcych /Czechów lub Polaków/, reprezentujących odpowiednie specjalności zawodowe. Stąd wzięli się w Hucie Polańskiej i Hucie Krempskiej Polacy. Te enklawy przetrwały do czasów II wojny światowej a niektóre do dziś w szczątkowej formie jak Huta Krempska.

Bałkański element osadniczy, choć ilościowo niewątpliwie bardzo skromny odegrał ważną rolę w kształtowaniu się kultury w całych Karpatach. Wniósł on tu i rozpowszechnił wysokogórski system pasterstwa. Wpływy jego widoczne są w różnych dziedzinach folkloru,

sztuki plastycznej, muzyki i kultury społecznej. Natomiast pociągnięty w Karpaty przez bałkańskich pasterzy żywioł ruski stanowił masę, która zdecydowała o językowym charakterze, sięgając prawie po Pieniny i Tatry, wprowadzając do wsi zakładanych na prawie wołoskim gospodarkę rolną.

Uwzględniały ją akty lokacyjne niektórych wsi wołoskich, gdzie obok typowych danin pasterskich wymieniane są też daniny w ziarnie /owies/.

Wsie powstałe w związku z falą osadnictwa wołosko-ruskiego były początkowo lokowane wg. stosowanego u nas od średniowiecza „prawa niemieckiego". Później na jego osnowie wykształciło się specjalne „prawo wołoskie". Różniło się od poprzedniego tym, że daniny na rzecz dworu zamiast w płodach rolnych składane były w postaci „daniny baraniej", czyli „pobarańszczyzny", serów, sukna samodziałowego.

W sądownictwie wiejskim posługiwano się własnym prawem zwyczajowym dostosowanym do potrzeb gospodarki pasterskiej.

Jednostką gospodarczą, osadniczą i statystyczną zarazem było we wsiach zakładanych na prawie wołoskim „dworzyszcze" wołoskie. Z regestrów poborowych spisywanych w XVI i XVII w. dowiadujemy się jak znaczne różnice zachodziły wtedy między poszczególnymi wsiami. Ludnymi jak na owe czasy były wsie, które liczyły wówczas /prócz sołtysiego/ powyżej 15 dworzyszczy /np. Wysowa-18, Tylawa-19, Zyndranowa aż 22/. Sporo było średniaków posiadających 5-15 dworzyszcz. Były też wioski maleńkie, głównie w głębi gór przy węgierskiej granicy, czasem świeżo osadzone, liczące zaledwie dwa /Ropianka, Ciechania/ lub trzy dworzyszcza. W niektórych wsiach wymieniane są w źródłach „półdworzyszcza wałaskie" /Krempna-11 półdworzyszcz, Myscowa-7/.

Zatargi na tle religijnym między starą ludnością polską a nowymi przybyszami były zjawiskiem częstym. Zarówno Wołosi jak i towarzyszący im Rusini byli wyznania prawosławnego, które przez Kościół Katolicki było ostro potępiane, a jego wyznawców traktowano niemal jak pogan i nawracano na wiarę katolicką przy pomocy akcji misyjnej, prowadzonej głównie przez dominikanów.

Zawarta unia brzeska nie od razu sprawę rozwiązała. Duchowni prawosławni wraz z szlachtą i chłopami zdecydowanie wystąpili przeciw unii. W Przemyślu, który był stolicą trzech biskupów /rzymsko-katolickiego, grecko-katolickiego i prawosławnego/ dwaj biskupi - prawosławny i grekokatolicki zbrojnie walczyli ze sobą wyrzucając się nawzajem z Przemyśla. Echa tych walk podtrzymywały niechętną katolicyzmowi ludność ruską zamieszkującą wsie beskidzkie. Nierzadkie były też przypadki wystąpień administratorów

kościoła rzymsko-katolickiego przeciwko wyznawcom kościoła greckokatolickiego. Jeszcze w połowie XVII w. biskup krakowski Piotr Gębicki wydał groźną ordynację przeciw odszczepieńcom, tj. schizmatykom i Rusinom greckiego nabożeństwa", którzy żyjąc pod jednością kościoła rzymskiego mają tak wierzyć jako prezbitariowie ich nauczają, inaczej jako schizmatyków i czarowników karać się będzie gardłem i konfiskatą dóbr.

Spory na tle religijnym trwały do końca XVII w. Przygasały po likwidacji biskupstwa prawosławnego w Przemyślu. Szerzej na ten temat piszę w rozdziale poświęconym religii i sztuce sakralnej Łemków.

Podsumowując problem pochodzenia Łemków nadmienić należy o kilku istotnych sprawach mających niebagatelny a wręcz decydujący wpływ na ten proces.

Osadnictwo polskie sięgało jedynie do szerokich i żyznych kotlin ziemi jasielskiej podobnie jak sądeckiej, krośnieńskiej czy sanockiej. Było ono ilościowo bardzo słabe.

Okres intensywnego zaludniania przedproża późniejszej Łemkowszczyzny przypada dopiero na wiek XIV, kiedy to głównie za panowania Kazimierza Wielkiego po przyłączeniu Rusi Czerwonej do Polski zaczyna się na terenie w/w żywa działalność osadnicza. W osadnictwie tym oprócz Polaków brała też udział znaczna część Niemców.

W XIV w., idące z północy osadnictwo polskie, posuwało się w głąb gór jedynie wzdłuż szlaków komunikacyjnych wiodących na Węgry.

Doniosłą rolę w dziejach osadnictwa późniejszej Łemkowszczyzny miało powstanie /głównie w XIV w./ rozległych latyfundiów stanowiących własność instytucji kościelnych lub znaczniejszych rodów szlacheckich.

Na Zachodniej Łemkowszczyźnie było to „Państwo Muszyńskie" czyli posiadłości biskupów krakowskich i „Państwo Gładyszów" z Szymbarku. Dalej na wschód posiadłości Lubomirskich i Stadnickich oraz Wojszyków i Mniszków. W rejonie Jaślisk leżały posiadłości biskupów przemyskich. Wschodni cypel Łemkowszczyzny należał do rodziny Balów.

Obok dób szlacheckich i kościelnych występowały też na Łemkowszczyźnie resztki dawnych królewszczyzn. W środkowej części Łemkowszczyzny pas królewszczyzn starostwa bieckiego rozdzielał dobra Gładyszów i Stadnickich, dochodząc do granicy Węgierskiej.

Ziemie należące do poszczególnych właścicieli początkowo były praktycznie bezludne, skutkiem czego nie przynosiły oczekiwanych korzyści. Pierwszym zadaniem nowych właścicieli było zorganizowanie energicznej akcji mającej na celu zasiedlenie otrzymanych dóbr. Nie było to zadaniem łatwym, gdyż konkurencja była duża. Ściągała ona

osadników przede wszystkim na ziemie bardziej urodzajne, niż kamieniste gleby karpackie. Polski osadnik z dużym oporem zapuszczał się w góry, a jeszcze bardziej stronili od nich Niemcy.

W tym czasie jak świeccy i duchowni właściciele górskich posiadłości łamali sobie głowy, jak zaludnić swoje posiadłości, pojawiła się, jak przysłowiowa manna spadająca z nieba, masa potencjalnych osadników, którzy dali początek tzw. wołosko-ruskiej kolonizacji.

Według dotychczas przyjętych poglądów, była to fala mieszana etnicznie, składająca się z bałkańskich nomadów, tzw. Arumunów, z domieszką południowych Słowian, Albańczyków oraz dużą liczbą Rusinów. Poglądy na temat przyczyn tych gigantycznych migracji są podzielone. Według jednych powodem wędrówek pasterskich Wołochów z Bałkanów w Karpaty był brak dostatecznej ilości paszy, zdaniem innych ciągłe zamieszki wojenne, a później napór potęgi tureckiej na Bałkany i wynikłe stąd niepokoje. Ludność ruską mogli pchnąć w kierunku zachodnim Tatarzy, którzy swymi zagonami stale nawiedzali ziemie wschodnie. Fala tzw. osadnictwa wołosko-ruskiego, przepłynęła wzdłuż Karpat od Siedmiogrodu po bramę Morawską. Śladem jej jest m.in. Moravske Valasko, stanowiące po południowej stronie Karpat odpowiednik naszej śląskiej góralszczyzny.

Obraz wędrówek Wołochów odtwarza się na podstawie życia pasterskich nomadów, którzy na półwyspie Bałkańskim odbywali sezonowe migracje jeszcze po II wojnie światowej, a w Albanii koczują do dziś. Otóż odbywali oni swoje wędrówki grupami rodowymi, zorganizowanymi w sposób patriarchalny. Ich stada złożone z owiec i kóz liczyły, w zależności od liczby rodzin należących do rodu, od paruset do paru tysięcy sztuk. Poza tym chowali również kury. Niezbędne rzeczy w czasie wędrówek przewozili na jucznych koniach. Sezonowe migracje odbywali na trasach dochodzących do paruset kilometrów w jedną stronę. Na wiosnę udawali się ze swym dobytkiem na pastwiska górskie, jesienią schodzili na tereny nizinne, gdzie klimat był łagodniejszy. Łatwiej można było stada wyżywić. Zarówno na stanowiskach letnich, jak i tam gdzie zimowali, stawiali jedynie prymitywne jednownętrzne szałasy, budowane z chrustu, a w czasie wędrówek posługiwali się namiotami z grubego sukna owczego. Każda rodzina wchodząca w skład grupy miała jako mieszkanie oddzielny szałas lub namiot. Mężczyźni zajmowali się nadzorowaniem stad, przepędzali ich na nowe pastwiska. Do nich należała też strzyża runa. Dla własnej satysfakcji uprawiali snycerstwo w drewnie. Kobiety natomiast prowadziły gospodarstwo domowe i wykonywały na prymitywnych krosnach wełniane tkaniny. Rzemiosłem nie trudnili się. Potrzebne im towary uzyskiwali od mieszkańców miast drogą wymiany za runo, sukna, skóry i przetwory mleczne.

Materiały historyczne wskazują na przebywanie pasterzy wołoskich w Karpatach dopiero w wieku XIV. Można jednak przypuszczać, że ten ruchliwy i trudny do zewidencjonowania żywioł pojawił się w lasach karpackich wcześniej, niż to zostało udokumentowane w źródłach historycznych.

Wołosi posuwali się małymi grupami rodowymi. W źródłach historycznych nie znajdujemy informacji o wielkości ich stad. Na pewno jednak nie osiągnęły one paru tysięcy sztuk, jak to jeszcze niedawno spotykało się na Bałkanach. Pasterskim nomadom najbardziej odpowiadały suche i zdrowe pastwiska grzbietowe, które uzyskiwali przez wypalanie lasów. Odstraszały ich natomiast wilgotne doliny zarosłe olchą, sprzyjające motylicy, która była groźną chorobą owiec. Nowi przybysze początkowo pędzili w Karpatach żywot koczowniczy, analogicznie jak na Półwyspie Bałkańskim. Ciepłą część roku przebywali wraz ze swym „wołoskim statkiem", złożonym z owiec i kóz, na pastwiskach górskich, a na zimę wędrowali ze stadami na równiny do większych kompleksów leśnych i puszcz, gdzie spasali poszycie leśne i gałązki drzew liściastych. Pasterze nie zajmowali się uprawą ziemi. Nie gromadzili nawet zapasów paszy. Gdy pastwiska zostały wyeksploatowane przenieśli się ze swoimi stadami na inne miejsce.

Wołosi byli elementem niezwykle ruchliwym i nieuchwytnym. Za prawo wypasu swych trzód składali na rzecz właścicieli terenów wypasowych wspomnianą już „dań baranią". Często się od daniny migali a co gorsza dopuszczali się najróżniejszych „łotrostw", kradzieży, rabunków a niekiedy i morderstw. Najwięcej wzmianek o pobycie Wołochów w rozmaitych stronach Karpat wiąże się właśnie z tego rodzaju przypadkami. Sporo zastrzeżeń pod adresem koczujących w górach pasterzy miał Kościół. Jak już wspomniałem nieco wcześniej w prawosławnych Wołochach widział on innowierców, schizmatyków, których należało nawracać na łono kościoła katolickiego. Kościół zarzucał Wołochom, że są prawie poganami, nie znającymi podstawowych zasad wiary. Że niektórzy przez całe życie nie byli w kościele. Przy koczowniczym trybie życia opinia ta niewiele odbiegała od prawdy. Jeszcze np. w 1425r wytropiono w Sanockim Wołoszkę Tatianę, która w ogóle nie była ochrzczona.

Ze strony wielkiej własności ziemskiej zaczęły się naciski, aby niesforny żywioł pasterski ustabilizować i nie pozwolić na sezonowe migracje, które musiały być klęską dla terenów rolniczych, pustoszonych dwa razy w roku przez pędzone stada.

Energiczna akcja zasiedlania Łemkowszczyzny rozpoczęła się w I połowie XV w. i prawdopodobnie dopiero wtedy wzięli w niej udział Rusini. Jako rolnicy przybywający z okolic o dobrych glebach, mieli oni zupełnie odmienne potrzeby niż Wołosi. Nie interesowały

ich ani lasy, ani grzbietowe polany. Najbardziej odpowiadały im niezbyt zalesione równiny o dobrej ziemi, łatwej do uprawy. Takich terenów w Beskidach nie było. Osiedlali się więc chętnie na przedprożu gór i przenikali do wcześniej zasiedlonych wsi polskich. Możliwości te były ograniczone, zajmowali zatem co lepsze śródgórskie doliny, gdzie zakładali wsie „na surowym korzeniu", to znaczy w miejscach wymagających karczowania puszczy. Wraz z nimi osiedlali się Wołoscy pasterze. Rusini przeważając liczebnie nad Wołochami, wkrótce ich zasymilowali, narzucili im swój język, osiadły tryb życia, a w końcu też i gospodarkę rolną. Gdzie stara ludność polska znalazła się razem z nowymi osadnikami, wzajemne stosunki nie układały się dobrze. Przykładem jest polska, średniowieczna wieś Lipinki. W części południowej wsi, od strony Wapiennego, osiedlono „Wołoszę, którzy się ani wiarą ani obyczajami ze starymi kmieciami nie godzili". W rezultacie przed rokiem 1564 Lipinki rozdzielono na dwie części i w ten sposób powstała ruska wieś Rozdzielne.

Jak wynika z powyższego, Łemkowie stanowią grupę etnograficzną, która ukształtowała się w długim procesie historycznym, wchłaniając i asymilując różne elementy etniczne. Miało w tym udział zarówno osadnictwo polskie, którego ślady znajdujemy w śródgórskich dolinach przy szlakach wiodących na Węgry, jak i pasterze-nomadzi z dalekiego Bałkanu, tzw. Arumuni z towarzyszącymi im południowymi Słowianami i Albańczykami. Na ten podkład nawarstwiła się fala osadnictwa ruskiego. Fala ta wszystkie wcześniejsze elementy etniczne językowo zasymilowała, przyjmując jednocześnie pewne treści kulturowe od swych poprzedników, jak np. wysokogórski typ pasterstwa, liczne miejscowe nazwy geograficzne.

Powstała w ten sposób grupa etnograficzna należąca do ukraińskiego obszaru językowego, posiadająca jednak wiele cech własnych, które wyróżniają ją do innych ukraińskich grup, jak np. Bojków czy Rusinów Szlachtowskich.

Dzieje osadnictwa Łemkowszczyzny znalazły swoje odbicie w nazwach miejscowości i topograficznych, gdzie obok starych nazw polskich występują nazwy rumuńskie i ruskie. Elementy polskie w nazewnictwie na Łemkowszczyźnie nie przekraczają na wschodzie rzeki Jasiołki ogniś granicy Polski z Rusią Halicką. Rumuńskiego pochodzenia są też niektóre nazwiska jak np. Bagan /tytoń/ czy Kuszwara /bocian/.

Pisząc o pochodzeniu Łemków i o początkach osadnictwa na tym terenie otrzymałem właśnie akurat teraz materiały dotyczące jeszcze jednej ciekawej i godnej uwagi teorii. Rzecz dotyczy opracowania Pani Zofii Szanter zamieszczonego w „Magurach 93".

W dużym skrócie jej wywody przedstawiają się następująco:

Uważa ona, że wszystkie teorie pochodzenia Łemków i początków osadnictwa nie są przeciwstawne ale się uzupełniają. W góry od czasów prehistorycznych docierały różne plemiona. Osadnictwo było wielofalowe i właściwie każde spostrzeżenie odkrywa kolejny fragment historii. Byli tu Trakowie, Dakowie, Celtowie, Chorwaci, osadnicy polscy, ludy z Półwyspu Bałkańskiego i Rusini.

Jednak dopiero wieki XV i XVI miały decydujące znaczenie dla kultury późniejszej Łemkowszczyzny. Przed XV w. ze względu na małą gęstość zaludnienia, brak kontaktów z innymi ośrodkami i pasterski zapewne tryb życia ludności, ciągłość między poszczególnymi kulturami nie była w pełni zachowana. Natomiast w XV, a w zwłaszcza w XVI w. powstała większość istniejących do dziś wsi i udokumentowany jest ożywiony napływ osadników, którzy trwale zagospodarowali te tereny.

Powstaje więc pytanie, kim byli i skąd napływali osadnicy w XV i XVI w. Dotychczas próbowała to wyjaśnić teoria o migracji wołosko-ruskich.

Zestawienie dat lokacji wsi zdaniem autorki teorii nie potwierdza tego. Osadnictwo nie postępowało ze wschodu na zachód, poczynając od XV w. w Bieszczadach, a kończąc na XVII w. w Beskidzie Sądeckim. W początkach XV w. osady powstawały nie tylko we wschodniej części Beskidu Niskiego, pobliżu Bieszczadów, ale i w dorzeczu Ropy i Nad Popradem, a nawet w Gorcach.

Wszystkie te obszary były zasiedlane jednocześnie, choć nierównomiernie. Nowe osady powstawały - tak jak wszędzie w górach - najpierw w dolinach rzek i przy dogodnych szlakach komunikacyjnych, następnie kolonizacja rozprzestrzeniała się, zajmując stopniowo pozostałe dogodniejsze tereny. Te fakty podważają koronny argument zwolenników teorii migracji wołosko-ruskich. Rysuje się też kilka innych poważnych wątpliwości.

Choć wędrówki pasterskie miały miejsce, ich skala jak uważa autorka teorii i zasięg z pewnością były zdecydowanie mniejsze niż można by wnosić z teorii migracji wołoskich. Jest też mało prawdopodobne, ażeby pasterze stanowili zasadniczy trzon świetnie zorganizowanego osadnictwa stałego, a już nie sposób wytłumaczyć, dlaczego mieszkańcy terenów, przez które pasterze przechodzili, mieliby się do nich masowo przyłączać i - jak chce teoria migracji wołoskich - wędrować górami w nieznane na ogromne odległości, porzucając osiadły tryb życia.

Kim byli osadnicy? Odpowiedzi na to pytanie trzeba szukać w szerszym kontekście historycznym. Także system prawa wołoskiego uważa autorka za zmodyfikowane prawo niemieckie. Początkowo prawo wołoskie było prawem zwyczajowym, opartym na zasadach

wspólnoty rodowej, dostosowanym do koczowniczego trybu życia i jako takie rozpowszechniło się na Rusi Czerwonej i w najstarszym osadnictwie wołoskim w górach.

Zasiedlanie terenów górskich było efektem przemyślanej i zaplanowanej akcji zorganizowanej przez właścicieli tych ziem. Właścicielom zależało na zwiększeniu dochodów. Góry nie były bowiem obszarem bezpańskim. Jak już pisałem wchodziły w skład dóbr królewskich, kościelnych lub szlacheckich.

Skąd więc wziął się trzon osadników zdaniem autorki?

W okresie, gdy zarówno w Polsce jak i na Węgrzech wzrastały wymiary pańszczyzny i wprowadzono coraz większe ograniczenia wolności chłopów, w górach przyjmowano zbiegów pańszczyźnianych i zapewniano im ochronę. Mieszkańcy wsi zakładanych na prawie wołoskim zwolnieni byli od powinności płacenia czynszu i danin na okres jednego pokolenia /od 20-24 lat/. W przypadku, gdy po tym terminie „osada nie była jeszcze ukończona", mogło nastąpić przedłużenie wolnizny na dalszych kilka lub kilkanaście lat.

Lecz korzystne przede wszystkim niezwykle były warunki prawa wołoskiego. Zapewniało on mieszkańcom znaczną swobodę i stwarzało sytuację dogodną ekonomicznie, równoważącą surowy klimat górski i gorsze gleby. Posługi na rzecz dworów sprowadzone zostały do 2-8 dni w roku i dotyczyły głównie mężczyzn. Można je było zamienić na czynsz. Czynsze i daniny nie były wysokie, a korzystanie z bogactw przyrody właściwie nieograniczone.

Skąd ci osadnicy zatem przybyli? Pamiętać trzeba, że musiała to być głównie ludność osiadała, dobrze zaznajomiona z górską gospodarką rolno-hodowlaną.

W XV i XVI w. niewiele terenów w okolicach gór stanowiły królewszczyzny, a i te były słabo zasiedlone. Osadnicy pochodzili więc „Z dalszego kraju". Tym krajem - w przypadku Beskidu Niskiego a także Sądeckiego - mogły być tereny podkarpackie leżące na północ lub tereny po południowej stronie, poza granicą państwową.

Na północy zamieszkiwała jednak ludność nie mająca tradycji gospodarowania w trudnym terenie i klimacie górskim. Osadnicy sprowadzenie z północy szybko rezygnowali. Pozostają więc tereny od strony południowej. Był to idealny rejon do rekrutacji osadników - również górzysty, już wcześniej zagospodarowany i niezwykle dogodnie usytuowany. Granica państwowa utrudniała ściganie zbiegów pańszczyźnianych, a ukształtowanie terenu nie stanowiło dla przesiedleńców żadnej przeszkody. Liczne przełęcze w Beskidzie Niskim umożliwiały migracje ludności w obie strony już od najdawniejszych czasów.

Można więc założyć, że w Beskid Niski i Sądecki w XV i XVI w. osadnicy przybywali z południowych soków Karpat. Wskazywać na to może kolejność powstawania osad i ich rozmieszczenie - nie tylko na północnym obrzeżu gór, ale i w ich głębi, w pobliżu granicznych przełęczy i dogodnych przejść. Za takim pochodzeniem osadników przemawiają jednak przede wszystkim wydarzenia, które miały miejsce na Węgrzech w XV i XVI w. Chodzi głównie o prześladowania prawosławnych. Zarządzeniem króla Zygmunta z 1427r ograniczono działalność duchownych prawosławnych. Zabraniało ono chrztu dzieci - zawieranie małżeństw katolicko-prawosławnych. Taka polityka wywołała szereg lokalnych powstań, wybuchających co kilka lat już od końca XIV w. i z pewnością wpłynęła na intensywność migracji.

Innym czynnikiem było pogarszanie się sytuacji gospodarczej i społecznej na Węgrzech, co stanowiło odbicie ogólnej sytuacji w Europie południowo-wschodniej. Rozpowszechnienie się imperium ottomańskiego na Półwyspie Bałkańskim, najazdy tatarskie, które docierały do Bułgarii, oraz wewnętrzny kryzys, decentralizacja, pograniczne zamieszki i wojny w państwach południowo-wschodniej Europy nie stwarzały mieszkańcom dogodnych warunków egzystencji.

Reakcją na sytuację polityczną i wzrastając obciążenia feudalne było zbiegostwo chłopów i powszechne ruchy ludności, które dodatkowo wzmagały ferment wewnętrzny. Mieszkańcy terenów najbardziej narażonych na zniszczenie, zwłaszcza Bułgarii, Serbii, Wołoszczyzny i Rusi, niejednokrotnie musieli uchodzić ze swych siedzib. Większość z nich próbowała osiedlić się właśnie na Węgrzech, Głównie w Siedmiogrodzie i na południowych obrzeżach i stokach Karpat. Jednak i tu pogarszająca się sytuacja gospodarcza i społeczna oraz wspomniane wyżej prześladowania prawosławnych zmuszały te grupy do dalszej migracji.

XVI - wieczna fala migracji w Beskid Niski i Sądecki zbiegła się z radykalnym pogorszeniem sytuacji wieśniaków na Węgrzech po 1514r. W tym roku około 40 tyś. chłopów z całych Węgier zebrało się w Siedmiogrodzie w celu odbycia krucjaty przeciw Turkom. Papież Leon X zapowiedział zwolnienie uczestników tej wyprawy od pańszczyzny. Jednakże krucjata nie odbyła się, a bojowo nastawieni chłopi zwrócili się przeciw wyższym warstwom społecznym. Po krwawym stłumieniu tego największego powstania chłopskiego, które odbiło się echem po całych Węgrzech, ogłoszono surową konstytucję antychłopską. Między innymi drastycznie ograniczała ona wolność osobistą i zwiększała wymiar pańszczyzny z 1-10 dni w

roku do 52 dni z jednego gospodarstwa kmiecego. W dalszych latach nastąpiło znaczne podwyższenie wymiaru pańszczyzny aż do 100-150 dni w roku w II połowie XVI wieku.
Z tych powodów wyludnienie niektórych regionów Węgier przekraczało 40%. Równolegle z tymi wydarzeniami następuje potęgowanie napływu osadników w Beskid Niski i Sądecki.

Autorka teorii wymienia 5 wydaje się całkiem logicznych przesłanek przemawiających za możliwością napływu osadników z południowych stoków Karpat w Beskid Niski i Sądecki.
1. Poszukiwanie odpowiednich osadników przez właścicieli ziem górskich w Polsce i istnienie w najbliższym sąsiedztwie, po południowej stronie granicy, ludności znającej zasady górskiej gospodarki hodowlano-rolniczej.
2. Dogodne ukształtowanie terenu umożliwiające przechodzenie przez Karpaty na linii północ-południe.
3. Różnica między sytuacją społeczno-polityczną w Rzeczypospolitej i na Węgrzech.
4. Prześladowania prawosławnych na Węgrzech w XVI w. i możliwość pozostania przy wierze przodków osadników wołoskich w Polsce.
5. Dogodne warunki prawa wołoskiego przy pogarszającej się sytuacji chłopów pańszczyźnianych na Węgrzech.

Oprócz powyższych przesłanek za napływem osadników z południowych stoków Karpat przemawia poważny argument - różnice kulturowe między późniejszymi Łemkami i Bojkami zamieszkującymi Bieszczady.

Napływ osadników w Beskid Niski i Sądecki od strony południowej musiał być silniejszy w początkowym okresie kolonizacji, w XV i XVI w. Gdy nowe obszary już zagospodarowano, utworzyły się związki z ziemiami ruskimi w obrębie Rzeczypospolitej. Do ich zaistnienia i umocnienia przyczyniły się niewątpliwie kontakty w obrębie sieci parochialnej /parafialnej/. Osadnicy byli wyznawcami chrześcijaństwa w obrządku wschodnim. Pieczę nad nimi objęła najbliżej położona eparchia przemyska. Z czasem pociągnęło to za sobą przemieszczenia ludności także na linii wschód-zachód. Jednak tradycja kontaktów z rejonami po południowej stronie granicy pozostawała w Beskidzie Niskim i Sądeckim niezwykle silna. Były przecież najbliższe kulturowo, silniejsze gospodarczo i połączone dogodnymi traktami komunikacyjnymi /podczas gdy do dziś brak wewnątrz gór drogi wiodącej ze wschodu na zachód /.Do miejscowości na południowych stokach gór jeżdżono na jarmarki, korzystano z tamtejszych kamieniołomów, w tamtejszych warsztatach zamawiano dzwony do cerkwi, tam wreszcie często dobierano współmałżonków. O łączności kulturowej świadczą związki gwary łemkowskiej z grupą języków zachodniosłowiańskich.

Również odrębny niż w Bieszczadach kształt świątyń /tzw. cerkiew łemkowska / jest odbiciem i kontynuacją tradycji architektury cerkiewnej z południowych stoków Karpat. Zwrócenie uwagi na napływ osadników od strony południowej karpat powinno rzucić nowe światło na badania kulturowe. Interesujących związków oczekiwać można np. w zakresie sztuki sakralnej Beskidu Niskiego i Sądeckiego, nie tylko w przypadku architektury, ale także malarstwa ikonowego. Z całej późniejszej Łemkowszczyzny ludność wędrowała na odpusty do Krasnego Brodu w dolinie Laborca. Jak widać z tego rozeznania, poszukiwanie związków z terenami po południowej stronie Karpat rzucić mogą nowe światło nie tylko na historię rozwoju osadnictwa, ale także na historię kultury Łemkowskiej.

Strój Łemkowski ulegał przemianom. Różnił się nieco w poszczególnych rejonach Łemkowszczyzny.

Mężczyźni latem nosili tzw. uherkie kapeluchy, czarne, filcowe z krezami zawiniętymi do góry z czerwoną wstążką na główce kapelusza, wyrabiane w Bardejowie, a zimą bądź czapy baranie o długim runie, bądź czapki szyte z białego baranka zwróconego runem do środka, pokryte niebieskim suknem z czerwonymi wypustkami na szwach i z pomponem. Koszule były krótkie z samodziałowego płótna, a rękawy dołem otwarte, pozbawione mankietu. Na przodzie koszula miała proste rozcięcia pod szyją, wiązano ją czerwoną tasiemką, tzw. zastiżką. Noszono 3 rodzaje spodni: haczy z samodziałowego płótna jako bieliznę, zaś nohyałky i hołoszni pełniły rolę odzienia wierzchniego. Nohyłky szyto z płótna, a hołoszni z białego samodziałowego sukna. Nogawki zszywano jednym zewnętrznym szwem pozostawiając wąskie obranki, tj. wypustki z niebieskiego i czerwonego płótna. Na nogi zakładano kyrpci, wykonane z jednego kawałka skóry przeszytej jednym wąskim rzemykiem.

Latem wdziewano je na lnianą onuckę, a w zimie sukienną. Letni ubiór wierzchni stanowiła kamizelka bez rękawów i kołnierza - łajbik. Dawniej wykonywano ją z samodziałowego sukna białego, a od końca XIX w. z błękitnego, czyli uherskiego /węgierskiego/. Te ostatnie sięgały poniżej bioder, w tyle były 3-krotnie rozcięte ozdobione na przodzie wzdłuż zapięcia 2 rzędami błyszczących guzików oraz czerwonymi, poziomymi naszywkami. Właściwe odzienie wierzchnie stanowiła hunia, tj. kurtka z białego lub brązowego sukna sięgającego do połowy ud. Zimą narzucano na hunię, rzadziej na kożuch wspaniałą czuhę, czyli brązowy płaszcz z samodziałowego sukna. Zarzucany był na ramiona, a jego luźno spuszczone rękawy pełniły funkcję kieszeni.

Na zachodniej Łemkowszczyźnie do czuhy przyszywano długi czworokątny kołnierz, spadający do połowy pleców, który przecinały w poprzek 3 białe, tkane pasy, a u dołu ozdabiał szereg sznurków, tzw. toroków. Łemkowie używali 2-ch kożuchów, krótkiego białego serdaka oraz długiego, zimowego, zwykle na uroczyste wyjścia. Uzupełnienie stroju stanowił szeroki pas juhaski /skórzany/, zdobiony tłoczeniami z obszerną kieszenią z boku, oraz skórzaną torbą podróżną, tzw. kobianką, na żywność i drobne przedmioty.

Kobiety bardziej przywiązane były do strojów tradycyjnych, stąd ich strój utrzymywał się dłużej. Młode dziewczęta plotły włosy w warkocz /kiska/ i chodziły z odkrytymi głowami, starsze zakrywały je chustkami fabrycznymi, wiązanymi pod brodą. Mężatki upinały włosy i nosiły czepiec. We wschodniej Łemkowszczyźnie zakładały białe, lniane chusty, wiązane na karku. Kobiety nosiły białe koszule /oplicza/ z dużymi rękawami, chwyconymi przy dłoni przez szeroki mankiet. Przy szyi i mankietach przyszywano marszczone i nakrochmalone krezy zakończone ząbkami, ozdobione wąskim szlakiem haftu. Przy koszulach roboczych nie było krezek. Dolną część ciała okrywał ściśle przylegający papilok z grubego płótna. Spódnice czyli kabaty szyto z płótna samodziałowego, drukowanego ręcznie przez bardiowskich farbiarzy w biały rzucik na tle granatowym. Kabaty były w pasie silnie marszczone i sięgały do połowy łydek. Z przodu zakładano zapaskę, najczęściej białą, ozdobioną kupnymi koronkowymi wstawkami i haftem. Na nogach noszono kierbce, wdziewane latem na płócienne białe onuce, a w zimie na wełniane skarpety.

W dniu świątecznym noszono buty węgierskie z miękkiej skóry, tzw. skirni. Strojem wierzchnim był gorset z czerwonego lub niebieskiego sukna, uzyskiwanego ze starych mundurów austriackich. Ozdabiały go naszywki z barwnych tasiemek i krepiny, a czasem kolorowy haft płaski.

W okresie międzywojennym rozpowszechniły się czarne aksamitne gorsety, przybierane z przodu srebrnymi cekinami i kolorowym haftem z jedwabiu.

Ubiorem wierzchnim kobiet w XIX w. było odzienie podobne do męskiej huńki, a nawet futra baranie z lisim kołnierzem. Po węgierskiej stronie kupowano też krótkie, białe kożuchy ozdobnie wyszywane. Do stroju świątecznego należały naszyjniki złożone z kilku nitek szklanych paciorków.

Mężczyźni nosili długie włosy spływające zwyczajnie aż na ramiona.

Proces zaniku stroju ludowego u Łemków postępuje wolniej niż u Polaków. Ubiór kobiecy utrzymuje się do ostatniej wojny w pełnej krasie, męski zaś z nieznacznymi tylko ubytkami.

Z innych źródeł dowiadujemy się, że kobiety włosy na głowie upinały na leszczynowym krążku /zw. hymlą/. Na płócienny haftowany czepek wdziewały kunsztownie wiązaną chustkę białą zdobioną czerwonym lub białym roślinnym haftem łańcuszkowym, zwaną „facełykiem". Był „mały facełyk" spadający z tyłu nieco poniżej barków i „wielki facełyk", którego koniec sięgał z tyłu poniżej krzyżów. Ubierano go niekiedy pod hunie i wówczas jego trójkątne zakończenie sterczało spod krawędzi huńki. Na ramiona narzucały kobiety białą płachtę /szal/, którego końce spływały pionowo na przodzie. W okolicach Krempnej męski pelerynkowaty kołnierz czuchy przechodził z tyłu w spadający poniżej prostokąt ozdobiony wzdłuż dolnej krawędzi białym, tkanym pasem i szeregiem sznurków długich na 30-40 cm zwanych „świeczkami", stąd nazywano tutejszych Łemków „świecakami".

Kultura łemkowska miała odrębne cechy niż bojkowska. Grupy te różniły się między sobą w budownictwie, stroju, języku i trybie życia. Kształt zabudowy wsi łemkowskiej jest dość jednolity i związany z układem łanów leśnych. Najczęściej wieś ciągnie się łańcuchem w dolinie potoku lub rzeki /Grab, Świątkowa Wielka, Świątkowa Mała i Świerzowa Ruska oraz inne/. Chaty budowano frontem do drogi. Ogólny widok wioski sprawiał wrażenie zaniedbania. Uderzał brak ogródków, gdyż chaty budowano ciasno obok siebie. Sady trafiały się we wsiach bardziej rozrzuconych, a więc wychodzących przysiółkami na stoki.

Chaty zwane chyżami stawiano ze świerkowego lub jodłowego drzewa. Były to często chaty kurne, także z dymem odprowadzanym na strych z wielkim gliniastym piecem, ławą wewnątrz po przeciwnej stronie izby. Gospodarstwo tworzyła zagroda jednobudynkowa, w której w jednej części mieszkali ludzie, a pod wspólnym dachem w pozostałej części znajdowała się część dla inwentarza /stajnia, obora, kurnik, chlew/, wozownia i boisko. Spichlerz i piwnica znajdowały się poza gospodarstwem. Dachy chat były przeważnie dwuspadowe z niewielkimi bocznymi okapami, kryte słomą lub gontami. Chaty łemkowskie wyróżniały się malowaniem szpar między belkami zrębów, drzwi i obramień okien na różne kolory.

We wschodniej Łemkowszczyźnie malowano zręby na brązowo, szpary na biało, wrota na żółto a ramy na zielono, czasami na niebiesko.

Środkowa część Łemkowszczyzny /teren między innymi Gminy Krempna/ bieliła szpary międzybelkowe wapnem a zręby nasycano odpadkami ropy naftowej, osiągając w ten sposób jeszcze większy kontrast.

Na północnym pograniczu polsko-łemkowskim np. w Samoklęskach Pielgrzymce, Mytarzy i Kłopotnicy panował zwyczaj malowania na wrotach i drzwiach ornamentu roślinnego. Na szczególną uwagę zasługuje budownictwo sakralne na Łemkowszczyźnie omówione oddzielnie.

Na dzień dzisiejszy opisanych zabudowań w Krempnej i okolicy spotkać można sporo. Aczkolwiek zostały one zmodernizowane i unowocześnione uwzględniając postęp techniczny i bezpieczeństwo p.poż. Dokonano zmiany pokryć dachowych ze słomianych na trwalsze ognioodporne. Wyeliminowano chaty dymne i półdymne.

Cechą charakterystyczną chałupy łemkowskiej było wypuszczenie wrót boiska o 1 metr przed front chałupy i umieszczenie z boku tego wypustu, wąskiego przejścia dla pieszych oraz tzw. „zachaty" lub „przychaty", tj. zamkniętego ścianką z desek wąskiego pomieszczenia z boiskiem. Na podwaliny budynku używano niekiedy drewna dębowego „dębiny" jako trwalszego. Pod pierwszy wieniec zrębu podkładano tzw. pecki z pionowo ustawionych pniaków drewnianych lub dużych kamieni. Dookoła chałupy biegła ubita z gliny „przegródka". Ściany wiązane były na „węgieł". Budowano je z bali przepołowionych klinami lub piłą, układano gładką stroną do zewnątrz. Gdy drewno na budowę było niezbyt grube, obrabiano je do „kanta" tak, ze belka osiągała w przekroju formę zbliżoną do kwadratu. Okrąglaki spotyka się jedynie w częściach gospodarczych najstarszych budynków. Szpary między belkami utykane są mchem i pomazane gliną. Niskie drzwi zawieszano na biegunach z drewnianą zasuwą lub umieszczonym na zewnątrz budynku zamkiem kłodowym, zastąpionym z czasem żelaznymi zasuwami i zamkiem zapadkowym ze skromnie zdobionymi wykładkami. Powały wykonane z grubych „dyli" wylepionych warstwą gliny, znajdowały się tylko nad izbą, komorą i stajnią. Powała w izbie spoczywała na trzech belkach poprzecznych, zwanych tragarzami, pod którymi biegł jeszcze prostopadle do nich usytuowany siestrzan w postaci grubej ozdobnie obrobionej belki. Od dołu lub z boku od strony okien wycięta bywała na nim gwiazda cyrklowa, data budowy, napis treści religijnej a czasem też nazwisko fundatorów. W razie braku siestrzana napisy te wycinano na środkowym tragarzu powały od drzwi wiodących do sieni.

W chatach kurnych sień nie miała powały, gdyż utrudniała ona odpływ dymu, który w czasie gotowania uchodził przez otwarte drzwi do sieni.

Wewnątrz dawniej spotykało się kołyski wiszące na sznurkach u sufitu oraz drewniane stoły z płytą kamienną /z piaskowca/. Niekiedy jadano wprost na ławie siadając na niskich stołeczkach wykonanych z rosochatych odziomków drzewa. Uzupełnieniem takiego

umeblowania była półka potrójna na naczynia, zwana „podyszor” oraz żerdka uwieszona u powały na której znajdowała się odzież codzienna a czasem i skrzynia na bieliznę i ubrania świąteczne, znajdująca się często w komorze. Skrzynie bywały w dwóch odmianach. Jedna z drewna bukowego, konstrukcyjnie zbliżona do pospolitych sąsieków, czasem zdobiona po wierzchu rytem i zaopatrzona w wieko płaskie lub w kształcie dwuspadowego dachu i druga o ściankach wiązanych na węgiełki z płaskim wiekiem, zdobiona czasem na ścianie licowej naklejonymi palistrami i arkadami, zwykle malowana farbą pokostową na żółto lub mazerowana, rzadko zaś bardzo zdobiona barwnym kwiecistym ornamentem.

Pierwsze z tych skrzyń wykonane przez Łemków w Hucie koło Folusza, nazywano skrzyniami „ruskimi”. Drugie wykonywali i sprzedawali na targach stolarze z Jasła, Dębowca, Żmigrodu i Osieka. Skrzynie „ruskie” docierały w głąb Pogórza do nabywców polskich i przeciwnie stolarskie, szczególnie te wzorzyście malowane, chętnie nabywali Łemkowie.

Izby w drugiej połowie XIX w. oświetlano łuczywem, które pod koniec tego stulecia zastąpiły kaganki wypełnione tłuszczem a później lampy naftowe. Elektryczność zawitała pod koniec lat sześćdziesiątych naszego stulecia.

Jeszcze pod koniec XIX w. przeważały na wsi łemkowskiej chaty kurne, w których piec nie posiadał żadnych przewodów do odprowadzenia dymu. Piec kurny posiadał podstawę wykonaną z grubych bierwion jodłowych z szeroką na ok. 1,5 m. długą na 2,5 m. Na niej spoczywał dłuższy blok ubity z gliny w kształcie leżącego prostopadłościanu, w którym znajdowała się „czeluść” do pieczenia chleba. Górną część pieca budowano z pomocą specjalnego stelarza w postaci drewnianej prostokątnej ramy, w której wetknięte były równe co do wielkości „obłęki” /kabłąki/ z wikliny, przeplecione szczelnie słomianymi powrósłami „kalonymi w błocie”. Na łemkowszczyźnie w tym samym celu używano przepołowionego potężnego pnia jodłowego. Na takiej formie wspomniany blok z gliny, a po jej przeschnięciu tkwiącą wewnątrz drewnianą konstrukcję spalono.

Gotowanie odbywało się na wylepionej gliną polepie przed czeluścią pieca. Nad płonącym ogniskiem znajdował się trójkątny lub prostokątny „dymarek”, na którym stawiano garnki. Na Łemkowszczyźnie nad polepą na łańcuchu lub naturalnej drewnianej krzywuli wisiał kocioł do grzania wody. W czasie gotowania dym wypełniał górną część izby mniej więcej do połowy nigdy nie otwieranych okien, tak że domownicy chodzili zgięci w pałąk, aby uniknąć dławienia i szczypania w oczy. Do wentylacji służył otwór wycięty w powale. W Pielgrzymce nazywano go „woźnicą”. Umieszczony był z dala od pieca by iskry pod strzechę nie wylatywały. W niektórych dymnych chałupach drzwi do sieni były podwójne, jedne

normalnej wielkości zamykające cały otwór drzwiowy, drugie wypełniające tylko dolną jego połowę. Zimą w czasie gotowania „zapierali tylko małe dźwierka" aby dym uchodził swobodnie do sieni a zimne powietrze nie przedostało się dołem do wnętrza.

Elementem charakterystycznym dla izb kurnych były tzw. „palenie" tj. półki złożone z dwóch okrąglaków grubości 12-18 cm, biegnące około 50 cm poniżej powały wzdłuż ściany wejściowej i przeciwległej. Palenie służyło do suszenia drzewa na opał, wieszania przędziwa itp. U uboższych gospodarzy, gdzie nie było oddzielnego pomieszczenia dla inwentarza w jednym z kątów przy drzwiach wejściowych znajdowało się miejsce dla bydła, zagrodzone niekiedy poręczą przymocowaną do słupków wbitych w klepisko podłogi, wyłożone jodłowymi dylami i zaopatrzone w ściek umożliwiający odpływ gnojówki.

Umeblowanie kurnej chaty było na ogół skromne. W wolnym kącie w głębi znajdowała się prycz do spania z desek, ułożonych na wbitych w klepisko palach, u zamożnych łóżko stolarskiej roboty. Prócz pryczy lub łóżka jako legowisko do spania służyła rozległa powierzchnia pieca, ławy. Sypiano też na słomie wprost na glinianej podłodze. Słomę tę rano zamiatano w kąt do krów.

W zakopconych dymem kurnych chatach trudno myśleć było o zdobnictwie. Poczerniałe ściany malowano białą glinką. Na ścianie przybita była listwa „snyska" lub „snuska" na której wspierały się ramy kilku nachylonych ukośnie obrazów świętych.

Przedstawiany wyżej obraz kurnej chaty przetrwał do końca XIX w. a nawet wyjątkowo do II wojny światowej. Chłopi zamożni już w II połowie XIX w. mieszkali w domach z piecami zaopatrzonymi w okap odprowadzający dym na strych /okaz w Grabiu do początku lat osiemdziesiątych XX w./. Wśród sprzętów rozpowszechniły się na przełomie XIX i XX wieku stolarskie meble w postaci ozdobniejszych łóżek „szlabanów" czyli „kanap" tj. ław rozsuwanych do spania, ław z ozdobnymi oparciami. Zamiast zaś dawnych półek pojawiły się kredensy. Wzrastała też dbałość o estetykę wnętrz. Glinkę w malowaniu zastępuje wapno, ściany izb obwieszono całymi galeriami obrazów świętych w ramach zdobionych wycinkami z bibuły i sztucznymi kwiatami. Rozwinęło się malowanie ścian w kwieciste wzory wykonane odręcznie, bądź za pomocą szablonów. Rozwieszono kwieciste makaty malowane na papierze. Izba chłopska upodabnia się do drobnomieszczańskiego wnętrza.

Jak już wspomniałem wcześniej wsie łemkowskie ciągnęły się długimi łańcuchami domów wzdłuż rzeki lub potoku płynącego dnem doliny. Potok wijący się esowato przecinała tu i ówdzie droga jezdna, która najczęściej obywała się bez mostów, a tylko dla pieszych w

miejscach trudniejszych do przejścia po kamieniach przerzucone były prymitywne „wałky" czyli kładki.

Zależnie od długości doliny mogła w niej być ulokowana jedna wieś lub kilka, powiązanych za sobą nurtem potoku i kamienistą drogą pełną wybojów i błota.

Łańcuchowy układ zabudowy wsi jest dziś konsekwencją podziału ziemi między osadników z czasów lokacji. Stosowany był wtedy najczęściej na terenach górskich układ tzw. łanów leśnych, polegający na tym, że każdy z osadników otrzymywał pas ziemi biegnący w poprzek doliny od grzbietu do grzbietu. Była to specyfika wsi łemkowskich, gdyż np. na innych terenach biegły one po jednej stronie doliny.

Wsi o układzie łanów leśnych było na Łemkowszczyźnie bardzo dużo. Taki przykład układu stanowią między innymi wsie Grab oraz Krempna.

Osadnicy budowali swe zagrody najczęściej pośrodku pasa im przydzielonego, możliwie blisko rzeki lub potoku, skąd czerpali wodę dla siebie i zwierząt. Trzymali się jednak od niej w bezpiecznej odległości ze względu na obawę częstych i groźnych powodzi.

W nowo zakładanych wsiach odmierzany był łan przeznaczonych dla cerkwi, tzw. popiwszczyzna.

Rozmierzanie ziemi pasami biegnącymi w poprzek doliny podyktowane było chęcią zapewnienia osadnikom sprawiedliwego udziału w każdym gatunku ziemi. Wiadomo bowiem, że najżyźniejsze są aluwialne grunty na dnie doliny, a coraz gorsze w miarę jak posuwamy się ku grzbietowi.

Wsie zakładane na „surowym korzeniu" lokowane były w lasach, które dopiero osadnicy musieli dla celów uprawowych wykarczować. Proces karczunku przebiegał w poszczególnych dworzyszczach w różnym tempie, stąd dolna granica lasów okalających wieś była zwykle dość urozmaicona, pełna wybiegających „języków" i głębokich wrębów.

Pas ziemi użytkowany pierwotnie przez jednego osadnika, a później jego spadkobierców, nazywany był przez łemków najczęściej „rila". Role posiadały swoje własne nazwy, urobione od nazwisk rodów, które je uprawiały. I tak np. w Krempnej, do komasacji przeprowadzonej w latach 1928-32 istniał typowy układ łanów leśnych z podziałem na 13 ril /ról/. Każda z nich posiadała swoją nazwę od nazwisk dawnych właścicieli: 1-Sołtysowo, 2-Marciłka /Marec/, 3-Kozakiłka /Kozak/, 4-Kobylakiłka /Kobylak/, 5-Krupiłka /Krupa/, 6-Mikitiłka /Mikita/, 7-Sałkiłka /Sałka/, 8-Hoszczeciłka /Hoszczeta?/, 9-Dyćkiłka /Dyćko/, 10-Połechiłka /Pouch/, 11 - Popiwszczyzna grunt plebański, 12-Kohutiłka /Kohut/ i 13-Bałonkiłka /Bałon?/.

Przeprowadzane w okresie międzywojennym komasacje gruntów i zmiany własności związane z przesiedleniem Łemków spowodowały, że obecnie coraz trudniej jest dociec, jaki był pierwotny układ gruntów we wsi. Pozacierały się również nazwy ról, podobnie jak i inne nazwy terenowe.

Do czasów uwłaszczenia włościan, które w byłym zaborze austriackim miało miejsce w połowie XIX w., wykarczowana i uprawiana ziemia stanowiła dziedziczne użytkowanie chłopów. Natomiast lasy zalegające wyższe i grzbietowe partie gór znajdowały się we władaniu wielkiej własności, z tym jednak, że chłopi mieli prawo wypasania jak wspomniałem wcześniej swoich trzód, poboru drewna, ograniczone prawo polowania i możność czerpania różnych innych pożytków.

W wyniku podziałów rodzinnych role dzieliły się na „piłrilki", szczwiertki" /ćwiartki/, „tretiny", a nawet „wosminy". Były to już czasem tak wąskie paski gruntów, że dzielenie ich w dalszym ciągu na pasy „od grzbietu do grzbietu" byłoby czystym nonsensem. Znowu więc w imię sprawiedliwości dzielono długi pas poprzecznie na równe kawałki, tak, że np. z trzech synów każdy otrzymywał w kolejności co trzeci kawałek.

W miarę jak dzielono ziemię przybywało budynków, obok pierwszej zagrody stawiano dalsze. Rzadki pierwotnie łańcuch zabudowy zagęszczał się coraz bardziej, ale nie poszerzał wijąc się zgodnie z nurtem potoków czy rzeki.

Obok wsi o układzie łanów leśnych istnieją również wsie o niwowym regularnym układzie gruntów. Występuje tu wydzielona osobno „niwa" pod zabudowę wsi, zaś cała reszta areału - rozmierzona jest na niwy zgodnie z budową morfologiczną terenu. Każdą niwę dzielono na tyle pasów, ilu było osadników, którzy uzyskiwali udziały w każdej niwie przez losowanie.

Niwy posiadały nazwę najczęściej od szczegółów krajobrazowych. Np. w Polanach ziemie stale brane pod uprawę dzieliły się na 10 niw, czyli tzw. „hbitów" noszących nazwy: 1- Na Ostrysznym, 2- Na Sukołach, 3- Dił, 4- Berehy, 5- Dobańci, 6- Hnatiłki, 7- Kiczora, 8- Lasił Potok, 9- Tołkałci, 10- Na Czerteży. Dzieliły się one na pasy użytkowane przez poszczególnych gospodarzy. Suma pasów znajdujących się w różnych niwach należących pierwotnie do jednego gospodarza składała się na „rilę", noszącą nazwę urobioną od jego nazwiska. W Polanach, np. była Iwaciłka, Kucabiłka, Sawiniłka itd. W każdej niwie powtarzały się te same nazwy pasów.

Zakarpackiego pochodzenia są spichlerze, tzw. sypańce /sypanec/ ze sklepieniem kolebkowym w postaci połowy walca, wykonanego z bali jodłowych. Ściany sypańca nabijane

były od zewnątrz kołkami, na których trzymał się gruby pancerz z gliny wymieszanej sieczką. Chronił on budynek przed spaleniem w czasie pożaru zagrody. Dwuspadowy gontowy daszek położony był na spichlerzu bez jakichkolwiek powiązań konstrukcyjnych z całością. Chodziło o to, aby w wypadku ognia można go było łatwo strącić za pomocą osęka.

Okres wysiedlania Łemków przetrwały tylko te domy, które zostały zajęte przez osadników.

Łemkowie posiadali lasy własne lub gminne dostarczające im bardzo dobrego materiału budowlanego.

Zgodnie z tym co przekazywała historia o Wołochach i Rusinach, którzy zasiedlili Beskid Niski, źródłem utrzymania Łemków powinno być pasterstwo i rolnictwo, przy czym w zależności od lokalnej sytuacji jedna z tych dziedzin powinna przeważać. Rzeczywistość stworzyła obraz bardziej urozmaicony.

Pasterstwo przyniesione na teren Beskidów przez Wołochów, nie miało tu najlepszych warunków rozwoju. Nie było tu naturalnych hal. Większe lub mniejsze polany grzbietowe wykarczowane zostały ręką ludzką. Wyrąbali je, względnie wypalili pasterze zdobywający kosztem lasu tereny do wypasania trzody. Znaczyli oni też ślady swojego pobytu nazwami, które zachowały się w górach do dzisiaj, intrygując nas swym obcym brzmieniem jak: Ferdel, Kornuty, Kyczera, Magura, Rotunda i wiele innych. Są to nazwy bądź czysto rumuńskie, bądź południowosłowiańskie, przyniesione z Bałkanów przez pasterzy rumuńskich.

Stosunkowo szybko pomiędzy ruskimi rolnikami „wcinającymi się" w lasy od dołu, a pasterzami, którzy „czerchili" /trzebili/ od góry, wykształciły się normy wzajemnego współżycia i wymiana w zakresie sposobu gospodarowania. W konsekwencji w dolnych i środkowych partiach stokowych rozwijała się uprawa ziemi, a w rejonach grzbietowych, na polanach i w lasach wypas trzód, głównie owiec i kóz. Pośrodku, między polami stale uprawianymi a krawędzią lasów, utworzył się pas przejściowy, wykorzystywany /podobnie jak niektóre polany/ zarówno do celów wypasowych, jak i na prymitywne uprawy rolne. Użytkowanie takich jałowych połaci o nędznej i nieurodzajnej glebie zmieniało się w rytmie corocznym.

Jeśli np. w jednym roku pas ciągnący się między polami stale uprawianymi a lasem po zachodniej stronie doliny służył mieszkańcom wsi jako pastwisko, które wówczas nosiło nazwę tołoka, to w alnalogicznym pasie po przeciwnej wschodniej stronie doliny, nie wolno było paść, gdyż prowadzono tam gospodarkę rolną lub sianokośną i wtedy pas ten zwano „caryną" / z j. rumuńskiego - tarina = ziemia, pole/.

Jak już nieco wspomniałem wcześniej rolnictwo na Łemkowszczyźnie przedstawiało się dość marnie. Jeszcze na przełomie XIX i XX w. bywały tu w użyciu drewniane pługi koleśne, z drewnianą odkładnicą, długą na metr, które z trudem ciągnęły po kamienistej i glinianej roli dwie pary wołów. Pługi takie, już nie używane, można było w okresie międzywojennym znaleźć w gospodarskiej rupieciarni obok pełniących nadal swoją służbę drewnianych wideł, lub grabi.

Ze względu na trudności w dostawie nawozu na pola po kamienistych i stromych drogach, rozwożono go saniami w zimie i zwalano na sterty rozrzucane po polu dopiero na wiosnę. Do miejsc szczególnie niedostępnych trzeba go było nosić na plecach. Po wiosennych roztopach i deszczach nawóz był wyjałowiony i mało skuteczny. Jeszcze przed jego rozrzuceniem należało starannie wyzbierać z powierzchni ziemi mnóstwo kamieni, „bo ziemia na wiosnę rodzi kamienie". Do dziś znaczą one miedze potężnymi stertami zarosłymi tarniną lub ostrężynami. Na ich krawędziach rosną wspaniałe poziomki, wśród których w słoneczne dni wygrzewają się żmije.

Ziemię orano na wąskie zagony. W miejscach bardziej stronnych zagony biegły w poprzek kierunku stoku, skutkiem czego powstawały wysokie uskoki, niebezpieczne dla mniej sprawnych narciarzy zwiedzających zimą Łemkowszczyznę. Szerokie zagony, tzw. „składy", czy orka „na płasko", to dopiero zdobycze z okresu międzywojennego.

Dawniej Łemkowie stosowali gospodarkę trójpolową, z corocznym pozostawianiem części uprawnego pola na ugór. Gospodarkę płodozmianową według opinii starszych, wprowadzili sezonowi robotnicy łemkowscy, którzy udawali się na żniwa i sianokosy do dworów na Węgry. Płodozmian powtarzający się w cyklu cztero lub sześcioletnim nie był zbyt urozmaicony.

Do żniw „wychodyły diłki" /dziewki/ „żaty zerno serpamy". Była to wyłącznie praca kobieca. Kosę zaopatrzoną w grabki do sprzętu zbóż wprowadzili robotnicy rolni wracający z robót sezonowych z Węgier. Pierwszych kosiarzy koszących zboża chodziła oglądać cała wieś /Hladaty ciłeeło/, a pierwsze kosy użyte do sprzętu zboża kazano poświęcić w cerkwi, „żeby nie narobiły szkody". Zboże kopiło się w postaci tzw. „stiżek", wysmukłych kopek, w których snopki wbite były na krzyż na wysoką, grubą żerdź wetkniętą do ziemi.

Zwózka zboża stromymi, kamienistymi drogami bywała niekiedy prawie karkołomna. Dla bezpieczeństwa koła wozu wiązano nieruchomo łańcuchami, z tyłu zaś przywiązywano do wozu ścięty wierzchołek jodły. Czasem znoszono też snopy w płachcie na plecach.

Młócono oczywiście cepami, a ziarno mielono na żarnach ręcznych, których basowy pomruk towarzyszył wsi łemkowskiej każdego dnia, gdy zbliżał się świt.

Inaczej niż na polach stale uprawianych, przedstawiała się gospodarka na świeżych wyrębach i polanach, zarastających od strony lasu krzakami i samosiejkami jodły czy buka. Do ostatnich lat przed wysiedleniem, prowadzona była gospodarka żarowo-odłogowa. Łemkowie dzierżawili od wielkiej własności świeże wyręby leśne, spalali na nich resztki gałęzi, krzaki wraz z poszyciem i na tych „pasikach" siali ziarno, w ziemię skopaną ciężkimi motykami i wymieszaną z popiołem.

Podobnie wyglądała gospodarka na polach, gdzie po wypaleniu krzaków i wciskających się na pola lasów uprawiano owies i jarec, aż do zupełnego wyjałowienie ziemi. Następnie porzucano ją, by po paru latach zacząć od wypalania młodego lasu. Odzyskiwane ziemie przez spalenie krzaków i młodych drzew, stosowane jest i dzisiaj.

Rezultaty uzyskiwane na Łemkowszczyźnie z gospodarki rolnej były marne. Kiepsko uprawiana ziemia dawała nikłe plony. Np. przejeżdżając wozem po polu z owsem nie zostawiano śladu. Takiego owsa nie dało się zebrać ani sierpem ani kosą. Trzeba go było wyrwać rękami zbierając po parę źdźiebeł.

Na Łemkowszczyźnie lokalna produkcja rolna nie wystarczała na wyżywienie ludności. Na wiosnę nawiedzały wieś ciężkie przednówki, w czasie których trzeba było mocno przyciągać passa, a czasem głodować. Aby tego uniknąć Łemkowie, wykorzystując różnicę zachodzącą w terminach prac polowych, udawali się na sezonowe roboty rolne do dworów na nizinnych terenach, aby dopiero po powrocie do domu zabrać się do żniw czy sianokosów we własnym gospodarstwie.

Najchętniej wybierali się na Węgry, gdzie lepiej płacono niż w dworach po stronie „galicyjskiej". Jednym z punktów werbunkowych, gdzie wysłannicy dworów angażowali robotników rolnych był Bardejov po stronie węgierskiej. Przybywali tam Łemkowie całymi gromadami, złożonymi z mężczyzn i dziewcząt, gdyż mężatki musiały pozostać w domu przy gospodarstwie i dzieciach. Zwykle angażowano ich grupami /zw. czopak/, złożonymi z 7 kosiarzy i 7 dziewcząt „odbieraczek". Pracowali za 15 lub 16 „stożek", czyli kopkę, w której było 16 snopków. Po omłóceniu otrzymali swoją część w ziarnie, które koleją przywozili do Bradejova, Grybowa lub innej miejscowości, skąd zabierali je wozami do domu. Prócz wynagrodzenia w ziarnie otrzymywali zwrot kosztów przejazdu koleją /wraz z transportem ziarna/, oraz mieszkanie i wyżywienie, na które składało się dziennie: pół funta słoniny, funt chleba i pół litra wódki. Dwa razy w tygodniu robotnicy dostawali posiłki gotowane,

najczęściej w postaci rosołu z makaronem. Czasami opłacani byli za pracę umówioną z góry ilością ziarna, np. za 3 tygodnie przy żniwach - 2 kwintale żyta i 2 kwintale pszenicy /oraz koszty przejazdu i utrzymanie/. Prócz żniw chodzili Łemkowie do młocki, otrzymując jako wynagrodzenie dziesiątą „szczwiet /ćwierć - 251/ z wykonanego omłotu.

W okresie międzywojennym sytuacja w rolnictwie na Łemkowszczyźnie uległa pewnej poprawie. Spowodowały ją skromnie stosowane nawozy mineralne, lepsze narzędzia a szczególnie żelazne pługi i kosiarki do siana i zbóż. Rozpowszechniły się także młynki do czyszczenia zbóż. Plony były jednak niższe niż w innych stronach Polski. Podczas, gdy średnia krajowa wydajność wszystkich zbóż razem przed 1939r wynosiła 11,3 kwintale z 1 ha, to Łemkowie uzyskiwali zaledwie 8q z ha.

Zaprzęgi wołów można było spotkać w rejonie Krempnej jeszcze do końca II wojny światowej. Najubożsi uprawiali ziemię za pomocą krów. Jeżeli pastwiska znajdowały się z dala od wsi powyżej pól uprawnych, budowano letnie szałasy dla bydła i owiec, gdzie przebywały one od wiosny do jesieni pod opieką pasterzy. Wypas prowadzony był jednak indywidualnie a nie zbiorczo. Mleko znoszono do wsi celem przeróbki. Na górskich terenach długo utrzymywały się też ule w postaci wydrążonych pni drzewnych.

Chleb był najczęściej jęczmienny z zakwaszonego ciasta z dodatkiem tartych, sparzonych wodą gorącą ziemniaków. Wypiekano również cienkie placki owsiane.

W okresie nieurodzaju, który często nawiedzał górskie wioski ludność ratowała się w okresie pokoju od głodu zbożem zakupywanym na Węgrzech. Przywożono również stamtąd znaczne ilości kukurydzy, która stanowiła podstawę wyżywienia w latach nieurodzaju.

Przez tut. tereny wędrował między innymi ojciec polskiej geologii Stanisław Staszic. W roku 1800 odbył podróż z Tylawy przez Polany, Ciechanię i Grab do Zborowa po stronie Węgierskiej. Wg. Staszica bydła chowają Rusini więcej jak gospodarze równin. Tu każdy ma najmniej po sztuk 7 lub 8, a niektórzy mają po 10, 12 i 15 sztuk. Każden prawie ma owce do 30-40 sztuk.

A oto fragment opisu z notatek Staszica: „ W 1800 r. jadąc rzemiennym dyszlem zjawiłem się w Beskidzie Niskim wiedziony potrzebą zwiedzania kraju i jego ludu. Z Dukli nad rzeką Jasło /tak nazywał Staszic Jasiołkę/ jechałem ku Węgrom aż do jej wszczątku bezimiennego strumienia, do Jasła wchodzącego, przejechałem wzgórek i spuściłem się w drugi parów urobiony strumieniem, co bieży do rzeki Białej. Nad tym leży wieś Wiśnia /dziś Wilsznia/. Po brzegu strumienia a często samym strumieniem przejechałem do wielkiej na sto osady przeszło mającej wsi Polany-Parysa dziedziców. Z Polan parowem innego strumienia w

przeszły wpadającego jechałem do Cichani /Ciechani/, wsi osiadłej, która przy samym wszczątku strumienia leży pod górą z której on wybiega, która w tym miejscu granicę Polski do Węgier znaczy. W roku 1800 miesiącu lipcu, kiedy ja te góry objeżdżałem, zastałem w tym kraju wielki niedostatek, bo zboże i w równym kraju dla urodzaju przeszłego lata było ubogie i rzadkie. Jedli więc ludzie chleb z owsa, na pół z otrębami zmieszanego, komornicy najwięcej zielskiem utrzymywali się". Zwiedził wówczas Staszic Grab i przez Przełęcz Nad Ożenną /592m/ dotarł do Zborowa i Bardiowa a wracał do Polski przez Konieczną do Zdyni i Gorlic.

Pod koniec ubiegłego stulecia, jak wynikało z opowiadań starych Łemków, liczba owiec była mniejsza niż podał 100 lat wcześniej uczony geolog. Bogaci Łemkowie posiadali ich do 30, zaś średni i ubożsi tylko po kilka sztuk, aby można było rodzinę zaopatrzyć w wełniane samodziały do ubrania.

Zamożniejsi paśli swe owce osobno, koszarując polany i pastwiska na „tołokach". Niektórzy gazdowie brali cudze owce na wypas /zwykle po 20-30 szt./, a jesienią dawali ich właścicielom po 8 do 10 funtów sera od owcy. Ilość sera zależała od tego, czy lato było dżdżyste czy pogodne.

Owce nocowały na pastwisku w przesuwanym „koszarze", obok którego znajdowała się sklecona z desek budka - „kołyba" dla pasterza. Kołyba zaopatrzona była w rączki, ułatwiające przenoszenie jej w ślad za koszarem. Obecnie analogiczne kołyby można spotkać na polach w pobliżu lasu; służą one jako schronienie dla strażników pilnujących nocą pól przed dzikami.

Na pastwisku /o czym wcześniej wspomniałem/ nie prowadzono przeróbki mleka. Po każdym udoju noszono do wsi, tam za pomocą „klagu" /podpuszczka z cielęcego żołądka/ robiono z niego „bundz", a następnie bryndziu /bryndzę/.

Z powodu wspomnianej już motylicy Łemkowie starali się nie zimować owiec. Jesienią sprzedawali je na rzeź a na wiosnę kupowali nowe u Bojków lub Hucułów. Pędzili je ścieżkami górskimi do swych wiosek. Wspomnienie tych wędrówek zachowało się wśród najstarszego pokolenia do końca lat międzywojennych.

Przed II wojną światową niewiele było owiec na Łemkowszczyźnie. Skurczyło się bowiem wyraźnie zapotrzebowanie na samodziałowe płótno, używane przez Łemków na ubrania. W okresie międzywojennym owce pasiono razem z krowami. Jesienią skupywali je po wsiach gazdowie z Rychwałtu, którzy powoływali się na jakiś stary przywilej uprawniający

ich do bicia baranów i sprzedawania baraniny na targach w podgórskich miastach i miasteczkach.

Oprócz owiec chowano dawniej na Łemkowszczyźnie kozy. W zimie można było zobaczyć małe stadka owiec i kóz wypędzone po śniegu do lasu, gdzie pasły się obgryzając gałązki drzew i krzewów.

W terminologii pasterskiej zachowało się sporo słów używanych przez Łemków, które zostały przyniesione w Karpaty przez pasterzy Wołoskich. Należą do nich oprócz wcześniej wymienianych w tekście takie jak: cap /samiec kozy/, jarka /owca niezapłodniona/, kornuta /owca rogata/, plekaty /ssać mleko matki/, carok /zagródka dla zwierząt/.

Hodowla bydła rogatego w XIX wieku wyraźnie się zmieniła. W ubiegłym wieku i na początku obecnego hodowano głównie woły, będące podstawową siłą pociągową przy pracach rolnych i w transporcie. Były one przedmiotem korzystnego handlu. Młodymi wołami kupionymi na wiosnę obrabiał Łemko swoje pole, a jesienią i w zimie tuczył je i sprzedawał z zyskiem na ubój. Bogaci gazdowie trzymali po dwie pary wołów, młodsze do roboty, starsze na opas. Wypasano je małymi stadami na „tołokach" i po lasach. W okresie międzywojennym rola wołów zmalała, gdyż w trakcji zastąpiły je konie. Woły trzymano już głównie w celach opasowych. Pasły więc się z jałowym bydłem i owcami od wiosny do żniw, czasem nawet do późnej jesieni. Na środkowej i zachodniej Łemkowszczyźnie dla jałowizny i owiec budowano na odległych pastwiskach tzw. „stajniki". Były to niewielkie jednownętrzne budynki drewniane, kryte dranicami, gontem lub słomą. Nocowało w nich bydło lub owce pod opieką pasterza. Bywały też stajanki budowane z kamienia w rejonie, gdzie był jego dostatek /Pasmo Magury Wątkowskiej/. Śladem po nich są resztki ścian zachowane w bukowym lesie na Kornutach. Zdarzały się również schrony dla zwierząt o ścianach plecionych z patyków, kryte dachem z gałęzi. Krów mlecznych nie wysyłano na sezonowy wypas, lecz pędzono je dwa razy dziennie na pastwisko we wsi.

W każdym gospodarstwie hodowano świnie. Dostarczały one ludności tłuszczu i mięsa. Spożywano je z okazji większych świąt. Świniobicie odbywało się tradycyjnie przed „Rizdwem" /Boże Narodzenie/ lub na „Wełykdeń" /Wielkanoc/.

Na trawie wzdłuż rzeki lub potoku płynącego środkiem doliny pasły się stada gęsi, w pobliżu domu grzebały kury.

Z nabiału korzystano bardzo umiarkowanie, ponieważ był on przeznaczony na sprzedaż w mieście. Kobiety łemkowskie odbywały wielokilometrowe, piesze wędrówki, aby

sprzedać w mieście osełkę masła i parę jajek, a za zarobione pieniądze kupić sól, naftę i zapałki.

W czasie postów, rygorystycznie przestrzeganych przez Łemków używano do maszczenia potraw oleju, wytłaczanego głównie z siemienia lnianego, ale także z bukwi /orzeszki bukowe/ i orzeszków laskowych.

Skąpe wyniki jakie dawały podstawowe gałęzie gospodarki łemkowskiej, zmuszały ludność do szukania dodatkowych zarobków w zajęciach pozarolniczych.

Dla kobiet pewne możliwości stwarzała uprawa lnu, z którego zimą tkały płótna w paru gatunkach. Jeszcze w okresie międzywojennym w każdym domu był komplet narzędzi do obróbki włókna, a prawie w każdym krosna tkackie. Latem rozłożone na części spoczywały na strychu lub komorze. Wiosną na trawnikach i kamieńcach nadrzecznych bieliły się na słońcu długie płaty świeżo zrobionego płótna. Mężczyźni pomagali kobietom, głównie przy obróbce wełny. Gręplowali runo na „szczeci" /szczotki druciane/ i przędzili na przęślicach w postaci prostego kija zatkniętego za pasek od spodni. Był to osobliwy widok, gdy w piękne zimowe dni chodzili po wsi mężczyźni z wrzecionem w jednej i przęślicą w drugiej ręce, skracając sobie nudną robotę towarzyską pogwarką. Przędziwo wełniane oddawano do tkania specjalistom-tkaczom, tzw. „knopom" a następnie do „stup" /czyli folusza/, gdzie pod wpływem gorącej wody i ubijania ciężkimi stęporami, poruszanymi siłą wody, sukno spilśniało się i nabierało odpowiedniej gęstości i grubości.

W okresie międzywojennym było na Łemkowszczyźnie kilkanaście foluszy, z których do dziś nie zachował się jednak żaden. Płótna a czasem i sukno samodziałowe sprzedawali Łemkowie na podgórskich targach w miastach.

Ważnym źródłem dochodów był dla Łemków las. Kobiety zbierały w nim grzyby i jagody, które następnie sprzedawały w mieście. Mężczyźni trudnili się ścinką i obróbką drewna. Od niepamiętnych czasów dostarczali do miast belki na budowę, rżnięte na piłach wodnych deski i duże ilości gontów, stanowiących w przeszłości materiał do krycia dachów.

W lasach iglastych Łemkowie pędzili smołę do smarowania wozów zaś z brzeziny i jodłowych smolaków wytapiali dziegieć, bardzo poszukiwany jako lekarstwo w ludowej medycynie i weterynarii. Wyroby te były rozprowadzane systemem domokrążnym w szerokim promieniu po obu stronach Beskidu.

W niektórych wsiach wyplatano koszyki z korzeni jałowca /Świątkowa Mała/, opałki na obrok dla koni z leszczynowych patyków /Pielgrzymka, Zawadka/ lub wiklinowe półkoszki do wozów /Wróblik Wołoski/.

Poprawę swej życiowej sytuacji wiązali z emigracją. Wychodźtwo, głównie do Stanów Zjednoczonych i Kanady, zaczęło się po roku 1880 i do dziś nie straciło na znaczeniu.

III. Religia i sztuka sakralna.

W celu przybliżenia tematu za stosowne uznałem krótko scharakteryzować prawosławie i grekokatolicyzm.

Kościół wschodni /prawosławie/ odłączył się od zachodniego wskutek schizmy w 1054 r. O doktrynalnych różnicach między Kościołami decydują nie tyle spory dogmatyczne ile różnice w akcentowaniu ważności zagadnień.

Wschód uznaje tylko te dogmaty /7 z 10/, które sformułowane zostały przez sobory powszechne przed schizmą.

Zasadnicze spory między Kościołami dotyczą koncepcji władzy kościelnej. Kościół wschodni uważa, że władza hierarchiczna w Kościele należy do pięciu patriarchów: w Rzymie, Konstantynopolu, Aleksandrii, Antochii i Jerozolimie. Te pięć katedr sprawuje władzę nad światem chrześcijańskim na zasadzie podziału terytorialnego, lecz bez wzajemnych podległości. Uznaje prymat Rzymu, ale jedynie honorowy, nie jurysdykcyjny. Kościół katolicki natomiast uczy, że papież rzymski ma realną władzę nad całym kościołem. Władza papieska została podniesiona do rangi dogmatu. Dogmat ten /z 1870r/ jest największym problemem w pojednaniu Kościołów.

Kościoły różnią się także w nauce o pochodzeniu Ducha Świętego. Jest to jedną z głównych różnic teologicznych i przyczyn rozłamu. Zachód uczy, że Duch Święty pochodzi od Ojca i Syna, a więc obie Osoby Boskie: Ojciec i Syn stanowią jedną zasadę pochodzenia Ducha. Wschód naucza, że Duch Święty pochodzi od Ojca przez Syna, a więc zasadą pochodzenia Ducha jest sam Ojciec.

Prawosławie nie przyjęło zachodniej nauki o czyśćcu. Konsekwencją tego jest brak na wschodzie instytucji odpustów. Prawosławny żegna się inaczej od rzymokatolika - trzema złączonymi palcami prawej ręki, trzykrotnie i w innej kolejności /najpierw czoło, potem pierś, a następnie prawe i lewe ramię/. Oddaje przy tym cześć Trójcy Świętej. Dawniej w cerkwiach kapłan nie klękał. W cerkwiach prawosławnych nie było też ławek - wierni stali podczas nabożeństwa. Kościół wschodni ma także własny kalendarz.

Posty w kościele wschodnim są bardzo liczne i ścisłe: Wielki Post trwa sześć tygodni. Adwent też sześć tygodni. Są jeszcze posty przed świętami ś. Piotra i Pawła i Zaśnięcia Bogurodzicy. W czasie postów nie je się mięsa ani nabiału, w klasztorach także ryb i oleju.

Na tydzień przed Wielkim Postem już nie je się mięsa, ale dozwolony jest nabiał. W ciągu całego roku pości się nie tylko w piątki / na pamiątkę Męki Pańskiej /, ale i w środy /wspomnienie wydania Jezusa przez Judasza /.

Księży prawosławnych nie obowiązuje celibat o ile zawrą małżeństwo przed święceniami. W stanie bezżennym żyją biskupi oraz mnisi. Księży prawosławnych nazywa się popami, /co jednak bywa uważane za pogardliwe-odpowiednik klechy w kościele rzym kat. /.

Na Łemkowszczyźnie o duchownym mówi się ksiądz albo swiaszczennyk. Biskupów tytułuje się władykami. W cerkwi możliwe jest uzyskanie rozwodu i zawarcie ponownego małżeństwa. Wierny może zawierać małżeństwo maksymalnie trzy razy w życiu.

Grekokatolicyzm

Grekokatolicyzm powstał na terenie Rzeczypospolitej na skutek przyłączenia się niektórych epachii / biskupstw / prawosławnych do unii z Kościołem rzymskokatolickim. Miało to miejsce na synodzie w Brześciu Litewskim w 1595 r. /unia brzeska /. Synod miał miejsce w X 1596 r. i od tej chwili oficjalnie istnieje kościół greckokatolicki.

Na mocy unii Kościół wschodni w Rzeczypospolitej uznał dogmaty katolickie i prymat papieża, zachował odrębną liturgię, hierarchię, kalendarz i prawo kanoniczne /w tym możliwość pozostawania w małżeństwie przez księży/. Zygmunt III Waza obiecał przyznanie unickim biskupom krzeseł w Senacie i zrównanie w prawach duchowieństwa obu obrządków.

Kościół unicki był niechętnie widziany zarówno przez episkopat łaciński jak i przez hierarchię prawosławną.

W Zamościu, w 1720r. odbył się synod greckokatolicki , który rozpoczął wyraźną latynizację obrządku. Wprowadzono m. in sakrament Namaszczania Chorych, wygłaszanie nauk po mszy niedzielnej, oraz nakazano wspomnienie Papieża w modlitwach. Również wygląd cerkwi podlegał przemianom: odtąd ikonostas nie był konieczny, wolno było stawiać boczne ołtarze . Strój duchowieństwa miał być taki jak duchownych w kościele rzymskim. W cerkwiach pojawiło się tabernakulum, ławki, czasem nawet organy, zmniejszono ilość postów, wprowadzono odpusty, msze czytane, procesje i śpiew TeDeum. Wierni zaczęli modlić się na kolanach.

W czasie rozbiorów sytuacja Kościoła greckokatolickiego była różna. W zaborze rosyjskim rozpoczęto natychmiastową likwidację unii, natomiast w zaborze austriackim grekokatolicyzm był uznawany a nawet popierany jako sposób na osłabienie Kościoła łacińskiego i polskości.

W II Rzeczypospolitej cerkiew unicka stała się ostoją nacjonalistycznego ruchu ukraińskiego , co stało się jedną z przyczyn przechodzenia / nieraz masowego, całych wsi / Łemków, którzy niechętnie patrzyli na propagandę ukraińską, na prawosławie.

Aby powstrzymać ten ruch utworzono w 1934r. osobną Apostolską Administrację Łemkowszczyzny, której działalność znacznie zahamowała odpływ wiernych do prawosławia.

Po wojnie Kościół unicki, bądź to zmuszony został do przejścia na prawosławie na terenach wcielonych do ZSRR, bądź został poprostu zdelegalizowany w PRL .

Na synodzie w Brześciu nad Bugiem prawie wszyscy biskupi prawosławni Rzeczypospolitej opowiedzieli się za unią z Kościołem rzymskokatolickim , ale wkrótce w niektórych regionach znowu odżyło prawosławie, w tym na terenie diecezji przemyskiej. Dopiero prawosławny biskup przemyski Innocenty Winnicki przyjął unię w 1692r., a w ciągu I połowy XVIII w. za związkiem z kościołem katolickim wypowiedziało się duchowieństwo parafialne i ruska ludność Łemkowszczyzny. Unicka diecezja przemyska łączyła w sobie średniowieczne biskupstwa prawosławne w Przemyślu i Samborze. Obejmowała ona tereny od Pienin na zachodzie poprzez powiat sądecki i biecki aż po skrawki ziemi lwowskiej woj. ruskiego i okręg lubaczowski woj. bełskiego.

W 1872r. ta unicka diecezja liczyła 24.9 tyś. km z 1258 parafiami i do 300 tyś. wiernych. Pod koniec XIX w. unicka diecezja przemyska liczyła 685 parafii, 23 samodzielne wikariaty, ponad 800 kapłanów zajętych pracą duszpasterską wśród 997600 wiernych .Było też 6 męskich klasztorów i 1 żeński. W 1934r. wyłączono z tej diecezji 9 dekanatów na ogólną liczbę 54 tworząc wspomnianą już Administracje Apostolską dla Łemków. Ostatnim unickim biskupem przemyskim był Jozofat Kocyłowski / 1917-47 / ,propagator celibatu.

Jak doszło do utworzenia wspomnianej administracji? W obliczu postępów prawosławia na Łemkowszczyźnie / w latach trzydziestych naszego stulecia /, a żyło tu około 17 tys. prawosławnych, które stało się jedyną i pewną ostoją" ruskości", więc ratunkiem przed ukrainizacją , szerzoną przez duchowieństwo unickie, część Łemków zarządała utworzenia odrębnego biskupstwa łemkowskiego.

Papież Pius XI znający osobiście problemy ówczesnej Polski, dekretem św. Kongregacji dla Kościoła Wschodniego powołał 10.II.1934r. Administrację Apostolską Łemkowszczyzny .Jednostka ta podlegała stolicy Apostolskiej, czyli była niezależna od unickiej metropolii Lwowskiej, kierowanej wtedy przez duchownego przywódcę ukraińskiego nacjonalizmu Romana /Andrzeja/ kardynała Szeptyckiego.

Administracja Apostolska została wyodrębniona z unickiej diecezji przemyskiej.

Od 1.V.1938r. siedziba Administracji mieściła się w Rymanowie a potem w Sanoku. Liczyła 123 parafie /dekanaty: bukowski 11 , dukielski 17, dynowski 12, gorlicki 18, grybowski 10, krośnieński 7, muszyński 18, rymanowski 16, sanocki 14 i dysponowała125 księżmi. Na 123 cerkwie parafialne, 74 filialne i 11 kaplic aż 122 budowle były z drewna.

Do marca 1938r. administratorem apostolskim był ksiądz Bazyli Maściuch , a następnie ksiądz Jakub Medwecki . Administracja przetrwała do 1940r.

Obydwie wojny światowe, zwłaszcza ostatnia przyniosły znaczne zmiany w strukturze narodowej i wyznaniowej południowo-wschodniej Polski w tym i w opisywanym regionie. Według danych austriackich za rok 1910 na terenie Beskidu Niskiego Rusini stanowili 95%.

W miastach Podkarpacia 20-30% mieszkańców stanowili Żydzi. Największe skupiska Żydów to między innymi Dukla /1510 osób/ czyli 75% mieszkańców i Nowy Żmigród /940 osób/ czyli 50% mieszkańców.

Dzieła sztuki sakralnej dochowały się do naszych czasów. Malowidła chorągwi i sztandarów cerkiewnych, polichromie kapliczek, wielkopostne „groby Chrystusa", antepedia i katafalki a także liczne obrazy i ikony, rzeźby, krzyże procesyjne i pogrzebowe, krucyfiksy ołtarzowe, słynne z bogactw form i kolorystyki lichtarze drewniane. Pięknym zespołem dzieł są krzyże wieńczące cerkwie, bramki i kapliczki oraz okucia budowlane wykonane przez wiejskich kowali. Przewyższają one niejednokrotnie precyzją i artyzmem dzieła mistrzów cechowych.

W niniejszm opracowaniu szczególnie dużo miejsca poświęcam cerkwiom i to pod każdym względem. Traktuję je jako perełki architektury, ale nie tylko.

Cerkiew jest to miejsce, gdzie wierni schodzą się na Liturgię. W związku z tym jej budowa i wyposażenie jest specjalne i zawiera określony przekaz symboliczny.

Budynek cerkwi z reguły stoi na wzniesieniu w otoczeniu starych drzew. Cały budynek ma budowę trójdzielną: babiniec, nawa, prezbiterium. Babiniec jest częścią cerkwi, gdzie w czasie nabożeństwa gromadziły się kobiety, które nie miały wstępu do nawy. Czasem pozwalano im przypatrywać się mszy przez wąską szparę w ścianie między babińcem a nawą. Unici po pewnym czasie zezwolili kobietom na wstęp do nawy. Nawa jest największą częścią cerkwi. Przykryta była kopułą, a jej cebulasty hełm symbolizuje języki ognia płomiennej modlitwy. W cerkwiach drewnianych ze względów konstrukcyjnych nie można było przykryć nawy kopułą, lecz stosowano zwężającą się konstrukcję zrębową, będącą naśladownictwem kopuły. W cerkwiach prawosławnych nie było ambon. Prezbiterium od nawy oddzielone jest ścianką ikonostasu, zbudowanego ze świętych obrazów - ikon. Do prezbiterium nie miał

prawa wstępu nikt oprócz kapłana i wyjątkowo upoważnieni przez niego mężczyźni. Nigdy kobiety. W prezbiterium znajduje się ołtarz, zazwyczaj mało widoczny dla wiernych. Ściany cerkwi były surowe, od wewnątrz zazwyczaj oszalowane deskami bez żadnych malowideł i obrazów, gdyż uważano, że przeszkadzałyby we właściwym skupieniu się podczas modlitwy /sporadycznie występowały freski na północnej ścianie/. Na zewnątrz ściany też szalowane były deskami lub obijane gontem z bardzo finezyjnymi nieraz daszkami nad przyziemiem chroniącymi podwaliny przed wilgocią.

Cerkiew jest zorientowana, tzn. ustawiona prezbiterium na wschód, gdyż stamtąd ma przyjść Chrystus.

W ciągu jednego dnia, przez jednego kapłana przy tym samym ołtarzu mogło być odprawiane tylko jedno nabożeństwo. Stąd w wioskach, które były centrami kultu i do których odbywały się częste pielgrzymki, budowano cerkwie, które nad babińcem posiadały dodatkowe pomieszczenie, w którym drugi kapłan mógł odprawiać drugie nabożeństwo. Cerkwie takie często otoczone bywały tzw. sobotami - ogrodzonymi podniesieniami, w których mogli znaleźć schronienie wierni, którzy przyszli z daleka i dużo wcześniej.

Ikonostas składa się z kilku rzędów ikon. Czym jest ikona dla wyznawców kościoła wschodniego? Dla wiernych jest ona nie tylko obrazowym wizerunkiem personifikowanego Boga czy postaci świętych, pośrednio stając się z tej racji przedmiotem kultu, ale wartością samą w sobie. Stanowi bowiem świętość bezpośrednią. Jej powagę religijną rodzi nie ten czy inny warsztat malarski, bądź niższy poziom artystyczny, lecz nadprzyrodzona geneza. Ikona w kościele wschodnim jest więc nie tylko wizerunkiem, ale bezpośrednio przedmiotem kultu. Wizerunek boski był więc dla wiernych „nierukotworiennyj". Obrazy prawzorce „malowały się same" /np. podobizna Chrystusa na szacie przekazanej Abgarowi, królowi Edessy/. Archeotyp Hodogetrii pochodzić miał od Świętego Łukasza, pozostałe zaś zjawiały się cudownym sposobem.

Według nauk kościoła wschodniego ikoną jest też sam człowiek: nosi w sobie obraz Boga, choć przyćmiony grzechem. Obraz pozwala na wejście w nadprzyrodzoną łączność z praobrazem, lecz pozostaje rzeczą , przekazującą świętość.

Ikona spełniać musi szczególne wymagania , co prowadzi do powtarzania najstarszych wzorów i schematów kompozycyjnych wg. tzw. podlinników. W ikonie nie ma perspektywy ani cieniowania : decydujące są postacie ludzi - wszystko inne jest tłem.

Twórcą ikony powinna być osoba godna - dawniej zakonnik, który nie malował według własnej woli i wyobrażeń, ale wg. podlinników.

Ikony malowano na deskach lipowych, lekko drążonych, do daje wrażenie jakby ramy okiennej. Części wypukłe, zwane kjejmami , przeznaczane były zazwyczaj na przedstawienie żywota danego świętego. Na dno wydrążenia przyklejano płótno, które gruntowano gipsem, rysowano szkic , grawerowano kontury igłą, a następnie złocono tło. Wizerunki malowano zwykłymi farbami temperowymi, lecz używając techniki nakładania farby małymi płatkami. Następnie obraz werniksowano.

Rola ikonostasu polega na zasłanianiu materialnej zawartości prezbiterium, gdyż przeszkadzałaby ona we właściwym kontakcie ze światem niematerialnym. Ikonostas ma ułatwić ten kontakt, gdyż święte obrazy są oknami, przez które wierni oglądają świat nadprzyrodzony.

Budowa ikonostasu jest także ściśle określana i zawsze taka sama. Znajduje się w nim troje drzwi: pośrodku carskie wrota dla kapłana i cara / w rozumieniu car-Bóg, a nie car-król/, po bokach wrota diakońskie.

Ikony w ikonostasie uporządkowane są w rzędy /od dołu/: rząd scen starotestamentowych, ikon namiestnych, prazdników, Deesis, Proroków. U szczytu ikonostasu znajduje się grupa Pasji /ukrzyżowany Chrystus i Matka Boska ze św. Janem Apostołem po bokach/ .

W rzędzie ikon namiestnych znajdują się cztery ikony /od lewej/: święty, czczony na danym terenie- u nas najczęściej św. Mikołaj, biskup Miry , następnie Matka Boska z Dzieciątkiem\ w typie Hodigidria lub Eleusa -Umilenie/, Chrystus Nauczający, ikona chramowa patrona cerkwi.

W rzędzie prazdników znajduje się dwanaście małych ikon upamiętniających najważniejsze święta ,oraz ikona Ostatniej Wieczerzy nad cesarskimi wrotami /a więc w centrum/. Czasem w trakcie trwania danego święta, ikona je symbolizująca bywa wysuwana przed płaszczyznę ikonostasu.

W rzędzie Deesis pośrodku znajduje się ikona Chrystusa Pantokratora w kompozycji Trimorphon /z Matką Boską i św. Janem Chrzcicielem po bokach/, a po obu stronach ikony Apostołów, zwróconych w kierunku Chrystusa.

W niektórych cerkwiach ikonostas może być niekompletny. Zazwyczaj brakuje scen starotestamentowych.

Najczęściej spotykane tematy ikonograficzne w cerkwiach karpackich dzielimy na:

-ikony portretowe

-ikony narracyjne

Wśród ikon portretowych najczęściej występują:

Chrystus Pantokrator / Wszechwładca / - przedstawiany jest frontalnie, z brodą i długimi włosami. Jego głowę otacza złoty nimb krzyżowy. Twarz szczególnie majestatyczna obrazuje wcielenie Boga. Prawą ręką Chrystus błogosławił, a w lewej trzyma otwarta księgę z tekstem z Ewangelii św. Jana : „Jam jest światłością świata. Kto idzie za mną, nie będzie chodził w ciemności, lecz będzie miał światło życia."

Deesis- to ikona przedstawiająca Chrystusa Tronującego w majestacie, a po jego bokach znajduje się Matka Boska i święty Jan Chrzciciel zwróceni ku Niemu w postawie błagalnej z pochylnymi głowami i wyciągniętymi rękami wyrażającymi idę orędownictwa i wiarę w ocalenie grzeszników przez wstawiennictwo świętych. Świety Jan Chrzciciel przedstawiony jest zawsze we włosienicy pustelnika. Symbolizuje łącznika między Starym a Nowy Testamentem, natomiast Bogurodzica reprezentowała Kościół Nowego Testamentu i występowała jako namiestnik ludzkości oraz pośrednik między zbawicielem a światem.

W ikonach karpackich Deesis często odbiega od wersji kanonicznej.

Chrystus Wielki / Archirej czyli Kapłan - Król/, to nowszy typ ikony, który w XVIII w., wyparł nieomal całkowicie przedstawienie Pankratora z kompozycji Deesis. Chrystus siedzi na tronie, ale ubrany jest w strój arcybiskupi i ma koronę na głowie. Takie przedstawienie symbolizowało nieograniczoną władzę Kościoła na ziemi.

Mandylion- Acheiropoietos /... „Nie ludzką ręką malowany" ..-z ruska ‘'Nierukotworiennyj''/, to ikona przedstawiająca tylko samą twarz Chrystusa, o szeroko otwartych oczach, z mocno zaakcentowanymi łukami brwiowymi, zawsze na tle chusty. Szeroką chustę z obu końców podtrzymują archaniołowie Michał i Gabriel. Z powstaniem Mandylionu wiąże się legenda, że król Edessy Abgar V poprosił Chrystusa ,aby uzdrowił go w ciężkiej chorobie, ale Jezus nie mogąc przybyć osobiście dał wysłannikowi króla wizerunek odbity w cudowny sposób na płóciennej chuście ,który uzdrowił Abgara.

Trójca Święta, to ikona mało popularna w Karpatach, częściej natomiast spotykana w okolicach Przemyśla. Występuje w dwóch wersjach jako: Trójca Starotestamentowa, zwana inaczej Gościnnością Abrahama /Filoksenia/ , która obrazuje wizytę złożoną z trzech wędrowców -aniołów w domu Abrahama i Sary; Trójca Nowotestamentowa, występująca też pod nazwą Ojcostwa / gr."Paternitas", ruskie „Otieczestw/ przedstawia Boga Ojca jako Starca /Zabaoth/ z Chrystusem Emanuelem na kolanach oraz wznoszącego się ponad Nim Ducha Świętego w postaci gołębicy.

Matka Boża z Dzieciątkiem- Hodigitria, to wg. legendy ikona namalowana przez św.Łukasza, a umieszczona we wczesnym średniowieczu w kościele Ton Hodigon w Konstantynopolu , stąd nazwa Bogurodzica, przedstawiona w półpostaci, trzyma na lewej ręce dzieciątko, prawą wskazuje Króla świata. Przykładem jest cudowna ikona Matki Boskiej Częstochowskiej.

Matka Boża z Dzieciątkiem-Eleusa / ruskie „Umilenie"/, w odróżnieniu od poprzedniego typu zanika dostojna surowość Bogurodzicy, a pojawia się ludzka czułość matki do dziecka, które przytula do siebie obydwiema rękami, opierając twarz o jego policzek. Przykładem może być znana średniowieczna ikona Matki Boskiej Włodzimierskiej.

Matka Boża z Dzieciątkiem- Glykofilusa /Miłująca to wariant Elensy, gdy czułość Bogurodzicy przybiera charakter pieszczoty, pod wpływem sztuki Zachodu, temat ten jest rozpowszechniony. Archanioł Michał przedstawiony był dwojako: albo w scenie Deesis jako archistrateg wojsk niebieskich, z laską symbolizującą władzę w ręku, odziany wg. tradycji bizantyjskiej w purpurowy płaszcz /chlamidę/ i lores oraz sandały, albo samodzielnie, jako wojownik w zbroi, z włócznią i mieczem okryty chlamidą. Zawsze stoi frontalnie na tkaninie, jako archanioł, nie może dotykać stopami ziemi.

Święty Mikołaj, biskup małoazjatyckiej Miry , żyjący na przełomie III/IV wieku, jest najczęściej spotykanym świętym na ikonach karpackich. Już za życia zasłynął dobrymi uczynkami i cudami, a Kościół Wschodni uznał go za opiekuna ludzi. Chronił między innymi od pożarów i wilków, był opiekunem podróżnych. Zawsze przedstawiano go frontalnie w całej postaci, w stroju liturgicznym /felonion/, zwykle z ascetycznym obliczem o cienkim, długim nosie, małych wąskich ustach i bardzo wysokim czole. Prawą ręką błogosławił, a w lewej trzymał otwartą księgę z tekstem Ewangelii. Karpackie ikony świętego Mikołaja otaczają sceny z jego życia, umieszczone na tzw. klejmach.

Święta Paraskewa - grecka męczennica, zginęła w III w. w Ikonionie, była niezwykle popularna w karpatach. Wierzono, że opiekuje się młodymi dziewczętami i przynosi szczęście ognisku domowemu. Na ikonach przedstawiana jest zawsze frontalnie, w całej postaci, odziana w zieloną suknię i czerwony płaszcz - moforion, symbolizujący dziewictwo. Najczęściej przedstawiona jest w geście wyznania wiary, z krzyżem greckim w prawej ręce, a lewą rękę wznosi ku piersi ze skierowanymi ku górze palcami.

Święty Jerzy - zapewne trybun wojskowy pochodzący z Kapadocji, zginął za wiarę na początku IV w. w Lyddzie /Palestyna/. W cerkwiach karpackich przedstawiony jest najczęściej jako rycerz na białym koniu przebijający lancą smoka. Opisana scena symbolizowała walkę ze złem i zwycięstwo nad duchem ciemności.

Święty Jan Chrzciciel - oprócz stałego miejsca w Deesis posiada swoją odrębną ikonografię, gdzie przedstawiony jest zwykle jako „anioł pustyni", ze skrzydłami w stroju pustelnika. Obraz otaczają ponadto sceny z życia świętego.

Do ważniejszych i najpopularniejszych ikon narracyjnych należą: Zaśnięcie Matki Bożej /Koimesis/ - ikona, w centrum której na horyzontalnie ułożonym łożu, leży Matka Boska wspierając głowę na poduszce, ułożonej zazwyczaj po lewej stronie. Wokół zmarłej skupiają się dwie grupy apostołów. Za nimi stoją dwaj lub czterej biskupi w szatach liturgicznych. Pośrodku obrazu za łożem stoi Chrystus trzymający w lewej ręce duszę Bogarodzicy, przedstawionej jako niemowlę w powijakach. Fragmenty architektury w górnych narożach obrazu przypominają, że scena rozgrywa się w domu Maryi na górze Synaj w Jerozolimie.

Ukrzyżowanie - występuje w dwóch typach:

-prostym, z Chrystusem na krzyżu na tle murów Jerozolimy, w otoczeniu Matki Boskiej i Jana Ewangelisty -

-złożonym, z najbardziej rozbudowaną kompozycją, gdy obok Bogarodzicy stoją pobożne kobiety /miromosy/, Magdalena z Martą, zaś obok Jana także sprawiedliwy setnik Longin, niekiedy przedstawiani są żołnierze z lancą i gąbką, grający w kości o płaszcz Chrystusa lub naigrywający się z Ukrzyżowanego.

W sztuce bizantyjskiej ustalił się krzyż o trzech belkach poprzecznych, w ruskiej zaś dolna jest pochylona w prawą stronę. Na najdłuższych rozpięte są ramiona Chrystusa, dolna podtrzymuje stopy /suppendaneum/, na górnej umieszczono napisy. Ikonografia bizantyjska, wstrzemięźliwa w przedstawianiu uczuć pozwala Matce Boskiej na pewne ich ukazanie, ale twarz i postać Chrystusa manifestuje Jego zwycięstwo nad śmiercią i symbolizuje boskość.

Welon Matki Boskiej - Pokrow, to ikona przedstawiająca Bogarodzicę stojącą na tle wewnętrznej ściany ołtarzowej, trzymającą welon w uniesionych rękach, który rozpościera się nad ludźmi, i modlącą się za nich. Często na obrazach tych umieszcza się fundatorów pośród tłumu świętych /patrz w cerkwi krempskiej/.

Sąd Ostateczny, zbudowany z wielu scen rozmieszczonych w układzie strefowym, należy do szczególnie ulubionych tematów ikon karpackich. Bywa, że wśród przedstawionych narodów potępionych występują Polacy /Lachowie (nazwa wywodząca się od słowiańskiego plemienia Lędzian)/ w towarzystwie innych „niewiernych", jak Żydzi, Turcy, Tatarzy, Niemcy.

Tworzenie ikon związane było początkowo ze środowiskiem klasztornym i w pewnym sensie było aktem religijnym. Dzięki ikonom i kontaktom z nimi mógł chrześcijanin wznieść

się ze świata materialnego ku wyższemu bytowi duchowemu. Ikony to najważniejszy łącznik pomiędzy światem doczesnym a światem nadprzyrodzonym.

Ikony stanowią najważniejszy element wystroju wnętrza cerkiewnego nie tylko pod względem pokazywanej treści, ale także jako przedmioty materialne. Główny zestaw ikon związany był ze wschodnią partią świątyń, z przegrodą oddzielającą ołtarz od wiernych, która to przegroda z czasem przekształciła się w ikonostas.

Wystrój i ukształtowanie cerkiewnego wnętrza uległy o wiele mniejszym przemianom niż zewnętrzna bryła budynku. Było tak dlatego, że program wnętrza ilustrować miał niezmienność i trwałość idei boskich i uzasadniany był w pismach teologicznych Kościoła wschodniego.

Kościół grekokatolicki powstał na soborze we Florencji w 1439r w wyniku połączenia kościoła greckiego z kościołem rzymskim na niektórych terenach. Zwany też jest kościołem unickim. Kościół ten posługuje się kalendarzem juliańskim w odróżnieniu od kościoła rzymskokatolickiego posługującego się kalendarzem gregoriańskim.

W związku z olbrzymim zasięgiem geograficznym obu kościołów tj. prawosławnego i unickiego, ukształtowały się różne typy architektury cerkiewnej.

W obrębie Karpat do najbardziej znanych typów cerkwi należą: siedmiogrodzkie, huculskie, bojkowskie i łemkowskie.

Cerkiew siedmiogrodzka /Rumunia, Ruś Zakarpacka/, drewniana, ma bryłę zbliżoną do kościoła łacińskiego, nakryta jest dwuspadowym, wysokim, spadzistym dachem gontowym. Nad częścią frontową zwaną babińcem wyrasta z dachu czworoboczna wieża na konstrukcji słupowej. Od góry jest ona zamknięta izbicą, nad którą sterczy niezwykle wysoki dach w kształcie ostrosłupa. Podstawa tego ostrosłupa otoczona jest nieraz czterema wieżami. Cerkiew huculska zbudowana jest na planie krzyża. Część środkowa w kształcie kwadratu jest większa od przybudówek, tworzących ramiona krzyża. Nad nią góruje kopuła, natomiast przybudówki nakryte są dachami dwuspadowymi /typ starszy/ lub mniejszymi kopułami, niższymi od kopuły centralnej. Pięciokopułowe cerkwie, liczące sobie zaledwie kilkadziesiąt lat trafiają się czasami na terenie Polski południowej. Są one wyrazem wpływów kulturowych. Bojkowie jak i Łemkowie wykształcili własne regionalne, odmienne pod względem architektonicznym typy cerkwi. Drewniane cerkwie Bojkowskie mają układ trójdzielny z kwadratową, szerszą nawą w środku oraz mniejszym babińcem od frontu i prezbiterium z przeciwnej strony.

Każda z tych typów cerkwi nakryta jest wielopłaszczyznowym gontowym dachem. Nad nawą jest on nieco wyższy. Dodatkową cechą cerkwi Bojkowskich są obszerne okapy-podcienia, wsparte na wysuniętych rysiach. Okapy tego typu spotkać można na terenie skansenu w Sanoku oraz w Bieszczadach.

Podział Łemkowszczyzny pod względem kulturowym na trzy części: zachodnią i środkową /od Popradu po Jasiołkę/, oraz wschodnią /od Jasiołki po Osławę/ znalazł odbicie również w architekturze cerkiewnej tego regionu. Elementami wspólnymi dla drewnianych cerkwi na Łemkowszczyźnie zachodniej i środkowej jest trójczłonowość planu o wzdłużnym układzie. Kwadratowa nawa w środku obiektu jest nieco szersza od babińca, oraz prezbiterium. Babiniec jest nie zawsze widoczny, bowiem z zewnątrz kryje go wieża o konstrukcji słupowej /Krempna/. U góry wieży znajduje się izbica, nad nią duża barokowa kopuła, wyżej tzw. latarnia z otworami oświetlającymi a następnie mała kopułka zwana hełmem, nad którą góruje krzyż. Zrąb nawy pokryty jest łamanym kilkakrotnie dachem, na którym są te same elementy co na wieży. Podobnie wygląda dach nad prezbiterium, ale jest niższy. Układ kolejnych punktów wysokościowych wieży powoduje, że całość bryły budynku zamyka się nierównoramiennym trójkątem.

Cerkwie zachodnio-łemkowskie były przeważnie budowane z drewna i z zewnątrz obite gontami. Gontowe były również dachy, ale w XX wieku na wielu z nich gont zastąpiono pokryciami blaszanymi.

W końcu XVIII i na początku XIX wieku gdzieniegdzie pojawiały się cerkwie murowane zachowujące układ jak w drewnianych /Polany/.

Wśród kilkudziesięciu drewnianych cerkwi typu zachodniego zachowanych do dziś, do najpiękniejszych należą między innymi cerkiew w Krempnej, Kotani oraz w Świątkowej Wielkiej i Świątkowej Małej.

Cerkwie wschodnio-łemkowskie nie mają tak jednolitej formy jak zachodnie. Części składowe tj. babiniec, nawa i prezbiterium zwarte w postaci jednej bryły nakrytej wspólnym dachem bądź z poszerzoną nawą /Szczawne, Komańcza, Turzańsk/. W niektórych cerkwiach nad babińcem wyrasta niska wieża /Wisłok Dolny, Radoszyce, Szczawne/. W innych nad dachem górują trzy lub cztery kopulaste wieżyczki o późnobarokowym kształcie i różnych wysokościach. Właściwa wieża z dzwonami stoi w pewnej odległości jako wieża bramna. Wszystkie te cerkwie są pobudowane z drewna, oszalowane, nakryte dachami z drewna i blachy.

Ludność napływowa posiadała własne tradycje kulturowe i religie obrządku wschodniego oraz związaną z nią sztukę, która w pewnym stopniu kształtowała się w oddaleniu od centrów artystycznych Kościoła Wschodniego. W sięgającej pięciu wieków rozwoju tej sztuki zachowały się zabytki rzemiosła artystycznego, malarstwa ikonowego, ponadto chorągwie i inne.

Wśród nich tylko malarstwo ikonowe zwłaszcza z XVIII i XIX w. jest reprezentowane większą ilością obiektów. Pozostałe zabytki były bardziej narażone na zniszczenie.

Na Podkarpaciu i w Karpatach wykształcił się nieco odmienny ikonostas o bardziej przejrzystym układzie symetrycznym. Oś symetrii wyznaczały carskie wrota, a nad nimi ikony Chrystusa Archeiropojetas oraz często Ostatniej Wieczerzy, przedstawienia Deesis i nad nimi niekiedy Matki Boskiej Znamienije oraz wieńczące ikonostas Ukrzyżowanie. Pola między carskimi wrotami i dwiema parami wrót diakońskich zajmowały ikony namiestne: po lewej stronie Matki Boskiej a po prawej stronie Chrystusa.

Rząd namiestny uzupełniała zawsze umiejscowiona po prawej stronie ikona „chramowa" z przedstawieniem wezwania pod jakim poświęcona była świątynia /Krempna pod wezwaniem Świętych Kosmy i Damiana/. Z lewej zamykała ten rząd ikona o dowolnym temacie. Na Podkarpaciu była nim już wcześniej wspomniana ikona św. Mikołaja.

Od XVII wieku przyjął się zwyczaj dawania pod ikonami namiestnymi ikon o tematyce dość luźno związanej z tematem ikon rzędu namiestnego. Pod ikonami namiestnymi rząd najczęściej dwunastu prazdników ilustrujących najważniejsze święta roku. Wyżej nad nimi ikona Deesis z dwunastoma apostołami, a na samym szczycie rząd proroków przedstawionych zwykle w formie półpostaci.

Program ikonostasu decydował o niewielkim zróżnicowaniu tematów ikonograficznych ikon. Stąd najczęściej powtarzają się przedstawienia Matki Boskiej i Chrystusa, Archanioła i szczególnie czczonych na tym terenie św. Mikołaja, Paraskawii, Pjatnicy, Praskawii Tyrnowskiej, Kosmy i Damiana, Antoniego i Teodozego, Dymitra, a od drugiej połowy XVII wieku Onufrego i Jana Nowego /Suczawskiego/.

Również ikony chramowe nie wpływają na zróżnicowanie tematyki, gdyż obok wspomnianych ikon dominują przedstawienia Maryjne. Szczególnie od drugiej połowy XVII wieku powstają nowe warianty przedstawień oraz pod wpływem sztuki polskiej i zachodniej pojawiają się uprzednio nie znane sztuce cerkiewnej tematy np. Piety, Matki Boskiej Opieki /Mater misericordia/ lub w redakcji zachodniej - Zmartwychwstanie Chrystusa,

Wniebowstąpienia Bożego, Pokłon Trzech Królów i symbolicznego przedstawienia Chrystusa Eucharystycznego.

Na popularyzację nowych wariantów przedstawień i tematów ikonograficznych miała wpływ od XVII wieku grafika książkowa i ulotna. W tym upowszechnianiu duży udział mieli drzeworytnicy typografii, głównie ze Lwowa, Uniowa, Paczajewa, Kijowa i Wilna. Ich grafiki zdobiły wydane w dużych nakładach księgi liturgiczne, drukowane w języku cerkiewno-słowiańskim. Również od strony formalnej dokonały się w XVII wieku przeobrażenia malarstwa ikonowego. Pod wpływem sztuki barokowej pojawia się rzeźbiarski wystrój ikonostasu oraz ulega zasadniczej zmianie malarskie kształtowanie form.

W tym czasie na terenie diecezji przemyskiej działa wiele warsztatów, w których często występuje określenie „ikony rybotyckiej roboty". Nie oznacza to rzecz jasna, iż wszystkie one zostały wykonane przez malarzy rybotyckich. Wskazuje raczej na określenie stylu w jakim te ikony zostały namalowane. Pomimo zróżnicowania formalnego malarstwa ikonowego w tym okresie, zależnego od stopnia uzdolnienia i temperamentu poszczególnych malarzy, łączy je wspólna cecha twórczości prowincjonalnej. Ikony te charakteryzują się najczęściej żywą, nasyconą gamą barwną zestawioną z czystych kontrastujących kolorów.

Typowy dla malarstwa ostatniej ćwierć XVIII i pierwszej połowy XVIII wieku jest uproszczony, często prowadzony miękko rysunek ciała o jasnej karnacji. Zestawienie dużych partii koloru szat malowanych płaszczyznowo koresponduje z umownie opracowanymi drugoplanowymi szczegółami, co stwarza właściwy dla tego malarstwa klimat. Te cechy formalne stanowią, że u schyłku rozwoju tej dziedziny sztuki pozostały dzieła artystycznie najwartościowsze. Ikony były zawsze malowane bez cienia, bo jak już wspomniano - wg. zasad sztuki bizantyjskiej święci sami emanują światło z siebie.

Zajmijmy się teraz opisem cerkwi w Krempnej. Na podstawie treści tablicy fundacyjnej dowiadujemy się, że obiekt ten został w 1782r odnowiony staraniem księdza Michała Turowskiego tut. Paorocha oraz całej gromady przy dopomożeniu łaskawym Jaśnie Oświeconego Księcia Imci Karola Radziwiłła, wojewody wileńskiego. Tenże wojewoda prawdopodobnie nigdy w Krempnej nie był. Jednak finansowo i materiałowo pomógł gromadzie wiejskiej. Taka wówczas była tradycja bez względu na wyznanie religijne fundatora. Najstarsze zapiski o istnieniu cerkwi w Krempnej na miejscu obecnej dotyczą 1507 roku. Mowa jest o cerkwi prawosławnej wybudowanej w miejscu obecnej. Parafia w Krempnej /porochia/ przystąpiła do unii przechodząc do kościoła unickiego w 1683r. Podobnie sąsiednie parafie.

Nie ma zgody co do powstania tut. cerkwi. Niektórzy autorzy piszący o obiekcie sugerują wcześniejsze bo nawet XVI wieczne pochodzenie zrębów obecnie stojącej. Czopy drewniane prostokątne ukryte w węgłach są podobne do czopów użytych przy budowie kościoła z XV w. w Dębnie. Faktem jest, że cerkiew w Krempnej należy do 15 najstarszych cerkwi łemkowskich w Polsce. Świątynia została zbudowana z ogromnych rozmiarów pni jodłowych przepołowionych. Wieńce zrębów łączone są na węgłach ukrytymi czopami i dębowymi tyglami. Drzwi wejściowe wewnętrzne i okiennice są charakterystycznie fazowane. Trójdzielna budowla oprócz wieży-dzwonnicy nad przedsionkiem ma dwie namiotowe kopuły, w nawie i prezbiterium, łamane uskokowo.

Cerkiew ta jest przykładem dobrego warsztatu budowlanego. Zbudowana jest w doskonałych proporcjach i bardzo dobrze harmonizuje z górskim otoczeniem. Wewnątrz ikonostas ludowo-rokokowy. Carskie wrota ażurowe ze sceną Zwiastowania i postaciami czterech Ewangelistów. Drzwi boczne, zwane diakońskimi wrotami, z namalowanymi postaciami, po prawej stronie św. Bazylego, po lewej stronie św. Jana Złotoustego. W partii drzwiowej umieszczone są cztery obrazy, od lewej: Chrystus wręczający klucze św. Piotrowi, Matka Boska z Dzieciątkiem, Chrystus z Księgą, święci Kosma i Damian - patronowie cerkwi.

Nad carskimi wrotami scena Ostatniej Wieczerzy, a na jej bokach po sześć małych obrazków o następującej tematyce /od lewej/: Podwyższenie Krzyża, Chrystus wśród uczonych w świątyni , Boże Narodzenie, Chrzest Chrystusa , Zwiastowanie, Wjazd do Jerozolimy, Zmartwychwstanie, Wniebowstąpienie, Zesłanie Ducha Świętego, Przemienienie na Górze Tabor, Wniebowzięcie Najświętszej Marii Panny, Nawiedzenia Najśw. Marii Panny.

Nad obrazem Ostatniej Wieczerzy umieszczony jest w następnej kondygnacji ikonostasu Chrystus na tronie - Pantokrator , a obok po trzy obrazy z każdej strony z postaciami Apostołów, po dwóch w każdym obrazie.

W zwieńczeniu jest namalowany krzyż, a po bokach trzy ikony w rokokowych ramach z postaciami Proroków. Wszystkie ikony malowane są na deskach , klejonymi farbami na podkładzie gipsowym.

Ikonostas „piękną robotą snycerską wyrżnięty" został pomalowany przez Krasuckiego , malarza z Przemyśla w latach 1835-36.

Fragment starego ikonostasu zawieszony na ścianie południowej nawy pochodzi z 1664r. i stanowi górną część ikonostasu. Jest to pas z Chrystusem Pantokratorem w otoczeniu Matki Bożej i św. Jana Chrzciciela oraz Aniołów stojących za tronem i obrazami 12

Apostołów podzielonych kolumieńkami. Gzymsy zwieńczone są ażurowymi ramami z medalionami 12 proroków /półpostacie/. Ikonostas ten wykazuje cechy barokowe.

Najstarszy ikonostas z Krempnej został zabrany do muzeum we Lwowie.

Dwie ikony, które zachowały się do dzisiaj w świątyni są bardzo stare- najprawdopodobniej z XVI w i przedstawiają: Opiekę Matki Bożej /Pokrow/ i św .Mikołaja biskupa Miry. Trzeci z tej serii obraz św. Praskawii znajduje się w muzeum historycznym w Sanoku.

Nad drzwiami wejściowymi cerkwi w Krempnej do czasów II wojny światowej znajdowała się tablica z drzewa lipowego o wymiarach 121,5 cm X 22,5 cm . Chodzi o tablice erekcyjną cerkwi. Tablica ta zginęła. Miała być zerwana w czasie wojny przez nacjonalistów ukraińskich, których raził napis w staropolskim języku. Była rzucona ponoć na strych. Po wojnie tablicę tę odnalazł mieszkaniec Krempnej nieżyjący już Bronisław Maciejczyk i ją przechował. Następnie przekazał ją do odnowienia Pracowni Konserwacji Zabytków w Lublinie. Pokwitowanie przekazania odnalazł w archiwum parafialnym ks. Zdzisław Drozd. Po długich i żmudnych poszukiwaniach odnalazł on zagubioną tablicę w Sanoku początkiem lat dziewięćdziesiątych.

Obecnie znajduje się ona nad drzwiami wejściowymi do nawy tej świątyni.

Napis na tablicy wyciętymi literami brzmi: ”W Imię Pańskie amen”. /Cerkiew Kremska Dekanatu Dukielskiego pierwszej Cerkwi, która lat 275 stała rozburzeniu, teraźniejsza za J.W. Imci X Maksymiliana Rylo Biskupa Chełmskiego Nominatay Gen Administratora Biskupstwa Przemyskiego Sanockiego C. Opata /Derma : Dubienty S. krzyża ,Orderu S. Stanisława kawalera pozwoleniem przy dopomożeniu Łaskawym J. O. X. cie Imci Karola Radziwiłła / W. Wilen kolatora za staraniem Imci księdza Michała Turkowskiego Parocha y Gromady miejsca pod Urządem Dekanatu Przewiel. Imci X Teodora z Pacławia Pacławskiego Dziekana Dukielskiego Par. W Jabłonicy Roku Pańskiego jest wystawiona 1782r.”

Informacje dotyczące cerkwi w Krempnej w większości zaczerpnąłem z opracowania dot. „Dziejów wsi i Parafii w Krempnej” autorstwa wspomnianego ks. Zdzisława Drozda, proboszcza parafii na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych.(nie publikowane)

Z opracowania tego wiadomo też, że okna w cerkwi okratowano w roku 1843 za ks. Emiliana Czerniewskiego. W roku 1893 przeprowadzono remont cerkwi, dach pokryto blachą. Plebanie wybudowano ok. 1870r. Cerkwia ocalała pomimo spalenia nieomal całej wsi w trakcie działań wojennych w okresie I wojny światowej. Przetrwała II wojnę światową i

lata niepokojów bezpośrednio po tej wojnie. Po I wojnie światowej zmieniono na dachu cerkwi blachę. W latach 1947-57 dawny proboszcz greckokatolicki ks. Wyszoczański odprawiał nabożeństwa w obrządku rzymskokatolickim.

Świątkowa Mała posiada cerkwie pod wezwaniem św. Michała Archanioła, obecnie kościół rzym. kat. parafii Desznica . Jest to obiekt drewniany z 1762r. stanowiący dobudowę do dawnej kapliczki z XVII w. , dziś stanowiącą część kapłańską świątyni. Na początku naszego wieku dobudowano wieżę. Wewnątrz wiele cennych ikon ostatnio odnowiono.

Świątkowa Wielka cerkiew dawnej parafii unickiej pod wezwaniem j. w. /obecnie kościół rzym. kat. parafii Desznickiej /. Obiekt wzniesiony w 1757 r. /data na nadprożu portalu zach./ . Wzniesiona przy pomocy właściciela wsi Piotra Paszkiewicza. Wewnątrz fragmenty polichromi z drugiej połowy XVIII w . W nawie tragarz z ornamentem sznurkowym.

Szerzej na temat dziejów cerkwi świątkowskich piszę w części dotyczącej opisu wsi i parafii.

Cerkiew w Kotani, niegdyś filialna gr. kat. parafii pod wezwaniem świętych Kosmy i Damiana / obecnie kościół filialny parafii rzymsko-katolickiej w Krempnej pod wezwaniem świętego Maksymiliana Kolbe /. Wzniesiona najprawdopodobniej na przełomie XVIII i XIX wieku /wg. tradycji w 1841 r., może to być data przebudowy lub odnowienia/. Remontowana w 1963r. Wówczas przywrócono pokrycie gontowe. Trójdzielna wieża słupowo - ramowa o ścianach pochyłych z izbicą: słupy nośne obejmują babiniec. Wokół zachata. W nawie i prezbiterium kopuły namiotowe, łamane. Hełm wieży baniasty, na dzwonowatej podstawie z pozorną latarnią.

Wnętrze ogołocone całkowicie z ikon. Część z nich znajduje się w muzeum ikon w Łańcucie. Nie są odnowione podobnie jak inne ikony z okolicznych cerkwi istniejących lub nie.

Wokół cerkwi w obejściu lapidarium sztuki kamieniarskiej o treści sakralnej. Przed fasadą cerkwi ogniś dwie a obecnie jedna lipa ponoć wiekiem dorównująca cerkwi. Gorliwi parafianie zamiast odciąć zbyt rozłożyste konary zagrażające obiektowi ścieli zabytkową lipę przy ziemi. Działo się to w ostatnich latach za probostwa ks. Ludwika Barcia. Tenże doprowadził energię elektryczną do tego malowniczego obiektu.

W pobliżu obecnej cerkwi istniała /obok zabudowań P. Władysława Miśkowicza/ cerkiew prawosławna /czasownia/. Nie użytkowana po II wojnie światowej zniszczała i uległa

zawaleniu. Teren po cerkwi wyrównały spychacze PGR-owskie w latach 70-tych. Obecnie trudno byłoby odnaleźć skrawek poświęconej ziemi.

W roku 1953 uległa spaleniu drewniana cerkiew w Grabiu. Wybudowana została w 1808 roku pod wezwaniem świętych Kosmy i Damiana. Ikonostas z tej cerkwi pochodził z 1856 roku. Do celów liturgicznych używano później prowizorycznego drewnianego budynku. Następnie pomimo trudności stawianych przez ówczesne władze wybudowano kaplicę drewnianą w latach 1973-74. Odnowiona wewnątrz w 1986r i rozbudowana za kadencji ks. L. Barcia w ostatnich latach, stanowi mały kościółek. Za nim w tyle wiele ciekawych żeliwnych i kamiennych nagrobków z przełomu XIX i XX wieku, między innymi figura Św. Jana Nepomucena z 1861 roku, niestety bez zniszczonej głowy.

W Wyszowatce nie istniała cerkiew unicka. Po 1931r /było wtedy 210 unickich wyznawców/ prawie cała wieś przeszła na prawosławie i wybudowano czasownię prawosławną. Miejsce po cerkwi znajduje się między zabudowaniami byłego PGR.

W Ożennej drewniana cerkiew unicka p.w.s. Wasyla Wielkiego, zbudowana w 1867roku stała obok drogi tuż przed ujściem dość dużego strumyka z lewej strony /idąc od Grabiu/ do Ryjaka. Rozebrano ją ponoć w 1953roku. Jest to miejsce za zabudowaniami dawnego PGR. Była to filia parafii w Grabiu. Za miejscem po cerkwi są pozostałości cmentarza łemkowskiego i wojskowego z okresu I wojny światowej.

W Świerżowej Ruskiej istniała niegdyś cerkiew p.w. św. Jana Chrzciciela zbudowana w 1894 r. Resztki małej kopuły tego obiektu do niedawna znaleźć można było koło cmentarza łemkowskiego, gdzie wyróżnić można kilkanaście kamiennych krzyży. Najstarszy z 1883r. Jest też nagrobek z polskim napisem z 1904 r. We wsi tej stała też cerkiew prawosławna.

Cerkiew w Żydowskiem należąca niegdyś do parafii Ciechań, pod wezwaniem Wniebowstąpienia Pańskiego, zniszczona została częściowo podczas ostatniej wojny. Wg. relacji P. Bazylego Turczyka - byłego mieszkańca tej wsi, Niemcy wyrżnęli belki ze ścian cerkwi na szalunki okopów. Resztki cerkwii zlokalizowany obok cmentarz /za tzw. „krzywym mostkiem" znajdują się na łuku drogi ok. 1 km przed zabudowaniami byłego PGR jadąc od strony Krempnej po prawej stronie/. Cmentarz łemkowski dość dobrze zachowany. Nad brzegiem rzeczki Krempna można zauważyć resztki podbudówki z kamienia.

Wspomniana wyżej cerkiew unicka wybudowana została w pierwszej połowie XIX wieku. Była drewnianą budowlą trójdzielną z wydłużoną nawą i babińcem. Od frontu miała wieżę o pochyłych ścianach z pozorną izbicą, hełm wieży miała namiotowy. Dach o zróżnicowanych kalenicach. Na zakończeniu dachu w prezbiterium miała cebulaste

zwieńczenie. Oprócz tej unickiej cerkwi znajdowała się tam cerkiew prawosławna. Tomasz Traczyk i Witold Grzesik w przewodniku krajoznawczym /patrz. Spis literatury/ podają, że w Żydowskiem istniała jeszcze druga cerkiew unicka zwana „starą". Podobne wzmianki i w innych opracowaniach dotyczą Wyszowatki i Rozstajnego. Cerkiew prawosławna w Żydowskiem wybudowana ponoć w 1922r /przypuszczam, że nieco później w okresie masowego przejścia na prawosławie w latach 30-tych/ stała po drugiej stronie drogi naprzeciw unickiej, ale nieco powyżej.

W Rostajnem w miejsce starej z 1791r cerkwi unickiej zniszczonej w czasie I wojny światowej zbudowano w 1921r nową cerkiew po wezwaniem. śś Kosmy i Damiana. Miejsce po cerkwi jest widoczne po wschodniej stronie drogi asfaltowej idąc od Światkowej, gdzie dochodzi leśna droga ze zbocza Kiczery Żydowskiej. Na terenie cerkiewnym znajduje się cokół z 1886 roku oraz kamienna chrzcielnica z połowy XIX w.

Murowana dawniej grekokatolicka cerkiew w Myscowej wybudowana została w 1796r. Zachowały się duże fragmenty ikonostasu, zdemontowanego i rozstawionego po całym wnętrzu świątyni. Środkowe ikony namiestne stanowią ołtarze boczne. Zewnętrzne ikony namiestne, wraz z sąsiednimi diakońskimi wrotami, są zawieszone na tylnej ścianie sanktuarium - po lewej stronie prawe diakońskie wrota z wizerunkiem Melchiora i Aarona oraz ikona chramowa św. Paraskiewii, po prawej - lewe wrota diakońskie z malowidłami św. Michała i św. Stefana oraz ikona św. Mikołaja. Zachował się rząd Deesis, zawieszony na chórze. Mandylion wisi nad wejściem do nawy. Od 1949r świątynia jest używana przez kościół rzymskokatolicki /pod wezwaniem Ducha Świętego/. Cerkiew unicka była p/w. Świętej Paraskiewii-Męczennicy. Kościół był początkowo parafialny, a obecnie filialny /parafia w Polanach/.

W Polanach znajduje się duży obiekt dawnej cerkwi grekokatolickiej p/w św. Jana Złotoustego. Budowę tej murowanej cerkwi rozpoczęto w latach początkowych XX w. przy wsparciu łemkowskich emigrantów z Ameryki. Projektantem był Rudnicki ze Lwowa, zaś pracami kierował Polak - Solecki z Dukli. Bryłę budynku wzorowano na cerkwiach kijowskich - wzniesiono ją na planie krzyża greckiego, nakryto centralnie położoną wielką kopułą. W założeniu dekoracja świątyni miała być bardzo bogata. Kopułę pozłocono w warsztacie w Sanoku, na niej umieszczono krzyż z „czeskich kształtów". Do pierwszej wojny nie było jeszcze ikonostasu, a mury zdążono otynkować do połowy. Podczas działań wojennych uszkodzona została część budynku. Budowę ukończono po I wojnie światowej. W roku 1944, w okresie walk o Przełęcz Dukielską, cerkiew została częściowo zburzona.

Charakterystycznym elementem Łemkowszczyzny są kamienne krzyże i kapliczki. Ciekawie opisuje je Rafał Długaszek w swym opracowaniu „U Źródeł Wisłoki". Z tego opracowania pochodzą poniższe informacje.

Otóż kapliczki te spotkać można we wszystkich opisywanych wioskach łemkowskich w dolinie górnej Wisłoki i jej dopływów. Większość z nich powstawała w Bartnem. Kamieniarze tej wioski wymieniani byli w dokumentach już w 1765r. Rzeźbiono w kamieniu również w sąsiednich Bodakach i Przegoninie oraz w Krempnej. Materiałem był piaskowiec pochodzący z kamieniołomów na Magurze Wątkowskiej i Maguryczu, Rostajnem i Krempnej pod Kiczerą. Przed 1945 rokiem w samym Bartnem było pięć spółek zajmujących się wydobywaniem kamienia.

Najczęściej spotykanym wyrobem ludowych kamieniarzy jest wykuty z jednego bloku piaskowca krzyż z postacią Chrystusa. Najstarsze pochodzą z końca XIX wieku. Niektóre, zwłaszcza te wcześniejsze wykonane są zgodnie z tradycją łacińską, tzn. stopy Chrystusa są złączone i przybite jednym gwoździem. Spotyka się również krzyże łacińskie, mające tylko jedną poprzeczkę. Za najwybitniejszego kamieniarza uważany był Wasyl Gracoń, tworzący na początku naszego wieku. Według Romana Reinfussa - badacza Łemkowszczyzny, Chrystus rzeźbiony przez Wasyla Graconia ma krępe ciało, pochyloną na prawe ramię głowę, włosy proste, dwa palce u rąk zgięte. Nieco schematyczna, lecz pełna bólu twarz charakteryzuje się występowaniem wąsów i zaznaczeniem łuków brwiowych jedną linią. Korpus jest dość krótki, walcowaty.

Podobne ujęcie Chrystusa Ukrzyżowanego prezentowali również inni ludowi kamieniarze.

Duży wpływ na miejscowych kamieniarzy - twórców wywarł Iwan Szatyński, rzeźbiarz pochodzący z okolic Dobromila. Osiedlił się około 1911 roku w Rostajnem, a potem przeniósł się do Nieznajowej. Jego dziełem są postacie Chrystusa wykonane zgodnie z zasadami anatomii. Widocznych jest wiele szczegółów budowy ciała np. układ mięśni. Rozpowszechnił on wschodni sposób ujęcia sceny ukrzyżowania, tzn. przybicie stóp oddzielnie dwoma gwoździami i umieszczenie ich na podporze. Istnieje nagrobny krzyż podpisany przez Szatyńskiego na cmentarzu w Nieznajowej pochodzący z 1911 roku. Jego dziełem są również niektóre kamienne figury świętych. Ludowi rzeźbiarze często wzorowali się na jego twórczości. Jednak zawsze w ich dziełach można zauważyć większy schematyzm i jednocześnie większą ekspresję. Najwięcej przydrożnych krzyży znajduje się w Świerżowej

Ruskiej, Czarnem i Długiem, natomiast nagrobnych na cmentarzach w Bartnem, Świerzowej Ruskiej, Świątkowej Wielkiej, Wołowcu i innych pobliskich miejscowościach.

Spotkać też można krzyże żeliwne. Wykonane one były zapewne w miejskich odlewniach. Jednak ich kamienne cokoły są dziełem miejscowych twórców. Umieszczone są na nich różnorodne ornamenty oraz czasami płaskorzeźby świętych.

Oprócz krzyży często występują w okolicy rzeźbione w piaskowcu figury. Powszechne jest przedstawianie Świętej Rodziny. Np. identyczne rzeźby, z krępymi i statycznymi postaciami, znajdują się w Nieznajowej, Ożennej, Świątkowej Wielkiej i Krzywej. Wszystkie pochodzą z 1901 roku. Taka sama figura, już niestety zniszczona stała w Rozstajnem. Często spotykamy rzeźby Matki Bożej z Dzieciątkiem. Znajdują się one m.in. na cmentarzach w Wołowcu i Krzywej /Krywej/. Piękna ludowa figura stoi przy drodze w Lipnej. W Świątkowej Wielkiej i Świerzowej Ruskiej spotykamy stojących na wysokich kolumnach Świętych Mikołajów. Większość figur była niegdyś polichromowana.

Innym wyrobem ludowych kamieniarzy są kapliczki. W dużym bloku piaskowca, mającym do półtora metra wysokości wykuwano niszę. Wyżej umieszczano wykonany z takiego samego materiału daszek oraz banię zakończoną krzyżem. Jak twierdzi jeden z mieszkańców Świątkowej kapliczki są dziełem rzeźbiarzy z Bartnego. Ze względu na ciężar główne ich części /korpus, podstawa, daszek/ wykonywano na miejscu. Materiał transportowano z najbliższych kamieniołomów. W przypadku Świątkowej znajdowały się one w Świerzowej Ruskiej i przy drodze do Rostajnego. Krzyże z postacią Chrysusa oraz rzeźby umieszczone w niszach przywożono już zrobione z Bartnego. W niszach, zamykanych metalowymi drzwiczkami, najczęściej znajdował się mały ołtarzyk. Stały na nim ikony lub drewniane świątki. Czasami umieszczano tam kamienne rzeźby. Zachowały się dwie kapliczki mieszczące w niszach kamienne świątki. W Nieznajowej w niszy znajduje się duża figura Matki Bożej, a w Grabiu niedaleko ostatniego przystanku PKS-u, rzeźba Świętej Rodziny. Jak wyglądały takie kapliczki przed wojną możemy zobaczyć na terenie pierwszego gospodarstwa w Bartnem, idąc od strony bacówki PTTK. Kapliczka jest pokryta kolorową polichromią, a znajdująca się wewnątrz figura Matki Bożej z Dzieciątkiem jest przystrojona w piękne szaty.

W okresie po ostatniej wojnie niekiedy bezmyślnie niszczono kamienne pamiątki po wysiedlonych. Ponoć zapinano konie i wywracano je usuwając jako „ruskie" aby nie „koliło czyjeś oczy". Myślę, że nadeszła pora aby ocalić te nieliczne pamiątki, wprost bezcenne, od całkowitego zniszczenia.

IV. Zwyczaje i obyczaje na wsi łemkowskiej

Z najciekawszym opisem zwyczajów i obyczajów na wsi łemkowskiej spotkałem się w opracowaniu Romana Reinfussa pt. „Śladami Łemków". Poniższy opis pochodzi właśnie stamtąd.

W dniu, kiedy Polacy obchodzą święto Trzech Króli, które w zasadzie kończy cykl obrzędów związanych z Godami, u Łemków zarówno prawosławnych jak i grekokatolików jest dopiero dzień wigilii, czyli tzw. „Swiatyj Weczer". Różnica ta polega na tym, że mają oni swoje święta ustalone według „starego stylu", który spóźnia się do aktualnego kalendarza gregoriańskiego o 13 dni.

Okres Bożego Narodzenia, tzw. „Rizdwo" /Rożdżestwo Izusa Chrystusa/ poprzedza jak w kościele rzymskokatolickim 4-tygodniowy adwent. W czasie niego obowiązuje surowy post /"Rizdwiany pist"/. Nie przeszkadzał on jednak spędzać go w sposób bardzo wesoły. Był to przecież okres, kiedy kobiety schodziły się po domach na prządki, zwane też „weczirki" /wieczornice/, odwiedzane przez chłopów i różne grupy przebierańców, organizowane czasem po kilka w jednej wsi. Przeważały wśród nich postacie mające bawić swymi występami pracujące kobiety. Byli tam więc Cyganie, odmawiający sparodiowany „cygański pacierz", wygłaszali „cygańskie kazanie" i popisywali się swymi rzekomymi kowalskimi umiejętnościami; był tam również Żyd sprzedający śledzie i smarujący dziewczętom twarze sadzą, wróżąca Cyganka, miśkarze, którzy w szczególny sposób demonstrowali swój zawód na dziewczętach, maziarz handlujący „kołomazią", Żyd lub „kocisz" sprzedający konia, zrobionego jak krakowski Lajkonik, a wreszcie „panienki" /jedyne dziewczęta dopuszczone do weczirkowych występów/, przebrane za panie z miasta, tańczyły w takt śpiewanej im przez kobiety piosenki. One natomiast przyśpiewywały do tańca „Medwidowi", chłopcu owiniętemu w słomę lub grochowiny i turoniowi:

Oberty sia turońku dokoła
Szczoby buła rodyna wesoła...

We wsiach przygranicznych zachodniej Łemkowszczyzny popularny był na weczirkach występ „czterech baczów": Fedora, Kuby, Stacha i głównego baczy, który im przewodził. Wchodzili oni do izby pojedynczo w swoich wysokich szpiczastych słomianych czapach, kożuchach odwróconych sierścią na wierzch i śpiewali pasterską pieśń, krążąc rytmicznym krokiem dookoła izby, z wybijaniem taktu trzymanymi w rękach pałami.

Na środkowej Łemkowszczyźnie, obok wymienionych na początku postaci, jak Cygan, turoń, występowały tzw. „kozybraty". Był to humorystyczny występ dwóch braci-samochwałów, którzy przechwalali się nawzajem swym bogactwem i wyczynami. Dawniej mieli oni twarze umazane lub zamaskowane, a na głowach przyprawione małe rogi. W rękach trzymali krótkie , grube pałki, które w czasie tańca, a szczególnie, gdy atakowali dziewczęta, nasuwały skojarzenia z fallusem.

Prócz występów o charakterze rozrywkowym, odbywały się na weczirkach również różne zabawy towarzyskie. Głównym ich celem było stwarzanie okazji do zbliżenia się chłopców i dziewcząt. Przykładem może być „peczenie kohuta" /pieczenie koguta/, polegające na tym, że siedzący na stołku chłopiec, uzbrojony w drewniane berło owinięte w specjalnie wybrudzoną szmatę, wywoływał dziewczynę, która miała do wyboru albo pocałować berło, albo chłopca. Jeśli wybrała tę drugą ewentualność, zajmowała jego miejsce, a wówczas uczestnicy zabawy wołali:

Pecze sia kohut pecze,
Dobra sia ne specze,
Naj se panna toho wybere
koho chocze

i zabawa toczyła się dalej. W niektórych grach istota rzeczy polegała na wykupywaniu fantów, przy czym wykupem był oczywiście pocałunek. Np. w zabawie „mosty" chłopcy siedząc na ziemi kręgiem dookoła izby utrudniali przejście dziewczętom, które przechodziły kołem. Zatrzymana okupywała się fantem. Zbierał je jeden z chłopców i schowany za piecem wywoływał trzymając fant w ręce:

Czyja worona na płote?,

a dziewczyna odbierając fant musiała chłopca pocałować. Zabaw z okazji weczirek było mnóstwo, nie wyłączając „ślepego wójta", noszącego na Łemkowszczyźnie po prostu nazwę „dupak". Tę zabawę spotyka się do dzisiaj.

W ostatnim dniu adwentu chłopcy na weczirkach łamali dziewczętom drążki od przęślic na znak, że od tego czasu prząść nie wolno, bo nadchodzą święta. Zwyczaj ten nazywał się „łamanyk".

Wigilia, zwana u Łemków „Swiatyj Weczer", podobnie jak we wsiach polskich, była tajemniczym dniem dziwów i niesamowitości. Ciążyła nad nim wróżba „jak na wilię tak na cały rok". Zmuszało to ludzi do wystrzegania się gniewów i kłótni oraz podejmowania pewnych czynności, mających sprowadzać skutki uważane za pozytywne. Praktykowanych

było mnóstwo czynności magicznych. Wybierzemy z nich tylko kilka. Dobrze było na przykład ukraść komuś jakiś drobiazg, bo zapewniało to powodzenie w innych podobnych przypadkach. Pasterz nie powinien patrzeć przez okno, gdyż w przyszłym roku ludzie będą widzieli szkody, które zrobi jego bydło. W tym dniu nie należało niczego drugim pożyczać, dobrze było natomiast pożyczyć samemu, szczególnie od Żyda. W ciągu dnia powinno się obracać żarnami, żeby było co mleć w nadchodzącym roku, dobrze było odwrócić w prawo główkę kapusty, bo gwarantowała urodzaj.

Od samego rana zaczynały się też wróżby. Jeśli pierwszą osobą, która rano weszła do domu był mężczyzna, to dobrze, jeśli kobieta to źle.

Gospodyni zajęta była przygotowaniem wieczerzy, w której specjalne miejsce zajmowało ciasto. Szczególnych zabiegów wymagał „kraczun". Był to duży, kolisty chleb pieczony w formie lub na łopacie z wszystkich rodzajów zbóż, jakie były w domu, aby ich w przyszłym roku nie brakło. Pośrodku miał on włożoną główkę z czosnku /dawniej podkładano jeszcze „grajcara"/. Dla ozdoby wzdłuż obwodu gazdynia odciskała krawędzią szklanki lub kieliszka kółka, a w nich końcem wrzeciona robiła małe wgłębienie. Podczas pieczenia kraczuna gazdynia i przebywające w izbie kobiety podskakiwały do góry, aby chleb pięknie wyrósł. Po wyjęciu go z pieca należało ścianę dookoła czeluści oczyścić z sadzy i wybielić, żeby w zbożu nie było „śmitoho zerna" /śnieci/. Wreszcie po tym wszystkim gaździna powinna była usiąść na „prypiczku", ażeby kury dobrze kwokały.

Oprócz kraczuna kobiety piekły też małe, wydłużone chlebki, zwane „połaznyky", zdobione po wierzchu potrójnym rzędem łukowatych odcisków, wykonanych końcem metalowej łyżki. Jeden połaznyk z zapieczonym w nim czosnkiem przeznaczony był dla bydła, drugi owinięty w poprzek pasmem lnianego przędziwa / aby się len udał jak ten chleb/ dostawał „połaznyk", który przechodził z życzeniami, trzeci zaś bochenek traktowany był jako rezerwa. Mógł go otrzymać następny połaznyk lub jakakolwiek osoba, każda bowiem była już traktowana jako połaznyk.

Przed wieczerzą wszyscy domownicy szli boso nad rzekę umyć się w bieżącej wodzie, co zapewniało zdrowie na cały przyszły rok. Według opowiadań starych babek dawniej przy tych wigilijnych oblucjach nad rzeką rozbierano się do naga. Przyniesioną z rzeki wodą gazdynia kropiła izbę, a następnie stawiała miednicę z tą wodą pod krzyżem wyciętym na środkowym tragarzu powały i wszyscy domownicy myli się tam przed wieczerzą. Wrzucano też do tej wody pieniądze. Niektórzy będąc nad rzeką nabierali wody do ust. I nieśli ją w ten sposób do domu. Po przyjściu do domu pryskali nią na piec, żeby mieć zdrowe zęby.

Po powrocie znad rzeki gazda wnosił do izby snopek owsianej słomy, zwany „didok" /dziadek/ oraz naręcze siana i zwracał się do żony: „Pomahaj Bih na szczastie, na zdrowie, na tot nowyj rik. Daj Bih w komore i na dwore". Gazdynia pytała: „Odkalste połaznyku? /Skąd jesteście połaźniku?/. A gazda odpowiadał: „ Z wesełoho, z bystroho, z dobroho, ze szczasływoho" i stawiał snopek w kącie izby. Pod stołem kładł różne przedmioty żelazne, jak lemiesz od pługa, siekierę, kosę, motykę. Przy wieczerzy trzymano nad tym nogi, aby były silne i zdrowe. Łańcuchem opasywał nogi stołu, co miało na przyszłość „łączyć rodzinę", lub jak wyjaśniali inni, powodować, żeby bydło nie rozbiegało się na pastwisku. Czasem pod stół kładziono też trochę słomy a niekiedy prócz stołu wyścielano również słomą ławę, na której zasiadano do wilii.

Choinek pierwotnie na Łemkowszczyźnie nie znano. Pojawiły się one dopiero przed II wojną światową. Początkowo zawieszano je wierzchołkiem do góry na haku wbitym w tragarz powały, obecnie stawia się je najczęściej na podłodze. Drzewka choinkowe nazywano „jołky".

Gospodyni przygotowywała stół do wieczerzy. Rozkładała na nim siano, przykrywała lnianą, bielutką płachtą. Na tym leżał kraczun, a na nim stawiała garnek z pszenicą z wetkniętą gromnicą. Nie trzeba było jednak palić jej zbyt długo, „żeby grad nie zbijał kwiatu". Po jej zgaszeniu obserwowano dym: jeśli kierował się ku drzwiom, znaczyło bliską śmierć kogoś z domowników, jeśli do góry to wesele.

Obok kraczuna znajdował się na stole „połaznyk" dla bydła, a czasem parę „połaznyków". Był też zwyczaj, że ustawiono na stole kilka bochenków jeden na drugim lub stertę pokrajanego do wieczerzy. Dawało to okazję gaździe, aby schować głowę za chleb i zapytać: Dity wydyte mia zza chliba?, na co dzieci musiały oczywiście odpowiedzieć, że nie. Ten prosty zabieg miał oznaczać, że zboże tak wysoko wyrośnie, iż gazda będzie mógł w nim się schować. Z kolei gospodyni pytała, czy dobra jest kapusta, na co wszyscy zgodnie chórem odpowiadali: ne je dobra, wobec czego nie będą jej również w lecie jadły gąsienice.

Dookoła stołu układano łyżki „ile się wzięło w rękę". Jeśli się okazało, że zbyt mało, znaczyło to, że w ciągu roku ktoś z rodziny ubędzie. Przy stole zostawiano tyle wolnych miejsc, ilu zmarłych w rodzinie, gdyż wierzono, że ich dusze mogą brać udział w wigilijnej wieczerzy. Były one nawet wyraźnie zapraszane do uczty. Gospodarz wołał wtedy przed wieczerzą: Pryjdy duszyczko se poiaty, jak jeś hołodna /głodna/. Niekiedy wzywano do „weczeriania" „dida i babu". Nietrudno się było domyśleć, gdy zawoływano: Bożę daj zdorowe, chodyte do nas o kogo chodziło.

Resztek strawy pozostałej po wieczerzy na stole nie zbierano, lecz odkładano do miski, żeby wygłodniałe „duszyczki" miały się czym posilić. Prócz duszyczek zapraszano też wilka, ale z wyraźnym zastrzeżeniem /Wołku, wołku chody do nas na wecziriu, a jak ne pryjdesz to ne chody nykoły/, a także wszelką zwierzynę /zweryno, ptaszyno, chody do mia na weczeriu/; miało to chronić kury przed jastrzębiem, a owce przed wilkiem.

W niektórych wsiach przed wieczerzą domownicy opasywali się powrósłem ze słomy. Zwyczaj ten różnie interpretowano. Jedni widzieli w tym pamiątkę, że Chrystus urodził się na sianie, drudzy, że dodaje ludziom siły, jeszcze inni, żeby rodzina się „kupy trzymała" lub zboże dobrze rodziło.

Dzielenia opłatkiem dawniej Łemkowie nie znali. W miejsce opłatka dzielili się kawałkiem chleba i czosnkiem lub połazdnykiem, względnie „proskurą". Były to małe bochenki chleba, pieczonego na plebani. Przed świętami Łemkowie nosili ponoć na plebanię całe worki mąki na pieczenie proskury. Na wschodniej Łemkowszczyźnie dzielono się podczas wieczerzy wigilijnej cienki przaśnym plackiem posmarowanym miodem. Opłatki wprowadzają wśród Łemków dopiero księża rzymskokatoliccy, którzy zostali osadzeni na łemkowskich parafiach po przesiedleniu dawnych mieszkańców.

W czasie wigilijnej wieczerzy wszyscy spożywali potrawy z jednej miski. W zależności od miejscowego zwyczaju liczba potraw „musiała być nieparzysta, np. 7, 9, lub właśnie parzysta, najczęściej 12". Jako potrawę liczono nawet ząbek czosnku czy szczyptę soli. Do „rzeczywistych" potraw wigilijnych należały gołąbki z grzybami, „bobalky" /kluski/ z makiem, kapusta, ziemniaki z kompotem z suszonych gruszek, pierogi, gotowane suszone śliwki, groch, bób, fasola, „kisełycia" /żur owsiany/, parzona pszenica z miodem i makiem, czyli „kutia", której jednak w wielu wsiach Łemkowskich w ogóle nie znano. Wieczerza wieczerzy nie była oczywiście równa. Wskazuje na to wyraźnie wierszyk:

Swiaty weczer, dobryj buł,
Kto se naił, syty buł,
Kto hołoden /głodny/ to je złe,
Bo mu diaboł kichy dre.

W czasie wigilii z każdej potrawy odkładano po trzy łyżki do drewnianego „dijnyczka" /skopiec do dojenia/, z którego gazda po wieczerzy obdzielał w stajni swój statek, dodając do tego pokrajany połaznyk z czosnkiem, trochę soli, a także gałązkę „tecyny" /cisu/. Część tego jadła suszono i przechowywano jako lekarstwo dla bydła.

Po wieczerzy łyżki wiązano powrósłem ukręconym ze słomy spod stołu wigilijnego, „żeby rodzina była zawsze razem". Dziewczęta zaczynały swoje wróżby dotyczące przyszłego małżeństwa. Niektórzy biegali dookoła domu; jeśli za trzecim razem zobaczyli w oknie izby trumnę, znaczyło to, że ktoś z rodziny w nadchodzącym roku umrze. Gazda obwiązywał w sadzie drzewa powrósłami ze słomy i wygłaszał krótką formułkę „zobowiązującą" drzewo do rodzenia.

Porządku w izbie nie robiono, zostawiając wszystko do drugiego święta. Największe nasilenie różnych dziwów miało miejsce o północy. Wtedy to właśnie woda w studniach zmieniła się na krótki moment w wino, a bydło rozmawiało ze sobą ludzkim głosem. Nie należało jednak tego słuchać, bo można było wysłuchać wyroku śmierci na siebie. W czasie pasterki można też było rozpoznać „bosorkę" /czarownicę/, bo nie wchodziła ona do cerkwi, tylko obchodziła ją z zewnątrz.

Po pasterce krążyli po wsi „połaznycy" z życzeniami i kolędami. Byli to 10,- 14-letni chłopcy lub kawalerowie, przychodzący do panien „po orzechy". Wchodząc do izby połaznyk mówił: Christos rożdajet sia, szczoby sia porodyła pszenica, żyto, jarec. Dziewczętom życzyli: Szczoby wam zakwytła biła lelija, szczoby wam toho riku buła weselija, a młodemu małżeństwu: Winszuju, winszuju szczoby sia wam w komyne wywałyła dira, szczobyste mali u tom roci syna. Za kolędę połaznyky dziękowali: Dziakujemy za koladu szczoby sią wam rodyły byczky, teliczki jak u lisi buczky.

Pierwszy dzień Bożego Narodzenia, zwany „Rizdwo", poza pójściem do cerkwi na nabożeństwo, spędzali Łemkowie na wypoczynku i śpiewaniu kolęd. Dawniej gazda w tym dniu wprowadzał wczesnym rankiem do izby, konia lub owcę „na pamiątkę adoracji Jezusa przez zwierzęta". W latach międzywojennych zanosił już tylko bydłu i koniom do jedzenia pokruszony połaznyk z czosnkiem.

Nie odbyło się w tym dniu bez wróżb. Gdy pierwszą osobą, która przyszła do domu był mężczyzna, wróżyło to dziewczętom wesele, jeśli kobieta, to jeszcze rok panieństwa. W ciągu dnia nie wolno było położyć się, bo gdy to zrobił mężczyzna, to woda zaleje siana, jeśli kobieta, to ziemniaki zarosną chwastami.

Od tego dnia każdy następny wróżył pogodę na kolejny miesiąc. Dni od „Rizdwa" do Nowego Roku też przepowiadały: pierwszy - na roboty wiosenne, drugi na okopywanie ziemniaków, trzeci - na sianokosy, czwarty - na żniwa, piąty - na cały rok.

Drugi dzień świąt nazywano „wymitny”, ponieważ teraz dopiero wolno było posprzątać i pozamiatać izbę. Wykonywał to czasem pastuch, o ile chciał zostać w służbie na przyszły rok, a śmieci zakopywał w kącie ogrodu.

Od wczesnego ranka chodzili po wsi kolędnicy, śpiewali cerkiewne kolędy, za co nagradzano ich owsem, połazdnykiem lub pieniędzmi.

Obrzędowość Nowego Roku, przypadającego na 14 stycznia była dość skromna. Rano obmywano się rzeczną wodą z wrzuconymi do miednicy pieniędzmi, obsypywano owsem izbę „na szczastie”. To samo robili zresztą kolędnicy przychodzący do domu z życzeniami: Daj Boże szczastia, zdorowla na tot Nowyj Rik i wsioho najlipszoho, a kawalerom i wdowcom: Daj Boże w tom Nowom Roci szczobste dołho żyły i szczoby sia ożenyły.

Sporo też w tym dniu było wróżb i zabiegów magicznych. Z izby wynoszono na strych słomianego „didoka”. Kłosy z niego wplatano później do wieńca ślubnego panny młodej. Dopiero po nowym Roku wolno było zacząć jeść kraczuna, który zdobił stół na „Swiatyj weczer”, chciano w ten sposób zapewnić urodzaj zbóż w nadchodzącym roku.

Szczególnie uroczyście było natomiast obchodzone „święto Jordanu” /19 stycznia wg. naszego kalendarza/, czyli „Bohojawlenie Hospodnie”, jako dzień chrztu Chrystusa. Poprzedza to święto wigilia, zwana „Szczedryj weczer”, która jest prawie dokładnym powtórzeniem wigilii przed „Rizdwom”. W tym dniu również obowiązywał post, obrzędowe obmywanie się w rzecznej wodzie, wróżyło się i wykonywało różne zabiegi magiczne. Gazdynia przyrządzała wieczerzę z tymi samymi potrawami, piekła „połaznyky” z tylu ząbkami czosnku ile było krów w oborze. W podobny sposób przygotowywany był stół do wieczerzy, tylko, że na „Szczedryj weczer” nie wzywano już „duszyczek”, nie rezerwowano dla nich miejsca ani łyżek. Nosił natomiast gazda do obory i dzielił między krowy „połaznyk”, pilnując aby każda z nich dostała również zapieczony w połaznyku czosnek.

W „Szczedryj weczer” chodzili po wsi kolędnicy z życzeniami. Byli to młodzi chłopcy, nazywano ich „szczedraky”. Podchodzili do „chyży” i wołali:

Szczedryj weczer, dobryj weczer,
Szczedryj weczer, dobryj weczer,
Czy ty gazdo spysz, czy czujesz /słyszysz/,
Czy ty dla nas weczereńku rychtujesz?
.....

Gdy ich gazda poprosił do środka, składali życzenia:

Winszuju wam gospodariu

Z tym światom jordanskym,
Daj wam Boże szczastia,
Naj wasz deń bude wesełyj
Od hneska do wika.

Szczodraky nosili pęk leszczynowych patyków, z których jeden wręczali gazdyni, ona zaś odbierając patyk mówiła: Skaczte byczky na teliczki, a wówczas chłopcy podskakiwali do góry, co miało spowodować, że będą rodziły się byczki. Patyki rozdawane przez szczodraków były używane do poganiania krów, gdy je po raz pierwszy wypędzano na paszę. Robiono z nich też małe krzyżyki przybijane nad drzwiami obory, aby chroniły krowy od czarów bosorki.

Późnym wieczorem chodzili po wsi „śpiwaky". Byli to młodzieńcy o dobrych głosach, którzy śpiewali kolędy, za co obdarowywano ich pieczywem i owsem. Część swego wynagrodzenia oddawali do cerkwi, a za resztę organizowali wspólną zabawę.

Nazajutrz, w dzień „Bohojawlenia", około godziny 6 rano wszyscy udawali się na nabożeństwo do cerkwi, skąd wychodziła nad rzekę uroczysta procesja z zapalonymi świecami i chorągwiami, prowadzona przez księdza w szatach liturgicznych. Na rzece była już przygotowana spora przerębla, a obok niej z wyłupanego lodu ułożony krzyż. Ksiądz święcił wodę, w której zanurzał drewniany, pięknie rzeźbiony krzyż i „trijcię" /potrójny świecznik/. Od tego momentu woda w przerębli stawała się „jordańską" wodą. Ludzie czerpali ją do naczyń, nieśli do domów skrapiali nią swoje „chyże", a resztę trzymali jako lekarstwo w razie choroby. Zbierano nawet wosk, który skapywał ze świec i dawano go do zjedzenia krowom, aby je uchronić przed czarami bosorek. Jeszcze w okresie międzywojennym starsi Łemkowie pamiętali, że „dawniej" do rzeki po poświęceniu wody wjeżdżano koniem, później już tylko w stajni kropiono konie i krowy „jordańską" wodą, podobnie jak zboże do siewu.

Na Jordana chodził po wsi ksiądz i zbierał kolędę. W okresie od Rizdwa do Jordana, prócz wspomnianych dotychczas, odwiedzali chałupy kolędnicy z kozą, turoniem, trzej „carowie" ze „zwizdu" /gwiazdą/. W niektórych wsiach „Cary" to była duża grupa, w skład jej wchodzili: Herod, trzej carowie, Żyd, śmierć, pasterze, żołnierze anioł i diabeł. Dawali oni przedstawienie, a treścią jego był fragment opowiadania biblijnego o złym królu Herodzie, który na wieść o narodzeniu „króla żydowskiego" kazał wymordować wszystkie niemowlęta, za co spotkała go sroga kara. Z szopką zaczęto na Łemkowszczyźnie chodzić dopiero niedawno. Wprowadziła ją osiedlona tu ludność polska.

Zapusty, zwane u Łemków „masnyci", kończyła „fedorowycia" - dzień ostrego postu. Kobiety myły wtedy starannie naczynia, aby nie pozostało na nich „nyczoho masnoho". Od tego dnia zaczynał się „pist" /post/, w czasie którego jadano bardzo niewiele, a potrawy maszczono lnianym olejem. W ostatnim dniu przed rozpoczęciem postu była tzw., „puszczania", wtedy kobiety zbierały się razem, piły wódkę, a następnie odbywały tańce z podskokami, mającymi powodować, że len będzie rósł wysoko.

Wielkanoc, czyli „Wełykdeń" rozpoczynała „kwitna nedila". Święcono wtedy palmy, wiązane z patyków obsypanych „bahniatamy" /baziami/, służącymi później jako lekarstwo dla ludzi i zwierząt. Patyki z palm palono w czasie burzy, żeby wypędzić z komina diabła, w którego zwykle strzelają pioruny, podkładano je też pod przyciesie nowo budowanego domu.

W ciągu Wielkiego Tygodnia szczególnie ważny był czwartek, wówczas to bowiem dusze zmarłych błąkają się po świecie, otwierają się groby i wilcze jamy, a także podziemne skarby, jakie można widzieć w postaci błędnych ogników lub przesypujących się pieniędzy. Łemkowie odwiedzali wtedy groby, zaś ksiądz odprawiał na cmentarzu „parastas" za dusze zmarłych. W cerkwi po zachodzie słońca odbywał się tzw. „strast", w czasie którego ksiądz czytał 12 razy ewangelię. Po każdym czytaniu pasterze wiązali na sznurku od bata węzełek, co było niezwykle przydatne w lecie, gdy np. krowy pogubiły się w lesie. Wystarczyło rozplątać jeden słupek i momentalnie zguba się znajdywała. Podczas strastu można było zobaczyć wszystkie „bosorki" /czarownice/, jakie mieszkały we wsi, bo gromadziły sę one w wejściu pod wieżą cerkwi, ale nie wchodziły do nawy.

W Wielki Czwartek chłopcy palili po polach ogniska na pamiątkę, że się w tym dniu Juda /Judasz/ powiesił. Z ognisk tych przynosili płonące głownie, którymi zapalali w domu nowy ogień. W dniu tym przestawali dzwonić w cerkwi, wobec czego dochodziły do głosu „kwapaczky", czyli klekotki. Ze szczególnym zapałem korzystały z nich dzieci, wypełniając wieś nieprawdopodobnym hałasem. W cerkwiach używane były w tym celu duże , drewniane „tarapaty", poruszające za pomocą zębatego walca młotki, które uderzały z potężnym hukiem w drewniane pudło rezonansowe. Starsi mężczyźni i niektóre kobiety od czwartku po zachodzie słońca nie przyjmowali żadnych posiłków, utrzymując post aż do niedzieli.

Począwszy od czwartku kobiety zabierały się też do malowania pisanek, wchodzących tradycyjnie w skład „święconego". W czasie świąt dzielono się nimi przy składaniu życzeń, a dziewczęta wykupywały się nimi w drugie święto od polewania wodą. Skorupki ze święconych jajek używane były do różnych czynności magicznych. Dobrze było zakopać je w

ogródku, bo na tym miejscu wyrastała później „maruna” - ziele doskonałe na wszelkie choroby żołądkowe.

W Wielki Piątek w pobliżu cerkwi rozpalano duże ognisko, przy którym chłopcy pełnili wartę aż do niedzieli.

W Wielką sobotę pod wieczór lub w niedzielę wczesnym rankiem kobiety ze swymi mężami przynosiły pod cerkiew jadło do święcenia. Szczególne znaczenie miał w nim olbrzymi chleb, zwany „pascha” lub „paska”, pieczony z pszennej i żytniej mąki, posypany z wierzchu makiem. Pascha dochodziła do 80 cm średnicy. Podczas pieczenia tego chleba kobiety podskakiwały, żeby lepiej wyrósł, ale jeśli w swej gorliwości przesadzały, zdarzało się, że bochen nie dał się z pieca wyjąć i trzeba było otwór czeluści powiększyć, aby go na zewnątrz wydobyć. Po poświęceniu pascha nabierała szczególnych właściwości. Używana była w celach leczniczych. Chroniła przed skutkami burzy i gradem. Z poświęconej paschy odkrawano trzy piętki, zwane „okrajci”, i przechowywano zawinięte w szmatkę przez cały rok. Rozpuszczone w wodzie pomagały na żołądek, użyte do okadzenia usuwały ból głowy, dym z okrajków paschy, spalonych w piecu odwracał burze. W czasie świąt dzielono się paschą. Pieczono też małą „pasoczkę” dla pastucha, który używał jej do zabiegów magicznych podczas pierwszego wypędzania bydła na paszę.

Do święcenia olbrzymią paschę niósł w płachcie na plecach gazda, natomiast gaździna szła z koszykiem; była w nim wędlina, chleb, jajka, chrzan itd. Wracając do domu obchodzili „chyżę” ze „święconym” trzy razy od prawej strony ku lewej, co miało chronić „od złego” zarówno sam budynek, jak i wszystko, co znajdowało się w nim.

W pierwsze święto, po wyjściu z nabożeństwa młodzież urządzała przed cerkwią różne zabawy. Dziewczęta, np. bawiły się w „kupky”, polegające na tym, że na placu przed cerkwią lub na drodze sadzono na ziemi w pewnych odstępach małe dziewczynki /to one właśnie były owe „kupky”/, natomiast starsze dziewczęta w korowodzie przechodziły między nimi prowadzone przez przewodniczkę, która wiodła je skomplikowanymi zawijasami, robiąc kółka, ósemki itp.

Tradycyjną i bardzo rozpowszechnioną w ruskich Karpatach zabawą młodzieży obojga płci był „Zelman”, rodzaj tańca, w czasie którego śpiewano pieśń:

...
Czoho chocze Zelman
Czoho chocze jeho brat
Czoho chocze Zelmanowa rodyna

Panny chocze Zelman...

Według opowieści Łemków Zelman był to Żyd, który w czasach pańszczyźnianych dzierżawił od dziedzica cerkiew, a następnie udostępniał ją za wynagrodzeniem chłopom, gdy chcieli odbyć nabożeństwo.

W pierwsze święto Łemkowie chodzili nad rzekę, aby zobaczyć ryby. Komu się to udawało, był zdrów jak ryba i czekało go „wielkie szczastie". Chłopcy biegali po domach i zbierali pisanki od panien. Proceder ten starali się przedłużać i na poniedziałek, ale wówczas zamiast pisanek spotykało ich „wodolanie". Oblewanie wodą odbywające się w drugi dzień świąt było jednak przede wszystkim przywilejem chłopców, którzy korzystali z niego często w sposób barbarzyński, np. wrzucając dziewczynę do stawu lub polewając wiadrami wody dziewczynę siłą zatrzymaną przy studni. W tym dniu przed świtem chłopcy wyczyniali różne złośliwe kawały, np. wynosili na dach wóz, wrzucali pług do studni, zamalowywali okna „chyży" żeby ludzie nie widzieli, że jest już dzień itp.

Dzień „swiatoho Jury" /św. Jerzego - 23 maja starego stylu/, był tradycyjnie dniem, w którym wypędzano bydło na paszę, a równocześnie dniem wzmożonej aktywności „bosorek". Chodziły one wczesnym rankiem po łąkach i zbierały zioła potrzebne do uprawiania ich szkodliwego procederu. Ażeby uchronić bydło przed bezpośrednim kontaktem z czarownicą, u progu stajni Łemkowie kładli bronę odwróconą zębami do góry, ale to też nie zawsze pomagało, bo czarownica mogła tam dostać się w postaci, np. żaby lub innego zwierzęcia.

Krowom w tym dniu zdobiono rogi wiankiem, były w nim również święcone zioła. Po powrocie z pastwiska okadzono je starannie dymem z wielkanocnej paschy i święconych ziół. Czary bosorek mogły być też groźne dla ludzi. Ażeby się tego ustrzec, należało na blacie stołka zrobić spiralę święconą kredą, ale w kierunku przeciwnym do wskazówek zegara. W środku spirali trzeba jeszcze było narysować krzyżyk, a następnie przyłożyć stołek na głowę, bo czary bosorek uderzały najczęściej w głowę.

Zielone Święta, zwane przez Łemków „Rusała", obchodzone były przede wszystkim jako święto wiosny. W tym dniu zdobiono „chyże" zielenią, wśród której nie mogło brakować leszczyny, ponieważ jest to „świate derewo". Ukryło ono Matkę Boską w czasie ucieczki do Egiptu i dlatego grad i pioruny „nie widzą" tych miejsc, gdzie znajduje się leszczyna. Na „Rusala" odbywała się procesja obchodzenia pól z udziałem księdza i chorągwiami cerkiewnymi. W niektórych wsiach pamiętali, że dawniej na czele procesji szli dwaj chłopcy-bliźniacy, jeden prowadził „byku" /woły/, drugi szedł za pługiem. Obchodzono też procesyjnie groby na cmentarzu, zdobione na ten dzień zielenią.

„Rusala” były również świętem pasterzy. Gromadzili się oni na pastwiskach wokół starszych wiekiem pastuchów, których zwali „baczami”. Oni to jako ludzie doświadczeni celebrowali święto, polegające na paleniu „watry”, śpiewaniu, strojeniu bydła gałązkami lipy, a przede wszystkim wspólnej uczcie, w czasie której grzali „kuwardę”, tzn. smażyli jajecznicę w żelaznym tyglu na trzech nóżkach i popijali wódkę oraz „kropki” /eter/. Jako stół służył im kawałek równego trawnika. Zabawa przy ognisku, w której brały udział także dziewczęta, przeciągała się niekiedy do nocy.

W sposób zbliżony do Rusala obchodzono dzień „swiatoho Jana”, zwanego powszechnie „Kupała”. Wigilia tego święta stanowiła najodpowiedniejszy czas do zbierania ziół leczniczych. Zaliczali do nich Łemkowie przede wszystkkim „struti mech” /mech/, rumianek, łopuch, babkę, dziurawiec, jagodnik, lipę i „bobianyk”, którego zrywano tyle gałązek, ile było osób w rodzinie, a potem wkładano te gałązki między belki zrębu chałupy. Komu zakwitła gałązka, temu wróżono długie życia. Opasywano się również „mocnym zilem” /chaber łąkowy/, aby mieć dużo siły i nie czuć łamania w krzyżach przy pracy. Podobnie jak na Rusala, majono chyże leszczyną i zatykano gałązki leszczyny na rogach pól. Nielubianym dziewczętom chłopcy płatali różne złośliwe figle, podobne do tych, jakie robili w Poniedziałek Wielkanocny. W dzień „Kupały” czarownice wchodziły do cerkwi dopiero po północy i to po trzykrotnym obejściu budynku dookoła.

Przygotowaniem „sobitki” zajmowali się pasterze, którzy już parę tygodni wcześniej ścinali i suszyli jałowce, stawiali z nich stos na kilka metrów wysoki. Stosów takich mogło być we wsi kilka. Umieszczano je na miejscach wyniosłych i odsłoniętych, aby „sobitkę” widać było z daleka. Przy stosach sobitkowych gromadzili się ludzie z całej wsi.

Wyjście na „sobitku” poprzedzały głośne śpiewy zwołujących się uczestników:

Horyszniane, doliszniane,
Podte do nas na sobitku!
U nas sobitka jasnenkaja,
U nas dewońka krasnekaja.

Przed opuszczeniem domu wygaszono w domach ogień, rozpalono go ponownie po powrocie późną nocą za pomocą głowni odpalonych od sobitkowej watry. W czasie gdy płonął sobitkowy ogień, zebrani śpiewali okolicznościowe pieśni. Wiele ich zachowało się w pamięci Łemków do dnia dzisiejszego. Wiele miało charakter żartobliwego przekomarzania się między chłopcami i dziewczętami, jak np.:

dziewczęta: Iszli chłopcy bez łozynu

Naszli sobi haczatynu /źrebię/
Niż sia diuki poschodyły
Chłopi hacza rozchopyły /rozerwali/
a chłopcy: Iszli diuki na sobitku
Naszli sobi zdochłu kitku /kotkę/
Niż sia chłopci poschodyły
Diuki kitku rozchopyły.

Tematem pieśni było kojarzenie par, przy czym imiona w tekście były zmieniane zależnie od sytuacji:

A je u /Wania/ krasnaja /Marysia/
A u /Fieska/ je krasnyj /Petrus/
Treba by ich wraz złuczyty
I na Boha poruczyty,
Naj /Petru Marysiu/ lubyt.

Czasem w piosence zabrzmiała wyraźna propozycja:

A na Jana, na Janońka,
Kupała sia kupałońka,
Kupajuczis zatopała
Na Janońka zakrykała
Oj Janońku, oj czudeńku,
Podaj że ty mi ruczeńku,
Podaj ruczku, podaj obi,
Pritul że ty mene k'sobi.

Kobiety wrzucały do sobótkowego ognia „na urodzaj" święcone zioła, co również znalazło swój wyraz w obrzędowej pieśni, z których jedną podajemy w skrócie:

Na światoho Jana
Sobitku pałymy
Oj Jane, Jane,
Swiatyj Jane!
A pałymy je,
Z trojakoho ziła,

Oj Jane, Jane,

Swiatyj Jane!

Chłopcy wyjmowali ze stosu płonące głownie i biegali po polach. Gdy już zgasły, wrzucali je do ziemniaczysk czy kapusty, co bardzo pomagało na przyszłe zbiory, gdyż nie pozwalało rozmnożyć się szkodliwym owadom i gąsienicom.

Na przełomie XIX i XX w. wierzono jeszcze powszechnie, że w noc świętojańską kwitnie paproć. Szukali jej więc i Łemkowie, lecz już przed I wojną światową zaniechali tego zwyczaju, być może dlatego, że „szczęście" zbyt często realizowało się w... kołysce.

Gdy sobitka już się dopalała, rozgrzebano palące się jeszcze gałęzie na boki, tworząc z nich wał, przez który młodzież przeskakiwała, a gdy już warta dogasała, przez palenisko przeganiano krowy. Były wsie, gdzie zamiast w nocy palono „sobitki" w biały dzień, używając do tego świeżych gałęzi drzew iglastych, ażeby płonąc wydzielały dużo białego i gęstego dymu. Był on również z daleka widoczny, jak blask watry w nocy.

Lato i wczesna jesień to nie jest czas odpowiedni do świętowania. Ludzie są zbyt zajęci ciężką pracą w polu, dlatego prócz paru ważniejszych świąt cerkiewnych, jak „uspenie Preczystoj Bohorodycy" /Wniebowzięcie matki Boskiej, 15 sierpnia starego stylu/, kiedy święcono zioła, a pasterze obchodzili swoje święto, bowiem od tego dnia można było przepędzać bydło z „tołoki" na „carynę", nic się w zasadzie na wsi nie działo.

Zaduszki obchodzili Łemkowie dawniej bardzo skromnie, bez zdobienia grobów i świateł. Cały obrzęd ograniczał się do modlitw, jakie odprawiał nad grobami ksiądz.

Ożywiło się we wsi dopiero na wigilię św. Andrzeja /30.11. wg. starego stylu/, kiedy to młodzież, a głównie dziewczęta uprawiały najrozmaitsze wróżby, stosując do tego wszystkie ogólnie znane sposoby, jak lanie wosku, pływające na wodzie igły, prowokowanie odpowiednich snów przez podkładanie męskich spodni pod poduszkę, w wreszcie odwoływanie się do autorytetu... świni. Dziewczyna ciekawa swych przyszłych losów pukała do drzwi chlewika i pytała:

Puk, puk swynia

Budu ja toho roku gazdynia?,

gdy świnia w odpowiedzi chrząknęła, traktowano to jako odpowiedź pozytywną. W parę dni później było „światoho Nykołaja Czudotworca", który jak wiadomo obok innych specjalności, jest również patronem zwierząt. W tym dniu Łemkowie przynosili do cerkwi koguty, króliki itp., a także chleb. Chleb składali w cerkwi, zaś zwierzęta zostawiali - pod dzwonnicą. W czasie nabożeństwa słuchano pilnie, czy pieją koguty pod wieżą. W zależności od tego, ile

razy koguty odezwały się, tyle w ciągu roku odbędzie się wesel. Tak oto weszliśmy znów w czas Adwentu i koło się zamknęło.

Pisząc o zwyczajach i obyczajach na wsi łemkowskiej nie sposób pominąć obrzędów weselnych. Spotkałem 2 obszerniejsze opisy tego obrzędu. Pierwszy znajduje się w opracowaniu ks. Sarny pt. „Opis powiatu jasielskiego" oraz drugi obszerniejszy w opracowaniu Romana Reinfussa pt. „Śladami Łemków". Poniższy opis pochodzi z tego ostatniego. Pierwszy opis dotyczy tylko wesela w jednej miejscowości z pogranicza Łemkowszczyzny, wsi Wola Cieklińska.

Ciekawe jest, że właśnie „ristwiany pist", ukraszony wspólnymi „priadkamy" /prządkami/, a przede wszystkim pełnymi wesołości i zabawy „weczirkami", dawał szczególną okazję zbliżenia się młodych, a w konsekwencji do licznych wesel w czasie nadchodzącej „miasnyci". Ci młodzi chłopcy i dziewczęta znali się oczywiście od dzieciństwa, paśli przecież razem bydło, chodzili do szkoły, spotykali się przy pracy, ale jednak te podszyte niewinnym seksem weczirkowe zabawy, stwarzały specyficzny klimat, gdzie pod okiem pilnie pracujących matek i babek, odbywały się flirty, zamieniające się łatwo w głębsze uczucia. Rychło więc kojarzące się pary wymykały się spod opieki poważnych matron i zaczynały samotne i chytrze organizowane spotkania.

Jeśli oboje partnerzy prezentowali mniej więcej równą pozycję społeczną i majątkową, nie mieli trudności na drodze do ołtarza. Gorzej było natomiast, gdy między kandydatami do stanu małżeńskiego zachodziła poważna dysproporcja majątkowa, bo wtedy rodzice strony zamożniejszej stawiali veto. W sprawach małżeńskich mieli oni głos ostateczny i w wypadku kolizji szukali dla swej latorośli towarzyszki życia na własną rękę według własnych, ściśle materialnych kalkulacji. Wybór ich miał charakter wyroku, od którego nie było odwołania.

Surowe na oko zwyczaje nie przeszkadzały jednak temu, że młodzi w okresie przedmałżeńskim prowadzili życie dość swobodne i to czasem z cichym przyzwoleniem rodziców. Nie darmo przecież opowiadano, że wg. starych zwyczajów do św. Jurija /23 maja starego stylu/ dziewczyna sypia w „chyży" razem z rodzicami, później sama w stodole lub pod barłogiem, gdzie chłopiec mógł się z nią zupełnie swobodnie spotykać. Sytuacje takie były świadomie przez rodziców dziewczyny prowokowane, gdy chodziło o złowienie bogatego zięcia, którego w razie zajścia dziewczyny w ciążę zmusiliby do małżeństwa groźbą procesu sądowego. Dziewczyny też miały swoje sposoby, aby chłopca związać ze sobą na stałe. Służyły do tego celu różne ziołowe preparaty, sporządzane dla nich przez „bosorki".

Dobrze było również wsypać chłopcu do jedzenia popiół ze spalonego kosmyka włosów dziewczyny. Zabieg ten był szczególnie skuteczny, jeśli włosy ucięte były „z przyrodzenia".

Zdarzało się jednak, że wszystkie środki zawodziły i chłopak porzucał dziewczynę w ciąży. Fakt ujawnienia się poważnego stanu pociągał dla niej bardzo nieprzyjemne skutki. Jako „prespanka" lub „kopyłka" była w różny sposób piętnowana. Sądzono ją publicznie na pniaku do rąbania drewna i „czepiono" czyli ubierano w chustkę wiązaną tak, jak to przysługuje mężatkom. W Zdyni dziewczynie z dzieckiem wójt w asyście dwóch „prysiażnykiw" obcinał włosy, a jej rodzice za brak opieki nad córką musieli ugościć w karczmie, na własny rachunek, całą „komisyje". Nic więc dziwnego, że zagrożone takimi perspektywami dziewczęta posługiwały się różnymi sposobami, aby w ciążę nie zachodzić, względnie, gdy to już się stało, wywołać sztuczne poronienie. Gdy wszystkie zabiegi nie dawały rezultatu, wtedy wkraczała ze swymi usługami wiejska „specjalistka", która w najgłębszej tajemnicy usuwała płód za pomocą drewnianego wrzeciona, służącego do przędzenia. Skutki takich operacji bywały zwykle tragiczne, tym bardziej, że dokonywano ich nawet w piątym miesiącu ciąży. Były to jednak wypadki wyjątkowe. Normalnie dwoje młodych, bądź z własnej chęci, bądź pod przymusem rodziców, łączyło się w związek małżeński bez większych perturbacji.

Zawarcie małżeństwa odbywało się według od pokoleń ustalonego schematu, wewnątrz którego występowało sporo lokalnych odmian, bardzo zacierających przejrzystość obrazu.

Pierwszą czynnością ze strony przyszłego oblubieńca było wysłanie do rodziców upatrzonej dziewczyny tzw. „ sprosateli", tj. dwóch poważnych i zaufanych mężczyzn, których zadanie polegało na tym, aby dokonać zwiadu. Mieli oni nie tylko ustalić stanowisko rodziców dziewczyny odnośnie pertraktacji małżeńskich, ale również rozeznać się chytrze w ich sytuacji materialnej, rodzinnej, stanie gospodarstwa itd.

Jeżeli rezultat dokonanego zwiadu wypadł pozytywnie, wówczas, zazwyczaj w czwartek lub sobotę /gdyż są to dni „szczęśliwe"/, późnym wieczorem ojciec wraz z synem i „sprosatelami", obecnie występującymi w roli swatów, udawał się do rodziców dziewczyny na tzw. „sprosyny". Rozmowa zaczynała się zwykle do dłuższego, zupełnie zdawkowego wstępu, dopiero, gdy ojciec dziewczyny zapytał wprost, po co przyszli, goście przedstawiali się jako kupcy lub podróżni, którzy chcieliby kupić od gazdy jałówkę. Jeśli gazda potwierdził, że posiada jałówkę na „prodaj", czyli wyrażał zgodę na ewentualne małżeństwo, wtedy goście częstowali go wódką „na dobry początek". Gdy córka była chłopcu przychylna, wtedy

asystowała przy rozmowach, a na znak zgody również przepijała wódką i siadała koło swego przyszłego męża. Jeżeli była mu przeciwna, to w ogóle się nie pokazywała, ale na dalszy bieg sprawy nie miało to żadnego wpływu. Przy stole zaczynał się zacięty i długi targ o wyposażenie przyszłych nowożeńców, w czasie którego obydwie strony chciały się wzajemnie przechytrzyć. W przypadku, gdy mimo mediacji swatów do porozumienie nie doszło, zrywano rokowania i goście w pełnym składzie udawali się /czasem tego samego wieczoru/ do innej rezerwowej kandydatki.

Według starego zwyczaju, zaraz po dobiciu targu odbywały się uroczyste zaręczyny, polegające na tym, że matka narzeczonej podawała jednemu ze swatów ręcznik, którym wiązał on ręce młodych. Po zaręczynach następowała zwyczajowa wymiana prezentów między młodymi. Pan młody otrzymywał ślubną „soroczkę" /koszulę/, panna młoda chusteczkę na głowę, używaną później do czepienia/.

Na kilka dni przed ślubem w obydwu rodzinach ustalano, kogo zaprosić na wesele i w jakim charakterze. Osobą szczególnie ważną był „starosta", człowiek zwykle starszy, doświadczony „dobry mówca". Bywał nim często jeden ze swatów, celebrujący całą uroczystość. Wygłaszał on przemówienia, rozpoczynał modlitwy, pierwszy wznosił toasty i prowadził korowód weselny. Narzeczony zapraszał dwóch drużbów, stanowiących tron jego drużyny. Uzbrojeni w toporki, podobne do podhalańskich ciupag, lub szable /ostatnio już tylko drewniane/, uczestniczyli oni czynnie w ważnych momentach obrzędowych. Panna młoda dobierała sobie dwie druhny. Poza tym do ścisłej drużyny weselnej należało jeszcze kilka /co najmniej dwie/ starszych par małżeńskich, zwanych „swaciamy". „Swaszki" pełniły główną rolę czepiąc „mołodycie", natomiast ich mężowie jedynie biernie uczestniczyli w weselu. Odbywało się ono częściowo w domu panny młodej, a częściowo w domu pana młodego, więc w każdym z nich funkcjonował tzw. „domatar", pełniący obowiązki gospodarza /zwykle bywał nim ojciec/, oraz „czopar", który w swym zarządzie miał napoje i dbał, aby kielichy były pełne. Postacią o charakterze podrzędnym był „marszałka", pełniąc funkcję posłańca, pomocnika drużby, czy pilnującego porządku. Uciszał on np. zebranych, gdy chciał przemawiać starosta.

Na kilka dni przed weselem młodzi udawali się do księdza „na naukę". Jak twierdzili Łemkowie polegała ona na tym, że chłopak rąbał na plebani drewno, a dziewczyna myła podłogi. Ojcowie młodych umawiali się z księdzem o termin ślubu i wypominki zmarłych krewnych, co w opinii Łemków równało się zaproszeniu ich na wesele. Na trzy dni przed weselem odbywało się zapraszanie gości. Zajmowali się tym drużbowie lub „marszałka",

czasem sama „mołodycia" z druhnami, względnie uproszony lub wynajęty „prosatar". Odznaką jego była wysoka, zakrzywiona „pałycia" /laska/, przewiązana białą wstążką, za którą zatknięty był mirt lub barwinek.

Obrzęd weselny zaczynał się u Łemków równocześnie w obu domach: pana młodego i panny młodej. Dopiero później pan młody ze swoim orszakiem przychodził do domu narzeczonej i odtąd dalszy ciąg wesela odbywał się wspólnie.

W przeddzień ślubu w domu panny młodej schodziły się drużki i inne dziewczęta na spotkanie, zwane „dobra nicz". Dziewczęta stroiły się rózgą weselną, czyli tzw. „rożen", sporządzoną z sosnowego „rogala", przybranego gałązkami barwinku. Na końcu każdej odrośli „rogala" zatykały jabłka lub drobne bułeczki. Zdobiono też rózgę złoconymi orzechami i różnymi świecidełkami. W czasie wesela „rożen" wetknięty w środek „korowaja" /chleb weselny/ wręczano staroście. Na wschodniej Łemkowszczyźnie starosta niósł ustrojony w ten sposób „korowaj" do cerkwi i oddawał go księdzu. Prócz rózgi dziewczęta plotły wianki dla panny młodej i drużek, robiły „perka" /piórka ze sztucznych kwiatów i błyskotek/ do kapeluszy drużbów, bukieciki z mirtu lub barwinku dla uczestników i wianek na kapelusz pana młodego. W wieńce dla młodej pary wplatano kłosy nieomłóconego owsa oraz ząbki czosnku, co miało zapewnić im zdrowie i dobrobyt na całe życie. Podczas pracy dziewczęta śpiewały okolicznościowe pieśni:

Wij sia nam winoczku hwatko,
Jak czerweni sia jabko,
Od wołoska do wołoska,
Najże ide pohołoska.

Były też piosenki o charakterze żartobliwym:

Ne staraj sia /Ołeno/ win dobre hazduje,
No po dwa, po try doma ne noczuje!

albo:

Szkoda tia /Ołeno/, szkoda tia za nioho
Hunia pożyczana, chołoszni ne joho.

Czasem przychodzili do dziewcząt chłopcy z muzyką i zaczynała się zabawa, w której „nieoficjalnie" brał też udział pan młody. W końcu „dobra nicz" zatracała swój charakter obrzędowy i zamieniała się w zwykła zabawę z tańcami.

W tym samym czasie odbywała się również „dobra nicz" w domu pana młodego. Uczestniczyli w niej drużbowie, starosta, rodzina i sąsiedzi, swaszki ze swatami, a także muzyka. Była to wesoła, zabawa, która rozpoczęta wieczorem trwała często do świtu. Miała ona swój własny rytuał. Na początku hudaky /muzykanci/ ne hoczyły hrat dopóki nie otrzymali kury. Przynosił ją drużba, jeden ze skrzypków dotykał kurę smyczkiem i muzyka zaczynała grać, a drużba tańczył trzymając kurę w rękach. Po weselu kurę dostawali muzykanci, którzy w ten sposób „zabierali z domu wszelkie zło". Gdy gospodarz nie darował kury, w krótkim czasie umarłby ktoś z rodziny. Po dłuższej zabawie z tańcami i śpiewami, „marszałka" uderzeniem laski w tragarz powały uciszał gości i zapowiadał, że pan starosta chocze swoje besidu /przemówienie/ wyhołosyty. Przedmowa była długa, z licznymi odwoływaniami do Pisma Świętego, a opiewająca zalety gospodarza i jego rodziny, ze szczególnym uwzględnieniem osoby pana młodego. Przy końcu starosta zwracał się do zebranych, żeby odpuścili panu młodemu wszelkie urazy i winy oraz udzielili mu wraz z rodzicami trzykrotnego błogosławieństwa. Na apel starosty wszyscy odpowiadali: Naj Boh błahosławyt my ho błahosławymy. Następnie stawiali pośrodku izby ławę, a na jej środku siadali rodzice młodego, obok nich krewni w zależności od stopnia pokrewieństwa i wieku. Przy drzwiach do sieni znajdowali się drużbowie z toporkami wbitymi na krzyż w futryny drzwi, trzymając w ręku zapalone świece. Swaszki, które przestawały śpiewać jedynie w momentach, kiedy miały usta zapełnione jedzeniem, momentalnie nawiązywały do sytuacji:

Hrajte hudaky rysko /żwawo/,
Kłaniaj sia /Petrus/ nysko,
Jak ojcu, tak mamućce,
I ciłyj rodynońce.

Wówczas młody w paradnym stroju, raczący się „palenką" z przyjaciółmi, wychodził zza stołu, klękał przed ojcem i całując go w rękę i na kolanach prosił: Pobłahosławte mia nianio /tato/, a ojciec odpowiadał: Naj ty Boh błahosławyt mij synu. Prośba syna i błogosławieństwo ojca powtarzało się trzy razy. Za trzecim razem ojciec stawał z ławy i kładąc uroczyście na krzyż ręce na głowie syna mówił: Naj tia mij synu Boh błahosławyt wo wsi dny żywota twoho. Wtedy syn całował go w rękę i na kolanach posuwał się do matki, która również trzykrotnie powtarzała swe błogosławieństwo, ale już bez składania rąk na głowie. Następnie syn, już wyprostowany, podchodził do pozostałych osób i każda z nich udzielała mu swego błogosławieństwa, lecz tylko jeden raz.

Po zakończeniu tej ceremonii starosta brał za rękę pana młodego i kierował się ku drzwiom. Swaszki natychmiast nawiązywały do tego śpiewając:

Wybyraj sia /Petrus/ w szczasływu hodynu,
Szczobys sobi wybraw
Dobru hospodynu.
.....
Wszysti sy pozbery
Sztos ty tu zarobyw,
Zawiaż do tłumoczka,
Jak pidesz do testiw,
Zawesysz na kriaczu.

Przed progiem starosta zatrzymywał się, robił laską znak krzyża, a drużbowie czynili to samo po trzykroć, uderzając toporkami najpierw w górną poziomą belkę drzwi, następnie w próg, w lewy słup ościerzy, a na końcu w prawy. Potem drużbowie wymiatali „toporkami spod progu wszystko co niedobre" i starosta wraz z panem młodym przekraczali próg, koniecznie prawymi nogami. Za nimi wychodziła cała drużyna, którą matka obsypywała zbożem „na szczastia".

Po drodze do domu mołodyci szli uformowani w orszaku pod komendą starosty, z muzyką i śpiewem:

Boże, Boże hde ja idu,
Czy po żenu, czy po bidu,
Jak po żenu, ożenusia,
Jak po bidu, zabijusia.

Śpiew i granie milkło jedynie, gdy przechodzili koło cerkwi lub przydrożnych kapliczek, bo Łemki pered cerkwi ne spywajut.

Dochodząc przed dom narzeczonej orszak zastawał drzwi zamknięte. Na dobijanie się starosty odzywał się „domatar" panny młodej. Zaczynała się między nimi dyskusja i targ o wpuszczenie orszaku pana młodego do ludzi. Starosta tłumaczył mu, kim są i legitymował się na różne sposoby, a swaszki śpiewem swym sekundowały targowi:

Puste, że nas puste,
Bo nam w nohy zymno
Ne tak w nohy zymno,
Jak młodomu pylno.

Wreszcie drzwi się otwierały, orszak młodego wchodził do „chyży" i rozsiadał się po izbie. Muzyka przestawała znowu grać, dopóki nie dostawała kury. Drużba przynosił kurę i powtarzała się scena znana nam z domu pana młodego.

Tymczasem w komorze drużki kończyły ubierać pannę młodą, która przy zakładaniu wianka klęczała na poduszce lub siedziała na cebrzyku z wodą, nakrytym workami, trzymając w ręce jajko. Czasem wrzucano jej to jajko za dekold. Jeśli przeleciało na dół, był to znak, że będzie miała lekki poród.

Starosta szedł do komory, skąd przynosił „bałeć', tj. duży, weselny chleb z pszennej lub żytniej mąki i przyprowadzał pannę młodą, odzianą już w strój ślubny oraz dwie drużki, pomagające jej w ubieraniu. Panna młoda wraz z drużkami dekorowały gości weselnych. Drużbowie dostawali od nich „perka", tj. sztuczne stroiki do kapeluszy, starostę przepasywały czerwoną szarfą, swatom i swaszkom przypinały bukiety z mirtu lub barwinka, przewiązane białą wstążką. Panna młoda zdobiłą kapelusz pana młodego wiankiem i wstążkami.

Przed wyjściem do ślubu starosta wygłasza dłuższą mowę, wynosząc zasługi rodziny panny młodej oraz „mołodyci" i kończył podobnie jak poprzednio apelem rodziców i pozostałych weselników o potrójne błogosławieństwo dla młodej pary. Przed podejściem do ławy, na której siedzieli rodzice i krewni młodej, marzeczeni obchodzili stół całując każdy jego róg, a następnie klękali u stóp rodziców, prosząc ich o błogosławieństwo. Odbywało się ono analogicznie jak w domu pana młodego, z tym że najpierw podchodziła po błogosławieństwo na klęczkach „młodycia", nieco później dołączał pan młody. Niekiedy matka udzielając błogosławieństwa dotykała głowy młodych bochenkiem chleba owiniętego w białe płótno. Był to chleb weselny, zwany „bałeć" lub „korowaj". „Mołodycia" brała go ze sobą do ślubu. W momencie kiedy młodemu udzielano błogosławieństwa, drużbowie trzymali jego kapelusz na skrzyżowanych toporkach.

Na hasło dane przez starostę młodzi i cały orszak przygotowywali się do wyjścia. Odbywało się ono z tym samym rytuałem, co w domu pana młodego. Drużbowie robili w drzwiach krzyże toporkami, państwo młodzi wyprowadzani przez starostę, przekraczali próg prawymi nogami i przechodzili pod skrzyżowanymi przez drużbów toporkami. Na koniec gospodyni kropiła odchodzący orszak święconą wodą.

Do ślubu „mołodycia" brała po garstce różnego rodzaju ziarna, trochę miodu, jajko, a do trzewika lub kierpca wkładała jakiś pieniądz. Korowód weselny prowadził starosta. Za nim szli młodzi trzymając się za róg chustki lub ręcznika, dalej parami postępowali drużbowie z druhnami, swatowie ze swaszkami i pozostali goście. Muzyka, zależnie od miejscowego

zwyczaju, szła albo na czele pochodu, albo go zamykała. Dawniej rodzice młodej zostawali w domu i nie asystowali przy ślubie.

W czasie ślubu każde, nawet najdrobniejsze wydarzenie, miało swe specjalne znaczenie, czasem odwrotnie interpretowane. W Zyndranowej, np. „mołodyci" nie wolno było przy ślubie oglądać się przy ołtarzu, żeby druhny, szybko wyszły za mąż, w Bartnem natomiast w tym samym celu panna młoda właśnie powinna się przy ołtarzu oglądać. Z cerkwi państwo młodzi wychodzili pod skrzyżowanymi toporkami drużbów.

Do ślubu dawano młodym „bałeć", którego połowa owinięta była przędziwem, druga zaś pokrajana na kromki. Po ślubie owiniętą przędziwem część bochenka z zostawiano w cerkwi, drugą zaś panna młoda częstowała weselników i wszystkich napotkanych, a szczególnie dziewczęta, aby szybko powychodziły za mąż.

Po ślubie albo wszyscy uczestnicy udawali się do domu panny młodej, albo orszak dzielił się i panna młoda ze swoimi gośćmi szła do swego domu, a pan młody z starostą, dużbami i swatami do swego. W tym drugim przypadku pan młody dopiero pod wieczór przychodził ze swoją drużyną do domu żony. Tam, gdzie wesele szło do domu młodej, przed drzwiami powtarzała się taka sama scena targu o otwarcie i wpuszczenie do środka, jak rano, gdy przychodził ze swym orszakiem pan młody. Po wejściu odbywał się targ o oddanie młodej i drużek, które w międzyczasie chowały się w komorze. Swaszki śpiewem, a starosta mową starali się nakłonić gospodarzy do oddania poszukiwanej zguby. Domownicy wypierali się, że w ogóle nie wiedzą o co chodzi, aż w końcu wyprowadzili z komory chłopaka przebranego za dziadówkę, która umizgała się gwałtownie do pana młodego. Gdy ten się do niej nie przyznawał, wyprowadzano z komory kolejno pierwszą drużkę, udającą ślepą lub kulawą, i dopiero wtedy pojawiała się prawdziwa panna młoda.

Zaczynały się tańce pana młodego z panną młodą, drużbów z druhnami i innych weselników. Trwały one do obiadu, po którym starosta tańczył ze swaszkami, a następnie wyprowadzał zza stołu pannę młodą i pana młodego i tańczył z nimi we troje. Była to obrzędowa zabawa ściślejszego grona zaproszonych gości i przede wszystkim starszych. W pewnym momencie muzyka przenosiła się do innego pomieszczenia /czasem do umówionego sąsiada/, gdzie rozpoczynała się zabawa ogólna. Mogli w niej brać udział również niezaproszeni. Trwała przez całą noc.

W czasie tańców grała muzyka /często cygańska/, składająca się ze skrzypiec /huśle/ i basów lub dwóch skrzypiec, tj. prymu /„peredni"/ i sekundu /„kontra"/ oraz basów. Grała to, co jej zaśpiewał tancerz płacący do basów. Do muzyki przyśpiewywali wyłącznie mężczyźni.

Wśród starszych tańców łemkowskich pierwsze miejsce zajmował taniec „po prost" i „obertak", w którym szły para za parą, a następnie obracały się w miejscu raz w prawą raz w lewą stronę. Do tej grupy należał także „triasany" lub „potriasany", tańczony po kole dzielącym się później na dwa koła współśrodkowe. Ponadto tańczono „madziara" czyli czardasza i „dyrdę". Był też taniec „kiwany", zwany również „dupak", w czasie którego pary posuwające się po obwodzie koła obertały sia do sebe płeczyma i wykonywały energiczny ukłon w przód, skutkiem czego sąsiednie pary zderzały się pośladkami. Znali Łemkowie „kowala" tańczonego po kole i „kryżowancza", z nowszych zaś tańców „sztajmira" /sztajera/, walca i polkę. Przynieśli je do wsi urlopnicy, czyli żołnierze na urlopie, i powracający z Ameryki reemigracji.

Na drugi dzień koło południa do domu rodziców młodej zaczynali schodzić się zaproszeni goście, którzy noc spędzili w swoich domach. Po obiedzie i krótkiej zabawie druhny śpiewały:

Wyberaj sia z namy kochanie,
Uż ty ne pomoże płakanie,
Naszy koni stojat u wozi,
Nycz tu płacz twij ne pomoże.

Starosta wygłaszał przemówienie, kończąc je, jak poprzednio, wezwaniem o potrójne błogosławieństwo. Odbywało się ono w podobny sposób, jak poprzednio. Panna młoda żegnała się z domownikami i swymi przyjaciółkami. Następnie starosta wyprowadzał młodych, robiąc przy drzwiach znak krzyża, co również w znany sposób robili toporkami drużbowie. Po wyjściu młodych z „chyży" matka kropiła ich święconą wodą i obsypywała owsem „na szczastia". Przed wyruszeniem w drogę drużbowie wkładali na wóz „łade" /skrzynię/ z ubraniami młodej, tobół z pierzyną i poduszkami. Weselnicy dla żartów wrzucali na wóz co w rękę wpadło: grabie, łopatę do chleba, obraz czy wiadro, bo to mołodym prydat sia.

Po przybyciu do domu pana młodego, poprzedzanym przez śpiew swaszek, czekała na młodą parę siedząc na progu matka pana młodego, odziana w kożuch odwrócony sierścią na wierzch. Witała ich chlebem i solą. Po wejściu do „chyży" młodzi najpierw trzykrotnie obchodzili stół, całowali jego cztery rogi oraz „bałec" leżący pośrodku, przyniesiony przez swaszki z domu panny młodej. „Mołodycia" brała go oburącz, wchodziła na stół i z bochnem chleba wspartym na głowie obracała się trzykrotnie dookoła. Później chleb ten krajano na kromki. Młoda witała się z obojgiem rodziców pana młodego, częstując ich przy tym

kromkami obrzędowego chleba. Dopiero wówczas zaczynało się goszczenie przybyłych weselników, połączone z graniem i śpiewaniem swaszek, wreszcie tańce, przeciągające się do późnego popołudnia.

Dawniej /pamiętali to jedynie najstarsi ludzie i to z opowiadań swoich ojców lub dziadków/ bardzo istotnym elementem obrzędu weselnego były tzw. „pokładziny", kiedy to swaszki z drużbami i resztą weselników uroczyście odprowadzali młodą parę do komory. Kładziono ich na posłaniu i zamykano, ażeby tam dokonane zostało „skonsumowanie małżeństwa". Swaszki i towarzyszący im drużbowie śpiewali przy tym pieśni o odpowiedniej treści, dziś już zupełnie zapomniane. Była w nich mowa o tym, że nowożeńcom nie trzeba przeszkadzać, bo mołodiata choczut spaty.

Do miłenkoj postiłonki...

Z pokładzinami wiązała się też piosenka, śpiewana później przed oczepinami:

Pani mołoda, pani mołoda,
Czas spaty, czas spaty,
Ne sia po chyżenci trewiczkamy
Traskaty, traskaty.

Po przebudzeniu się młodych następowały oczepiny. Stanowiły one obrzędowy moment przejścia panny młodej z grupy dziewcząt do grupy kobiet zamężnych. W nowszych czasach pokładziny zamieniły się w rodzaj wesołej zabawy. Państwo młodzi byli gromadnie odprowadzani z muzyką i śpiewem do komory lub na boisko, gdzie układano ich na słomie, pod którą podłożony był pług lub brona, odwrócona zębami do góry. Czasem przykrywano ich słomą i „na niby" młócono cepami, co miało zapewnić szczęście w pożyciu małżeńskim

Wraz ze zmianą charakteru pokładzin zatarł się ich właściwy sens i zwichnęła logika obrzędu, ponieważ „czepiny" urządzano przeważnie przed odprawianymi „na wesoło" podkładzinami.

Pierwotnie obrzęd oczepin odbywał się bardzo kameralnie. Wieczorem po pokładzinach swaszki zamykały się z młodą w komorze tak, żeby nikkt tego nie zauważył. Ubierały ją w normalny strój świąteczny, sadzały na cebrzyku z wodą, nakrytym deską i upinały jej włosy tak, jak to wówczas robiły mężatki, po czym nakładały ciasny czepek i chustką wiązały na potylicy. Po zakończeniu czepienia wyprowadziły młodą w stroju mężatki śpiewając:

Już ideme z komorońku,
Dajte że nam horiłońku,

Zrobyłysme z diłku żenu,
Wedemu jy zaczepłenu.

W późniejszych czasach czepienie odbywało się w zamkniętej komorze, ale w obecności starosty, drużbów i pana młodego, który siedząc na wspomnianym już cebrzyku z wodą, trzymał żonę na kolanach. Obecność drużbów, robiących przy tym różne żarty, odbierała czepinom charakter tajemniczego misterium. W końcu oczepiny z komory przeniesione zostały do izby i robiono je w obecności wszystkich weselników. Powstała przy tej okazji nowa oprawa dekoracyjna. Zdarzało się, np. że po oczepinach drużbowie podnosili na toporkach kapelusz pana młodego, pod którym tańczyła najpierw młoda para, a następnie starosta z panną młodą i inni weselnicy. Za ten taniec musieli oni płacić pieniądze zaś zbierał starosta „na czypeć". Po oczepinach nowożeńcy i wszyscy weselnicy szli na potok, gdzie młodzi myli twarz i ręce w bieżącej wodzie. W powrotnej drodze młoda brała z potoku wiadro wody i po przyjściu do domu kropiła nią ściany izby nie szczędząc też weselników.

I znowu następowały poczęstunki, muzyka, śpiewy i tańce, ale obrzędowa część wesela była już w zasadzie ukończona. Podczas zabawy przychodzili /zwykle z długim targiem przed zamkniętymi drzwiami/ zaproszeni przez specjalne w tym celu wysłanych drużbów, rodzice i rodzina panny młodej, czyli tzw. „prydaniany" Ci po wzajemnych powitaniach i złożeniu darów rodzinie pana młodego, włączali się do wspólnej zabawy. Wesele kończyła mowa starosty oraz pełna treści pieśń swaszek:

Weselija sia kończyt,
Byda sia zaczyna,
Mołodycia płacze,
Że uż ne wytryma...

Później były jeszcze "poprawyny" - u rodziców panny młodej, "swaszczyny" zorganizowane przez swaszki „drużbyny" – przez drużbów, „starosty", - przez starostę, a nawet „marszałkowyny" – przez marszałka. Widać rozbawieni uczestnicy wesela długo nie mogli wrócić do szarej, codziennej rzeczywistości.

W przepisowym czasie, czyli do roku po ślubie, rodziło się zwykle pierwsze dziecko. Okres ciąży był u Łemków pełen różnorakich nakazów i zakazów, jakie przyszła matka powinna przestrzegać dla dobra mającego się narodzić potomka. Spośród nich była mowy o tym, że nie należy wycierać rąk myjakiem do naczyń, bo dziecko będzie „smarkate", a już całkiem wzbronione było kobiecie brzemiennej „patrzeć" przez szparę, bo dziecko w przyszłości będzie „siedzieć w kryminale".

W czasie porodu funkcję akuszerki pełniła „babka” – starsza, doświadczona kobieta, która za swą pracę nie brała żadnego wynagrodzenia, prócz jakiegoś drobnego prezentu, ponieważ „babienie” uważane było za czynność zaszczytną, wyróżniającą kobietę w lokalnym środowisku. „Babce” pomagała zwykle jakaś z sąsiadek. Dobrze na przebieg porodu wpływała obecność znajomej „bosorki”, natomiast nie wolno było dopuszczać obecności obcych kobiet, wśród których mogła się znaleźć „zła bosorka”, mogąca spowodować ciężkie komplikacje w połogu. W przypadku trudnego porodu stosowano różne sposoby, racjonalne i magiczne, mające przyśpieszyć rozwiązanie i ulżyć cierpieniom, położnicy. W Gładyszowie np. „babka” nacierała jej krzyże wódką z „mocnym zielem” /chaber łąkowy/, a gdy to nie pomagało, brała ze swą pomocnicą położnicę na plecy i potrząsała nią, „żeby dziecko szybciej wyszło”. Dobrze też było przewiązać położnicę stułą pożyczoną od księdza. W Zdyni trudny obowiązek pomocy przy trudnym porodzie spadał na męża, który powinien przynieść w ustach wodę nabraną w rzece i przelać ją do ust. rodzącej żony.

W czasie porodu zwracano pilną uwagę, czy dziecko „urodziło się w czepku” /błonie porodowej/, co wróżyło dla niego wielkie szczęście na całe życie. „Czepek” należało w zasadzie przechowywać, ale w niektórych wsiach był zwyczaj, że matka wyrzucała go przy cerkwi.

Póki dziecko nie było ochrzczone, wymagało szczególnie starannego pilnowania, aby nie zostało porwane przez „mamuny”, czyli „bohynie”, które w zamian podrzucały swoje dziecko, szpetne, żarłoczne i wszaskliwe.

Gdy dziecko umierało bez chrztu, dusza jego plątała się po świecie i dopiero po 7 latach wołała „chrztu”. Wówczas trzeba było rzucić kawałek płótna /tzw. „kryżmo”/ i powiedzieć: jakieś diucza naj ty bude Ewa, jakjeś chłopec naj ty bude Adam. Dusza wtedy była już zaspokojona i odlatywała w zaświaty. Jeśli nastąpiło poronienie, należało poroniony płód pochować tymczasowo zagrzebany w izbie pod stołem. W dniu, kiedy miał nastąpić prawidłowy poród, dusza zaczynała wołać chrztu, należało ją wtedy ochrzcić według powyższej formułki, odkopać płód i pochować na cmentarzu.

Do chrztu proszono jak najwięcej kumów, bo każde z nich, jak nakazywał zwyczaj, przynosiło dla dziecka „kryżmo”, tj. kawał płótna długości 2-3m. Kryżma nie wolno było ani darować ani sprzedać, bo gdyby dziecko zmarło, to kryżmo ciągłoby dzieci na drugi świat jedno po drugim.

W czasie drogi z dzieckiem do chrztu „chresna” /matka chrzestna/ mając je na ręku, nie mogła oddawać moczu, gdyż dziecko bardzo długo moczyłoby się w kołysce. Jeśli

chrzczono dziewczynkę, pod próg cerkwi podkładano męskie spodnie, żeby następnym razem urodził się chłopiec. Kumowie asystujący przy chrzcie trzymali w rękach zapalone świece. Po powrocie do domu rodzice chrzestni wygłaszali jedną z tradycyjnych formułek, np.: Wziałymy kasztana, oddałymy krestyjana. W Gładyszowie, gdy po chrzcinach wracano do domu z dziewczynką, w „chyży" witała chrzestnych jedna z kobiet i brała z rąk chrzestnej dziecko, a następnie podchodziła z nim do pieca ze słowami: Daj ti pid pec, szczobys była dobra gazdynia, szczobys sia trymała pieca.

W niektórych wsiach zebrani goście brali po kolei niemowlę i tańczyli z nim, aby w przyszłości lubiło i umiało tańczyć. Gdy po tych i innych zabiegach dziecko znalazło się wreszcie z powrotem w kołysce, zaczynała się wesoła gościna, w czasie której flaszka z wódką żwawo krążyła po stole, a zebrani śpiewali okolicznościowe piosenki, głównie pod adresem kumów, np. do chrzesnej:

Any toto chrestia
Wesełe ne bude,
Jak mu chresna maty
Spiwaty na bude.

Na to chresna odpowiedziała:

Wesełe, wesełe,
Toto chresna bude,

Chot mu chresna maty
Spiwaty ne bude.

A teraz do kuma:

Kume nasz, kume nasz
Szto nam dasz, szto nam dasz
Dam wam paluneczky
Pijteże kumeczky

albo:

Kume, kume dajte wina
Budete mat za rik syna,
Jak ne date nam horiłky
Budete mat same diułky.

Przy ciągłym śpiewie i przepijaniu „palenką” /wódką/ lub „kropkamy” /eterem/ czas mijał szybko. Eterem byłem częstowany w domach w Kotani jeszcze w latach siedemdziesiątych. Pod koniec uczty ojciec chrzestny wygłaszał krótkie przemówienia na temat noworodka i jego potrzeb, a następnie zbierał na talerz pieniądze składane przez gości dla dziecka. Niezależnie od tego, jeszcze przed chrzcinami składano dary matce, głównie w postaci różnego rodzaju jadła /chleb ser, masło, jaja, a także wódkę/.

Pierwsza kąpiel dziecka po chrzcie miała charakter wyjątkowy. Na stole w pobliżu niecek, gdzie kąpano dziecko, kładziono chleb z wbitą weń płonącą świeczką, jedną z tych, które w cerkwi trzymali kumowie. Do wody wrzucano czosnek, pieniądze, a także inne przedmioty o wyraźnej symbolice, jak np. młotek, igłę, ołówek, zeszyt itp. Cel tego był jasny. Wodę z tej kąpieli wylewano albo do rzeki, albo w miejscu, gdzie nikt nie chodził, bo była to woda „oświęcona”.

W niedzielę lub dwie niedziele po chrzcie kobiety urządzały składową ucztę, tzw. „rodowyny”, mocno zakrapianą wódką. Prosiły też na nią jakiegoś muzykanta. Podchmielone kumosie śpiewały różne piosenki dostosowane do sytuacji, np.:

Dobryj tot kieluszok szto pod prednos beżyt,
Napyjmy sia kumo, bo sia tak należyt.

Jak już się dobrze podochociły, posyłały po mężczyzn. Plotka głosi, że nie zawsze po własnych mężów...

Mimo tych rozmaitych sposobów chroniących człowieka przed wszelkim złem i zapewniających mu zdrowie, Łemkowie zapadali na różne choroby, no i marli. Najwięcej starzy i małe dzieci. Starzy dlatego, że musieli, dzieci bo nie zawsze umiały dostosować się do trudnych warunków życia. Marli tym bardziej, że dawni Łemkowie nie lubili naprzykrzać się lekarzom, a już broń Boże przyczyniać się do „przeludnienia” szpitali. Jeżeli ktoś zachorował, szli do znachora, pokazywali mu np. koszulkę chorego lub flaszeczkę z moczem, a znachor wiedział już wszystko i radził co robić. Jeśli pacjent przeżył, to znaczy, że mu znachor pomógł jeśli umarł, to widać choroba była nieuleczalna.

Zmarłego myto, ubierano w białą koszulę i przykrywano lnianą płachtą. Na jego piersiach, gdy był to żołnierz leżały medale, jakie posiadał i „absid”, czyli dokument zwolnienia z C.K. austriackiej armii. Pod głowę dawano garść święconego ziela, żeby diabeł nie miał do zmarłego przystępu, a pod marami kładziono różne żelazne przedmioty, np. siekierkę, żeby ciało się nie psuło. Był to raczej zapomniany już środek zabezpieczający przed dostępem złych mocy.

Ponieważ Łemkowie wierzyli, że dusza zmarłego do chwili pogrzebu błąka się po domu i wszystko widzi i słyszy, więc stawiano na stole talerz z czosnkiem i solą, żeby się miała czym pożywić, na oknie naczynie z wodą, gdzie mogła się wykąpać i napić. W drugim dniu przychodził zazwyczaj ksiądz z diakiem dla odprawienia „parastasu", czyli modlitwy za zmarłych. Przez cały jednak czas od śmierci do pogrzebu schodzili się dniem i nocą ludzie odmawiający przy zmarłym modlitwy i czytającym „psałtyr". Przez dzień modlili się głównie starsi, natomiast na noc przybywała młodzież, co na wschodniej Łemkowszczyźnie nazywało się „chodzeniem na koty". Zaczynano oczywiście od modlitwy i czytania psałterza, ale wiadomo było, że młodzież długo tak nie wytrzyma. Dla zabicia czasu zabawiano się, z razu zupełnie niewinnie. Później następowały różne popisy, w końcu przechodziły one w niesmaczne wybryki. Dla pokazania, że „ja się trupa nie boję", ktoś pociągał nieboszczyka za ucho, drugi „odważniejszy" wkładał mu do zębów fajkę i szarpał za nogę, aż wreszcie znalazł się i taki, co pchnął całe mary i nieboszczyk potoczył się na podłogę. „Zabawa", coraz bardziej wyuzdana, trwała do świtu. Gdy zaczęli przychodzić starsi, nieboszczyk leżał już na swoim miejscu, przykryty płachtą i odpoczywał po nocnych przygodach.

Łemkowie rozróżniali dwa rodzaje pogrzebów: „duży i mały". Duży odbywał się z wielu chorągwiami, z procesją, z dwoma kazaniami, mszą żałobną i czytaniem ewangelii przy każdym napotkanym po drodze krzyżu czy kapliczce. „Mały" pogrzeb odbywał się bez kazań i żałobnego nabożeństwa, nie było też czytania ewangelii, niesiono na nim jedynie jakąś starą chorągiew.

Trumnę robił stolarz, nie biorąc zapłaty za robotę. Pomagali mu ci, którzy przychodzili modlić się przy zmarłym. Do trumny, po ułożeniu zwłok, wkładano mężczyźnie fajkę i „duhańczyk" /woreczek z tytoniem/, czasem flaszkę wódki, a zawsze pieniądze „na wykup".

W czasie pogrzebu ksiądz odmawiał w izbie nad zmarłym „parastas" a potem wychodzili z diakiem przed dom i wygłaszał kazanie do zebranych, w którym podnosił różne cnoty zmarłego i jego zasługi. Następnie formował się orszak. Na czele postępował chłopak z krzyżem lub płonącą „trijcią", dalej mężczyźni z chorągwiami, za nimi ksiądz z diakiem i mężczyźni niosący na marach trumnę. Za nią postępowała rodzina zmarłego i znajomi, na końcu zaś gospodyni, niosąca w płachcie dwa potężne bochenki chleba, a pod pachą kurę. Otrzymywał to ksiądz za tzw. „wynis". Prócz normalnej zapłaty, dawano mu jeszcze tyle płótna, jak długa była trumna.

Po pogrzebie odbywała się „tryzma", czyli stypa. Zaczynali ją diak modlitwą za zmarłego, a przy jadle i kieliszku rozmawiano na temat jego życia, zalet i przywar, śpiewano

mu „Wiecznaja pamiat”. Pod koniec niektórzy, bardziej trwożliwi, zwracali uwagę, że zmarły, jak na „normalnego” nieboszczyka, wyglądał w trumnie zbyt czerstwo, był rumiany i kto wie, czy nie zostanie po śmierci „upirem” /upiorem/.

V. Zawieruchy wojenne, kształtowanie odrębności narodowej Łemków.

Opisywany teren był widownią wielu walki i niepokojów na przestrzeni ostatnich kilku stuleci. W wieku XV podczas wojen Polski z Węgrami odwiedzały Łemkowszczyznę wojska węgierskie, które paląc i rabując zapuszczały się daleko w głąb Pogórza. Tak więc Polak i Węgier nie zawsze byli bratankami.

Kronikarz Jan Długosz pisał: „ Tymczasem Maciej król węgierski stawszy się wrogiem króla polskiego /chodzi o Kazimierza Jagiellonczyka/ i Polaków, że tylekroć żądane przezeń związki przyjaźni i pokrewieństwa nie przyszły do skutku, wysłał potajemnie do Polski sześć tysięcy zbrojnych ludzi, przez lasy oddzielające Polskę od Węgier, pod dowództwem Tomasza Tarczay’a Węgrzyna dziedzicznego pana zamku Siedmilipia. Ci chcąc Polaków tem zręczniej podejść /albowiem i wtedy nie zachowali należnej baczności ani straży, chociaż ich zewsząd o zbliżaniu się Węgrów ostrzegano/, wkroczyli do kraju i późną nocą podstąpili pod Żmigród”...

Którędy wiodła marszruta wojsk węgierskich? Długosz pisze, że operacja odbywała się potajemnie, że wojska przeszły lasami pogranicza. Wybrano więc zapewne któryś z mało uczęszczanych szlaków. Bowiem przemarsz tak licznej armii drogą przez Jaśliska bądź przez Duklę zniweczyłby zaskoczenie Żmigrodu. Prawdopodobnie trasa wojsk węgierskich wiodła przełęczą Beskid i dalej doliną Wisłoki pod Żmigród. Węgrzy doszczętnie złupili miasto nie szczędząc kościołów. Długosz pisze: lasy także ubezpieczyli silną strażą pieszego wojska, aby ich pościnaniem drzew nie zamknięto... Węgrzy bowiem prowadzili ze sobą działa i tabory. Miarą zaskoczenia strony jest fakt, że nie zdążono nawet uczynić zasieków na traktach granicznych od strony Węgier. Po złupieniu i spaleniu Pogórza Węgrzy wycofali się na mocy pokoju w Starej Wsi 21 lutego 1474r. Wracających do kraju Węgrów chłopstwo napadało w lasach i mordowało w rewanżu za łupiestwo i grabieże. Węgierski najazd na kilka lat zakłócił pomyślny rozwój tych ziem. O rozmiarach zniszczeń świadczą wieloletnie zwolnienia podatkowe spustoszonych miast i wsi.

Pod koniec XV w. zdarzały się napady mieszczan bardejowskich na pograniczne osady

po stronie polskiej. W 1491r złupiona była Zdynia a siedem lat później Grab. Prawdopodobnie były to rewanże za napady wspomnianych już wcześniej „beskidników".

Z tej samej ludności co beskidnicy rekrutowali się „harcnicy", rodzaj straży powołanej do zwalczania zbójectwa i ochrony granicy. Zygmunt III zabronił w 1620r. uciążać stacjami wojskowymi wsie górne ruskie, z których hajducy do Biecza należą... i posługę wojenną odprawiają. Gdy na wschodzie rozgorzała walka z Kozakami, „beskidnicy" nawiązali kontakt z Chmielnickim i wystąpili ostro przeciw szlachcie, niszcząc i paląc pozbawione obrony dwory. Po zwycięskiej bitwie pod Beresteczkiem, gdy do domów wróciła szlachta, na ludność ruską padł strach przed zemstą. Wielu mieszkańców wsi Beskidu Niskiego uciekło wówczas na Węgry.

Wcześniej już dali się poznać Rusinom Lisowszczyzny, którzy na przełomie drugiej i trzeciej dekady XVIII w, przechodzili przez Beskid na Węgry, gdzie walczyli przeciw Rakoczemu.

Górskie wsie Beskidu Niskiego w XVI i XVII stuleciu nękane były również przez bandy rabusiów zwane tołhajami. Nadchodziły one z południa – określano je więc jako węgierskie, ponieważ dzisiejsza Słowacja, zwana wówczas Górnymi Węgrami, była pod panowaniem węgierskim. Bandy liczyłu od kilkunastu do ponoć kilkuset członków. Na ich napady narażone były zwłaszcza wsie położone głęboko w górach, blisko granicy. Niszczone były całe grupy miejscowości. Napady tołhajów wzmogły się w czasie najazdu wojsk Rakoczego w 1657r. Był to też okres potopu szwedzkiego. Szwedzi jednak na ten teren nie dotarli. Żołnierze Rakoczego dokonywali napadów i grabieży. Tołhaje i wojska Rakoczego sprawiły, że wiele beskidzkich wsi zostało znacznie zniszczonych.

W latach siedemdziesiątych XVIII w. Łemkowszczyzna stała się terenem partyzanckich działań konfederatów barskich z wojskami rosyjskimi. Wiosną 1769r. nadciągnęły tu oddziały konfederatów zmuszone wcześniej do wycofania się z Mołdawii. Dowódca książę Marcin Lubomirski otrzymał polecenie werbowania chętnych do nowych oddziałów. Podlegał mu Kazimierz Pułaski, mianowany regimentarzem krakowsko-sanockim i sandomierskim. Ten ostatni urząd przejął Pułaski od Adama Parysa /późniejszego właściciela Huty Polańskiej i lasów zwanych parysowskimi/. 7 kwietnia 1770 roku konfederaci wydali uniwersał wzywający ludność pod broń i żądający pomocy w zaopatrzeniu „za co Bóg i Ojczyzna będą wdzięczni... . Oto mnie macie, który życie i fortunę bez względu na kochaną żonę i miłe dziadki, szczerych przyjaciół i krewnych dla Boga, Ojczyzny i was nieść i azardować chcę, gotów jestem..." – tak brzmi fragment odezwy wydanej w Barwinku

przez Adama Parysa. Konfederaci założyli obozy warowne. Największy był w Grabiu. Stanowiły one bazę do wypadów i miejsce na szkolenie. Do dziś pozostało wiele śladów okopów. Pobyt konfederatów był dla miejscowej ludności wielce uciążliwy. Spadł bowiem na nią ciężar wyżywienia konfederatów i dostarczenia paszy dla koni. Pobytowi towarzyszyły różnego rodzaju nadużycia i samowole żołnierzy. Gdy w ślad za konfederatami nadciągnęły wojska rosyjskie na terenie Łemkowszczyzny odbyło się wiele potyczek i większych bitew. Jedną z nich była bitwa pod Grabiem, stoczona 13 stycznia 1770r, zakończona przegraną konfederatów. Ranny został wtedy Kazimierz Pułaski. Później do ważniejszych należała bitwa pod Świątkową.

W czasie wojny konfederackiej Łemkowie sympatyzowali z Rosjanami. Byli oni bliżsi językiem i wyznaniem Łemkom, bo Łemkowie choć grekokatolicy, emocjonalnie ciążyli do prawosławia. Konfederaci zdając sobie sprawę z nastrojów ludności, podejrzewali Rusinów o szpiegostwo na rzecz wroga, co pociągało za sobą różne represje. I rozbiór Polski i wkroczenie wojsk austriackich na te tereny przerwało działalność konfederatów. Pamiątką po konfederatach są legendy o założeniu Huty Polańskiej i Huty Krempskiej.

Odmienna kultura, zwłaszcza język ruski i obrządek, powodowały izolację Łemków od otaczających ich polskich grup etnicznych. Łemkowie posiadali wyraźne poczucie odrębności. Towarzyszyła im niechęć do mieszanych małżeństw. Nie istniały natomiast żadne podziały między ludnością ruską po północnej i południowej stronie Karpat. Łemkowie obu stron odwiedzali się wzajemnie, zawierali małżeństwa, jeździli na drugą stronę na odpusty i jarmarki. Nic nie stało temu na przeszkodzie, póki Łemkowszczyzna wchodziła w skład Austro-Węgier i nie była podzielona granicą polityczną.

Świadomość grupowa Łemków wykształcać się poczęła w XIX wieku. Ułatwiała to polityka austriacka w Galicji, mająca z Rusinów uczynić siłę przeciwko Polakom.

W połowie XIX wieku powstała orientacja staroruska. Na Łemków zaczęła wówczas silnie oddziaływać propaganda tzw. rusofilska, która głosiła idee Wielkorosji – ojczyzny wszystkich Słowian, zwłaszcza zaś Rusinów, zjednoczonych przez państwo rosyjskie i wyznanie prawosławne.

W ciągu pierwszej połowy ubiegłego wieku kierunek rusofilski, zwany /od katedry św. Jura we Lwowie/ świętojurajskim a później „staroruskim, rozprzestrzenił się na terenie całej wschodniej Galicji. Objął również Łemkowszczyznę. Sympatie prorosyjskie wzmogły się tu bardzo silnie po 1849r., kiedy wojska cara Mikołaja I przechodziły przez Łemkowszczyznę w drodze na Węgry, gdzie pomagały Austrii w tłumieniu powstania Kossutha. Łemkowie

przyjmowali Rosjan bardzo życzliwie. Obraz imponującej armii ugruntował ich nastroje skierowane ku brataniu się z narodem rosyjskim. Współdziałała w tym także wzmożona propaganda ze strony księży grekokatolickich. Ks. Konstantynowicz z Żydowskiego, za zasługi poniesione w czasie przemarszu wojsk rosyjskich, nagrodzony został „krzyżem zasługi". W kołach staroruskich uważa się, że Łemko czuł odtąd za sobą siłę, a w razie potrzeby pomoc bratniego narodu olbrzymiego państwa. Dodać trzeba, że wojsko rosyjskie zachowywało się przyjaźnie a żołnierze bratali się z ludem. Sprzyjało temu podobieństwo języków i obrządków.

Równolegle z działalnością polityczną i religijną, nastawiającą Łemków w kierunku prawosławia, rozwijała się działalność kulturalna. Niemal w każdej wsi istniała czytelnia im. Michała Kaczkowskiego, w której prócz literatury propagandowej znajdowały się, przysłane z Rosji, dzieła klasyków literatury rosyjskiej oraz wydawnictwa krajowe, pisane głównie przez księży w języku ruskim, z licznymi wtrętami rosyjskimi. Przykładem są pisma ks. Włodymira Chylaka, któremu Rosjanie wytykali błędy językowe, a Ukraińcy moskalofilskie sympatie, on zaś po prostu „uszlachetniał" gwarę łemkowską przy pomocy języka rosyjskiego.

W drugiej połowie XIX w. wśród inteligencji ruskiej zrodził się nowy kierunek polityczny, akcentujący przede wszystkim odrębność narodu ruskiego od Rosjan, uznający jedność Rusinów Galicyjskich i Ukrainy kijowskiej, wysuwający jako cel powstanie wolnego państwa ukraińskiego. W latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku partia ukraińska, o zdecydowanym charakterze nacjonalistycznym, grała już poważną rolę w austriackim parlamencie. Przystąpiła ona do ostrej walki z kierunkiem staroruskim, który reprezentował wręcz odmienną od Ukraińców ideologią. Wschodnią część Galicji udało się Ukraińcom opanować stosunkowo prędko, ponieważ przyszły im z pomocą władze cerkwi grekokatolickiej, które ideologię ukraińską nakazywały głosić duchowieństwu, szczególnie parafialnemu. Odtąd cerkiew grekokatolicka, ze swą stolicą we Lwowie, gdzie przez długie lata władał metropolita Andrej Szeptycki, stała się ośrodkiem nacjonalistycznego ruchu ukraińskiego, a wyznanie grekokatolickie narodową religią Ukraińców. Bastionem nie do zdobycia okazała się jedynie Łemkowszczyzna.

Ukraińcy nie mogąc znaleźć punktu zaczepienia, szukali drogi do Łemków za pośrednictwem działań gospodarczych. W miastach na obrzeżu Łemkowszczyzny /Sanok, Jasło, Nowy Sącz/ zakładali filie spółdzielni "Silskyj Hospodar", "Łemkiwsky Bank" a także filie Towarzystwa „Proswita", prowadzącego działalność kulturalno-oświatową i upolitycznią w duchu jedności ukraińskiej. Towarzystwo „Proświta" w Nowym Sączu

liczyło 118 członków, rekrutujących się głównie ze sfer urzędniczych. Mimo usilnych starań wysiłki Ukraińców, aby pozyskać Łemkowszczyznę nie dawały rezultatów. W 1906r. odbył się w Nowym Sączu zjazd „Proświty", gdzie delegat Zarządu Głównego Towarzystwa, Iwan Bruk zwrócił uwagę w swym przemówieniu, że na zebraniu brakuje tych, dla których przeznaczona jest działalność „Proświty", a mianowicie łemkowskich chłopów. Odpowiedzialnością za to obarczył łemkowskie duchowieństwo, które w swoim zaślepieniu i bezgranicznej krótkowzroczności nie tylko samo nie oświeca powierzonej mu trzody, ale przeciwnie wstrzymuje ją wszelkimi sposobami od tego światła, jakie rozchodzi się z filii Towarzystwa.

Zawzięta walka między obydwiema partiami toczyła się w atmosferze wzajemnych pomówień i oszczerstw, zarówno na miejscu, czyli w dawnej Galicji, jak i za oceanem, w Ameryce, gdzie pod koniec ubiegłego wieku Łemkowie – tak Ukraińcy, jak i starorusini wyjeżdżali masowo na zarobek. Powstały tam wkrótce ośrodki kulturalne i polityczne, osobno staroruskie – łemkowskie /Łemkosojuz/, osobno ukraińskie, które swą działalnością propagandową zasilały obydwie strony walczące ze sobą w „starym kraju". Nie obeszło się również bez złośliwych przezwisk. Ukraińcy nazywali i nazywają sympatyzujących z Rosją starorusinów – „kacapy", natomiast ci rewanżowali się nacjonalistom ukraińskim nazwą „mazepińcy". Obecnie w Nowym Jorku działa „Światowa Federacja Łemkiw" która jest organizacją obrony Łemkiwszczyny i objednania Łemkiw. Naczelnym jej hasłem jest połączenie ukraińskich ziem etnograficznych w wolnym państwie ukraińskim. Przy Federacji utworzony został „Fundusz badania Łemkowszczyzny". Opodatkowali się na niego Ukraińcy przebywający w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie. Staroruska organizacja Łemków przeżywa obecnie trudności materialne.

Władze austriackie, popierające początkowo starorusinów, pomimo ich staroruskiego nastawienia, zmieniły swe postępowanie, gdy popsuły się stosunki polityczne z Rosją. Zaczęły one wówczas forsować Ukraińców, opowiadających się po stronie Austrii. We wszystkich tych poczynaniach widać politykę wielkomocarstwową zmierzającą poprzez manipulowanie mniejszościami w kierunku rozbicia jedności i ich osłabienia. Taka polityka służyła zarówno Rosji jak i Austrii a także Ukrainie i Polsce. Dokąd naród łemkowski był i jest w rozbiciu nie zdołał i nie zdoła skutecznie występować w swych słusznych interesach.

Łemkowie starorusini cierpieli w różnych okresach prześladowania za swoje poglądy. Pierwsze wielkie prześladowania rusofilów miały miejsce podczas I wojny światowej. Już w roku 1913 władze austriackie sporządzały /nieraz przy pomocy Łemków – ale zwolenników

orientacji proukraińskiej / listy podejrzanych o sprzyjanie Rosji. Znaleźli się na nich starorusini – działacze chłopscy, księża, nauczyciele. Aresztowania zaczęły się jeszcze przed wybuchem wojny. Wiele osób rozstrzelano z wyroków sądów polowych. Austriacy tłumaczyli swe pierwsze niepowodzenia na froncie między innymi działalnością starorusinów, stosując wobec nich ostrą walkę represyjną. Ucierpiała wtedy szczególnie Łemkowszczyzna, gdzie aresztowano wielu księży grekokatolickich i chłopów, znanych z przekonań moskalofilskich. Uwięzionych sądzono w trybie doraźnym w Wiedniu lub wywożono do obozu w Thalerhofie. Wielu stracono bez sądów. W ten sposób zginął 27-letni ksiądz prawosławny, Maksym Sandowycz /1886-1914/.

11 września 1994r. podczas uroczystej Liturgii Świętej w cerkwi p.w. Trójcy Świętej w Gorlicach wyniesiony został przez Kościół prawosławny na ołtarze i zaliczony w poczet męczenników o. Maksym Sandowycz, jeden z pierwszych krzewicieli prawosławia na Łemkowszczyźnie i ofiara represji z początkowego okresu I wojny światowej.

Św. Maksym urodził się 31 stycznia 1886r. z Żdyni /Zdyni/, gdzie jego przodkowie mieszkali już w XVIII w. Jego ojciec, Tymofij Sandowycz, był diakiem /Psalmistą/ miejscowej cerkwi i – jak na miejscowe stosunki – zamożnym gospodarzem. Mógł więc posłać syna do gimnazjum. Św. Maksym kształcił się w Jaśle i Nowym Sączu, a po ukończeniu gimnazjum wstąpił do zakonu oo. bazylianów , by w 1904 r. przenieść się z grekokatolickiego monasteru w Krechowie do prawosławnej Ławry Poczajowskiej Tu zwrócił swą uwagę świątobliwością oraz zdolnościami i został skierowany do seminarium duchownego w Żytomierzu, gdzie w listopadzie 1911r. otrzymał święcenia kapłańskie. Krótko przedtem zawarł związek małżeński z Pelagią Hryhoruk, pochodzącą z okolic Hajnówki.

W listopadzie 1911r. św. Maksym powrócił z imperium rosyjskiego w rodzinne strony i został duszpasterzem w Grabiu, Wyszowatce i Długiem, gdzie część ludności przeszła na prawosławie. Była to pierwsza po wiekach gmina prawosławna na Łemkowszczyźnie. Pierwszą Liturgię św. Maksym odprawił w Grabiu 2 grudnia 1911r. nieomal natychmiast spotkały go szykany i represje ze strony władz austriackich widzących w odradzaniu się prawosławia zagrożenie dla bezpieczeństwa państwa. W marcu 1912 roku św. Maksym został aresztowany pod zarzutem szpiegostwa na rzecz Rosji, a dwa lata później stanął przed sądem wraz z tzw. grupą Bendasiuka. Trzymiesięczny proces zakończył się jednak 6 czerwca 1914 r. uniewinnieniem przez ławę przysięgłych wszystkich oskarżonych. Św. Maksym osiadł w Zdyni, jednak po wybuchu wojny, 4 sierpnia 1914 roku /wg innych danych – dopiero 28 sierpnia/ został aresztowany i osadzony w więzieniu w Gorlicach. Aresztowano też jego ojca i

ciężarną żonę. O ile wiadomo, nie był przesłuchiwany. Nie jest jasne, czy decyzja o rozstrzelaniu była skutkiem telefonicznego rozkazu dowództwa władz wojskowych z Krakowa, czy też była to samowola oficerska żandarmerii austriackiej, rtm. Dietricha – w tym czasie łatwo ferowano w Galicji wyroki śmierci. Egzekucja odbywała się o 7^{00} rano na placu przed więzieniem, gdzie zgromadziła się uprzedzona przez kogoś grupa mieszkańców miasta. Żona i ojciec świętego obserwowali ją z okien swych cel. Św. Maksym krzyknął przed śmiercią: „Niech żyje święta Ruś i święte prawosławie /wg innej relacji: „ruskij narod i swiatoje prawosławie"/. Wg mieszkańca Gładyszowa nazwiskiem Jodłowski, który przebywał w celi razem z św. Maksymem Sandowyczem w dniu 14 września 1914r /relacja z 1936r/ kazano św. Maksymowi Sandowyczowi wyjść z celi i oświadczono, że zostanie przewieziony do twierdzy przemyskiej. Tymczasem wyprowadzono go na podwórze więzienia w Gorlicach i zawiązano oczy. Rotmistrz, który przedtem oświadczył, że śmierć o. Sandowycza bierze na swoje sumienie, a ktokolwiek ośmieliby się protestować, zostanie rozstrzelany, rozkazał dwum żandarmom rozstrzelać o. Sandowycza, a ponieważ nie udało się go zabić od razu, starszy żandarm Weigel dobił leżącego strzałem w skroń. Ten Weigel żył jeszcze w latach trzydziestych i mieszkał w Gorlicach.

Ciało św. Maksyma pochowano w Gorlicach, dopiero po wojnie rodacy z Ameryki zebrali i nadesłali pieniądze na odszukanie ciała i pochowanie go w Żdyni. Pomnik nagrobny wzniesiono zapewne w latach trzydziestych, gdy syn – pogrobowiec męczennika, urodzony w obozie w Thalerhof – był już dorosły. Grób św. Maksyma stał się miejscem pielgrzymek prawosławnych z Łemkowszczyzny i z dalszych stron. Jego rodzinna wieś pozostała jednak wierna Kościołowi grekokatolickiemu, stąd też dwudziestą rocznicę męczeństwa obchodzono w sąsiedniej wsi Czarne, podówczas nieomal w całości prawosławnej. Wystawiono tam wtedy pamiątkowy obelisk, który przetrwał do dziś jako jedna z nielicznych pamiątek po wsi.
W maju 1994r. Synod Polskiego Autokefalicznego Kościoła Prawosławnego, uznając trwałość kultu o. Maksyma i przekonanie ludu łemkowskiego o jego świętości, wyniósł go na ołtarze.

Starorusini uważają, że przyczyną aresztowań i wyroków były denuncjacje dokonywane przez Ukraińców, którzy w ten sposób chcieli się pozbyć przeciwników politycznych. Podają nawet w konkretnych przypadkach nazwiska osób, które swymi oskarżeniami spowodowały aresztowania i procesy o moskalofilstwo lub szpiegostwo. Około kilku tysięcy Łemków znalazło się w więzieniach i obozie koncentracyjnym Thalerhof koło Grazu /Austria/.

Linia frontu przesuwała się szybko w kierunku południowo-zachodnim i oparła się na grzbietach Beskidu Niskiego, gdzie z drobnymi przesunięciami ustabilizowała się od listopada 1914r na przeciąg 5 m.-cy zimowych, wypełnionych walkami pozycyjnymi. Linia okopów austriackich biegła od Ropicy Polskiej pod Gorlicami, grzbietem Magury Małastowskiej po Przełęcz Małastowską, a stąd przez Smerekowiec, Skwirtne na górę Skałkę i Kozie Żebro, na północ od Wysowej i Blechnarki od Przełęczy Wysowskiej. Tu przechodziła na stronę węgierską /obecnie słowacką/. Rosjanie natomiast obsadzili linie wzgórz na wschodniej stronie gościńca, wiodącego z Siar przez Małastów do Banicy i Zdyni, a następnie grzbietem Rotundy i Dzielca na drugą stronę granicy.

Były to niezwykle ciężkie chwile dla ludności mieszkającej w strefie frontowej. Gnębiona przez wojsko ciągłymi rekwizycjami, przeganiana z miejsca na miejsce w okresie walk nasilających się lokalnie, często nie miała do czego wracać, ponieważ wojsko rozbierało budynki na budowę okopów i schronów. Dodać do tego należy terror wprowadzony przez dowództwo armii austriackiej, które na każdym kroku doszukiwało się sabotażu, zdrady i szpiegostwa.

Po drugiej stronie frontu było wprawdzie inaczej, ale też nie lepiej. Po wkroczeniu Rosjan do Galicji, Wielki Książe Mikołaj Mikołajewicz wydał odezwę „Do narodu karpato-ruskiego", a generalny gubernator Jurij Bobryński oświadczył, że Galicja wschodnia i Łemkowszczyzna stanowią część Wielkiej Rosji, gdyż ludność tutejsza jest rdzennie rosyjska. W związku z tym rozpoczęto się systematyczne tępienie Ukraińców. Zakazane było używanie języka ukraińskiego, likwidowano wyznanie grekokatolickie, przy czym współdziałali życzliwi dla prawosławia starorusini. Wielu Ukraińców wywieziono na Sybir.

2 maja 1915r. rozpoczęła się pod Gorlicami wielka ofensywa wojsk austriackich i niemieckich. Pobita armia rosyjska cofała się szybko na wschód, a za nią wielu Łemków, którzy bali się następstw swej kolaboracji z Rosjanami. Obawy te nie były bezzasadne, ponieważ armia austriacka, a w szczególności zaś oddziały węgierskie, srogo mściły się na ludności ruskiej, za jej sympatie do Rosji.

Z Krempnej i okolic część ludności uciekała wraz z cofającą się armią rosyjską, co świadczyło o związkach ludności z Rosją i staroruskich sympatiach. Jedną z uciekinierek była najstarsza obecnie stuletnia mieszkanka wsi Krempna Anna Bagan. Dobrze ona pamięta te czasy. Wg. jej relacji 22 listopada 1914r doszło w Krempnej /na tzw. Łokciu/ do bitwy na bagnety pomiędzy oddziałami czeskimi i rosyjskim. Potyczka odbywała się nocą w łunie pożarów wsi. Ludność uszła do Żydowskiego. Wieś została nieomal doszczętnie spalona.

Ocalał tylko przyczółek Czarne i 2 budynki w centrum wsi oraz cerkiew częściowo zniszczona. Po tygodniu spalono Żydowskie a ludność uciekła do lasu. Podpaleń wg. jej relacji dokonywali Madziary /tj. Węgrzy/. Gdy działania przycichły i front przesunął się na zachód ludność wróciła zimując w piwnicach i spichlerzach. Była to straszna zima w głodzie i chłodzie. Do tej pory widoczne są okopy z okresu tych walk nad cerkwią i na zboczu Kiczery po lewej /północnej/ stronie zbocza wzdłuż drogi asfaltowej do ośrodków wczasowych. Łatwo w lesie wyróżnić trzy linie okopów biegnących zygzakiem po lesie. Wiele jeszcze zachowało się w lasach żelastwa w tym niewypałów z tego okresu.

Gdy front po przesileniu pod Gorlicami przesunął się na wschód - relacjonuje Anna Bagan - uciekaliśmy z dobytkiem pod Sanok a później aż pod Żytomierz. Osiedlonych tam Niemców wygnano na Syberię a ich gospodarstwa oddano uciekinierom z Łemkowszczyzny. Wróciliśmy po wojnie w roku 1918. Mój późniejszy mąż został w Rosji 6 lat, gdzie przeżył Rewolucję Październikową. Wrócił w 1921r. Z Krempnej od Żytomierza przeszłam pieszo prowadząc krowę. Szło się w jedną stronę 3-mce.

Pierwsza wojna światowa przyniosła na tych terenach ogromne zniszczenia, z którymi II Rzeczypospolita w pierwszych latach istnienia musiała sobie poradzić.

Na tutejszym terenie w okresie działań wojennych przebywał jako korespondent wojenny znany pisarz węgierski autor „Chłopców z placu broni" Ferenc Molar, Poniżej zamieszczam fragment oryginalnego tekstu jego autorstwa. Dotyczy on porządków po bitwie. Nawet wtedy nie zapomniano sprzątać po sobie.

„Nigdy nie wierzyłem, że po bitwie zwycięska strona sprząta pobojowisko. Wyobrażałem sobie, tak jak inni, że gdy kończy się bitwa, zwycięzcy ściągają pokonanych, okolica uspokaja się, a walki przenoszą się dalej. A tak wcale nie jest. Gdy strony walczące wycofują się z pola bitwy, inne oddziały zwycięskiej armii z największą starannością sprzątają plac boju, niczym salę biesiadną nazajutrz po wielkiej uroczystości. Znalazłem się w środku takiego właśnie sprzątania. Obok mnie, wśród kolumn wozów chłopskich, szwendają się żołnierze z pospolitego ruszenia. Dyryguje nimi oficer. Dalej pod lasem odbywa się grzebanie poległych i stawianie krzyży. Tu, po naszej stronie, na skraju lasu leżą sterty starannie poukładanych odpadów bitwy.

Z dołu, posapując, wdrapuje się na górę Austriak z pospolitego ruszenia, obwieszony różnymi rzeczami. Idzie wzdłuż tych stert i wszędzie rzuca coś, co należy do danej sterty. Wynotowałem te rzeczy po kolei, jak leżały: oddzielnie broń rosyjska, oddzielnie nasza, rosyjskie skrzynki po amunicji, oddzielnie każdy kawałek zgubionego pasa i wyroby ze skóry,

oddzielnie wysoka góra rosyjskich menażek, sterta rosyjskich plecaków i znów oddzielnie góra amunicji zwykłej, a obok góra taśm z nabojami do karabinów maszynowych. Góra z samych ładownic, a druga z samych puszek po konserwach. Rosjanie wszędzie rabują pościel, bo robią sobie z niej legowiska w okopach. Była również duża sterta jasnokwiecistych, ordynarnych koców flanelowych. Zbierają je po zboczu żołnierze austriaccy z pospolitego ruszenia. Sterta szmat: chusty, materiały opatrunkowe, szaliki, onuce. Sterta karabinów huzarskich, którym brakło kolb. W oddzielnej kupie leżą tysiące wyciorów karabinowych. Potem góra krzywych noży rosyjskich, obok pochwy do naszych bagnetów. Cała góra opasek z różnymi rosyjskimi napisami. Sterta krótkich łopatek rosyjskich złożonych porządnie w czworoboki, kwadratowe płachty brezentowe, dokładnie złożone. Oddzielnie gatunkowo lepsze sztućce oficerskie. Olbrzymia góra bębnów z drutem kolczastym. Setki rosyjskich bagnetów o czterech ostrzach, kończących się rylcami. Sterta rosyjskich noży saperskich z zębatym ostrzem. Wielka kupa brązowych koców. Duża sterta czapek rosyjskich, czapki huzarskie. Na końcu mniejsza sterta: czapki zimowe i baszłyki, obok góra zapisanych papierów. Na polu bitwy zbiera się nawet papiery. Wszystko to świadczy o tym, że Austriacy nie zapominali o porządku nawet w takich chwilach. Tego należałoby życzyć innym narodom w tym naszemu..."

Należy zadać sobie pytanie dlaczego Węgrzy tak brutalnie obchodzili się z ludnością łemkowską? Nienawidzili oni wszystko co ruskie i rosyjskie. Pamiętali bowiem wojnę 1849r. kiedy to rosyjski korpus interwencyjny złamał węgierski ruch niepodległościowy. Rosyjskie wojska weszły na teren powstania właśnie od strony Łemkowszczyzny o czym pisałem wcześniej.

Poświęćmy nieco więcej miejsca sprawie talerhowskiej. Wywożenie internowanych rozpoczęło się już w sierpniu 1914r., a pierwszy transport dotarł do Thalerhofu 4 września. Droga transportów trwała od 4 do 6 dni, niejednokrotnie przez cały czas bez ciepłej strawy, wyłącznie o własnych zapasach, w upałach późnego lata. Internowanych rozmieszczano w wagonach towarowych. Zdarzało się zapewne w pośpiechu ewakuacji pod bezpośrednim naciskiem frontu – ładowanie wagonów i po 100 osób, a w czasie transportu z miejsc aresztowania – zazwyczaj pieszo – skuwanie łańcuchami od 6 do 20 osób ze sobą. Transporty spotykały się z objawami wrogości a nawet szykanami. Jedynie Czesi nastrojeni prawosłowiańsko witali je wręcz owacyjnie. Opisane warunki transportów wydają się na tle doświadczeń, jakie przyniosła II wojna światowa raczej umiarkowanymi. Jak zobaczymy również warunki w austriackich obozach koncentracyjnych były sielanką w porównaniu nawet

z tak „cywilizowanymi" obozami koncentracyjnymi jak Dachau czy Buchenwald. Musimy jednak pamiętać, że w Europie przed rokiem 1914 nie było podobnych instytucji. Wprawdzie pierwsze obozy koncentracyjne powstały ok. 1900r., założone zostały przez Anglików podczas wojen burskich, ale mało kto o tym słyszał, a poza tym – bądź co bądź nie była to Europa. Ówczesna Europa bowiem trwająca od pół wieku w pokoju była przekonana o swym wysokim rozwoju kulturalnym i moralnym o ustanowionej raz na zawsze praworządności, bezpieczeństwie i stabilizacji. I oto w takim właśnie praworządnym państwie jak Austro-Węgry, bo takim państwem były, zaczęto nagle więzić ludzi bez wyroku sądowego, wieszać i rozstrzeliwać po parodiach sądu albo w ogóle bez sądu, tworzyć obozy koncentracyjne dla własnych obywateli, stosować kary cielesne /np. w postaci wieszania za ręce – kara stosowana powszechnie m.in. w Thalerhofie/. I tego wszystkiego nie czynił wróg, ani obce wojska wobec ludności kraju nieprzyjacielskiego. Tego dokonywały własne wojska i władze wobec własnej ludności. Było to niewiarygodne, przerażające, rozbijało w niejednym dotychczasową wizję świata a przez to powiększało dolegliwości psychiczne związane z internowanymi. Warto mieć to na uwadze, zestawiając jakiekolwiek wydarzenia z okresu I wojny światowej z barbarzyństwami hitleryzmu.

Główny obóz dla internowanych z Galicji zlokalizowano na lotnisku Thalerhof w Styrii, kilkanaście kilometrów na południe od stolicy Styrii Grazu. Internowani szli tam pieszo ze stacji kolejowej Kalsdorfbei-Graz /ok. 2 km./ pierwsze 4 doby przebywali pod gołym niebem, następnie zakwaterowano ich w hangarach i dużych namiotach, a dopiero w połowie października wzniesiono drewniane baraki, a teren ogordzono drutem kolczastym. Dla internowanych przeznaczono 80 baraków, dla załogi obozu 30. Wzniesiono też liczne baraki zaplecza /kuchnie, łaźnie, magazyny/. W obozie, w którym jesienią 1914 r. przebywało ok. 6000 osób, panowała ciasnota, głód i fatalne warunki higieniczne, co już w listopadzie doprowadziło do wybuchu epidemii tyfusu. Trwała ona do marca 1915 r. i spowodowała śmierć 1350 osób na ogólną liczbę 1767 zmarłych w Thalerhofie przez cały czas istnienia obozu.

Jeszcze przed wybuchem epidemii, urzędująca w Grazu komisja ds. internowanych przesłuchiwała ich kolejno i część przede wszystkim omyłkowo aresztowanych zwalniała. Niektórych jednak kierując na przymusowe osiedlenie do różnych miejscowości Austrii i Czech. Po wygaśnięciu epidemii działalność tę kontynuowano. Również dopiero wtedy internowani mogli dokończyć budowy dwu kaplic grekokatolickiej i prawosławnej, które poświęcono wiosną 1915r. W maju tego roku do Thallerhofu przewieziono 800

internowanych z Terezina, a w czerwcu przeprowadzono regularny pobór do wojska, wcielając starszych mężczyzn do jednostek tyłowych, młodszych do jednostek kierowanych na front włoski. Wielu zmobilizowanych trafiało do sądów polowych i do więzień lub zostało rozstrzelanych. Przez Thalerhof przeszło wg. różnych szacunków od 8-20 tysięcy ludzi.

W 1916 r. warunki życia w obozie znacznie się poprawiły dzięki wprowadzeniu płatnych prac dla internowanych. W obozie istniały wprawdzie sklepiki-bufety, jednak ci spośród więźniów, którzy nie mieli pieniędzy i zdani byli na bezpłatne obozowe wyżywienie głodowali. Głód zapanował też w obozie na przełomie 1916/17r., w związku z ogólnie ciężką sytuacją aprowizacyjną państw centralnych. Internowani korzystali ze swobody korespondencji, mogli też otrzymywać wsparcie tak pieniężne, jak i rzeczowe zarówno od rodzin jak i z emigracji /zwłaszcza Łemkowie z USA zorganizowali znaczną pomoc dla swych rodaków/. W dość szerokim zakresie dozwolona była także działalność kulturalna, oświatowa i religijna. Z drugiej jednak strony załoga obozu pozwalała sobie na różnego rodzaju szykany wobec więźniów, jak np. nie przestrzeganie świąt.

W marcu 1917r. reskrypt cesarza Karola I rozwiązał obozy internowanych. W Thalerhofie było wówczas 3000 internowanych. Zostali oni zwolnieni na przełomie kwietnia i maja, przy czym części zwalnianych nakazywano osiedlenie się w określonych miejscowościach lub zabraniano powrotu do Galicji. Rozpad monarchii habsburskiej przywrócił półtora roku później wolność także tym zesłańcom oraz osadzonym w różnych więzieniach. Internowania, choć obejmowały bardzo rozległe tereny, były szczególnie nasilone na Łemkowszczyźnie. Lista Łemków, umieszczonych w Thalerhofie, opracowana ok. 1930r. przez W. Kuryłłę i zapewne niekompletna wymieniała 1915 nazwisk ze 153 miejscowości, w tym 168 zmarłych w obozie. Najdobitniej o orientacji rusofilskiej wśród Łemków świadczy fakt, że wśród 8000 ochotników do Ukraińskich Strzelców Siczowych doliczono się zaledwie 30 Łemków. Wielu internowanych pochodziło z terenu obecnej Gminy Krempna: Krempna 2, Grab-17, z parafii świątkowskiej obejmującej obie Świątkowe i Świerzową Ruską 6. Danych z innych wsi nie napotkałem. Jeśli zaś chodzi o udział mężczyzn w działaniach wojennych to tylko ze Świątkowej Wielkiej było na wojnie 56 mężczyzn, ze Świątkowej Małej 27, a ze Świerzowej Ruskiej 28. Spośród nich zginęło 14 osób. Danych z innych wiosek nie napotkałem.

Po wojnie pamięć o Thalerhofie stała się hasłem, skupiającym stronników orientacji rusofilskiej na ziemiach Rzeczypospolitej. We Lwowie działał Centralny Komitet Thalerhowski, zbierano dokumenty i relacje, kultywowano pamięć po zmarłych i

pomordowanych. W latach 1924-34 wydano kolejne 4 Almanachy Thalerhowskie, które przedrukowane po ostatniej wojnie w USA, stanowią podstawowy materiał źródłowy w tej sprawie. W 1934r. Zjazd Thalerhowski zgromadził we Lwowie ponad 15000 osób – poświęcono wtedy pomnik ofiar tego obozu na Cmentarzu Łyczakowskim.

Szczególne znaczenie miała tradycja thalerhowska na Łemkowszczyźnie, która po nieudanej próbie zdobycia w 1918r. autonomii przeciwstawiła się następnie ukraińskiej propagandzie narodowej. W Bartnem i Pielgrzymce oraz wielu innych miejscowościach wzniesiono pomniki pamięci ziomków, zmarłych w Thalerhofie. Większość tych pomników nie dotrwała do naszych dni. Pamięć jednak przetrwała, i pozostanie żywa wśród Łemków przez wiele jeszcze pokoleń.

W samym Thalerhofie czas zatarł ślady. Dziś jest tu baza lotnictwa wojskowego, a także camping.

Ciała zmarłych w obozie, chowanych wówczas na prowizorycznym cmentarzu „pod sosnami" ekshumowano w 1936r. i pochowano w bratniej mogile na cmentarzu w Feldkirchem, kilka kilometrów na północ. Nad mogiłą wystawiono pamiątkową kaplicę, rzadko odwiedzaną.

Pamiętamy, że ta wojna rozpoczęła pochód nowoczesnego barbarzyństwa europejskiego, a jednymi z pierwszych ofiar byli Łemkowie. Mieszkańcy Grazu i innych styryjskich miejscowości spotkali się ostatnio w trakcie uroczystości poświęcenia odnowionych cmentarzy z okresu I wojny światowej w Grabiu i Krempnej. Pomagali oni w pracach remontowych. Nikt jednak oficjalnie nie wspominał wówczas o Thalerhofie. Była to okazja do pojednania po latach. Towarzystwo Miłośników Krempnej i Okolic wystąpi z taką inicjatywą, miejmy nadzieję, po odnowieniu kolejnego cmentarza żołnierskiego na terenie Gminy Krempna.

Powracający więźniowie Thalerhofu stali się łemkowskimi bohaterami narodowymi. W 1933 r. mieszkańcy Bartnego postawili istniejący do dzisiaj odnowiony kamienny krzyż z napisem: Żerstwam Talergofa i borcem za russkuju ideju błogodarnyje Bortnianie 1933.

Po rozpadzie monarchi Austro-Węgierskiej Ukraińcy przystąpili do organizowania na terenie Wschodniej Galicji wolnego państwa ukraińskiego mającego objąć także Łemkowszczyznę. Łemkowie tej akcji nie poparli. Zarysowały się na nowo ostre różnice pomiędzy proukraińcami i rusofilcami. Ci ostatni ropoczęli tworzenie lokalnych Rad Narodowych działających pod egidą „Karpato-ruskiej rady Narodowej" w Preszowie. Intencją starorusinów było przyłączenie całej Rusi Karpackiej wraz z Łemkowszczyzną do Rosji. Stało

się to niemożliwe z powodu wybuchu rewolucji w Rosji. Rady Narodowe powstały także na terenie obecnej Gminy Krempna. Najaktywniejsza była w Świątkowej Wielkiej tzw. Ruska Rada Narodowa.

Wobec wydarzeń w Rosji podjęto starania aby Łemkowszczyzna została tymczasowo włączona jako osobna całość autonomiczna do Czechosłowacji. W grudniu 1918r. we Florynce powstała Ruska Łemkowska Republika, która przetrwała do 1920r. Ministrami jej byli przeważnie grekokatoliccy księża. Obejmowała ona południową część powiatów gorlickiego i nowosądeckiego. Kiedy na Łemkowszczyźnie zachodniej powstała „Łemkowska Ruska Republika" o nastawieniu prorosyjskim, na Łemkowszczyźnie wschodniej zorganizowała się „Republika Komańczańska", o nacjonalistycznym charakterze ukraińskim. Przystąpiło do niej ok. 30 wsi z okolic Komańczy. Republika powołała do służby własną milicję liczącą około 1000 osób. Zlikwidowały ją po walkach oddziały wojska polskiego.

Działania wyżej przedstawione były możliwe tylko w obliczu osłabienia kraju wojną i nieokrzepnięciu administracji polskiej tworzonej w nowo-powstałym kraju. Były też problemy poważniejsze niż te.

Po uspokojeniu Łemkowszczyzna była nadal terenem ustawicznej, ostrej walki politycznej między starorusinami a Ukraińcami, którzy za wszelką cenę chcieli opanować niezdobyty łemkowski bastion. Świeże wspomnienia talerhowskich przeżyć nie sprzyjały ukraińskiej propagandzie. Przysyłani przez kurię grekokatolicką w Przemyślu księża Ukraińscy, prowadzący w cerkwi swą działalność polityczną, spotkali się z silnym sprzeciwem starorusinów. Przekształcił się on w słynną „wojnę religijną", w czasie której Łemkowie masowo przechodzili na prawosławie, a następnie usiłowali siłą odbierać cerkwie lub ich wewnętrzne wyposażenie.

Rząd polski nie umiał zająć konsekwentnego stanowiska wobec tego co się działo na Łemkowszczyźnie. Z jednej strony nie chciał zrażać sobie Ukraińców, o których lojalność zabiegał bezskutecznie, z drugiej zaś pragnął odłączyć Łemkowszczyznę, od powodującej zamieszki propagandy ukraińskiej. W tym celu odłączono Łemkowszczyznę od Przemyśla, przez stworzenie dla niej wspomnianej przeze mnie wcześniej Administracji Apostolskiej dla Łemkowszczyzny. Wprowadzono do szkół i pracy dialekt łemkowski, w którym drukowano książki szkolne, jak również wychodzący w Krynicy tygodnik „Łemko" i „Kalendar Łemko". Ukraińcy natomiast wydawali we Lwowie pismo „Nasz Łemko" i wiele publikacji popularnonaukowych przeznaczonych dla Łemkowszczyzny.

Starorusini, którzy w 1933r. zwracali się do Watykanu z prośbą o utworzenie dla Łemkowszczyzny oddzielnej Administracji Apostolskiej, nie czuli się nią w pełni usatysfakcjonowani. W 1937r. wnieśli do Stolicy Apostolskiej nową petycję, tym razem o utworzenie odrębnej metropolii dla "katolickiego obrzędu ruteńskiego", czego się jednak nie doczekali.

Przechodzenie na prawosławie miało miejsce także na interesującym nas terenie obecnej Gminy Krempna. Trwały zamieszki i bójki o cerkwie i wyposażenie oraz procesy sądowe. Powstało wiele nowych świątyń prawosławnych tzw. czasowni od słowa „czasow" – kaplica. Największe nasilenie walk miało miejsce w parafii Świątkowskiej.

Wybuchła II wojna światowa. W czasie tym Ukraińcy współpracowali ściśle z Niemcami licząc na to, że po zwycięstwie trzeciej Rzeszy zostanie przez Niemców utworzone wolne państwo ukraińskie od Pienin po Morze Czarne. Niemcy traktowali Ukraińców jak sprzymierzeńców. Przyznawali im szerokie przywileje z których korzystali również początkowo Łemkowie. Byli więc zwalniani od kontyngentów rolniczych i hodowlanych, mieli specjalne przydziały żywności i artykułów przemysłowych. Nie wywożono ich na roboty do Niemiec i zwalniano z obozów jenieckich, jeśli zadeklarowali się jako Ukraińcy. Dla silniejszego podkreślenia odrębności od Polaków, Niemcy powołali do życia „Związek Łemków" /"Lemkover Genossenschatsverband"/.

Ukraińcy wykorzystując swe uprzywilejowane stanowisko obsadzili całą wiejską administrację na Łemkowszczyźnie swoimi ludźmi, sprowadzonymi ze wschodu, a ponad to stworzyli ukraińską policję. Dało im to możność prowadzenia bardzo intensywnej działalności propagandowej, a równocześnie dokonywania rozrachunków ze swymi politycznymi przeciwnikami starorusinami. Gdy w czerwcu 1941 r. Niemcy rozpoczęli wojnę z sowietami powtórzyła się sytuacja sprzed ćwierć wieku. Władze niemieckie, na podstawie spisów dostarczonych przez Główny Komitet Ukraiński /"Der Ukrainiscze Haupttausschus"/ mający swą siedzibę w Krakowie, i przy pomocy ukraińskiej policji, przeprowadził masowe aresztowanie wśród starorusinów podejrzanych o sprzyjanie Związkowi Radzieckiemu, a młodzież łemkowską, która siedziała dotychczas bezpiecznie w swoich domach, zaczęto wysyłać na roboty do Niemiec.

Do czerwca 1941 roku kilka tysięcy Łemków – głównie biedoty, wyjechało dobrowolnie na wschód. Był to skutek umowy sowiecko-niemieckiej. Po rozpoczęciu wojny między Niemcami a Związkiem Sowieckim część tej ludności powróciła. Była to planowana wymiana za Niemców przenoszących się z ZSRR do Rzeszy.

Pod koniec wojny, w 1945 r., Łemkowszczyzna znalazła się w orbicie działania Ukraińskiej Powstańczej Armii, określanej skrótem UPA. Ta nacjonalistyczna organizacja powstała w 1941r. oficjalnie współpracowała z Niemcami. Od listopada 1941r., zabroniona /choć tolerowana/ przez Niemców, funkcjonowała konspiracyjnie, zwalczając radziecką partyzantkę i mordując Polaków. Bestialskie masakry ludności Polskiej, mieszkającej na wschodzie, miały na celu wywołanie wśród Polaków paniki i zmuszenie ich do ucieczki /"Liachy za Sian"/, dla oczyszczenia z niepożądanych etnicznie elementów przyszłej 'Samostijnej Ukrainy", o którą UPA walczyła

W swym działaniu UPA opierała się na ściśle zakonspirowanej organizacji OUN /Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów/, która zajmowała się werbunkiem ochotników i służyła wywiadem opartym na doskonałym rozpoznaniu środowiska.

UPA posiadała organizację wojskową, której jednostką podstawową była „sotnia" licząca 80-100 „strilciw". Sotnia dzieliła się na 4 „czoty" /plutony/ po 3 „roje", czyli drużyny, każda, 3 do 4 sotni składało się na „kuryń", tj. batalion. Nad całością czuwała żandarmeria UPA, która zajmowała się tropieniem dezerterów, pilnowaniem ścisłego przestrzegania poleceń wydawanych przez poszczególne komendy, wykonywaniem wyroków śmierci, ferowanych przez sądy polowe, likwidowaniem schwytanych żołnierzy polskich, milicjantów, pracowników administracji itp.

Na obszarach znajdujących się pod okupacją niemiecką oddziały UPA prowadziły jawnie swą działalność terrorystyczną, temperowaną jedynie przez polską i radziecką partyzantkę. Natomiast na terenach wyzwolonych od Niemców UPA zaszywała się w głąb lasów, skąd ukryta w doskonale zamaskowanych bunkrach dokonywała niebezpiecznych wypadów. W miarę jak wojska radzieckie zaczęły wkraczać w granice państwa polskiego do szeregów UPA przyłączyła się policja ukraińska, ukraińscy nacjonaliści skompromitowani w służbie niemieckiej i resztki rozbitej w 1944r. pod Brodami ukraińskiej SS dywizji „Galizien" /Ukraińska SS Dywizja „Hałyczyna"/, zaś resztki różnych niemieckich i satelickich /np. włoskich czy francuskich/ formacji wojskowych, które oddawały do dyspozycji UPA również swój sprzęt wojskowy.

Na terenie Polski, która w nomenklaturze ukraińskich nacjonalistów nazywana była „zakersoński kraj" /kraj za linią Curzona/, od października 1945r. czynny był VI okręg wojskowy UPA, noszący kryptonim „Sian", dowodzony przez Mirosława Onyszkiewicza /pseud. „Orest"/. Okręg „Sian", którego siły oceniano na około 6000 osób, dzielił się na kilka podokręgów. Pierwszym z nich był podokrąg „Łemko", posiadający dwa podregiony:

„Hołodnyj Jar" na Wschód od Sanu i „Beskid", obejmujący część zachodniej Bojkowszczyzny i całą Łemkowszczyznę. Na Łemkowszczyźnie działalność UPA ujawniła się dopiero w 1945r., po udanej ofensywie zimowej wojsk radzieckich, które przesunęły front daleko ku zachodowi. W jesieni tego roku cały obszar Łemkowszczyzny od Osławy po Poprad był już terenem penetracji oddziałów UPA. Działał tu głównie „kureń" „Rena", operujący pod komendą Iwana Mizernego /pseud. „Ren"/, Kuren ten bazował przede wszystkim na miejscowych Ukraińcach, zorganizowanych w zakonspirowane w terenie „roje" i „czoty" powoływane do działania zależnie od potrzeby. Zbrojny ruch ukraiński popierali gorliwie nacjonalistycznie nastawieni księża grekokatoliccy, którzy zaprzysięgali ludność łemkowską na wierność dla narodu ukraińskiego i agitowali, aby Łemkowie wstępowali do wojskowych jednostek walczących pod komendą niemiecką /Ukrainische SS Division „Galizien"/ lub UPA. Księża przymuszali nawet do tego Łemków, odmawiając chrztu i innych posług religijnych rodzinom, które nie dostarczyły do ukraińskiego wojska przynajmniej jednego ochotnika. Prócz grup miejscowych, pojawiały się na Łemkowszczyźnie sotnie UPA przybywające z terenów położonych bardziej na wschód. Ofiarą UPA padali w latach 1945-47 polscy osadnicy i Łemkowie – starorusini, a także żołnierze, milicjanci przedstawiciele władzy administracyjnej. Spalono wiele wsi i pojedynczych zabudowań.

A oto fragmenty wspomnień „partyzanta" UPA działającego na terenie zachodniej Łemkowszczyzny Iwana Dmytryka. Znalazł on się wśród tych, którym udało się przedostać na zachód do Bawarii w Niemczech, gdzie napisał wspomnienia.

... Po żniwach 1946r., kompania, którą od maja dowodził już „Brodycz", miała wyruszyć na zachodnią Łemkowszczyznę. Najpierw jednak specjalna grupa rozpoznała „pas śmierci" /zaminowany obszar ciągnący się wzdłuż linii frontu z końca 1944r/ i przygotowała przejście, prowadzące – jak wynika z opisu – najprawdopodobniej przez Suchanię /nad Ostrysznem/.

Jak pisze autor: Omijając wsie maszerowaliśmy nocami. Pierwszego dnia zatrzymaliśmy się w Polanach Surowiczych, drugiego w Barwinku. Wsie były prawie puste. Trzeciej nocy doszliśmy do Polan, za którymi zaczynał się już „pas śmierci".

Tu spotkaliśmy łączników, którzy dobrze znali teren. Zamaskowanymi ścieżkami podeszliśmy do pola minowego. Pluton „Korpa" szedł pierwszy. Szliśmy gęsiego, trzymając się rozciągniętego drutu bardzo powoli i ostrożnie krok za krokiem, stąpając po śladach poprzednika. Zmęczyliśmy się nie tyle długą drogą, co napięciem nerwowym. Ale przeszliśmy

szczęśliwie. Łącznicy pozacierali wszystkie ślady. Dalej gęstymi lasami skierowaliśmy się na Magurę Świerżowską (masyw Świerżowej)... Manewrowaliśmy po wsiach Bartne, Przegonina, Bodaki, Rychwałt, Ropica Ruska, Bielanka, Małastów, Nowica, Przysłup, Wirchne, Łosie i Leszczyny. W jednych wsiach ludności odnosiła się do nas przychylnie, w innych nie brakowało donosicieli. Jednocześnie gromadziliśmy zapasy żywności i magazynowaliśmy je w różnych miejscach. W głębokich jamach zakopywaliśmy mięso, kartofle i fasolę i inne jarzyny. Mięso soliliśmy w dobrze nasmolonych beczkach: dno beczki zalewaliśmy łojem, cięliśmy mięso na długie pasma i układaliśmy równymi warstwami, posypując każdą warstwę solą, pieprzem, cebulą, czosnkiem i liśćmi bobkowymi. Pełne beczki znów zalewaliśmy łojem, szczelnie zabijaliśmy górne dno i zakopywaliśmy w ziemi. Wiele szkody w magazynach robili nasi leśni sąsiedzi – dziki i lisy. Przed nimi trudniej było uchronić nasze dobro niż przed Polakami. Na Kiczerze Polacy zrobili pierwszą obławę na naszą kompanię. Wielkie jednostki wojskowe zajęły okoliczne wsie, a główna ich część weszła do lasu. O obławie uprzedziła nas siatka OUN, zdążyliśmy więc ukryć żywność i zająć stanowiska. Polacy przeszli przez niezbyt zarośnięty teren, nie ryzykując wejścia w gąszcze. Kiedy obława przeszła, przenieśliśmy nasz obóz na górę nad Brunarami Wyżnimi i Niżnimi... Spadł pierwszy śnieg. Potem przez jakiś czas obozowaliśmy na górze Zimna nad wsiami Powroźnik, Wojkowa, Dubne, Lelechów, Wapienne i Miczulśkie. Ludzie z tych wsi byli biedni, ale przyjmowano nas gościnnie, choć wśród nich byli także rusofile. Stamtąd przenieśliśmy się na górę Wysokie Bereście i Polankę nad wsią Tylicz, leżącą na samej granicy. Dni przesiadywaliśmy po lasach, a po zmierzchu szliśmy do wsi zjeść i ogrzać się w chatach. Dni były coraz krótsze i zimniejsze. W pierwszej połowie listopada w Mochnaczce Wyżnej zaskoczyli nas Polacy. W tej wsi przeważali rusofile, którzy jak wiadomo, patrzyli na nas jak na wrogów. Ze względów bezpieczeństwa zasadniczo staraliśmy się omijać takie wsie, czasem jednak odwiedzaliśmy je w celu uświadomienia wieśniaków. Nie zawsze udawało się ich przekonać, wielu więc było wśród nich donosicieli. Czasem takich seksotów /kapusiów/ trzeba było kijami nawracać na właściwą drogę. Ale uświadomiona część ludności uprzedzała nas o zasadzkach.

Wtedy w Mochnaczce Wyżniej, po wieczerzy / a jedliśmy drużynami, zazwyczaj po jednej w każdej chacie/ zbieraliśmy się właśnie w wyznaczonym miejscu do odmarszu, gdy raptem usłyszeliśmy wybuchy granatów w chatach z których niedawno wyszliśmy. Niewidoczny wróg rzucił je przez okna. Noc była bardzo ciemna, więc nie odważyliśmy się strzelać, żeby nie trafić swoich... Polacy, rzuciwszy kilka granatów i puściwszy w ciemność

kilka serii, szybko uciekli. Z naszej kompani ucierpiał tylko strzelec Myron, którego odłamki granatów raniły w nogę. Ale ucierpiało też wielu miejscowych cywili, w tym także kacapów, którzy na nas donieśli... Do drugiej połowy listopada obozowaliśmy na górze Jasionka a wieczorami zachodząc do wsi Żdynia, Konieczna, Lipna, Czarna, Długie, Radocyna i Nieznajowa, a potem przeszliśmy na Dobry Wierch... Pod koniec listopada sotenny podzielił kompanię i wyznaczył teren działania każdemu plutonowi... Nasz pluton przeszedł na Magurę Świerżowską... Przed rozejściem się na przydzielone tereny zrobiliśmy jeszcze napad na miasteczko Ropę, aby zdobyć trochę leków i odzieży. Z tego punktu widzenia akcja powiodła się, ale poległ w niej strzelec „Czumak". W krótkiej walce z milicją i odziałem wojska „Czumak" został ranny. Kiedy podeszło do niego dwu polskich żołnierzy, odbezpieczył granat i rozerwał siebie i wrogów.

Na Magurze Świerżowskiej od dłuższego czasu istniał punkt sanitarny. Stale przebywali tam chorzy. Szybko przekonaliśmy się, że nie da się zimować pod gołym niebem, do tego z chorymi. Zbudowaliśmy więc ziemiankę podobną do tej spod Przybyszowa... tak rzedły szeregi naszej kompanii. Jedni ginęli w bojach z przeważającym wrogiem, inni odniósłszy rany odchodzili na leczenie do szpitali, aby często już nie wrócić do kompanii, bo zdrowie nie pozwalało dłużej wojować. Pojawiły się także dezercje, głównie wśród tych, którzy najpóźniej przybyli do kompanii... Po wykryciu przez wojsko obozu na Magurze w połowie marca zaczęliśmy forsowny marsz od Krempnej do Popradu, przez całą zachodnią Łemkowszczyznę, wzdłuż i wszerz. Każdej nocy robiliśmy 20-30 kilometrów, żeby wróg nie mógł zorientować się, gdzie jesteśmy. Pewnego dnia pod koniec marca zaryczały syreny fabryk i kopalni ropy naftowej i rozdzwoniły się dzwony we wszystkich miastach i wsiach. Trwało to cały dzień. Nikt nie wiedział, czemu tak dzwoniono i ryczano, dopóki wieśniacy, którzy wrócili z miasta, nie przywieźli nam wielkich plakatów, na których czarno na białym było napisane, że „skrytobójcza ręka ukraińskich bandytów" zabiła polskiego wodza, bohatera Armii Czerwonej, kawalera najwyższych odznaczeń wojskowych generała Waltera Świerczewskiego. Z początku myśleliśmy, że to jakaś prowokacja. Ale nadeszli łącznicy i dowiedzieliśmy się, że kompania „Chrina" rzeczywiście zabiła gen. Świerczewskiego. ... Pod koniec maja na zachodniej Łemkowszczyźnie stała prawie stutysięczna armia polska. /była to przesada/. Wojsko było wszędzie - w miastach, miasteczkach, prawie w każdej wsi. Masy wojska krok za krokiem przeczesywały lasy. Tam,, gdzie zastała ich noc, zatrzymywali się, rozpalali ogniska i nocowali. Po tych ogniskach orientowaliśmy się, w jakim kierunku idzie wróg.

Inne oddziały wysiedlały ludzi. Trudno opisać to, co się tam działo./.../ Ludzi wiązano powrozami i wywlekano z chat na wozy, którymi odstawiano ich do Grybowa i Gorlic. W każdej wsi przy drogach leżały dziesiątki wieśniaków. Trupów nie zbierano – Polacy pozostawiali je na postrach tym, którzy myśleliby jeszcze o oprze. Cywilni Polacy szperali po pustych chatach i zbierali wszystko, co się dało, a nawet rozbierali niektóre chaty. We wsiach położonych dalej od dróg rozbierano chaty i zabierano do większych wsi polskich. /.../ W pierwszych dniach lipca wróg urządził generalną obławę. Przeszliśmy na Magurę Świerzowską, w okolice Bartnego i Przegoniny, ale i nam nie udało się uniknąć pościgu. Wróg rzucił w okoliczne lasy ponad 15 tysięcy wojska. Z takim przeciwnikiem nie mogliśmy podjąć walki. Wzięliśmy się na sposób – opuściliśmy Magurę i poszliśmy do polskich wsi i całkiem małych lasów. Zapędziliśmy się w ten sposób pod same Gorlice A gdy wróg i tam nas wywęszył, zawróciliśmy. /.../ Po wysiedleniu we wsiach żyli Polacy albo nasi Łemkowie, którzy spolszczyli się i nie przyznawali do Ukraińców. Prawie w każdej wsi były silne grupy ORMO i nieraz musieliśmy walczyć z polską policją. Kilka razy udało się nam napadać na ich posterunki, rozbroić milicjantów i zabrać broń, amunicję, mundury i obuwie. /.../

W pierwszych dniach września 1947 r. dzięki nowej linii łączności do obozu dotarła do nas wiadomości o rozkazie wymarszu na Zachód. /.../ Długo staliśmy i wpatrywaliśmy się w wierzchołki Karpat i w zielone lasy, gdzie każdy z nas znał najwęższą ścieżkę, najmniejszy jarek i polankę, każde drzewo i krzak, które przez cztery lata były nam domem rodzinnym. Grupa Iwana Dmytryka przekroczyła granicę i udała się do Bawarii w Niemczech. Ze wspomnień tych wynika, że na Zachodniej Łemkowszczyźnie UPA nie toczyła większych walk, a akcje zaczepne podejmowała tylko sporadycznie.

W latach 1944-46 na podstawie umowy między Polską a Ukraińską SRR z 1944r. o wzajemnej wymianie ludności opuściło Łemkowszczyznę ponad 70 000 osób. Jedni zgłaszali się na wyjazd dobrowolny /co było wyraźnie zastrzeżone w umowie/, w stosunku do innych stosowano jednak różne naciski typu administracyjnego. Niektórzy bronili się przed wyjazdem, podając się za Polaków, zmieniając wyznanie na rzymskokatolickie lub pisząc memoriały do władz, popierane życzliwymi opiniami wydawanymi przez Polaków, co jednak w sumie nie dawało rezultatów. Nie obeszło się też bez aktów sabotażu. Przesiedleniu towarzyszyła wzmożona działalność UPA, która starała się utrudnić przeprowadzenie akcji. Łemków z Gminy Krempna wysyłano w okolice Kałuża w obwodzie lwowskim.

Przeciągające się krwawe walki w Bieszczadach oraz terrorystyczna działalność na Łemkowszczyźnie spowodowały, że w połowie kwietnia 1947r. na podstawie zarządzenia

Państwowego Komitetu Bezpieczeństwa i Naczelnego Dowództwa Wojska Polskiego podjęta została akcja pod kryptonimem „Wisła" /w skrócie „akcja W"/, której celem było całkowite zlikwidowanie UPA. Zaangażowano do tego kilka dywizji wojska i KBW pod dowództwem gen. Stefana Mossora, które zniszczyły kurenie „Bira" w Bieszczadach i „Rena" na Łemkowszczyźnie. Akcję zbrojną utrudniała jednak w dużej mierze wszechstronna pomoc, jaką UPA znajdowała wśród miejscowej ludności ukraińskiej i z tego też powodu zadecydowano, że równolegle z działaniami wojskowymi przeciw UPA cała ludność ukraińska zostanie przesiedlona do województw w zachodniej Polsce. Nie rozróżniano przy tym, czy wysiedlani Łemkowie uważają się za Ukraińców, czy starorusinów. W wyniku przesiedlenia ludności UPA została pozbawiona ostoi i pomocy w terenie i zmuszona do zaniechania dalszej działalności a do tego zmierzała władza.

Władze Ukraińskiej Powstańczej Armii widząc bezcelowość dalszej walki przystąpiły w lipcu 1947 r. do demobilizacji swoich oddziałów. Część dowództwa UPA i działaczy cywilnych OUN /w tym ksiądz Aleksander Malinowski – Administrator Apostolski dla Łemkowszczyzny/ przedarła się przez Czechosłowację do zachodnich Niemiec, gdzie znalazła gościnę i bezpieczne schronienie. Część została skierowana na zachodnią Ukrainę, względnie do Polski z poleceniem osiedlenia się w centralnych ośrodkach życia politycznego i gospodarczego, by tam zalegalizowana i zakonspirowana podjąć pracę, nie zwracając uwagi. Na odchodnym, każdy ze zwolnionych członków UPA składał wobec dowództwa zobowiązanie, że „będzie dalej, choć w zmienionych warunkach, w innym charakterze , zdyscyplinowanym ukraińskim rewolucjonistą i w miarę sił i zdolności będzie dalej pracował dla dobra swego narodu i wywalczenia Niezależnego Państwa Ukraińskiego, będzie nadal wykonywał rozkazy swoich przełożonych, strzegł tajemnicy organizacji i nie zdradzi znanych mu tajemnic".

Łemkowie starorusini traktowani byli przez UPA jako zdrajcy i często padali ofiarą terroru. Szykanowani przez Ukraińców stworzyli oddział partyzancki, który walczył z Niemcami współdziałając z partyzantką polską i radziecką. Wśród starorusinów wielu było o przekonaniach lewicowych. Brali oni udział w działalności komórek PPR. Udzielali schronienia działaczom polskim. Wśród Łemków w Kłopotnicy ukrywał się m.in. w 1943r. Władysław Gomułka. Wielu Łemków wstąpiło do wojska radzieckiego i walczyło z Niemcami. Osobiście znałem takie przypadki z terenu Gminy Krempna. Czasy partyzanckich walk Łemków z Niemcami upamiętnia pomnik odsłonięty w Uściu Gorlickim w 1963r.

Jednym z czołowych zadań UPA, prócz paraliżowania działalności administracyjnej i gospodarczej, było utrudnianie akcji przesiedlania ludności przez terroryzowanie napływających już osadników polskich i pozostających Łemków. Wynikało to z instrukcji wydanej w końcu 1947r. przez Jarosława Stanucha, kierownika OUN na Polskę, który nakazał jednostkom UPA takie działanie, by jak największa liczba ludności ukraińskiej pozostała na miejscu, względnie wracała z powrotem, jeśli ją już przesiedlono. Według instrukcji „wsie wysiedlone należy palić, szczególnie zaś położone przy szosach i te, które mogły zostać wykorzystane przez wroga. Palić należy szybko, ażeby tam nie przesiedlano" band pepeerowskich". Nie należy jednak palić wszystkich budynków, żeby przesiedleni mieli do czego wracać".

Oblicza się, że na tereny Polski zachodniej i północnej zostało wówczas przesiedlonych około 30 do 35 tysięcy Łemków. W ramach trzech przesiedleń opuściło Łemkowszczyznę około 105-120 tyś. ludności. Została ona prawie całkowicie wyludniona. Na miejscu pozostały jedynie małżeństwa mieszane ukraińsko-polskie i pojedyncze osoby szczególnie dla Polski zasłużone, lub te, którym udało się w jakiś sposób wywinąć z opresji.

Ludność Łemkowska starała się od początku tj. od drugiego okresu przesiedleń /1944r i następne/ o wyłączenie z akcji przesiedleńczej. Podkreślano wielowiekowe związki z Polską, wspólnotę narodową i kulturową i wspólnie przelaną krew w obronie ojczyzny.. 20 lutego 1946 r. Łemkowie wysłali pismo do ministra sprawiedliwości i wojewody rzeszowskiego stwierdzając między innymi, że tereny Beskidu Niskiego zamieszkiwane są nie przez Ukraińców, ale przez Łemków, wprawdzie o obrządku greko-katolickim, lecz spokrewnionym z narodem polskim, o czym świadczą tysiące nazwisk, mowa, wychowanie dzieci, uważanie się za część narodu. W piśmie stwierdzają, że wysiedlenie jest „w najwyższym stopniu krzywdzące" i należy je wstrzymać. Nadeszły już pierwsze wiadomości z Ukrainy do jakiego to dobrobytu kołchozowego trafili przesiedleńcy. Na Rząd Polski próbowali także wywrzeć nacisk emigranci Łemkowscy. Świadczy o tym między innymi telegram Zjazdu Zrzeszenia Emigrantów Łemkowskich, przebywających w USA i Kanadzie, wysłany 29.12.45 r. do premiera Edwarda Osóbki Morawskiego. Ze stanowiskiem Łemków solidaryzowały się władze lokalne. W listopadzie 1945 roku Urząd Wojewódzki w Rzeszowie informował Warszawę, że wszystkie partie polityczne oraz władze powiatowe popierają pozostawienie Łemków w Polsce „z uwagi na ich lojalne nastawienie graniczące z przywiązaniem do Państwa Polskiego". Podkreślano, że przemawiają za tym również względy gospodarcze. Leżąca odłogiem ziemia w terenach górskich wymaga uprawy, a ludność

napływowa nie potrafi się z tym zadaniem uporać. Starosta gorlicki w ogóle wykreślał z obwieszczeń o przesiedleniach słowo „Łemkowie", zaś starosta nowosądecki uważał Łemków za Polaków, nie podlegających ewakuacji. W obronie Łemków wystąpił J. Bednarz, Główny przedstawiciel Rządu Rzeczpospolitej Polskiej do spraw ewakuacji. Powołując się na petycje władz powiatowych z Łemkowszczyzny pisał : ...zważywszy okoliczności przytoczone w petycjach oraz biorąc pod uwagę, że w razie wysiedlenia Łemków z górzystych terenów przez nich zamieszkałych, na których ewentualnie nowi przesiedleńcy nie potrafią się zaaklimatyzować, można dojść do wniosku za ich pozostawieniem. Wreszcie interwencję podjął wicepremier Władysław Gomułka zabraniając surowo stosowania przymusu przy przesiedleniu Łemków. Interwencje te zahamowały proces wysiedlania Łemków. Do tego jednak czasu zdołano ewakuować ponad 60 procent ludności Łemkowskiej. Potem przyszła akcja „W" i dopełniła reszty.

Według posiadanych danych na terenie obecnej Gminy Krempna mieszkało przed II wojną światową około 10 000 ludności w około 95 procentach łemkowskiej (reszta to Polacy i Żydzi). Podawali oni w spisach ludności język ruski lub ukraiński a wyznanie grekokatolickie lub prawosławne. Ponad 80 procent repatriowano do ZSRR. Pozostałych objęła akcja Wisła.

Wykaz ilości osób wysiedlonych :

Krempna	-	250
Świątkowa Wielka	-	838
Świerżowa Ruska	-	530
Grab	-	399
Żydowskie	-	359
Rozstajne	-	269
Świątkowa Mała	-	250
Wyszowatka	-	240
Kotań	-	233
Hałbów	-	222
Ożenna	-	289
Myscowa	-	1007
Ciechania	-	397
Polany	-	869

Dane te nie są zbyt ścisłe.

Na opuszczonych gospodarstwach osiedlono około 400 rodzin polskich. W tym w Krempnej 64, Świątkowej Wielkiej 32, Świątkowej Małej 28, Kotani 22, Grabiu 14. Część wsi zostało zniszczonych w wyniku działań wojennych. Na terenie pozostałych utworzono PGR-y. Wiele opuszczonych budynków zostało rozebranych przez mieszkańców wsi leżących na północ do terenów łemkowskich. Przewieziono je poza teren i wykorzystano jako materiał budowalny niejednokrotnie odtwarzając całe budynki. W Świątkowej Małej i Wielkiej zamieszkali osadnicy z powiatu nowotarskiego.

Osadnictwo polskie szło dość opornie. Przeszkadzały mu błąkające się po nadgranicznych lasach oddziały UPA. Niepokoiły one osadników i napadały konwojowane przez wojsko karawany wozów wiozących Łemków i ich dobytek do stacji kolejowych. Wkrótce po zakończeniu przesiedlania Łemków ustała również działalność UPA.

Wyjeżdżając mieli Łemkowie możność zabrania inwentarza żywego i martwego, zboża, ziemniaków, żywności, rzeczy osobistych. Podróż odbywana wagonami towarowymi, trwała po kilka dni, w czasie których przesiedleńcy otrzymywali strawę i mieli opiekę lekarską. W województwach zachodnich i północnych rozrzucano ich po wsiach małymi grupkami, tak że mieszkańcy jednej łemkowskiej wsi znaleźli się czasem w kilkudziesięciu miejscowościach. W okresie tym wszystkie lepsze i mniej zniszczone zagrody były już pozajmowane przez ludność polską. Dla Łemków zostały więc tylko gospodarstwa najgorsze, zniszczone w czasie wojny lub splądrowane przez szabrowników. Poza tym Łemkowie przybyli na miejsce swojego nowego zamieszkania z fatalną opinią „ukraińskich bandytów", co bardzo nieprzychylnie nastawiło do nich Polaków, a szczególnie repatriantów ze wschodu, którzy wiele wycierpieli od UPA. Zdarzyły się gminy, gdzie w ogóle nie chciano ich przyjąć.

Rozsiani wśród ludności polskiej starali się Łemkowie najczęściej ukryć swe pochodzenie i przynajmniej zewnętrznie upodobniać się do polskich sąsiadów. W poszukiwaniu „swoich" zmieniali często miejsce zamieszkania, skutkiem czego potworzyły się tu i ówdzie większe skupiska ludności łemkowskiej. W pierwszych latach pobytu „na zachodzie" Łemkowie żyli „żeby tylko przeżyć", ponieważ liczyli się z szybkim powrotem w rodzinne strony. Ale gdy te nadzieje nie ziściły się, zabrali się ostro do roboty. Wykorzystywali zapomogi i kredyty otrzymywane za zagospodarowanie, inwestowali, reperowali domy, zabiegali o narzędzia, kształcili dzieci w szkołach zawodowych i wyższych. Ponieważ są ludźmi bardzo pracowitymi i oszczędnymi, zaczęli szybko dochodzić do dobrobytu, a nawet zamożności. Młodzi wkomponowali się w miejscowe stosunki. Zajmowali

różne kierownicze stanowiska, a ci, którzy ukończyli studia wyższe, obierali niejednokrotnie karierę naukową.

Natomiast starsze pokolenie gnębiła nostalgia. Nie było ono w stanie przyzwyczaić się do nowych warunków bytowania. Tęsknią do gór i lasów. Nie odpowiada im nowy monotonny krajobraz nizinny. Starych drzew bowiem wiadomo nie przesadza się.

Poza tym w dalszym ciągu trwa walka polityczna między Ukraińcami, a stronnikami kierunku staroruskiego, zmieniło się tylko miejsce placu boju. Łemkowie o orientacji staroruskiej nadal podkreślają swoją odrębność od Ukraińców. Gdy w 1960 r. organizowano w Krakowie wystawę sztuki ludowej mniejszości narodowych, do organizatorów wystawy zgłosiła się delegacja Łemków z prośbą, aby ich sztuka była eksponowana osobno, ponieważ nie chcą oni występować pod firmą ukraińską. Prośba Łemków nie została jednak uwzględniona, gdyż ówczesne władze nie uznały odrębności Łemków od Ukraińców.

Tymczasem Ukraińcy, których szeregi zasilane były przez nacjonalistycznych działaczy ukrywających się w Polsce do czasu październikowych przemian w charakterze „polskich repatriantów z terenów zabużańskich", szybko przystąpili do budowania swego statusu politycznego. W 1956 r., a więc w 10 lat po zakończeniu akcji „Wisła", powstało w Warszawie ogólnokrajowe Ukraińskie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne, czyli popularne UTSK. Mając liczne oddziały terenowe w różnych stronach Polski, zgromadziło ono Ukraińców mieszkających w Polsce, do których zaliczani są również Łemkowie. Stowarzyszenie to wydaje w języku ukraińskim tygodnik „Nasze Słowo" i „Kalendarz Ukraiński" oraz inne publikacje, ma w swojej opiece zespoły chóralne, muzyczne, teatralne, słowem prowadzi doskonale zorganizowaną działalność kulturalną i społeczną, jednoczącą Ukraińców i chroniąca ich od wynarodowienia w diasporze. Faktem jest, że dzięki staraniom UTSK przy szkołach w niektórych wsiach powstały punkty nauki języka ukraińskiego, a w Legnicy znajduje się liceum humanistyczne z ukraińskim językiem nauczania.

Łemkowscy starorusini, nie mając własnego stowarzyszenia, zapisywali się do UTSK w oczekiwaniu na opiekę i poparcie w staraniach o powrót do rodzinnych wsi. Zrażała ich jednak zbyt energicznie prowadzona działalność integracyjna ze strony UTSK, zamierzająca do pełnej ukrainizacji wszystkich Łemków. Zaczęły się tarcia i spory, w wyniku których powołana została specjalna „Sekcja do Spraw Rozwoju Regionalnej Kultury Łemkowskiej", a w „Naszym Słowie" wprowadzono kolumnę drukowaną w gwarze łemkowskiej. Nie załagodziło to jednak zastarzałych uprzedzeń.

Starorusini nie mogąc sprostać doskonale zorganizowanym Ukraińcom wszelkie niepowodzenia przypisują nadal tradycyjnie „zdradzieckim machinacjom Ukraińców. To przez Ukraińców pracujących w administracji państwowej prowadzona jest akcja paraliżująca ich zdaniem możność powrotu Łemków do ich dawnych siedzib. W interesie Ukraińców leży, aby Łemkowie pozostali w dalszym ciągu na zachodzie, gdzie są sprzyjające warunki do ich ukrainizowania. Gdyby Łemkowie powrócili na swoje ziemie, to stracą na nich swój wpływ". Zarzut jest zupełnie absurdalny, bo przecież nie kto inny jak UTSK domagał się w 1957 r., poprzez swojego byłego pracownika MSW, aby osadnikom polskim dać jak najprędzej inne gospodarstwa, aby zajmowane przez nich mogli opuścić i zwrócić Łemkom.

Łemkowie długo nie mogli pogodzić się z wysiedleniem. Pisywali do polskich osadników listy z pogróżkami, niektórzy przyjeżdżali osobiście i zapowiadali im rychły powrót. Zdarzały się też przypadki zemsty na Polakach, m.in. do Pętnej przyjechał nocą samochodem ciężarowym Łemko, kierowca z Wrocławia, zablokował okna i drzwi chałupy, w której mieszkali osadnicy - Polacy, a następnie chałupę podpalił. Gdy po 1956 r. otworzyła się dla Łemków możliwość powrotu na ojczyste ziemie i obejmowania gospodarstw dotychczas nie zajętych przez osadników polskich, do urzędów powiatowych w pasie Łemkowszczyzny, zaczęły napływać tysiące podań z prośbami o zezwolenie na powrót. W jednym tylko powiecie gorlickim w 1957 r. rozpatrzono 2000 podań o tej treści. Najwięcej Łemków wróciło wtedy do tego właśnie powiatu. Osiedliło się tu z powrotem w 1957 r. 350 łemkowskich rodzin, a w następnym 150. Powracający najchętniej zamieszkiwali w swoich rodzinnych wsiach. Często odkupywali swe własne gospodarstwa od osadników polskich., których w tym czasie zaczęło ubywać. Wkrótce w pewnych wsiach jak np. w Bielance, Bartnem czy Kunkowej Łemkowie uzyskali przewagę liczebną nad polskimi osadnikami. Do powiatu jasielskiego powróciło około 250 Łemków. Przewagę zyskali w Grabiu. Do krośnieńskiego wróciło około 100 osób. Osiedliły się one w Tylawie, Polanach, Barwinku, Olchowcu i Zyndranowej. Obliczono, że w latach 1956-58 powróciło na Łemkowszczyzne około 2000 dawnych jej mieszkańców. Nieco później wróciło znacznie mniej.

Stosunki pomiędzy powracającymi Łemkami a zastaną ludnością polską układały się rozmaicie. Łemkowie, uważając się za prawowitych właścicieli tych ziem, wpadali w konflikty z Polakami, których uważali za intruzów. Zdarzały się częste bójki, szczególnie na zabawach, a także skierowane przeciw Polakom akty terroru, jak np. w Smerkowcu, gdzie zdarzyły się dwa przypadki podpalenia domów zamieszkałych przez Polaków. Z czasem

jednak emocje opadły. W miejscowościach o znacznej liczbie Polaków Łemkowie starają się nie podkreślać swej odrębności.

Jednym z punktów zapalnych, budzących emocje u powracających Łemków były sprawy użytkowania dawnych cerkwi grekokatolickich przez kościół rzymskokatolicki. Trudno pogodzić się z tym było zarówno grekokatolikom jak i prawosławnym. Doprowadzało to do wielu poważnych konfliktów m.in. w Polanach, mimo że Łemkowie na ogół unikają zatargów. Do Rozdziela, gdzie murowana cerkiew zamieniona została na kościół rzymskokatolicki, przenieśli oni w 1985 r., drewnianą cerkiew z Bojkowszczyzny. W Zyndranowej zbudowano cerkiew prawosławną. Cerkiew tą jak twierdzi na łamach czasopisma Magury Fedor Gocz „...zbudowaliśmy przy pomocy prawosławnych i grekokatolików z Ameryki, wiernych prawosławnych z Białostockiego i protestantów ze Szwajcarii. I żadna polityka nikomu nie przeszkadzała”...

Mimo możliwości powrotu, wielu Łemków pozostaje nadal w województwach zachodnich. Rolnicy dlatego, że nie warto im zmieniać doskonałych ziem śląskich na kamieniste ugory, a ci którzy ukończyli szkoły zawodowe i studia wyższe, ponieważ mają niezłe posady i nie widzą możliwości znalezienia podobnych warunków na Łemkowszczyźnie. Dotyczy to przede wszystkim łemkowskiej inteligencji, która chętnie odwiedza swe rodziny na Łemkowszczyźnie w czasie letnich urlopów, a nawet buduje sobie domki w miejscowościach bardziej atrakcyjnych, ale zamieszkanie w nich odkłada na czasy zasłużonej emerytury.

Wewnętrzne konflikty, gnębiące Łemków od półtora wieku nie wygasają. Zarówno Ukraińcy, jak i starorusini posiadają silne oparcie w swych amerykańskich organizacjach. One to w pierwszych latach powojennych przychodziły z pomocą swoim rodakom w „starym kraju”, przysyłały żywność, ubrania i pieniądze. Z funduszów dostarczonych przez amerykańskich Łemków wykonano remonty wielu cerkwi. Z Ameryki płyną na Łemkowszczyznę wydawnictwa bądź propagujące nacjonalistyczny kierunek ukraiński, za którym stoi „Komitet Obrony Łemkowszczyzny”, bądź właśnie zwalczające Ukraińców, wydawane przez „Łemkosojuz” i „Obszczestwo Ruskich Bractw”, działających w duchu karpacko-ruskiej odrębności narodowej.

Łemkowie bez względu na różnice polityczne chcą kultywować swą regionalną, tradycyjną kulturę. Zwracali się o pomoc i finansowe wsparcie do UTSK, które w swoim statucie stwierdza, że jedynym z celów Towarzystwa jest rozwijanie i otaczanie opieką regionalnej kultury ukraińskiej, a zwłaszcza kultury Łemków. Szczególnie chodziło Łemkom

o finansową opiekę UTSK nad łemkowskimi zespołami folklorystycznymi jakie istniały w Komańczy i Bielance, nad chórem „Łemkowina" oraz nad borykającym się z dużymi trudnościami muzeum łemkowskim w Zyndranowej. Powstało ono dzięki inicjatywie prywatnej i społecznemu poparciu przez Łemków.

UTSK w każdej akcji podejmowanej przez Łemków dopatruje się działalności separatystycznej, oddalającej Łemków od Ukraińców, nie kwapi się więc z udzieleniem im realnej pomocy. Zniechęca to i denerwuje Łemków. Zaczęli oni odchodzić z szeregów UTSK i myśleć o utworzeniu własnej organizacji, która zajęłaby się sprawami kulturowymi Łemkowszczyzny. W tym celu powołali do życia „Tymczasowy Komitet Społeczno-Oświatowy Rusińów-Łemków", sięgający jak wskazuje nazwa do dawnych tradycji staroruskich. Komitet ten w swych memoriałach, wysyłanych do władz politycznych i administracyjnych, domaga się uznania Rusinów jako oddzielnej mniejszości narodowej, przyznania jej prawa do używania w szkole i publikacjach języka ojczystego (czyli dialektu łemkowskiego) oraz swobody wyznań religijnych.

W jednym ze swych memoriałów Łemkowie - Rusini zastrzegają się, że do bratniego narodu ukraińskiego, który ma swą ojczyznę w Ukrainie nie są nastawieni wrogo, ale sprzeciwiają się stosowaniu wobec Rusinów przymusowej ukrainizacji.

UTSK nie mogło puścić płazem tej deklaracji. Rozgorzała więc znów święta wojna, w której UTSK tępi Rusinów na każdym kroku. Skupiło się m.in. na chórze „Łemkowina", który zaczął mieć duże trudności w swej działalności. Bojkotowano ich występy.

Pomimo braku poparcia ze strony UTSK Łemkowie rozwijają swe życie kulturalne. Posiadają wspomniany już, doskonały zespół wokalny, prowadzony przez utalentowanego dyrygenta Jarosława Trochanowskiego. Od 1983 r. organizują na terenie Łemkowszczyzny coroczne zjazdy pod nazwą „Łemkiwska Watra", w której bierze udział kilka tysięcy Łemków, biwakujących pod namiotami wraz z całymi rodzinami przez kilka dni. W tym czasie odbywają się występy artystyczne, konkursy dla młodzieży na temat wiedzy o Łemkach i Łemkowszczyźnie, konkursy wokalne, poetyckie itp. „Łemkowiska Watra" ma już nawet swój własny rytuał, którego punktem jest pierwsze rozpalenie ogniska. Dokonuje tego „Łemko roku", a jest nim co roku inny artysta, działacz zasłużony dla łemkowskiej kultury. Pokłosie spotkań przy watrze odnotowuje skrzętnie wychodzący z tej okazji „Hołos Watry".

Procesy przebiegające w środowisku łemkowskim w Polsce w ciągu ostatnich dziesięciu lat, są nowym etapem rozwoju, a raczej walki o przetrwanie kultury łemkowskiej. Początek tego etapu był związany, podobnie jak w przypadku poprzednich etapów, z

zasadniczymi zmianami ogólnopolitycznymi. Zmiany te doprowadziły do obalenia reżymu komunistycznego i wejścia państwa polskiego na drogę demokratycznego rozwoju. Pierwsze oznaki pojawiły się na początku lat osiemdziesiątych. Polegały one na manifestowaniu ogólnej negacji systemu komunistycznego i proteście przeciw totalitaryzmowi. Zaczęli odzywać się ci, którzy do tej pory nie byli w łaskach oficjalnych czynników. Straciły monopol na działalność urzędowo popierane, a równocześnie kontrolowane organizacje. Zaczęły powstawać, początkowo w podziemiu, potem już legalnie, nowe organizacje, komitety społeczne. Dla tych Łemków, którzy nie czuli się Ukraińcami, był to bardzo ważny moment. Pierwszą manifestacją ich niezależności od UTSK działalności była organizowana właśnie po raz pierwszy w 1983 r. „Łemkowska Watra". Wprawdzie z początku było niełatwo. Corocznie trzeba było się starać o specjalne pozwolenie pod szyldem plenerowych warsztatów Zespołu Pieśni i Tańca „Łemkowyna". „Hołos Watry" (pierwsza powojenna gazeta, wydawana z okazji „Watry") musiał przechodzić przez cenzurę. Była to już jednak pojedyncza cenzura, nie podwójna, jak w przypadku UTSK-owskiej „Łemkiwskoj Storinki".

Rola „Łemkowskich Watr", mocno osadzonych w symbolice narodowej, w uniwersalnych wartościach kultury Łemków, jak gdyby od nowa przypominanych i kreowanych, jest dla łemkowskiego odrodzenia ostatnich dziesięciu lat podstawowa. Na pierwszych „Watrach" do roli hymnu narodowego łemkowskiego wyrósł wiersz Iwana Rusenki „Na Łemkowyni". Konkursy historii, kultury i geografii Łemkowszczyzny, konkursy recytacji, piosenki, języka łemkowskiego, dawały możliwości poznania rodzinnej tradycji. Nawet wybory „Miss Łemkowyna" były ważnym momentem integrującym. Forma imprezy, co jest istotne, bardzo odpowiadała młodzieży (choć przyjeżdżali na nią ludzie wszystkich generacji), dawała motywację przyjazdu w góry wysiedleńcom z Ziem Zachodnich. I właśnie „Watra" była tym czynnikiem, który wyraźnie powstrzymał, a nawet w pewnych przypadkach odwrócił proces asymilacji młodego pokolenia Łemków.

Drugim ważnym dla łemkowskiego odrodzenia momentem było pojawienie się w latach 1983-1987 pierwszych łemkowskich zbiorków poezji, najczęściej w dwujęzycznej, łemkowsko-polskiej edycji. Były to głównie wiersze młodych poetów, którzy otwarcie manifestowali pragnienie Łemkowszczyzny. Forma współczesnego wiersza tworzonego w języku Łemków dawała możliwość dostrzeżenia tego języka jako żywej struktury, która doskonale może funkcjonować we współczesnym wymiarze. Taką samą rolę spełnił i „Hołos Watry".

Trzecim momentem, który był już jak gdyby konsekwencją pierwszego, było zwrócenie się łemkowskich studentów i młodej inteligencji ku ojczystej historii i kulturze, podjęcie badań w tym zakresie i pierwsze rezultaty. Wówczas, między innymi, zapoczątkowana została praca nad słownikiem łemkowskim, antologią literatury łemkowskiej, powstały wartościowe łemkoznawcze prace magisterskie.

Początki łemkowskiego odrodzenia, które rozwijało się w kierunku rusnackich idei narodowych, przebiegała na fali ogólnego entuzjazmu i bez większych konfliktów. Jednakże w miarę rozrastania się tego ruchu UTSK zapragnęło roztoczyć nad nimi opiekę. Od tej pory zaczyna się w kręgu działaczy łemkowskich zdecydowana polaryzacja stanowisk, która doprowadziła do rozbicia łemkowskigo ruch na dwie opozycyjne opcje. Dalszym etapem podziałów było powstanie dwóch głównych i kilku mniejszych łemkowsich organizacji.

Do organizacji łemkowskich należą :

I. Stowarzyszenie Łemków (Stowaryszynia Łemkiw). Zarejestrowane 7.04.1989 r. w Legnicy z prawem działalności wśród Łemków na obszarze całej Polski. Wśród celów stowarzyszenia można wymienić m.in.

1) integrację ludności łemkowskiej bez względu na poglądy i przekonania religijne;
2) ratowanie, pielęgnowanie i upowszechnianie duchowej i materialnej kultury Łemków;
3) nauczanie języka łemkowskiego;
4) popularyzację historii Łemkowszczyzny i informacji o życiu i działalności Łemków poza granicami Polski.

Stowarzyszenie ma już spory dorobek.

W zakresie publikacji w języku ojczystym :

- wydaje stały kwartalnik „Besida”;
- publikuje zbiorki wierszy, legend, humoresek, żartów;
- w formie małych książeczek wydaje przedruki interesujących prac czy artykułów publicystycznych o Łemkach;
- wydaje szkolne podręczniki do nauczanie języka łemkowskiego;
- wydaje coroczny almanach „Łemkiwskij Kałendar”

W zakresie szkolnictwa :

- powołana przy SŁ Komisja Oświaty jest odpowiedzialna za przygotowanie kadr, programu i podręczników języka łemkowskiego;
- od roku szkolnego 1991/92 w sześciu szkołach na łemkowszczyźnie i ziemiach zachodniej Polski wprowadzono język łemkowski jako ponadobowiązkowy przedmiot szkolny;

- przygotowany jest program egzaminu maturalnego z języka łemkowskiego.

W zakresie działalności kulturalnej :

- organizuje się coroczną „Łemkowską Watrę na Obczyźnie”;
- przy Zarządzie Głównym działa Teatr Stowarzyszenia Łemków;
- przy oddziale SŁ w Krynicy działa dziecięca grupa muzyczno-recytatorska „Czerczyk”.

Główną aktywność SŁ przejawia na ziemiach Polski zachodniej, ale i w górach są aktywne oddziały, np. w Krynicy i Uściu Ruskim.

II. Związek Łemków (Objednannia Łemkiw) został zarejestrowany 30.03.1990 r. w Nowym Sączu, zasięgiem swej działalności może obejmować teren całej Polski. Siedzibą związku są Gorlice. Celem Związku jest opieka m.in. nad łemkowską kulturą w Polsce - muzyką, twórczością ludową i folklorem. ZŁ ma za zadanie dbać o rozwój oświaty wśród społeczności łemkowskiej, inicjować nauczanie języka ukraińskiego w szkołach, gdzie żyje łemkowska społeczność, corocznie organizować „Watrę”. ZŁ jest otwarte na współpracę z wszystkimi kulturalno-oświatowymi i naukowymi instytucjami w kraju i za granicą.

9.11.1991 r. w Siarach, na pierwszym zjeździe delegatów Związku Łemków zasadniczo zmienił się skład personalny prezydium oraz program działania. Założycielami organizacji byli głównie dawni działacze UTSK, którzy pragnęli połączyć swą rusnacko-łemkowską orientację z ukraińską. Jej pierwszy przewodniczący, były lider Sekcji Łemkowskiej przy UTSK (rozwiązanej za „separatyzm”) pisał : „Związek Łemków będzie opierał się na doświadczeniu działalności byłej łemkowskiej Sekcji przy byłym Zarządzie Głównym UTSK i byłym Zarządzie Wojewódzkim UTSK. Po tym zjeździe ZŁ został członkiem wspierającym Związku Ukraińców w Polsce, a z jego szeregów wystąpili, ostro krytykowani, działacze, „z resztkami rusińskiej świadomości”. ZŁ uznał przynależność Łemków do narodu ukraińskiego z zachowaniem Łemkowskiej kultury, tradycji itp. Związek Łemków występuje czynnie do najwyższych władz Polski o uznanie akcji „Wisła” za zbrodnię.

Do najważniejszych zadań ZŁ zalicza :

- zabiegać o nauczanie języka ukraińskiego dzieci;
- organizowanie święta łemkowskiej kultury „Watra”;
- wydawanie kwartalnika „Watra”

III. Rusiński Demokratyczny Krąg Łemków „Hospodar”

Realizuje ideę i linię bezkonfliktowego, ogólnopolskiego ruchu łemkowskiego - Obywatelskiego Kręgu Łemków, który zawiązał się w styczniu 1989 r. RDŁK pragnie bronić praw obywatelskich przesiedleńców z Łemkowszczyzny. W lipcu 1989 r. wystosował on otwarty list do prezydenta Sejmu, Senatu Rządu i Rzecznika Praw Obywatelskich, w którym czytamy : My, Łemkowie (odwieczni mieszkańcy Łemkowszczyzny) - obywatele PRL zgrupowani w Obywatelskim Kręgu Łemków w Polsce, zwracamy się do najwyższych władz PRL z prośbą traktowania nas na równych prawach z Polakami, zagwarantowania nam w rzeczywistości pełnych obywatelskich i tradycyjnych praw w Polsce. W pierwszym rzędzie domagamy się zwrócenia nam lasów.

RDŁK drogą licznych petycji i apelacji osiągnął już uwzględnienie pewnych swoich żądań. W 1993 r. RDŁK rozpoczął wydawanie kwartalnego biuletynu „Łemko".

IV. Komitet Łemkowski w Uściu Ruskim.

Działał w latach 1989 - 1990, pozostając w opozycji do RDŁK. Zorganizował on spotkanie aktywu łemkowskigo orientacji proukraińskiej z radcą Ministerstwa Kultury d/s mniejszości narodowych, Bogumiłą Berdychowską, senator Zofią Kuratowską, posłem Włodzimierzem Mokrym. Działał w ścisłej współpracy z Zarządem Głównym ZUw P.

V. Stowarzyszenie „Ruska Bursa w Gorlicach"

Zostało zarejestrowane 22.10.1991 r. w Nowym Sączu na podstawie zaktualizowanego przedwojennego statutu Stowarzyszenia „Ruska Bursa". Zmiany dotyczyły współcześnie obowiązujących pojęć jurydystycznych, natomiast w niczym nie zmieniono ideologicznej i merytorycznej strony statutu. Odnowiciele działalności Stowarzyszenia kierują się zapisem z art. 41 statutu o „przekazaniu majątku Stowarzyszenia organizacji mającej te same cele i stojącej na gruncie ideologii rusińskiej, nie ukraińskiej."

Głównym zadaniem Stowarzyszenia na dzień dzisiejszy jest odzyskanie budynku Ruskiej Bursy w Gorlicach, co da możliwość realizacji głównego statusowego celu : „Celem Stowarzyszenia jest utrzymanie w Gorlicach bursy dla młodzieży narodowości rusińskiej, która kształci się w szkołach państwowych lub prywatnych."

Oprócz wyżej wymienionych organizacji łemkowskich działają instytucje kulturalne i zespoły artystyczne :

I. Muzeum Kultury Łemkowskiej w Zyndranowej.

Działa od 1968 r. Oprócz tego, że funkcjonuje jako muzeum-skansen, ostatnio prowadzi również działalność kulturalną, którą kieruje Rada Muzeum. Dla orientacji podaję jej kilka przykładów działalności :

- wystawa „Wspomnienia pisane woskiem” (pisanki autorstwa Hrynczuk Polańskiej)
- organizacja święta folklorystyczno-religijnego : od Rusala do Jana”
- organizacja wystawy „Cerkwie malowane” - wystawa malarstwa Teodora Kuziaka
- spotkanie w kręgu twórców poezji łemkowskiej „Łemkowska jesień 93”
- wystawa akwarel wielkiego malarza Nikifora Drowniaka.

II. Zespół Pieśni i Tańca „Łemkowyna”

Został stworzony w 1969 r. jako reprezentacyjny zespół wspólnoty łemkowskiej w Polsce. Jego założycielem i dyrygentem jest Jarosław Trochanowski. Dwukrotnie z politycznych i ekonomicznych przyczyn zespół przerwał działalność, żeby znów się odradzać w coraz nowym składzie osobowym. Zespół posiada znakomity dorobek: przypominanie folkloru w ciekawej aranżacji, tworzenie i wykonywanie nowych łemkowskich kompozycji, nagrania płytowe i kasetowe, dziesiątki koncertów krajowych i zagranicznych. Jest ważnym ośrodkiem integracji młodzieży łemkowskiej. W planie dyrygenta jest zorganizowanie grupy dziecięcej, tzw. „Małej Łemkowyny”.

III. Zespół Pieśni i Tańca „Kyczera”

Powstał w 1991 r., w znacznej mierze na bazie byłych członków zespołu „Łemkowyna” z ziem Polski zachodniej. Dyrygentem i choreografem zespołu jest Jerzy Starzyński. Zespół prezentuje na wysokim poziomie taneczną i muzyczną kulturę Łemków. Ma w swoim programie pokaz takich obyczajów, jak „weczirky”, „łamanczuk”, „poprawyczka”. Bardzo cenna ze względu na orginalność folklorystyczną wykonania jest kapela zespołu.

IV. Koło Stowarzyszenia Opieki Nad Zabytkami

Działa w Uściu Ruskim od lipca 1989 r. Jego celem jest przeciwdziałanie niszczeniu zabytków kultury materialnej, szczególnie cerkiewnej.

Kultura łemkowska nie zginęła. Na Łemkowszczyźnie kilku zapaleńców zbiera stroje łemkowskie i przedmioty użytkowe. Należy do nich Teodor (Fedor) Gocz z wspomnianym już muzeum w Zyndranowej, Tadeusz Kiełbasiński w Olchowcu. Ciekawe zbiory posiada Szkoła Podstawowa w Krempnej jednak brak tam miejsca na stałą ekspozycję.

Watra odbywa się od kilku lat w Zdyni, gdzie wykupiono i przygotowano specjalny teren. Także i tam trwają utarczki polityczne. Ostatnio inicjatywę przejął komitet zdominowany przez działaczy o orientacji proukraińskiej.

Niestety napięcia i niechęci pomiędzy różnymi orientacjami i działaczami nie pozwoliły na wyłonienie jednej reprezentacji Łemków Wspólny postulat organizacji łemkowskich to zwrot mienia połemkowskigo - zwłaszcza lasów i potępienia akcji „Wisła”.

W innych sprawach trudniej się porozumieć między Łemkami - Ukraińcami a Łem - Łemkami (tylko Łemkami), przeważa niechęć a nawet otwarta wrogość.

Także na Ukrainie istnieje organizacja łemkowska - założone w 1988 roku we Lwowie Społeczno - Kulturalne Towarzystwo „Łemkiwszczyzna". Od 1969 roku działa w Rudnie pod Lwowem zespół folklorostyczny „Łemkowyna".

Mimo wysiedlenia i prześladowań Łemkowie umieli zachować świadomość i tradycję. Ich wysiłki ocalenia narodowej kultury godne są podziwu. Kultura łemkowska - jeden ze składników kultury Rzeczpospolitej - nie powinna zaginąć.

Z punktu widzenia działaczy proukraińskich, ruch rusnacko - łemkowski jest działaniem skierowanym przeciw ogólnoukraińskiej jedności, separowaniem się od narodu ukraińskiego co prowadzi do polonizacji.

Z punktu widzenia działaczy rusnackich, dążenia ukraińskie mają charakter centralizujący i są prowadzone zgodnie z modelem ukraińskiego ruchu narodowego w Galicji.

Które z tych dwóch stanowisk jest silniejszą bronią przeciwko postępującej polonizacji Łemków pokaże przyszłość.

W sposób dobitny o sprawie łemkowskiej w ostatnim półwieczu mówią fragmenty wspomnień Łemka - Romana Chomiaka ze wsi Wawrzka, wydane w 1995 r. pt. „Nasz Łemkowski Los".

... W roku 1945 było na wojnie z naszej wioski dwudziestu pięciu. Dwudziestu zabrali Rosjanie do sowieckiej armii z domu a pięciu, co byli na robocie w Niemczech. Nasi poszli walczyć w Armii Radzieckiej, dziś nikt słowem nie wspomina, że nasi Łemkowie przelewali krew i oddawali życie za swoich gnębicieli.

Dlaczego naszą młodzież brali sowieci do swojej armii, jak my nie byli ich obywatelami? Przeszkolili trzy dni i wysłali na taki ciężki front. Dali im torby na plecy i wintówkę. Zginęło czterech, pięciu było rannych, dwóch dostało wysokie odznaczenia. Był to pobór do wojska ochotniczo przymusowy.

Jak sowieci brali naszych chłopców do armii, to oficer mówił : pajdiosz wajowat nie za nas, a za swój dom, za swoju simju, za swoju rodinu. A jak wrócili z wojny, to ich nie wpuścili do ich domów, bo już były zajęte przez osadników, gdy rodzina wyjechała na Ukrainę. A do tych domów, co były puste, też ich nie chcieli wpuścić. Tak wojowali za swój dom, a potem poszli za służących do obcych ludzi. Wojna się skończyła w maju, a ich puszczali do domu jesienią, jeszcze ich mieli wysłać na front japoński. Opowiadał mój brat, jak ich puszczli do domu, to komadir im podziękował za trud w walce z okupantem i

powiedział : kak choczetie, ostawajtie u nas, a kak choczietie, wiertajtie na rodzinu w swoje ridnije starony. Chłopcy nasi, którzy wrócili z wojny, dużo ich poniszczyło dokumenty wojskowe i odznaczenia, jeden z mojej wioski miał gwiazdę. Nasze władze, raczej milicja, napastowała ich, że służyli w obcej armii, że stracili obce obywatelstwo i musieli się ukrywać, żeby ich nie wysłali do Rosji. Były wypadki, że tych, co wrócili, a raczej uciekli z Rosji, ORMO wywoziło z powrotem. Anie jedna ani druga strona nie doceniłą ich ofiarności, że tak w nieludzki sposób potraktowali ich rodziców konfiskatą ojcowizny, że walczyli za kozią duszę.

Tego czasu jak nasza młodzież poszła walczyć w armii sowieckiej, to po naszych łemkowskich wsiach zaczęły grasować polskie bandy rabunkowe, kraść bydło, przyodziewek, a my tak byliśmy wyniszczeni przez wojnę.

W roku 1945 nasz sołtys z Wawrzki zebrał od ludzi pieniądze emisyjne i poszedł do banku w Nowym Sączu wymienić pieniądze, to pani w banku mu powiedziała : wy jesteście wrogami Polski i Rosji i nie wymieniła pieniędzy. Sołtys jak przyjechał do domu, to rozdał pieniądze ludziom i płakał, bo mu jeden syn Stefan zginął na wojnie, a drugi, najstarszy, we wojnę umarł na czerwonkę. Mówił : za co nasze chłopy walczyli, po wojnie zrobili z nas wrogów, wtenczas o ukraińskiej partyzantce aniśmy nie słyszeli. A już nas zrobili wrogami.

Nam było smutno za naszymi sąsiadami, co wyjechali na Ukrainę. Do opuszczonych domów przychodzili osadnicy, różna hołota, rozmaite drańtwo. Myśmy zaraz poznali, że nie będzie można z nimi zgodnie żyć, a oni już wiedzieli, że my będziemy wysiedleni, już dzielili się naszym dorobkiem, do nich przychodzili złodzieje i chodzili do nas kraść. To był rok 1945 i 46.

Osadnicy, aby się nas jak najszybciej pozbyć i podzielić się naszym majątkiem, donosili na nas różne kłamstwa do wojska, które kwaterowało w Florynce na plebani.

Były wybory do Sejmu na początku 1947 roku, przyjechał do naszej wsi porucznik i mówił : głosujcie na władzę ludową, wybierzemy sejm, wydamy ustawę, które będą was chronić od tej swawoli. Nasi Łemkowie bardzo się zastanawiali , na kogo głosować, pytali się adwokata, adwokat kazał głosować na władzę ludową, bo jak nie, to nas wszystkich wysiedlą do Rosji. Bo przed wojną Łemkowie głosowali na jedynkę za rządem. Ludność polska nam dokuczała, że głosujemy za panami. Myśmy byli ostrożni, baliśmy się, aby nas nie posądzili o komunizm. Bo nasi Łemkowie w pierwszą wojnę światową byli posądzeni jako rusofile. Madziary nazywali naszych ludzi Muska znaczy Moskale. Madziary byli dla naszej ludności mordercami, katami.

No i wybraliśmy władzę ludową, ale inaczej się stało. Tych, co nocami chodzili nas bić i rabować, osadzili na nasz dorobek, a nas wygnali na poniewierkę, gdzie nas spotkała okropna niewdzięczność. Jak wyglądała ewakuacja? Wywieźliśmy ludzi w roku 1945 na daleką Ukrainę do Kirowohrada za Połtawę, do „czerwonego raju, gdzie nie było gdzie mieszkać ani co jeść. Łemkowie umierali z głodu. We wojnę dużo Ukraińców Niemcy wysiedlali przed frontem i my ich tu karmili i przyodziewali przez półtora roku, a był to czas wojenny, my musieli oddawać też duże kontyngenty. Żaden Ukrainiec nie umarł z głodu w naszych wioskach wyniszczonych wojną. Ludzie mieszkali po bunkrach a meble na polu. Jak nasi przyjechali tam, to wyjechała po nich diewoczka w podartej pałatce wołem i prosiła od nich chleba. Kobiety jak zobaczyły ten obraz biedy, zaczęły bardzo płakać. Moja sąsiadka Leszczyńska powiedziała do naczelnika : po coście nas tu brały, jak nie macie dla nas mieszkań, ani co jeść, pobijcie nas, żeby my się nie męczyli, a on na to : ani was tu nie prosił, ani nie będę zabijał, ty sama padochniosz. To było w 1945 roku ta ewakuacja. Wszystko zniszczone wojną, jeszcze na dalekiej Ukrainie była okropna posucha, tak, że wiadro ziemniaków kosztowało 100 rubli. Kto miał krowę, to się ratował przed głodem mlekiem i serem, nastał okropny głód i poniewierka. Z mojej wioski umarła Wasyla Burahycza córka, umarła Ewdokii Leszczyńskiej Lubcia, umarła Maksyma Janiszaka Ulka, umarła Olgi Chomiak córka, a jej matka poszła w nieznane strony i ślad po niej przepadł. Jak grzebano te dziewczyny, to je owinięto do słomy i zakopywano do ziemi. Ludzie jedli lebiodę, wiele osób zmarło z głodu. Z Florynki Jurko Dydowycz tak pisał z Ukrainy : choćby cię zabili, to nie rusz się od swego progu.

Po wyjeździe naszych Łemków na Ukrainę, przyjechał do wsi mierniczy, nazwisko Nowotarski, i komisarz o nieznanym mi nazwisku. Szacowali opuszczone domy. Ten inżynier był bardzo ordynarny. Do domu po Wasylu Marenie wróciło dwóch synów, jeden z rosyjskiego wojska, drugi z Niemiec. Ten drugi był żonaty, miał Polkę od Zakopanego. Mówił ten żonaty do inżyniera : proszę zapisać ten dom na mnie, a inżynier : ten dom jest na Polaka, a syn Mereny :ja jestem Polakiem, bo mam żonę Polkę, a inżynier bardzo brutalnie się wypowiedział : jakbyś chciał być Polakiem, to musiałbyś se dać urżnąć jaja. Idziemy dalej, przeszliśmy koło cerkwi, która była budowana w latach 1937-1938, a pieniądze na blachę i krzyż przysłali nasi bracia z USA i Kanady. Inżynier mówi do komisarza : cerkiew trzeba będzie przydzielić komuś na chlew. Nam wciąż milicja obiecuje, żeby im dawać świnie, bo jak nie, to nas wywiozą do Rosji. Kupowaliśmy świnie, po trzech, po czterech, składali się i kupowali, dawali świnie milicji, to było w 1945-46 roku. Ci, złodzieje co nas podczas wojny

chodzili rabować, po wojnie poszli do milicji, nas biednych ludzi wyniszczonych wojną niepokoili znów dniami. Jeden ubowiec tak powiedział : wy Łemkowie jak to gówno przy drodze, kto tylko chce to na nie nadepnie.

Jesienią 46 roku przyszła milicja do naszej wioski, napierali się gołębi, a mój teść mówi : jak wam złapię gołębie? A po drugie nie wiem, czyje to gołębie. Milicjant mówi : zaraz się dowiemy i strzelił na moim dachu do gołębia, gołąb raniony poleciał na dach sąsiada, znów strzelił do niego, od razu buchnął płomień, bo dach był kryty gontem i słomą, już się zapalił drugi dom gospodarczy. To wszystko widział mój teść i nauczycielka, narobiła krzyku, ludzie się zlecieli i ogień ugasili w zarodku, to było okropne niebezpieczeństwo, bo wiater był od południa i poszłaby większa część wioski z pożarem. Milicja zatrzymała Semana Ciołkę z Florynki, bo prowadził krowę i widział, jak strzelali po dachach. Pytali się go kto podpalił dom, on mówił : nie wiem, bo krowa się latowała i chciała na mnie skoczyć, to się oglądałem na krowę. Nakazali mu mówić, że baba podpaliła dom i wyskoczyła przez okno. Gdyby powiedział prawdę to by go zastrzelili. Taką mieliśmy po wojnie milicję. Jak se popili, poszli do Florynki, zastrzelili naszego chłopca na podwórzu. To byli ludzie zdemoralizowani, podczas wojny chodzili rabować, a po wojnie poszli do milicji i mieli powiązania z bandami, tak ludzie mówili. Wasyl Madzelan jak jechał do Rosji, to złodziej go okradł na stacji w Grybowie. Poszedł do Madzelana i zawołał go na bok :ja was pouczę, pan jest amerykański obywatel, po co pan jedzie do Rosji. Wyjął pistolet i zabrał mu wszystko co do grosza. Tym rabusiem był milicjant. Syn tego Madzelena, Seman jak wrócił z wojny, pojechał do Nowego Sącza, banda rabunkowa ściągnęła z niego mundur, co w nim wrócił z wojny, tak że w bieliźnie wrócił do domu, takie były złodziejskie czasy. Michałowi Worhaczowi zabrali wszystko bydło, Osypowi Merenie zabrali dwa konie. Drugi raz przyszła ta banda do Mareny i zabrała mu wszystko co miał, bydło, ubrania nawet z dzieci. Ludzie żyli w stałym zagrożeniu bez nadziei pomocy od władz. Dlatego nasi Łemkowie zaczęli wyjeżdżać do Rosji. Mówili : my tu nie będziemy mieć życia.

W czerwcu 1947 r. przyszło do mnie do domu polskie wojsko. Niech się mąż do nas zgłosi, mamy do niego sprawę, bo mnie wtenczas nie było w domu. Na drugi dzień idę do Florynki, bo tam na plebani kwaterowało wojsko, a stamtąd wraca Jurko Janiszak i mówi do mnie : nie choć, nie choć, Matko Boska, co tam wojsko wyrabia z ludźmi, w okropny sposób biją, mordują ludzi. Przychodzę na plebanię, zamknęli mnie do spichlerza, a tam było już dwóch, jeden nazywał się Kofla, ranny z wojny, bardzo pobity, a drugi Kaniuk. Przychodzi żołnierz, prowadzi mnie na plebanię, a tam na środku mają przygotowaną ławkę, porucznik

Lewandowski krzyknął na mnie : jakiej jesteś narodowości? A ja na to : panie poruczniku, jestem obywatelem polskim, tu się urodziłem, tu służyłem przy wojsku i byłem na wojnie. Porucznik ryknął na mnie :czemuś ukraińskie bydle nie wyjechał do Rosji? Sierżant krzyknął : ukraińskie bydle pokaż gdzie masz serce i uderzył co siły mnie w pierś trzy razy, ja się zatoczyłem, a on mnie chwycił za włosy na głowie i przewrócił na ławkę, co mieli przyrychtowaną, sierżant trzyma mnie za włosy, dwóch za ręce, a porucznik Lewandowski i Jurek Twardowski biją mnie jasionowymi laskami po całym ciele, ja się strasznie rzucałem, strasznie krzyczałem, przewróciłem ławkę, zapchali mi usta szmatą i mnie przydusili, ażem zemdlał, mieli na samowarze gorącą wodę i jeden krzyknął : zabili my skurwysyna i zalał mi twarz gorącą wodą, woda prysnęła na ręce Lewandowskiego, krzyknął : co ty podałeś gorącej wody! Wszystko to obserwowała rodzina mojej żony, bo mieszkali naprzeciw plebani, jak później opowiadali, że im żołnierze donieśli, że mnie aresztowali, żona wuja płakała i mówiłą : o już Romana zamęczyli, już leją na niego wodę. Rzucili mnie drugi raz na ławkę, trzech trzyma, a obaj porucznicy biją, Jurek tak się zmęczył, że aż się rzucił na leżankę, a jego miejsce zajął inny, biją mnie, znów straciłem przytomność, zlali mnie wodą, jak oprzytomniałem, to porucznik mówi do mnie : spocznij se, może se zapalisz. Ja mówię do nich : daliście mi dobrze popalić, ani okupant nie robił tak z ludźmi jak wy ze mną niewinnym człowiekiem. Na trzeci raz znowu przewrócili mnie na ławkę i biją i znów straciłem przytomność, za trzecim razem długo nie mogli mnie ocucić, to porucznik Lewandowski tak mnie bił w twarz, że pękł mi nerw w uchu, od tej pory nie słyszę na jedno ucho, tylko jeden ciągły szum. Jeszcze im tego było za mało, porucznik założył mi druty na duże palce i kazał mi ręce włożyć do kieszeni, a sam kręcił korbką od aparatu, co wytwarzał prąd, ja po prostu ryczałem w nieludzki sposób, a rękami tak mi trzepało, że popękały obie kieszenie w marynarce. A jeszcze mordercy jedno wymyślili na mnie, przewrócili mnie na podłogę, nogi na tę ławkę i znowu jedni trzymali, a porucznik Lewandowski bił mnie jasionową laską po podeszwach, że aż mu się złamała, W kącie mieli zapasowe laski, co im na zamówienie robił Franek Radżak ze wsi Ropa. Po tym znęcaniu wywlekli mnie do spichlerza i zamkli.

Po przyjeździe na Ziemie Zachodnie ciało poobijane ropiało, robiły mi się rany, rana ropiała trzy tygodnie i znów nowe rany robiły się, uszkodzili mi lewą nerkę, nad kolanem mam uszkodzony nerw, co pod dotykiem jest mało czułe ciało, nabawili mnie silnej nerwicy, z tego powodu odczuwam żal. Z wojny 1939 r. wróciłem okropnie wyniszczony głodem i poniewierką, ale nie miałem uszkodzonego zdrowia, wojnę przeżyłem zrujnowany i okradziony. A po wojnie tak mi oprawcy uszkodzili zdrowie. Szanowni państwo, może

jeszcze żyją ci żołnierze, naoczni świadkowie, którzy widzieli, co z nami niewinnymi ludźmi oficerowie władzy ludowej wyrabiali, niech by ci oprawcy się wypowiedzieli, za co nas tak strasznie bili, chyba prawem człowieka się w taki sposób posługiwali i kontynuacją władzy ludowej.

To było z samego rana w niedzielę, w cerkwi nabożeństwo, a na plebani morderstwo nad niewinnym człowiekiem. Przychodzi do mnie żołnierz, daje mi dwa wiadra i prowadzi po wodę do studni Marii Dubec, ona wyleciała i mówi do nas : czekajcie ja wam nabiorę wody, a żołnierz do niej : będziesz skurwysynowi Ukraińcowi nabierać wody, nabrałem tej wody, postawiłem wiadra koło studni, żołnierz krzyknął :skurwysynu, będziesz kładł wiadra do błota i uderzył mnie co siły w twarz. Przecięło mi wargę na zębach i zalała mi krew usta. A ta Maria Dubec, jak to widziała, to się rozpłakała, bo ona mnie znała, bo my razem chodzili do jednej cerkwi. Idę dalej z tymi wiadrami, a moja żona Zofia i jej siostra Anastazja byli tej niedzieli w cerkwi we Florynce, zaleciała z tyłu i zakaszlała, ja się obejrzałem, a ten żołnierz kopnął mnie, że aż spadłem na wiadra.

Jak mnie mieli puszczać do domu, to jeszcze mnie Lewandowski bił po podeszwach. Boże mój jaki to był okropny ból, nogi miałem bardzo spuchłe. Porucznik kazał się podpisać com widział i com słyszał i co jest mi wiadome, nie zdradzę pod karą śmierci i kazał mi się podpisać, że będę donosił na ludzi, a ja oświadczyłem, że nie byłem konfidentem ani podczas wojny, ani po wojnie. Greckokatolicki ksiądz tak mówił do mnie : wyprowadziłem się z plebani, bo już nie mogę znieść tego płaczu naszego narodu. Memu bratu powiązali ręce, założyli na kolana, założyli drągi i go powiesili i bili jasionowymi pałkami po całym ciele. On jeszcze leżał w łóżku bo był chory , przyszli do niego oprawcy i prosili jeść, brat im nie dał, poszedł do lekarza do Grybowa, to lekarz mu tak powiedział : człowieku, już po twoim zdrowiu, a szkoda cię boś zdrowy i ładny mężczyzna. Cało ciało miał posiniaczone. Niejednemu te oprawcy zniszczyli zdrowie, z mojej wioski pięciu osobom. Z Polan pobili Kanię i jego małoletniego syna. Kanię jak pobili wyrzucili na podwórze, leżał nieruchomy, a przeszedł duży deszcz, on leżał, żołnierze zawlekli go pod dach a jego synowi ściągnęli spodnie, bili go kijami, że poprzecinali mu skórę na tyłku, bili go po podeszwach, posądzili go o to, że dał partyzantom gazetę, chłopak miał wtenczas trzynaście lat. Ja tu nadmieniałem tylko paru tych, co ich wojsko pobiło. Jurek Twardowski, jak se popił u Wasyla Junaka, to powiedział, że lubi bić Łemków. To znaczy, że bił nas z przyjemności.

Pobili także dziewczynę z Berestu, córkę Kochana, słyszałem jak strasznie krzyczała jak ją bili, widzieliśmy, jak leżała na podłodze cała mokra przykryta płaszczem i mówiła : już

mnie załatwili. Odpowiadał mi mój znajomy z Krynicy, Walenty Małek, który u nas we wojnę kupował mięso, jak ci wojskowi oprawcy bili lekarza Smolińskiego z Krynicy, bili go taboretami po głowie, zdarli mu skórę z głowy, ten lekarz krzyczał na przyjaciela : Małek ratuj mnie, zabrali go do szpitala do Nowego Sącza i umarł. On miał za żonę Polkę to chciała skoczyć do mogiły jak go chowali.

Jak mi te oprawcy zniszczyli zdrowie, że potem siedem miesięcy leżałem w szpitalach. Żeby ich Pan Bóg skarał za naszą krzywdę, to im życzę, bo władze im pobłażają, bo o tym milczą. Od kiedy Polska jest państwem, to nie było popełnionej takiej zbrodni, a mamy dwudziesty wiek i to się nazywa prawem człowieka w dwudziestym wieku.

Wysiedlenie było w 1947 roku w drugiej połowie czerwca. Przed samym wysiedleniem przyjechał poborca, ściągnął z nas całoroczny podatek. Ludzie zaorali pola, obsiali swoje i jeszcze pola po tych co wyjechali do Rosji, ja sam obsiałem dwa hektary dzierżawy, nabrałem dużo nawozów sztucznych, żeby podnieść gospodarstwo zniszczone przez wojnę, a kupno ubrania odłożyłem na później, a co się okazało, że nie miał się w co ubrać, ani gdzie mieszkać, ani nie było co pić. W domu jeszczew 1947 r. Na wiosnę dawali ziarno siewne, to za nie nam przyszło płacić na zachodzie, a oni ziarno po nas sprzedali na pniu, taką dla nas dobrotę wymyślili, ale ja nie mam siły opisywać tego wszystkiego.

Drugiego dnia przyjechało wojsko do wioski, przyszło do mego domu dwóch żołnierzy, siedli koło stołu, nic nie rozmawiają ani z nami, ani ze sobą, na pewno przeżywali tą naszą tragedię, bo mieli swoje rodzinne domy. Żona miała ugotowaną kurę, pokroiła i ja daję im tę kurę, nie chcieli jeść, ja do nich mówię : jedzcie chłopcy, my do was nie mamy żalu, widzę po was, że wy przeżywacie to, że przyszliście wyganiać nas z naszego domu, ja też byłem we wojsku i na wojnie i znam się na wojskowych przepisach, proszę was jedzcie, bo my już nie będziemy jedli. Nie wiemy co na jednego tak podziałało, że chusteczką wycierał oczy, czy to, że nas przyszli wyganiać, a ja chcę ich gościć. Ale potem jedli.

Jak my opuszczali ziemię, swoje domy, ludzie płakali, całowali ziemię a ja poszedłem pod naszą cerkiew i klęknąłem na progu cerkwi, bo już była zamknięta i prosiłem Boga, żeby mnie obronił od dalszego prześladowania. O obozie Jaworzno jeszcze my nic nie wiedzieli.

Wychodzimy na sołtysostwo, czyli na wyżni koniec wsi, przyszły trzy dziewczyny Polki z wsi Ropa, Janiżanki, pożegnać się z nami, bardzo płakały, że nas taka niesprawiedliwość, taki zły czyn spotkał. One chodziły, jak inne polskie dzieci do naszej szkoły, przychodziły na nasze zabawy.

Ładowali nas do brudnych wagonów, z bydłem i paczkami po dwie rodziny, w jednym końcu wagonu jeden miał bydło, w drugim końcu drugi, na środku paczki, na nich siedziały dzieci, chorzy i ciężarne kobiety. Jeden wagon w naszym transporcie był niekryty, jechały nim dwie rodziny, Mikołaj Ciołka z rodziną, drugiej rodziny nazwiska nie pamiętam, zrobili dach prowizoryczny i ten dach spadł na dzieci, które jechały w tym wagonie, Tacjannie Ciołka tak uszkodziło kark, że przez dwa miesiące głową nie ruszała, ona jeszcze żyje koło Szprotawy, wieś Dzikowice.

Jak nas w Grybowie załadowali, a moich sąsiadów Romana Chomiaka i Dańka Merenę dołączyli do innego transportu z Boguszy i nasi Wawrzczanie poszli się z nimi pożegnać, to ubezpieka zrychtowała sobie nahaję z liny, porucznik tak bił tych, co się poszli żegnać, aż im skórę na plecach porozcinał. Ja skoczyłem za żywopłot i nie dostałem tą nahają. W Nowym Sączu na stacji, przyszedł nauczyciel z dziećmi szkolnymi, postawił ich przed naszym transportem i śpiewali - Jeszcze Polska nie zginęła póki my żyjemy.

Z transportu zabierali ludzi do Jaworzna, a ich żony z małymi dziećmi wywozili w obce strony. Mego sąsiada, który był inwalidą z pierwszej wojny zabrali z pociągu, a jego żonę z małymi dziećmi załadowali do innego transportu, to jego żona chciała wyskoczyć z pociągu, a jej dwóch synów Jarosław i Wasyl było na wojnie 45 roku, przodem wyjechali w Legnickie.

Wojsko, które transportowało nas Wawrzczanów i część Biłcarowian, te kobiety co ich mężów aresztowała ubezpieka żołnierze brali do swego wagonu, od starszych kobiet brali pieniądze, dziewczyny i młode baby zostawiali. Jak pociąg ruszył wyrabiali z nimi co chcieli. Mój brat był zaraz za tym wagonem, to wszystko słyszał, szloch bab, nie będę pisał nazwisk, bo nie wiem, czy się przyznały swoim mężom, jaka je spotkała zbrodnia.

Jeszcze w obozie w Jaworznie nie wzdychały poniemieckie pluskwy i inne pasożyty, a już władza ludowa wywoziła do tego obozu naszych ludzi i to w starszym wieku, ich synowie byli na wojnie. Sąsiad wrócił z obozu Jaworzno ze zniszczonym zdrowiem. Był tak skopany, że miał rany po tyłku. Ot, tak wyglądało nasze wyzwolenie.

A jeszcze zapomniałem o Marii Leszko, którą UB włóczyło po schodach, że aż zgłupiała, wiedzieli ludzie z naszej wioski jak ją męczyli, taka była fajna dziewczyna, nikomu nic nie winna, tak ją wrogowie zniszczyli, nawet jej do rodziców nie przyprowadzili, tylko ją poznał Michał Worhacz i przyprowadził, ale niedługo potem żyła, umarła w zakładzie dla umysłowo chorych.

Wezwał mnie do swego biura młody porucznik, pyta mnie : byłeś w bandzie UPA? Ja na to : nie byłem, panie poruczniku, byłem w polskim wojsku i byłem na wojnie 39 roku. On do mnie : pokaż dokumenty. Zabrał ode mnie cały portfel, miałem w nim legitymację rzeczoznawcy chorób pszczelich, legitymację sądowniczą i zdjęcia wojskowe. Popatrzył na zdjęcie i pyta : co to za skurwysyn, ja mówię : to ja jestem panie poruczniku, uderzył mnie dwa razy w twarz i krzyknął : wynoś się, chciał mnie kopnąć w tyłek.

Tak się popisywali oficerowie władzy ludowej, jak ich ruskie wojska wyrwały ze szponów Hitlera. Taką wolność przygotowała dla nas władza ludowa, cośmy na nią głosowali i ginęli na wojnie 39 roku i 45 roku i to barbarzyństwo nazwali przesiedleniem Łemków na ziemie odzyskane, mężczyzn zabierali do obozu, a ich żony z dziećmi wywozili w nieznane strony, gdzie domy były zniszczone i złe nastawienie ludności polskiej, bo nas władze przedstawili jako bandytów. A my dawali pożyczki dla państwa, z naszej wioski, którzy mieli las, to dawali drewno budulcowe na odbudowę Warszawy. Ja sam odwoziłem do Grybowa dwie sztuki grubego drewna.

Tam na zachodzie dawali nam po parę kilo zboża albo kukurydzy. Ten co wydawał, tak na nasze kobiety pyskował : póki świat światem nie był Ukrainiec Polakowi bratem. Nasze żony nie chciały iść po tą żebraninę, a moje zasiewy z Wawrzki kupiły zakonnice w Białej. Pisał do mnie Masztafiak z Ropy : Romek, jakie ty nawozy siałeś, że na twoim polu takie ładne urodzaje?

Przyjeżdżamy do Szprotawy, tu nas dzielą jak handlarze koni, gdzie których zabrał pegeer, niektórych ludzie prywatni, nieporozumienia, bieda. Na drugi dzień przychodzą ludzie widzieć tych wygnańców, tych przestępców, przychodzi Marcin Burzyński i tak nas przywitał :a wy jeszcze żyjecie, was siekierą zarąbać i w piecu spalić.

Milicjant Mielczyk przychodził codziennie nas niepokoić. Ja miałem kalendarz amerykański na ścianie, zabrał i rzucił pod nogi. Łemkowie robili u Polaków za miskę zupy. Jak myśmy przyjechali na zachód, opowiadała memu bratu sąsiadka, Stefka Dembińska, że ksiądz z ambony krzyczał w Szprotawie : przyszli tu podli ludzie podłej narodowości, żebyście z nimi nie wchodzili w żadne kontakty, jak nie chcę psa widzieć w kościele, tak ich nie chcę widzieć, a były tam dwie nasze kobiety, jak to usłyszały, to płakały.

Na drugi dzień przychodzą urzędnicy i ormowcy : Władysław Malecha, Jan Burzyński, ormowiec Jan Cholewka, radny gminy Jan Kruszakin, mówią do nas : chodźcie, przydzielimy wam ziemi. Wyprowadzili nas na pole, może całą wojnę nie było orane, ten majątek miała w użytkowaniu sowiecka armia, namierzyli na tej ziemi obum z bratem dwa ha. Zaoraliśmy to

pole wołami i koniem, bardzo ciężko się orało, bo to była glina. Jak my orali to pole, nie pamiętam ile dni, napisali z naszej wioski do dowództwa sowieckiego do Legnicy, że ziemia leży odłogiem. Jak to otrzymał naczelnik tego majątku, zabrał wszystką ziemię ludziom, między innymi nam, na naszym zaoranym polu wbił tablicę z napisem : nielzia wstupat chaziajstwienna ziemla, przepadła nasza praca. To było latem 1947 roku, orkę rychtowaliśmy pod jesienne zasiewy. W 1947 pod zimę nic my nie posiali, bo nie mieliśmy pola. Na wiosnę 1948 r. poszliśmy na drugą wioskę do Dzikowic, tam były trzy rodziny Łemkowskie i prosimy : może macie kawałek pola, bo wiosna, a my nie mamy ani kawałka ziemi. Oni mówią : o, to jest ziemia z funduszu, możecie orać. Orzemy, tego pola było około hektara. Jak już kończymy orać, wychodzi Michał Sokołowski : kto wam pozwolił orać i znowu przepadła robota. Nie mamy gdzie siać ani gdzie paść. Jak było zebranie we wsi, poszedłem i mówię : dajcie nam chociaż 20 arów pod ziemniaki, bo już drugi rok nie mamy ziemi, a Wacław Mucha mówi : damy ci ziemię pod mogiłę. Poszliśmy do gminy i prosimy : panie sekretarzu, przydzielcie nam ziemi, bo już drugi rok nie mamy gdzie siać, a sekretarz Bartoszewski mówi : Polska dla Polaków, a nie dla was wrogów. Poszedłem do Szprotawy do kościelnego pana Gałaczyńskiego, on zarządzał kościelną ziemią, dał mi kawałek ugoru, zaorałem, zasiałem owies, zajechał Trembacz z Henrykowa, puścił kultywator i zasiał se wykę na moim owsie.

W mojej wiosce koło lotniska był plac ćwiczeń, poszliśmy z bratem orać go, wyorywało się różne kule i ładunki, mógł nastąpić wybuch, a z nim śmierć. Boże mój, a mieliśmy w domu po dziesięć hektarów, w tym brat miał cztery hektary lasu, duży sad i pasiekę, pole obsiane i obsadzone, ja miałem dziesięć hektarów, w tym cztery hektary grubego lasu, jeden hektar sadu i pasiekę składającą się z 35 uli rodzin pszczelich. Proszę państwa, człowiek w takie czasy, jak straci swój dom, to jest jak ten pies, co go podły gospodarz odgoni od domu, kto tylko chce za nim rzuci kamieniem i powie - jakby coś wartał, to by go od domu nie odegnali.

A teraz opiszę bardzo przykrą sprawę, jaka miała miejsce w Dziećmierowicach koło Szpotrawy. Było to na początku, jak organizowali spółdzielnie produkcyjne. W tamtej wiosce było dziesięć rodzin łemkowskich a ani jeden się nie zapisał do tej spółki. Zrobili regulację gruntu, sobie zabrali co lepszą rolę, a Łemkom dali żwiry i pole, gdzie zalewałą rzeka Bóbr. No i urzędników było pod dostatkiem, tylko robić nie było komu i kłócili się między sobą, bo 10 ha ziemniaków nie wykopali, koniczyna zgniła na polu.

Jak dzieci moje zaczęły chodzić do szkoły, miałem z nimi okropny kłopot, syn przychodził pobity, pokrwawiony, dzieci rzucały mu czapeczkę do błota i po niej deptali, syn

wracał krzakami, bo drogą bał się iść, odprowadzałem go do szkoły, bo szkoła była na drugiej wsi.

Górale uciekali z zachodu, bledli, bo im klimat nie służył. Tak samo nasi Łemkowie czuli się na nizinnym terenie źle, chorowali, nawet bydło chorowało, kaszlało. Mnie ładna krowa zdechła. Konia młodego bardzo ładnego mi struł samozwaniec weterynarz, podły człowiek, był na mnie zły, bo mi kastrował młode baranki i zażądał tyle co w lecznicy brali od kastracji buhajów. Ten koń tak skakał, jak uderzył w ścianę głową to tylko krew prysła, a o mało szwagra nie zabił tak strasznie skakał i skakał, potem w lecznicy lekarz kazał go dobić.

Rozmaite kłopoty nam się piętrzyły, tak dla nas propaganda władzy ludowej narobiła, takie warunki nam przygotowała, nie jestem w stanie tego wszystkiego opisać. Propaganda zrobiła swoje, patrzono na nas jak na zbrodniarzy, byle łachudra pijak ci ubliżał, a nam nie było komu się pożalić. Nasza młodzież nie mogła iść na zabawy, bo ich bito.

Była u nas zabawa taneczna, moja żona lubiła se potańczyć, pośpiewać, mówi do mnie : Roman idź kup bilety, ja podoję krowę i pójdziemy zajrzeć na tą zabawę. Już kupiłem bilety, a była ze mną moja mała córeczka, jeden organizator zabawy powiedział do mnie : ty bandyto chcesz się z nami bawić, wyście zabili Świerczewskiego. Moja mała córeczka zrozumiała tą wypowiedź i mówi : mama, tam jeden pan mówił, że tato zabił Świerczewskiego. Żona się rozpłakała i powiedziała : niech się sami bawią.

Po 1956 roku zaczęliśmy pisać o zwroty naszych gospodarstw, wciąż nam odpowiadano, że nasze gospodarstwa objęte dekretem 49 roku i rozdzielone osadnikom. Ale dom i pole spłacałem. Jestem kombatantem, ale nie skorzystałem, mnie się należało gospodarstwo bezpłatne. Wyremontowałem dom, zaprowadziłem centralne ogrzewanie, doprowadziłem wodę do budynku, zasadziłem sad i dwa lata temu wyjechałem w swoje strony na stałe.

Dwadzieścia trzy lata dojeżdżałem do gór, ponieważ z zachodu przywiozłem tu dużą pasiekę, jeździłem cztery razy do roku, a na zimę wracałem do Zielonogórskiego, co ja się naponiewierałem w pociągach za te dwadzieścia trzy lata.

Jeśli chodzi o Łemków, jak wrócili, prawie wszystkie ich domy były zburzone, więc musieli budować i kupować drzewo ze swojego lasu. Raz jechałem samochodem z dwoma panami, to tak mówili do siebie : ale się te biedne Łemkowie narobią, a jeden powiedział : widzisz, że im władza ludowa poburzyła domy. Ludzie wracali, a na ich placach rosła pokrzywa, a gdzie jeszcze stał dom, to mieszkał osadnik i on był prawowitym właścicielem, najwyżej dawny właściciel mógł kupić swój dom, jeżeli osadnik wyraził zgodę.

Teraz napiszę, jak ludzie mieli wracać w swoje rodzinne strony. Opowiadał mi o tym Teodor Sokoł z Hańczowej. Poszli do osadników, prosili aby ich przyjęli na komorne do ich opuszczonych domów. Sokoł poszedł do leśniczego, aby mu dał drewno na podłogę do obory, leśniczy pozwolił mu ściąć jakiś złom, poszedł, ściął i jak jechał przez rzekę, wóz mu się rozpiął, deski pospadały do wody, a był już mróz, jakoś ich zwynosił z rzeki i przyjechał do domu zmęczony i zmarznięty, wcześniej z osadnikiem o coś się pokłócił, osadnik zamknął drzwi i nie wpuścił go do mieszkania, opowiadał mi : płakałem pod oknem, a żona płakała w mieszkaniu. Poszedłem do obory, położyłem się między krowy i przeleżałem taki mokry do rana.

Druga taka nieprzyjemna sprawa w Hańczowej. Teodora Wańczacza osadnik przyjął na komorne, a potem się z nim procesował, żeby go wyrzucić z jego własnego domu. Osadnik wygrał i Wańcacza eksmitowali z jego domu o zimowej porze. Żona poszła do piwnicy z małymi dziećmi, do wiosny jakoś przeżyli, a potem pobudował dom z desek ocieplany trocinami. Byłem w tym ich mieszkaniu, to była zgroza. Tak się męczyli w tym baraku 10 lat, a potem budowali stodołę, dużą oborę, dwa mieszkania. Był dobrym gospodarzem, trzymał dużo bydła, dwa ładne konie. A osadnik o nazwisku Królczyk trzymał na tym gospodarstwie jedną krowę, bo zaciągnął dług i bał się, aby komornik nie zrobił zajęcia. Potem to gospodarstwo sprzedał i wyjechał z Hańczowej.

Wysowa i Blechnarka to wioski pograniczne. Po wysiedleniu Blechnarki górale trzymali tam owce w grekokatolickiej cerkwi, ot taka kultura w dwudziestym wieku. Nawet dzikiej ordzie tatarskiej podczas pokoju nie wolno było zachodzić do cerkwi. Widocznie doceniali, że tam się modlą ludzie, że to jest świątynia, miejsce kultu.

Jak przywiozłem pasiekę do Hańczowej, był u mnie weterynarz z Gorlic, to mówił : jacy tu byli gospodarze, jaka tu była masa bydła, przed wojną ile tu Łemkowie mieli bydła, ja bym wygnał to dziadostwo, tych osadników, a puścił gospodarzy, aby dobrze gospodarzyli. Członkowie Komisji Polskiej Akademii Nauk tak się wypowiedzieli : nikt tych terenów nie zagospodaruje, tylko Łemkowie. To było jasne w pięćdziesiątych latach i sprawdza się dzisiaj.

We wsi Koniecznej jest placówka pograniczna, wojsko w 47 wzięło dziewczynę, córkę Suchowackiego myć podłogi na placówkę. Żołnierze coś żartowali i tej dziewczynie jeden żołnierz postrzelił plecy. Ojciec Suchowackiej oddał sprawę do sądu, komendant placówki tak powiedział, że broń raz do roku sama strzela. Tych rodziców i tą dziewczynkę wysiedlono koło Szprotawy, tam 8 miesięcy się męczyła, a rodzice z nią i umarła.

W 47 roku podczas wysiedlania wsi starszy człowiek o nazwisku Andrzej Dziamba uciekł przez granicę na Słowację. Tamci oddali go polskim oprawcom i ci wywieźli go do Jaworzna. Jak wrócił, to opowiadał, że tak w obozie na niego krzyczeli : chcesz przeżyć, nie przeżyjesz, mamy tu dla was kilometrowy cmentarz! Jego syn Maksym był na froncie wcielony do Armii Radzieckiej.

Koło Gorlic jest wioska, która nazywa się Siary i mieszkała tam jedna łemkowska rodzina, co jej jakoś nie wysiedlono. Przyjechała do gospodarza jego siostra z zachodu pomagać we żniwach. Za to ormowcy ją zabrali do Jaworzna. Ormowcy węszyli jak psy gończe.

Mój brat Włodzimierz w latach pięćdziesiątych przyjechał z zesłania do Grybowa na milicję i prosił, aby mu komendant dał zaświadczenie, że może pójść w odwiedziny do swojej wioski. A komendant na to : po co tam chcesz iść? Brat mówi : panie komendancie, tam jest mój dom i mam duży sad, a komendant na to : a ja bym ci nie dał ani jednego jabłka, a brat na to :to podziękowałbym panu za grzeczność, i poszedł. Jak przyszedł od swojej wsi Wawrzki, to osadnik o nazwisku Drąg, biegał po całej wiosce z ormowcami, aby brata aresztować, ale brat już poszedł ze wsi. Ten Drąg był ze sąsiedniej wsi Ropy i z bratem znali się jeszcze od młodości. A młodszemu memu bratu Drąg tak powiedział : po co się tu włóczysz, jak pójdę na policję, to się nie będziesz tutaj włóczył, a brat mu powiedział : Drąg, tu jest mój dom, tu przyjechałem w odwiedziny. Tak z dziadów porobili się panowie na cudzej pracy. A na nas rzucali kłamstwa, oszczerstwa.

W roku 1937-1938 pobudowali w naszej wiosce drewnianą cerkiew, po wysiedleniu nasi „bracia" zacierali ślady po naszej kulturze, niszczyli ikonostasy, obrżnęli ramiona na krzyżu naszej cerkwi, to samo we Florynce. Opowiadali, że ten co obcinał ramiona na kopule, spadł i się zabił, potem je obcinał młody ksiądz. Nasze religie wschodnia i zachodnia są bratnimi religiami, są najwięcej do siebie zbliżone, my wszyscy się modlimy do jednego Boga.

Nigdy nie pomyślałem w swoich młodych latach, co to jest prześladowanie. Prześladowanie to jest taka epidemia, choroba zaraźliwa, co czepia się ludzi i męczy. W takie bezprawne czasy człowiek jest jak ten pies, co go podły gospodarz wygoni z domu i każdy mu nawymyśla, jak by coś wartał, to by go gospodarz nie odegnał. I nam tak wymyślali : jakbyś nie był winny to by cię nie wygnali z domu. A nasze przestępstwo było, że my się urodzili Rusinami i to był powód do prześladowania, a potem do wysiedlenia.

Zeszłej jesieni byłem na cmentarzu we Florynce, bo tam grzebali i z naszej wioski Wawrzki, tam leżą moje ciotki, moja mama, moje babki i dziadkowie. Na ich grobach paśli bydło, wszystkie groby rozdeptane. Zmówiliśmy modlitwy, potem cały tydzień byłem chory. Długie lata nie miałem możności być na grobach naszych przodków. Domy porozwalane, lasy wycięli, po nas nie zostało śladu.

W Gorlicach nasi Łemkowie pobudowali ładną cerkiew, a teraz budują plebanię. Pomaga im w budowie kościół protestancki z Belgii czy z Holandii. Z protestantami nasi dostojnicy prawosławni mogą się dogadać, a z rzymskokatolikami trudno, bo jak prawosławny umrze, to go nie chcą puścić do cerkwi, którą budowali nasi przodkowie. Niektórzy katolicy myśleli, że nasz ksiądz odprawia w cerkwi nabożeństwo w marynarce. Nasz ksiądz z Wysowej ogłasza w sanatoriach, że w cerkwi będzie prowadził pogadanki na temat religii, to przychodzą kuracjusze, czasem jest ich pełna cerkiew, przychodzą na nasze nabożeństwa, tak się czasy zmieniły, że nie boją się, że pójdą do piekła, jak będą brać udział w liturgii prawosławnej.

Na górze Jawor koło Wysowej, na samej granicy, jest ładna kaplica, parę razy do roku odprawia w niej prawosławny ksiądz nabożeństwo, przychodzą na nabożeństwo ludzie z drugiej strony granicy, ze Słowacji, bo tam też są nasi ludzie. Oni poczuwają się Rusynamy, nazwy Łemky mało używają. Po wojnie część z nich wyjechała na Ukrainę, ale obrowolnie. Później robili prośby do rządu czechosłowackiego, aby ich przyjął z powrotem. Pozwolono im, skorzystali z łaski i wrócili z powrotem na Słowację. Mają swoje gazety, czasopisma, audycje trzy razy dziennie w swojej mowie z Preszowa przez radio. Nikt im tam nie narzuca, jak się mają nazywać, czy Rusnacy, czy Ukraińcy. Nikt ich na siłę nie wysiedlał, a tam też była partyzantka ukraińska.

Dzisiaj czasy się bardzo zmieniły. W Berlinie mur rozwalili, Niemcy się zjednoczyły, rozpadł się obóz komunistyczny, powstały nowe państwa. A na nas w dalszym ciągu ciąży niezasłużona kara, Akcja „Wisła” - ażeby ona była przeklęta po wszystkie czasy i z nią ci co ją uchwalili. Polskie władze tłumaczyły bałamutnie, że to przez partyzantkę UPA nasze wysiedlenie. Ale gdyby nie zamknięto granicy, to partyzantka uciekłaby na zachód, albo gdyby wydali amnestię. To był tylko dla komunistycznych władz pretekst, aby wysiedlić, spolonizować.

Szanowni Państwo, nie byłoby życie ciekawe, jak by nie było różnych przygód, a ja miałem na wojnie i po wojnie, byłem obrabowany przez okupanta, rabowała mnie polska banda rabunkowa, rabowało rosyjskie wojsko, rabowała parę razy ukraińska partyzantka, na

ostatku zabrała jałówkę i to mnie może uratowało, że mnie władza nie zabrała do obozu w Jaworznie, ja dałem znać wieczorem do wojska, że UPA zabrała mi jałówkę, to przyszli jak się dzień robił i wypchali wartę najsamprzód. A potem władza ludowa zrabowała nam wszystko, nasz majątek, naszą kulturę, naszą wesołość. Już nie śpiewają łemkowskie dzieci, jak pasały bydło na pastwiskach w naszych górach na Podkarpaciu.

Wszystko przeminęło, minęło jak ten huragan, który niszczy wszystko na swej drodze, tylko pozostawia smutne wspomnienia. Są łemkowskie wioski, że nie ma ani jednego domu, tylko podmurówki i na miedzach duże kupy kamienia. Nad naszymi łemkowskimi wioskami istnieje duża biała plama, a na niej napisano Akcja „Wisła". A to nie zniszczyła wojna, tylko podli ludzie, którzy nienawidzą nasz wschodni obrządek i naszą kulturę.

Na zakończenie chciałbym nadmienić, że my Łemkowie żyliśmy przez wiele stuleci na Podkarpaciu, gdzie schodzą się wpływy zachodniej, wschodniej i południowej kultury, A każdy ma inne zdanie o nas i o naszym pochodzeniu, od jak dawna zamieszkiwali te górskie obszary nasi przodkowie. A ja prosty człowiek tak sobie myślę, żeby te góry mogły przemówić, może by one powiedziały prawdę o naszych biednych, poniżonych ludziach. Jak przyjdzie zawierucha wojenna to zawsze te nasze biedne Łemkowie są prześladowani...

Fragmenty pamiętnika przedstawione tutaj nie wymagają komentarza. Mówią same za siebie. Jedynym pocieszającym faktem jest to, że można o tym już pisać. Kiedy dojdzie do choćby częściowego zadośćuczynienia krzywd? Choćby po części, bo pełne zadośćuczynienie nie jest już możliwe. Czasu się nie wróci. Takim ludziom należy dać choćby satysfakcję słowną, że cierpieli niesprawiedliwie.

Osobny rozdział to nadmieniana już sprawa obozu w Jaworznie. Do niedawna był to temat tabu. Dopiero w ostatnich latach zaczęto o tej brudnej sprawie pisać.

Fakt, że wiele osób spośród społeczności łemkowskiej osadzono w obozie w Jaworznie, jest potwierdzeniem, że działalność UPA była tylko pretekstem, a nie przyczyną akcji „ostatecznego rozwiązania problemu ukraińskiego w Polsce". Potwierdzeniem takiej tezy jest fakt wysiedlenia ostatnich grup ludności łemkowskiej w roku 1950, w czasie gdy działalność UPA w Polsce należała już do historii.

Obóz ten, tak jak kilka innych, nie zakończył działalności wraz z wycofaniem Niemców. Nowi oprawcy, tym razem komunistyczni, osiedlili tu żołnieży AK lub Niemców podejrzanych przez władze o współpracę z hitlerowcami. Główny obóz dla Niemców znajdował się jednak z drugiej strony Górnego Śląska - w Łambinowicach. Wraz z rozpoczęciem akcji „W" Jaworzno otrzymało inną specjalizację - od wiosny 1947 r. do

września 1949 r., znajdował się tu obóz dla tych spośród wysiedlanych, których podejrzewano o współpracę, często wręcz tylko sympatię dla działaczy OUN i UPA. Uchwała o stworzeniu takiego obozu zapadła na posiedzeniu Biura Politycznego Komitetu Centralnego partii w dniu 23 kwietnia 1947 r. Trzeba zaznaczyć, że obóz był przeznaczony dla ludności cywilnej. Opinia wielu osób, że w Jaworznie osadzono członków UPA, jest błędna. Osoby te sądzono w sądzie polowym Grupy operacyjnej „Wisła", a później w wojskowych sądach okręgowych.

W latach 1947-49 przez obóz przeszło 3936 osób, w tym : 823 kobiety, 22 księży greckokatolickich i 5 prawosławnych. Więźniami było też kilkanaścioro dzieci. Były też przypadki przetrzymywania kobiet z niemowlętami urodzonymi już na terenie obozu. Pierwsze transporty - ofiar akcji „W", dotarły do Jaworzna w maju 1947 r. Duża część została aresztowana podczas transportów z miejsca zamieszkania (wysiedlenia) na Ziemie Zachodnie. Większość transportów kierowano poprzez stację Oświęcim i tam dokonywano selekcji na podstawie uprzednio przygotowanych list. Do obozu trafiały też osoby, które złapano przy próbach powrotu z miejsc przesiedlenia w swoje rodzinne strony. Motywacją takich powrotów była najczęściej chęć zabrania swoich rzeczy czy zebrania z pól swoich zbiorów. Zgodnie z rozkazem głównodowodzącego akcją „W" gen. Stefana Mossora z 16 lipca 1947 r. po wykryciu i złapaniu takich osób, do czego były zobowiązane wszystkie posterunki wojskowe, milicji czy ORMO, powinny być one niezwłocznie dostarczone organom bezpieczeństwa, które następnie kierowały je do Jaworzna.

Największą grupę wśród więźniów obozu stanowiła ludność wiejska, lecz w obozie znajdowała się bez mała cała ukraińska i łemkowska inteligencja, która nie została wcześniej stracona lub osadzona w więzieniach pod zarzutem współpracy z UPA i OUN. Uwięzienie inteligencji było na pewno ważnym elementem w związku z planem rozproszenia i całkowitej polonizacji przesiedlanej ludności.

Tak ostre represje w stosunku do nielicznej przecież warstwy inteligencji Łemków zdarzały się w ciągu XX wieku już po raz drugi. W czasie I wojny światowej cała prawie inteligencja łemkowska zginęła w obozie koncentracyjnym Thalerhof. Szczególnie drastycznie potraktowano duchowieństwo - przetrzymywano ich najdłużej bo aż do lutego 1949 r.

W wielu przypadkach zastosowano metodę odpowiedzialności zbiorowej, deportując do Jaworzna całe rodziny czy nawet dużą część wsi - mężczyzn czy kobiety. Na Łemkowszczyźnie taką wsią było Bartne.

Więźniowie pracowali przy szyciu odzieży dla potrzeb Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Osoby posiadające odpowiednie kwalifikacje pracowały na budowie sąsiedniej elektrowni „Jaworzno" i w kopalniach węgla kamiennego. Na bramie obozu widniał napis „Praca uszlachetnia człowieka" jakże podobny do „Arbeit macht frei" w pobliskim Oświęcimiu. Jednak nie sama ciężka praca była przyczyną śmierci 150-160 więźniów oraz utraty zdrowia wielu spośród pozostałych. Głównymi powodami było bicie osadzonych i panujący w obozie głód połączony z wzmożoną ilością zachorowań na choroby zakaźne. Przykłady znęcania się fizycznego i psychicznego, karania za próby zdobycia żywności itd. stanowią stały element wspomnień świadków tamtych wydarzeń.

W przypadku osób zatrzymanych jeszcze przed wysiedleniem, w miejscu zamieszkania bicie, a często i bardziej wymyślne tortury zaczęły się już w powiatowych oddziałach Urzędu Bezpieczeństwa. Także sąsiedzi zatrzymanego zmuszeni byli do złożenia zeznań obciążających. Trudno obecnie stwierdzić, ile osób skazanych za działalność w podziemnych organizacjach ukraińskich odbywało długoletnie wyroki więzienia lub zostało pozbawionych życia nie na wskutek rzeczywistej działalności, lecz z powodu „przyznania się" wymuszonego brutalną presją fizyczną. Dalsze cierpienia tych, których nie złamano, odbywały się już w Jaworznie.

Osoby zatrzymane były przez pierwsze dni przetrzymywane w zatłoczonych piwnicach, mokrych, często wręcz ze stojącą wodą. Potem, pod silną eskortą, przewożono je do obozu ciężarówkami, po drodze znieważając jeńców i strasząc ich, że z miejsca, do którego jadą, nie ma powrotu. Podczas aresztowań osoby z poszczególnych transportów wywoływano podając przyczyny nie wzbudzające podejrzeń nawet wśród najbliższej rodziny np. konieczność szczepienia). Powodowało to całkowity brak wiadomości o dalszych losach zatrzymanych aż do ich powrotu z obozu.

Kadra obozu starała się przypominać więzionym o „właściwym miejscu" Łemków i Ukraińców. Zmuszała do skakania „żabką" wokół baraków, do biegów, podczas których bito biegnących (szczególnie tych którzy upadli), robiła apele, w czasie których poniżano godność narodową i ludzką więźniów. To swoiste przykłady podawane przez świadków. Dla wzmocnienia efektu wymienione represje stosowano najczęściej w dni świąt prawosławnych i greckokatolickich. Lecz także dzień powszedni obozu był mieszaniną ciężkiej pracy i ciężkiego głodu. Tych, którzy takich warunków nie wytrzymywali, chowano w pobliskim lesie. Wzrost śmiertelności powodował przysłanie do obozu komisji lekarskiej. Wyniki jej

działalności był zaskakujące. Stwierdziła ona zgodność wyżywienia z wymogami kaloryczności. Wzrost śmiertelności wytłumaczyła niską kulturą higieny przebywających.

Od wiosny 1948 r. zaczęto stopniowo zwalniać więźnionych. Potem obóz służył jako więzienie do czasu likwidacji w połowie lat pięćdziesiątych.

Historycy komunistyczni milczeli na temat istnienia obozu w Jaworznie. Miał on być wymazany z pamięci, a cały teren miał porosnąć lasem. O obozie jednak wiedziano na emigracji. W latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych zaczęły o nim pisać wydawnictwa podziemne, a od roku 1989 - prasa. Dopiero jednak 27 września 1992 r. odbyły się na jego terenie pierwsze uroczystości. Przybyli na nie przedstawiciele Komisji do Spraw Mniejszości Sejmu, władz miasta Jaworzna i województwa katowickiego, wojewoda lwowski, władze Związku Ukraińców w Polsce. Z całego kraju zjechało się kilka tysięcy przedstawicieli ludności łemkowskiej i ukraińskiej, w tym wielu byłych więźniów tego obozu i duchowieństwo obu obrządków (Łemkowie i Ukraińcy mieszkający w Polsce są w 60 procentach unitami, a w 40 procentach prawosławnymi). Odprawiano też liturgię w obrządku greckokatolickim - pierwszą posługę nad prochami tych, których komunistyczni siepacze nie tylko pozbawili ziemi, lecz także życia twierdząc, że jako nie Polacy odpowiadali za czyny innych osób swej narodowości.

Społeczności pokrzywdzonych domagają się między innymi rekompensaty za utratę zdrowia dla osób aresztowanych i skazanych w latach czterdziestych. Nie da się jednak zrekompensować rany, którą zadano obywatelom polskim innych narodowości stosując na taką skalę zasadę odpowiedzialności zbiorowej, jak zbiorowych wysiedleń obejmujących całe narody. Jest tym bardziej wstrząsające, że ogół społeczeństwa polskiego nie tylko wówczas nie zaprotestował, ale przez całe lata bronił zasadności przeprowadzonej akcji. Obecnie obraz ten się zmienia - jednak pomimo ostatnich zmian politycznych pełnia prawdy o stosunkach ukraińsko-łemkowsko-polskich jest ciągle białą plamą w świadomości obu narodów. W świadomości polskiej wciąż panuje stereotyp Ukraińca z oddziałów UPA, który znęca się nad ludnością polską, a dla odmiany na Ukrainie taki sam stereotyp Polaka. Prawda jest bardziej skomplikowana. Jaskrawym przykładem tego jest np. Łemkowszczyzna, gdzie nie było prawie UPA, a jednak ludność przeżyła tę samą gehennę wysiedleń i Jaworzna. Wyjaśnienie tych spraw przeszłości i potępienie represji konieczne jest dla naszego wspólnego dobra - dla dobra zainteresowanych narodów. Senat RP potępił akcję „Wisła". Nie uczynił tego dotychczas Sejm, a sprawy zadośćuczynienia dla osób represjonowanych przeciągają się. Na właściwe rozliczenie historii polscy Łemkowie i Ukraińcy nadal czekają.

Powróćmy nieco wstecz do roku 1939. W planach obronnych przed marcem tego roku nie doceniano ewentualnego zagrożenia ze strony Słowackiej w rejonie powiatu jasielskiego (Krempna i okolice były najdalej na południe wysuniętymi miejscowościami powiatu jasielskiego). Układ niemiecko-słowacki dawał prawo Niemcom do budowania urządzeń wojskowych i utrzymywania garnizonów wzdłuż granicy polsko-słowackiej. Słowackie siły zbrojne i polityka zagraniczna podporządkowane zostały dyrektywom Rzeszy. Umożliwiło to okrążenie z „trzeciej strony" terytorium Polski. W tym czasie nie było jeszcze koncepcji obrony granicy południowej. W zachodniej Słowacji skoncentrowała się 14 armia niemiecka zawierająca w swym składzie 3 dywizje górskie, 4 dywizje lekkie, 8 dywizji piechoty oraz dziesięć innych jednostek. Pierwszy etap przygotowań do napadu na Polskę od tej strony został zakończony do końca maja 1939 r. Dopiero na przełomie lipca i sierpnia 1939 r. nastąpiły dalsze ruchy wojsk niemieckich. Zaczęto magazynować bomby i wielkie ilości benzyny na lotnisku „Igllo", koło miejscowości Spiska Nowa Wieś. Strona polska nie doceniła we właściwy sposób zagrożenia i do końca brak było określonej koncepcji obronnej granicy południowej. Dozór na interesującym nas odcinku granicy miał Komisariat Straży Granicznej w Krempnej, oraz jego placówki w Koniecznej, Grabiu i Hucie Polańskiej o łącznej obsadzie 25 ludzi. Wzmocniono tylko ochronę granicy wprowadzając z dniem 6.04.39 r. nowe zasady użycia broni w służbie granicznej, które podano w ogłoszeniach do publicznej wiadomości. Komisariat w Krempnej powstał w 1928 r. W Jaśle początkowo był Inspektorat Straży Granicznej, przekształcony w 1937 r. w Komendę Obwodu Staży Granicznej. Straż Graniczna została podporządkowana dowództwu armii „Karpaty" dopiero z chwilą wybuchu wojny. Według planu mobilizacyjnego przewidywano wzmocnienie Straży Granicznej rezerwistami z wojska w ilości plutonu strzelców na każdy komisariat. Komisariat Straży Granicznej w Krempnej otrzymał 10.08.39 r. wzmocnienie w sile tylko jednej drużyny strzelców. W pierwszych dniach sierpnia 1939 r. placówki Straży Granicznej podległe Komisariatowi w Krempnej przejęły ponad 30 Słowaków i Czechów, którzy pojedynczo lub grupami w umundurowaniu i z uzbrojeniem zbiegli na stronę polską. Kilku odeszło do Krakowa do formowanej przez płk. Ludwika Swobodę jednostki wojskowej, a około 15 pracowało w Krempnej w Ośrodku Przysposobienia Wojskowego i Wychowania Fizycznego biorąc później udział w walkach w składzie Straży Granicznej. Zbiegowie informowali o sytuacji w Słowacji. Według relacji mieszkańca Krempnej Józefa Maciejczyka w budynku Domu Ludowego (stał obok obecnych zabudowań W. Guzery) stacjonował oddział ON (Obrony Narodowej). Zaminowano mosty, stawiano miny przeciwczołgowe. Oddziały ON to

piechota bez dział, uzbrojona w broń ręczną i maszynową najczęściej przestarzałą. Tuż przed wybuchem wojny budowano okopy nad Żydowskim i nad cerkwią w Krempnej. 1 września 1939 r. nad Krempną przeleciały samoloty hitlerowskie kierując się na Krosno i Rymanów. Drugiego września koło południa, omijając linię czat placówki Straży Granicznej w Grabiu oraz wysuniętej 2 kompani batalionu ON „Jasło" ugrupowanej nieco na północ na skraju wsi Zydowskie, wdarła się grupa bliżej nie rozpoznanych dywersantów. Ostrzelali oni ubezpieczenie placówki Huta Polańska, położone około 3 km od granicy. W dniu 4 września w rejonie placówki Straży Granicznej Grab przez cały dzień trwała wymiana ognia pomiędzy 2 kompanią batalionu ON „Jasło" i załogą placówki a oddziałami nieprzyjaciela. W nocy z 6 na 7 września przegrupowano batalion ON „Jasło". Druga kompania ON „Dębowiec" wraz ze Strażą Graniczną z Placówki Grab zajęła pozycję na południe od wsi Żydowskie z zadaniem osłony drogi z Niżnej Polanki, na której postawiono przeszkody. Natomiast 1 kompania ON „Jasło" i 3 kompania ON „Żmigród" przeszły nocnym marszem z Krempnej przez wieś Kotań oraz wschodnim skrajem Magury Wątkowskiej i zajęły pozycje w rejonie wsi Mrukowa-Samoklęski zamykając kierunek od Folusza na północ (od Dębowca i Jasła) i wschód (od Nowego Żmigrodu i Dukli). Na dotychczasowe pozycje batalionu ON Jasło do Krempnej przeszedł w całości batalion ON „Rzeszów", którego dowódca podporządkował pozostałą 2 kompanię batalionu ON „Jasło" i Straż Graniczną Komisariatu w Krempnej.

W dniu 7 września drogą Grab-Krempna idąc od Niżnej Polanki wtargnęły główne siły 1 dywizji górskiej gen. Küblera, ale już na granicy natknęły się na silny ogień wysuniętych stanowisk 2 kompanii batalionu ON „Jasło" dowodzonego przez por. rez. Piotra Nowaka i obsady placówki Straży Granicznej w Grabiu. Drogą przez granicę parła zmotoryzowana kolumna szarpana ogniem cofającej się obsady placówki. Po 8 godzinach marszu kolumna osiągnęła wieś Żydowskie w odległości 10 km od granicy. Pomiędzy 14^{00} a 15^{00} kompania polska wycofała się ze wsi Żydowskie wchodząc do Krempnej gdzie znajdowały się główne siły batalionu ON „Rzeszów" pod dowództwem majora Ochęduszki. Tuż przed szpicą niemieckiej kolumny podpalono most na Wisłoce, co zmusiło przeciwnika do forsowania rzeki. Nie była to przeszkoda, bo stan wody był bardzo niski. Po uporządkowaniu szyku kolumna ruszyła dalej przez Krempną. Na skraju wsi pozycję zajęła 2 kompania por. Nowaka, która ostrzelała nadjeżdżające wozy i wycofała się pod osłoną zabudowań na pozycję batalionu ON „Rzeszów". Kilka minut przed 17^{00} ruszyło natarcie, które włamało się w pozycję polską. Wywiązała się zażarta walka. Batalion ON „Rzeszów" ze Strażą Graniczną energicznie kontratakował, utrzymał pozycję i wyparł przeciwnika na południowy skraj wsi.

Wtedy przy zapadającym zmroku Niemcy przykryli pozycję batalionu ogniem artylerii i moździerzy. Wykorzystując sytuację przesunęli się do centrum wsi. Zapadła noc, rozświetlona na południu łuną dopalającego się mostu na Wisłoce. W walkach polegli żołnierze 2 kompanii batalionu ON „Jasło": Stanisław Kamiński z Cieklina oraz Izydor Świątek i Franciszek Setlak z Duląbki, a około 30 procent stanu osobowego kompanii było rannych i kontuzjowanych. Straty poniósł również batalion ON „Rzeszów". Brak danych o ich wysokości. Po całodziennej walce, główne siły 1 dywizji górskiej wtargnęły na głębokość 14 km od granicy państwowej. Nazajutrz 8 września słońce wzeszło o 4.33, był piątek. Od świtu trwała na pozycji w Krempnej wymiana strzałów. W nocy nadciągnęły opóźnione w marszu przez przeszkody tyłowe oddziały 1 dywizji górskiej i rozlokowały się za zabudowaniami wsi. Już przed 7^{00} wyszła zmotoryzowana szpica z centrum wsi. Została ostrzelana z okopów batalionu ON „Rzeszów" położonych nad cerkwią. Ogień był jednak słaby i zaledwie zmieszał szyki. Rozwinięci w natarciu z podwiniętymi rękawami strzelcy alpejscy huraganowym ogniem pokryli pozycje batalionu, który w tym czasie cofał się ze Hałbów i odchodził do Kątów, Groziło im bowiem okrążenie, gdyż część sił dywizji niemieckiej przez Kotań zaczęła ich obchodzić od tyłu. Skoro tylko przeszły tabory batalionu zwalono za sobą na drogę podcięte jodły i świerki, wzmacniając jeszcze zbudowane wcześniej przeszkody z potężnych bierwion. Dochodziła już godzina 10^{00}, a saperzy dopiero przecinali pnie torując drogę pojazdom pancernym i motocyklom. Podpalano most na Wisłoce w Kątach. Gdy czoło kolumny niemieckiej ukazało się na serpentynach drogi prowadzącej do mostu, nagle z przeciwległego wzgórza (Grzywacka 566 m.) rozległy się strzały. Ciągłymi seriami celnie biły 3 cekaemy z polskiej zasadzki. Kolumna znowu rozpierzchała się, szukając ukrycia za niewielkimi skarpami i nierównościami stoku. Ogień powoli nasilał się, a pozycję polską pokryły tumany kurzu i pyłu ze spalonej słońcem ziemi. Ogień stał się niecelny. Dochodziła godzina 11^{00}, kiedy wyciszyło się na pozycji. Wozy pancerne zaczęły zjeżdżać ostrożnie do rzeki i z impetem wpadły do opustoszałej wsi Kąty. Teraz już w wolnym marszu zmierzały do Nowego Żmigrodu. W dniach 9-11 września przez Krempną od granicy idą niemieckie siły II rzutu, głównie 3 dywizja górska. Żołnierze tej dywizji Wehrmachtu (jeśli takich można nazwać żołnierzami) popełnili już pierwsze zbrodnie na trasie przemarszu. W południe 9 września w Nienaszowie rozstrzelali 10 mężczyzn pod ścianą stodoły, którą po egzekucji podpalili. Tego samego dnia we wsi Rozdziele rozstrzelano 9 osób i podpalono 6 budynków.

Rozpoczął się długi i koszmarny okres okupacji. W Krempnej utworzono posterunek graniczy podległy Grenzpolizeikommissariatowi w Jaśle. Usytuowany był on w miejscu,

gdzie stoi teraz nowobudowany dom mieszkalny Dymitra Bagana. Fundamenty i piwnice byłego komisariatu w/w adaptował pod nowy budynek. W trakcie prac ziemnych znaleziono fragmenty spalonych dokumentów (pisane w języku niemieckim) oraz łuski po pociskach i bagnety. Oprócz tego średnio 10-osobowego posterunku obsługującego całą gminę funkcjonował posterunek ukraiński w sile średnio 12 ludzi – Ukraińców z poza terenu z trybuzami. Ściągnięto ich ze wschodu. Posterunek ten mieścił się w budynku nie istniejącym, który był zlokalizowany w ogrodzie obok aktualnych zabudowań Mariana Olchawy. Wystają tu jeszcze fragmenty fundamentów. Budynek spalił oddział ukraińskiego podziemia w 1946 r. Posterunkowych nazywano „siczownikami". Miejscowych Łemków traktowano początkowo w sposób uprzywilejowany podciągając ich niejako pod Ukraińców. Natomiast w stosunku do Polaków nie było ulg. Siczownicy byli gorsi i gorliwsi od swoich mocodawców – Niemców. Pamiętam wspomina Józef Maciejczyk jak przyszli oni do nas do domu po klucze do polskiej szkoły w Hucie Krempskiej, które przechowywał mój ojciec. Zdemolowali dekorację szkolną, zdeptali godło, zerwali i zdeptali ze wściekłości hasło o treści „Dlaczego kocham Polskę". Wyglądało to przygnębiająco. Jako kilkunastoletni chłopak udałem się rowerem do Nowego Żmigrodu w sobotę. Wracając jechałem szybko w dół nie mogąc wyhamować, gdyż zerwała mi się linka hamulcowa. Wtedy zagwizdali za mną siczownicy. Ponieważ się nie zatrzymałem zaszło mnie trzech innych od przodu. Skręciłem w prawo do rodziny (stryja Jana Maciejczyka). Schowaliśmy rower. Niedługo przyszli posterunkowi i chcieli mnie bić lecz zasłoniła mnie sobą stryjenka. Rower zabrano mi. Gdy wrócił do domu stryj i dowiedział się co zaszło, poszedł na posterunek po rower. Na nic zdały się wyjaśnienia. Został tam bestialsko pobity. Wraz z nami mieszkała w Hucie nauczycielka. Za ten fakt i z powodu braku zameldowania znów bestialsko pobity został mój ojciec i stryj. Podobnie byli bici wszyscy Polacy pod byle jakim pretekstem. Jeden z siczowników zginął z rąk polskiej partyzantki.

Szczególne miejsce w polityce narodowościowej okupanta zajmuje ofensywne działanie mające na celu wyeksponowanie odrębności ludności łemkowskiej. W dobie okupacji chodziło Niemcom o wprowadzenie jej (ludności łemkowskiej) w orbitę wpływów ukraińskich. Mnożyły się więc „naukowe" niemieckie opracowania tej problematyki, pełne fałszerstw i różnych potrzebnych dla propagandy „udokumentowanych" poglądów. Wprowadzono do samorządu wsi łemkowskich nacjonalistów ukraińskich, dopuszczono język ukraiński (1942 r.) jako urzędowy w ogłoszeniach, zarządzeniach a już w 1939 r. w nauczaniu. Wprowadzono niebieskie karty rozpoznawcze z literą „U", których Łemkowie nie chcieli nosić i przyjmować, występując przeciw procesowi ukrainizacji prowadzonej zarówno

przez Niemców jak też nacjonalistyczny ruch ukraiński. Odpowiedzią na to był udział znacznej grupy Łemków w ruchu oporu. W niektórych opracowaniach niemieckich nazywano Łemków „ukraińskimi góralami" – byle tylko wykazać zamierzone cele propagandowe.

7 lipca 1942 r. przeprowadzono selekcję wśród mieszkańców getta w Nowym Żmigrodzie. Wydzielono grupę 1260 osób, głównie kobiet, starców i dzieci, a następnie przewieziono samochodami do lasu za wsią Hałbów, przy drodze do Krempnej i tu rozstrzelano. Egzekucją kierował Helmut Mentz z gestapo w Jaśle, przy udziale starosty jasielskiego Waltera Gentza. W rzeczywistości liczba rozstrzelanych mogła być wyższa, bo przywieziono także kilka samochodów ludzi z getta w Gorlicach i Bieczu.

Ludność zamknięta w gettach była osłabiona głodem, chorobami, omaniona kłamstwami zarówno hitlerowskiej propagandy, jak też własnych przywódców, ograbiona z dóbr materialnych i moralnie zobojętniała. Wielu Żydów było też jakby przerażonych przepowiednią Talmudu, że gdy w ciężkiej zimie wyginą przepiórki, wkrótce przyjdzie zginąć Żydom. . . Istotnie w czasie mroźnej i śnieżnej zimy 1940/41 wyginęło mnóstwo ptactwa. A więc proroctwo, przepowiednie, wycieńczenie – wszystko to razem spowodowało, że skazani na śmierć ludzie nie byli zdolni przeciwstawić się zbrodniczym zamiarom hitlerowskiego okupanta. Szli na śmierć potulnie jak baranki. W miejscu egzekucji wybrano dół o wymiarach 3x3x30 m. Ustawiono Żydów na desce i mordowano ich jednym strzałem w tył głowy z krótkiej broni. Strzelający oprawca zagryzał czekoladę. Obserwujący egzekucję z drzew mieszkańcy okolic byli tego świadkami. Zwłoki w dole układali Żydzi. Wielu nie zginęło na miejscu i zostali pogrzebani żywcem. Jeszcze długo po zasypaniu mogiła ruszała się.

19 listopada 1939 r. nauczyciel Józef Przybyłowski zbiera w swym mieszkaniu w Nowym Żmigrodzie wraz ze Stefanem Fiałkiewiczem kilku znanych sobie ludzi. Jest tu Władysław Midor, Leon Wdówka, Edward Niepokój, Bronisław Brożyna i Adam Pisz z Nowego Żmigrodu, Florian Paja i Aleksander Nawracaj z Mytarzy, Antoni Bobula i Jan Kobak z Mytarki oraz Wojciech Wielgosz ze Starego Żmigrodu. Tworzą pierwsze konspiracyjne piątki. Ich zadaniem jest niesienie pomocy ludziom, którzy idą na Słowację i Węgry, a dalej na Zachód do polskiego wojska. Już w miesiąc później wejdzie tu do konspiracji jeszcze kilku mieszkańców Nienaszowa, Toków, Kątów i Skalnika, którzy obejmą funkcję przewodników w dobrze znanym sobie terenie w tej części Beskidu Niskiego. Powstaje tu sprawnie działający most przerzutowy na Słowację. Organizacja wkrótce będzie zdziesiątkowana aresztowaniami z początkiem 1940 r.

Szlak przerzutowy powstał przypadkowo. W końcu września 1939 r. lasami przedzierał się na własną rękę nieznany podporucznik WP i trafił do Andrzeja Maciejczyka w Hucie Krempskiej prosząc o pomoc w przedostaniu się do granicy ze Słowacją. Jan i Benedykt Maciejczykowie zaprowadzili tego oficera do Jana Adamskiego w Hucie Polańskiej (szwagra Benedykta Maciejczyka), a ten z kolei przeprowadził go przez granicę do Ambrożego Patlewicza, swojego krewnego w Niżnej Pisanej – Polaka osiadłego w pogranicznej wiosce słowackiej jeszcze w końcu XIX w. Ten odwiózł uciekiniera do swego brata Józefa Patlewicza mieszkającego w Strocinie w pobliżu nowej granicy słowacko-węgierskiej. W następnym dniu oficer przedostał się na Węgry. Tak została przetarta droga zagranicznej łączności w samej strefie granicy, która mimo wielu aresztowań funkcjonowała aż do jesieni 1941 r. Jeszcze w październiku 1939 r. przeprowadzono kilku wojskowych w zupełnie zaimprowizowanych warunkach, ale już w listopadzie powstała cała sieć organizacyjna na szlaku, który otrzymał kryptonim „Korytarz", z węzłami łączności w Jaśle, Dębowcu, Osieku Jasielskim, Załężu, Nowym Żmigrodzie i Mytarzu.. Drogi wprost zaroiły się uciekinierami, szlak jakby pęczniał. Granicę ze Słowacją na terenie powiatu jasielskiego i najbliższych sąsiednich okolic gorlickiego i krośnieńskiego hitlerowski Granzschutz obsadził kordonem strażnic : Konieczna, Grab, Huta Polańska, Polany, Olchowiec – co 3 do 5 km. Był on wspomagany przez Komisariat Policji w Krempnej. Strony słowackiej pilnie strzegły strażnice graniczne i patrole : Hlinka-Gorde, związane garnizonami Wehrmachtu. Zimą 1939/40 trwa dramatyczny wyścig z korodonem policyjnym, patrolami granicznymi, różnego autoramentu szpiclami na bezdrożach zawalonych śniegiem lasów.

Do Jasła uciekinierzy przedostawali się różnymi drogami samodzielnie a dopiero stąd, dalej do granicy, przerzut był organizowany. Wielu młodych ludzi szło bez kontaktów konspiracyjnych licząc na łut szczęścia. Zarówno policja kolejowa (Bahnschutze), jak i gestapo szybko zorientowało się w sytuacji i zaczęły systematycznie legitymować mężczyzn na stacji kolejowej oraz rozpytywać o cel przybycia do Jasła. Wszystkie niezbyt jasne odpowiedzi zatrzymywanych kończyły się aresztowaniem, potem śledztwem, policyjnym sądem, zsyłką do Oświęcimia, rozstrzelaniem, w najlepszym przypadku wywozem do Niemiec na roboty.

Z Jasła uciekinierów kierowano do Dębowca, Osieka, Załęża lub Nowego Żmigrodu. Stąd już pod opieką przewodników szli do granicy. Punktami wyjściowymi były : Nowy Żmigród, Mytarz i Skalnik. Z tych miejscowości jedna trasa biegła przez las na szczycie Kamień (714 m.) i omijała Krempną od zachodu przez „Łokieć" ścieżką „popod sosny" do

Huty Krempskiej.Druga trasa prowadziła przez Grzywacką, Lasy Doliny Hałbowskiej i omijała Krempną przez „Groń" i „Łan" do Huty Krempskiej. W tej wsi zagubionej wśród lasów były punkty noclegowe u braci Maciejczyków i Jana Winiarskiego. Dalej droga prowadziła poprzez „Wielki Las" i „Głębokie". Był to najbardziej bezpieczny odcinek drogi biegnącej wśród lasów. Ścieżka prowadziła do przysiółka Nowa Huty (domy Władysława i Jana Adamskiego oraz Józefa Zagórskiego) na skraju Huty Polańskiej, w której była placówka Grenzschutzu. Z zasady nie korzystano z noclegu, zmieniali się tylko przewodnicy. W wyjątkowych przypadkach korzystano z kwater u Jana Zięby wśród zwartej zabudowy wsi, tuż koło placówki Grenzschutzu, co okazywało się najbardziej pewne. Zabudowania Nowej Huty dzieliła stale patrolowana droga Polany-Ciechania, od lasu „Parysowskie", poprzez który biegła granica. Tuż za nią była Niżna Pisana i zagroda braci Patlewiczów. Na przejście drogi z punktu wyjścia w rejonie Nowego Żmigrodu po stronie polskiej do Niżnej Pisanej trzeba było 10-12 godzin. W zależności od warunków pogodowych i kondycji fizycznej uczestników wyprawy i liczebności grupy (nie więcej niż 5 osób) – pokonywano ją w ciągu jednej nocy lub korzystano z noclegu w Hucie Krempskiej. Przez teren słowacki przeprowadzali trzej bracia Patlewiczowie, a ścieżka wiodła z Niżnej Pisanej przez lasy na wzgórzach Kobylasky Verch-Krivik-Timovika do Laboreca pomiędzy wsiami Hunkovce-Ladomirowa, do lasu na wzgórzu Kolaovka i wsi Strocin, gdzie była obszerna zagroda Józefa Patlewicza. Przetrzymywał on nieraz nawet 20 osób, które przerzucano dalej do bazy we wsiach Hrubov i Turcovce, tuż nad granicą węgierską. Odcinek ten liczył 26 km. Stąd przez Trebisow włączony do Węgier już pociągiem przedostawali się do Satoraljaujhely, a dalej przez Miskolc do Budapesztu.

Trasą „Korytarz" przeszło szczęśliwie około 400 osób, przy czym największy ruch był w latach 1939-41, potem systematycznie dwa razy w miesiącu szli kurierzy, bądź przeprowadzano nieliczne już grupy osób, także Żydów, by ukryć ich na Węgrzech. Aresztowania na przełomie 1939/40 r. i w wiosennych miesiącach 1940 r. zdziesiątkowały organizatorów trasy i pierwszych przewodników, szczególnie w Nowym Żmigrodzie i okolicy. Mimo tego ciosu kanał przerzutowy funkcjonował sprawnie. Przewodnicy odbierali grupy w Dębowcu, gdzie klasztor Ks. Saletynów udzielał często noclegów. Współpracowali tu Franciszek Dante i przeor August Gantiet – Francuzi, a także księża Gandowski, Czeluśniak i Krzyworączka, którzy uszli na Węgry przed aresztowaniem. Chodzili do Dębowca nawet Patlewicze ze Słowacji, Jan Sukiennik i Tadeusz Wojciechowski z Huty Krempskiej. Przez odcinek do Huty Krempskiej, oprócz całej grupy przewodników w Nowym Żmigrodzie (Bronisław Brożyna, Jan Fijałkiewicz, Edward Niepokój, Leon Wdówka, Marian

Sokalski, Tadeusz Orłowski, Stanisław Paulo, Adam Pisz – wszyscy zginęli rozstrzelani w lesie warzyckim lub zginęli w Oświęcimiu) prowadzili także przewodnicy z Mytarzy i Mytarki :Franciszek Ryczak, Karol Bobula, Adam Marchewka, Florian Paja i z Brzozowej Franciszek Czupa. Punkty kontaktowe na trasie były również na plebani w Nowym Żmigrodzie (ks. Władysław Findysz) i Skalniku, gdzie ks. Józef Niemiec, aresztowany 4.05.41 r. został zamęczony w Dachau 13.11.42 r. Na odcinku do Huty Krempskiej przewodnikami byli : Jan, Józef, Władysław, Bronisław i Benedykt Maciejczykowie i Jan Winiarski, którzy prowadzili do Huty Polańskiej, Niżnej Pisanej, a nawet do Strocina. Podobnie jak bracia Adamscy i Jan Zięba z Huty Polańskiej.

18 lutego 1941 r. w Kątach u inż. Romana Gesinga odbyło się konspiracyjne zebranie z udziałem Narcyza Wiatra – „Zawojny", organizatora konspiracji wojskowej w Małopolsce, na którym zapadła decyzja o utworzeniu „Straży Chłopskiej" (Chłostra). Komendantem mianowany został Florian Paja – „Wrona". Rozpoczął się nowy okres w rozwoju ruchu ludowego – tworzenie zbrojnego ramienia organizacji. Pierwszy okres organizacji komórek partyjnych i nawiązywania kontaktów konspiracyjnych w okresie styczeń-kwiecień 1942 r. jest stosunkowo bardzo mało znany. Wiadomo, że w tym czasie zgłosiło się do partii wielu działaczy przedwojennych KPP, SL i ludzi o lewicowych przekonaniach zarówno w kilku wsiach zamieszkałych przez Łemków (Kłopotnica, Wola Cieklińska, Pielgrzymka, Myscowa, Uscie Ruskie) jak również we wsiach z pogranicza Łemkowszczyzny i Pogórza.

W okresie okupacji na terenie powiatu jasielskiego 7 szkół zamieniono na ukraińskie. Siatki organizacyjne PPR i jej siły zbrojne – Gwardię Ludową powołano jesienią 1942 r. Był to początkowo 15 osobowy oddział wypadowy pod dowództwem Grzegorza Wodzika (ps. Wyścig), złożony głównie z Łemków. Można też interpretować tę sytuację jako element polityki narodowościowej władz okupacyjnych, którym chodziło o pozyskanie Łemków poprzez tendencję ukrainizacji.

Oddział wszedł do walki na południu powiatu jasielskiego, krośnieńskiego i sięgał aż do powiatu sanockiego. Po kilku drobnych akcjach sabotażowych grupa Wodzika zaatakowała 18 stycznia 1943 r. posterunek Grenzschutzu w Jaśliskach. Zdobyto tak potrzebną broń. Przygotowano akcję rozbicia obozu jeńców sowieckich w Rymanowie. Akcja ta wskutek prowokacji nie udała się, partyzanci w nocnej walce ponieśli klęskę i grupa uległa rozproszeniu.

W kwietniu 1943 r. – Grzegorz Wodzik i Andrzej Zawiejski zostali zamordowani przez grupę ukraińską w lesie koło wsi Kłopotnica. Po śmierci Wodzika dowództwo objął na krótko Jan Doński, a po jego aresztowaniu 28 lipca 1943 r. Franciszek Kula z Harklowej.

Nowy dowódca jeszcze nie zapoznał się z siatką organizacyjną gdy został ujęty i osadzony w obozie w Szebniach.

Od 23 marca 1943 r. na tereny południowe powiatu jasielskiego i gorlickiego rajdów partyzanckich dokonywał oddział GL z powiatu dębickiego pod dowództwem Stanisława Jastra „Stacha". Dokonał on kilku akcji sabotażowych i nawiązał kontakty z Łemkami tzw. dzielnicy ruskiej PR. W oddziale znaleźli się jednak agenci gestapo. Nastąpiły liczne aresztowania w Kłopotnicy, Pielgrzymce i Woli Cieklińskiej oraz w kilku wsiach powiatu gorlickiego, w wyniku których w więzieniu znalazło się całe dowództwo okręgu oraz Włodzimierz Tkacz, sekretarz Komitetu Obwodowego PR. Tylko nieliczni ludzie „Stacha" zdołali wycofać się z terenu powiatu jasielskiego i wrócić do powiatu gorlickiego.

W czasie głośnej udanej akcji na więzienie jasielskiego gestapo 5.08.43 r. uwolniono między innymi Michała Dońskiego dowódcę oddziału GL po zamordowaniu Grzegorza Wodzika.

20.09.42 r. zostaje aresztowany i wywieziony do Oświęcimia inż. Roman Gesing wraz z innymi organizatorami podziemia ludowego w Kątach.

W sierpniu 1944 r. oddział BCH „Klon 22" operując z leśnej bazy w Mrukowej przygotował zasadzkę pod mostem w Kątach. Miejsce było bardzo dogodne – droga wiodła głębokim wykopem, gdzie był ostry zakręt. W tym miejscu zatrzymano kolumnę samochodów ze sprzętem, ostrzelano i zarzucano granatami. Czoło kolumny zniszczono, 9-ciu żołnierzy niemieckich zginęło, kilku zmarło z ran. Do niewoli wzięto kapitana Wehrmachtu. Oddział zdobył broń, amunicję i żywność. Na odsiecz osaczonej kolumnie przybyły z Nowego Żmigrodu dwa samochody pancerne, ostrzelały wzgórza, z których operowali partyzanci. Oddziały wycofały się bez strat i dwa dni później podobną zasadzkę przygotował na szosie Dukla – Żmigród w Iwli. Partyzantów było siedmiu pod dowództwem Tadeusza Fabera (ps. Potok). W niedługim czasie wykonano inną akcję na drodze Nowy Żmigród – Krempna. Drużyna w składzie 13 partyzantów, na ostrym zakręcie – przejeździe niedaleko masowej mogiły Żydów, ostrzelała kolumnę samochodów. Jeden stanął w płomieniach. Wśród Niemców byli zabici i ranni.

Latem 1944 r. operował tu „Hryć" z całą kompanią partyzancką AK. Poprowadził swoich ludzi na południe z lasów na Grzywackiej koło Kątów. Stąd już wzdłuż drogi, szli

skrajem lasu wyrąbanego teraz szerzej po ostatnich akcjach oddziału BCH „Klon-22". Niszczyli ustawione od kilkaset metrów tablice z napisanymi ostrzegającymi przed „bandytami" jak Niemcy określali partyzantów. Na skraju wzgórza 537 m., gdzie droga wiodła prostym odcinkiem, kiedy weszli nagle w zakręt i serpentyny w stronę Krempnej przygotowali zasadzkę. Nie czekano długo. Nadjechał patrol na motocyklu. Znienacka ostrzelany wpadł do rowu. Siedzący za kierownicą oficer został wyrzucony do pobliskich krzaków, był ranny, zginął w walce. Partyzanci zdobyli dwa pistolety typu „MP-43", mapę i raporty dotyczące sił niemieckich w rejonie Krempnej. Zniszczony motocykl usunęli do lasu. Następną akcję przeprowadzono również na Hałbowie. Tym razem w zasadzkę wpadł samochód. Ostrzelany stanął w płomieniach. Zdobyto 2 szt. Broni. Oddział „Hrycia" cofnął się na kwatery w Skalniku do lasu na wzgórzu 502, a następnie do Myscowej. Zaledwie „Hryć" rozlokował swoich ludzi otrzymał wiadomość, że w sąsiednich Polanach znajdują się stanowiska artylerii. Teren był bardzo dogodny do przeprowadzenia akcji. Nad ranem 19 sierpnia 1944 r. „Hryć" poderwał ludzi . Rozciągnęli się w linię, aby nie zgubić się w gęstej mgle ścielącej się w dolinie. Podeszli w pobliże i zajmowali stanowiska, gdy od strony Polan rozległa się gęsta palba broni i działek ppanc. Niemiecki ogień przenosił nad stanowiskami. Natarcie przez zaskoczenie nie udało się. Niemcy byli przygotowani do odparcia ataku. Pociski z „piata" zapaliły zabudowania, mgła we wsi wyraźnie zrzedła, ale ogień nie słabł. W tej sytuacji „Hryć" zarządził odwrót. Już oddawali ostatnie strzały, gdy poległ „Korek" (nazwisko nieznane), kilku było rannych. Wycofali się i dopiero później dowiedzieli się, że po stronie niemieckiej było 6-ciu zabitych i kilkudziesięciu rannych. Akcja, która miała przynieść lepsze uzbrojenie nie wpełni udała się i oddział odszedł do obozowiska w Hucie Pielgrzymskiej.

W ostatnich dniach sierpnia kiedy do rejonu zakwaterowania napłynęło sporo wysiedlonej ludności odział zajął kwatery w Reszówkach koło Świerzowej Ruskiej. Tu oddział we wrześniu 1944 r. nawiązał kontakty z oddziałami kawalerzystów gen. Baranowa znajdujących się w okrążeniu w okolicy Bartnego. Przy pomocy ludzi „Hrycia" oddział wyszedł z okrążenia.

Przy organizowaniu przerzutów przez granicę żołnierzy polskich, uchodzących z kraju do Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie żywy udział brali Łemkowie. Znani byli przede wszystkim z absolutnej uczciwości. Poza tym cechowała ich rzadko spotykana prostolinijność i serdeczna gościnność. Te właśnie walory połączone ze świetną znajomością terenu po obu stronach granicy stworzyły w pewnych kręgach uchodźstwa swoiste przeświadczenie, że kto

odda swój los w ręce Łemka-przewodnika osiągnie zamierzony cel z absolutną pewnością. Przeświadczenia takie narastały w miarę napływu do kraju wiadomości z Węgier od tych, którzy właściwie przy pomocy Łemków osiągnęli pierwszy etap tułaczej drogi – Budapeszt. Oni wybierającym się w ich ślady polecali łemkowskie usługi. Świetna znajomość terenu oraz wielka dyskrecja z jaką Łemkowie traktowali problem przerzutów zachowywała ich od wsypy i zdrad. Wsypy zdarzały się tu o wiele rzadziej niż w innych terenach. Mimo wszystko także i oni (Łemkowie) musieli złożyć hitlerowskiej hydrze daninę krwi. Główną przyczyną strat wśród Łemków byli sami uchodźcy, którzy aresztowani na Słowacji i przekazywani gestapo nie zawsze zdołali wytrzymać tortury śledztwa i załamywali się, ujawniając adresy łemkowskich przewodników. Tak przedstawiałaby się w ogromnym skrócie łemkowska pomoc dla polskiego ruchu oporu, głównie w zakresie przerzutów granicznych między Muszyną a Duklą. Są to oczywiście okruchy wielkiej całości, której opracowanie jest bardzo trudne ze względu na brak informacji w tym zakresie.

Łemkowskimi działaczami ruchu oporu przeciw Niemcom byli w okresie okupacji hitlerowskiej członkowie oddziału „Wodzika" w liczbie 15 osób. Działali oni w rejonie Magury Małastowskiej i Świerzowej Ruskiej. Na pograniczu słowacko-polskim operuje też około 30-osobowa grupa złożona głównie z Łemków, Rosjan i Słowaków. Organizatorami tego oddziału są Michał Doński, Stefan Pajko i Szymon Wasylec. Współdziałają z partyzantką radziecką.

Nadszedł lipiec 1944 r. Już bez mała 5 lat trwa okupacja. Dochodzą wieści o klęskach ponoszonych przez Niemców na wszystkich frontach, że ze wschodu zbliża się front. Nawet komunikaty Głównej Kwatery Wojsk Hitlerowskich mówiły o odrywaniu się od nieprzyjaciela i „prostowaniu" linii frontowej. Istotnie w wyniku nowej wielkiej ofensywy wojsk I Frontu Ukraińskiego, którym dowodził marszałek Iwan Koniew, rozpoczętej 13 lipca 1944 r., nastąpiło przerwanie pozycji niemieckich. Wojska sowieckie posuwały się szybko naprzód, zbliżając się do granic powiatu krośnieńskiego. W sierpniu i początkach września obie strony wzmocniły swe siły, ściągając uzupełnienie, przeprowadzając przegrupowania i koncentrację na poszczególnych odcinkach frontu. Skoncentrowano znaczne siły, jednak nie przystosowane do walk w rejonie górskim. Poza tym niektóre jednostki świeżo sformowane, nie były jeszcze zaprawione w bojach. Tereny górskie sprzyjały obronie, natomiast utrudniały ofensywę.

Dowództwo niemieckie liczyło się z możliwością ofensywy radzieckiej w kierunku Przełęczy Dukielskiej i w kierunku na Polany, Hutę Polańską, Ciechań i Grab. Zdawało ono

sobie sprawę, że w razie powodzenia tej akcji wojska radzieckie weszłyby na teren Słowacji zagrażając tyłom wojsk operujących w Rumuni i na Rusi Zakarpackiej. Na wieść o wybuchu powstania na Słowacji dowództwo radzieckie przyśpieszyło operację mając na celu wkroczenie na teren powstania. Ta decyzja podyktowana była względami politycznymi, gdyż chodziło o przejęcie władzy na okupowanych terenach.

Przyśpieszenie ofensywy i przystąpienie do niej bez odpowiedniego przygotowania miało duży wpływ na jej przebieg. Niemcy przewidzieli kierunek natarcia i dobrze się do niego przygotowali. Ofensywa rozpoczęła się 8 września (piątek) o godzinie 4^{40} rano dwugodzinnym przygotowaniem artyleryjskim z ponad 1500 dział i moździerzy różnego typu i kalibru, w tym słynnych „katiusz". Do ataku poszły samoloty, czołgi i piechota. Był to początek operacji zwanej Karpacko-dukielsko-preszowską. Rozpoczęła się największa bitwa górska II wojny światowej. Ja ograniczę się do opisów tych fragmentów walk, które dotyczyły głównie okolic Krempnej.

W dniu 11 września wojska sowieckie 1-go korpusu kawaleryjskiego gen. Baranowa dokonały ryzykownego ataku na Głojsce i następnie po przecięciu drogi Dukla-Iwla na Myscową, drogą polną wzdłuż strumyka między Iwlą a Łysą Górą, dostały się one w silny koncentryczny ogień nieprzyjaciela. Straty były duże. Część kawalerzystów zdołała jednak przedrzeć się przez pierścień wojsk nieprzyjacielskich i dotrzeć do Myscowej. Przez kilkanaście dni kawalerzyści ci działając na tyłach nieprzyjacielskich musieli staczać krwawe walki z wojskami niemieckimi, szczególnie w okolicach Myscowej, Ciechani, Huty Polańskiej, Krempnej aż po Bartne, ponosząc duże straty zanim udało się im połączyć z głównymi siłami 38 Armii.

Wspomniany korpus podążając szparko w góry w kierunku granicy wyłomem przez Iwlę zdołał wziąć ze sobą tylko część taboru z amunicją oraz niezbyt wiele broni ciężkiej. Z posiadanych na stanie 17 dział kalibru 76 mm zabrał tylko 6, z 26 działek pułkowych zabrał 14, spośród 120 mm moździerzy tylko 2, z haubic jedynie 3 i tylko te trzeba było wkrótce zakopać, bo brakowało pocisków, a transport ciężkich dział przez górskie bezdroża, jary i strome stoki był wprost niemożliwy. Artyleria hitlerowska ostrzeliwała teren przemarszu korpusu zadając mu wciąż straty. 12 września szwadron starszego lejtnanta Wojczenki z 7 dywizji kawalerii gwardii wdzierając się do Myscowej osłaniał marsz pozostałych oddziałów w kierunku Polan. W nocy z 12 na 13 września dwa pułki kawalerii gwardii 5 i 6 opanowały miejscowości : Kąty, Hutę Polańską i Ciechań. Sztab korpusu rozlokował się w Krempnej zajmując budynek szkolny. Co działo się w tym czasie z ludności cywilną piszę nieco później.

13 września oddziały 1 dywizji kawalerii gwardii pułkownika Waszurina dotarły do granicy polsko-czechosłowackiej i przekroczyły ją w rejonie Niżnej Polanki. 7 dywizja kawalerii gwardii pułkownika Borszczewa uczyniła to samo w rejonie wzgórza Baranie. Wyczyny te okupione zostały olbrzymimi stratami zwłaszcza w fazie walk o utrzymanie osiągniętych pozycji.

15 września Niemcy ponownie zajmują Myscową, a 18 września szpice 24 dywizji pancernej niemieckiej wypchają kawalerzystów gen. Baranowa z Krempnej i Ostrysznego, przyciskają ich do granicy.

Tak oto relacjonuje wydarzenia z tego okresu nie żyjący już dzisiaj były mieszkaniec Huty Polańskiej a później Myscowej Franciszek Zięba : „Najpierw zamierzyliśmy przetrwać w lesie przejście frontu we wrześniu 1944 r., ale i tam nie można było się ukryć. Przyciśnięci do granic i okrążeni kawalerzyści sowieccy radzili nam, aby uchodzić czym prędzej i mieli rację. Działy się tam sceny niewyobrażalne.” Wspomina inny także nie żyjący już mieszkaniec Polan Antoni Radiuk : „Trup padał gęsto, tak że na polach leśnych leżały kilkuwarstwowe stosy trupów. Rannym nie miał kto udzielić pomocy. Ci ostatni umierali z bronią w ręku w różnych pozycjach. Często na siedząco oparci o drzewo. Spotkałem takich –opowiada-, zastygli, zdawali się mierzyć do mnie trzymając wycelowaną przed siebie broń w śmiertelnym uścisku. Ludność cywilna ukryta w lesie w nadziei, ze front przejdzie szybko myliła się co do swojej oceny. Walki przeciągały się, nastały chłody i jesienne szarugi. Brak było żywności i ciepłej odzieży. Ściągano ją z poległych, często okupując to życiem lub kalectwem, gdyż Niemcy podkładali miny pod trupy poległych oficerów. Wybuchały one podczas ściągania oficerskich butów czy płaszczy. Ludność żywiła się owocami leśnymi nie gardząc też jeżami, jaszczurami itd.”

20 września wyzwolona zostaje Dukla. W nocy z 23 na 24 września gen. Moskalenko zaatakował z Tylawy w kierunku na Olchowiec i Polany. Na południe od tego rejonu operowały resztki 1 korpusu kawalerii gwardii gen. Baranowa. Walczyli w trudnych warunkach górskich w okrążeniu od 12 września przez dwa tygodnie. Dywizje tego korpusu działały w rejonie Myscowej, Kątów, Krempnej, Polan, Olchowca, Ciechani, Ożennej, Huty Polańskiej i wzgórza Baranie oraz na terenie przygranicznych miejscowości słowackich. Korpus miał niedostatek broni ciężkiej, cierpiał na brak amunicji artyleryjskiej, granatów. Miny zdobywano rozbrajając niemieckie pola minowe. Konie bardzo źle znosiły pobyt w górach, zwłaszcza, że zaczęły się dokuczliwe jesienne deszcze. Tylko około 63 procent z nich przetrwało ciężki okres walk. Kiedy korpus walczył w rejonie Myscowej i Krempnej nawiązał

kontakt z miejscową partyzantką. Partyzanci służyli kawalerzystom informacją, sygnalizowali ruchy wojsk niemieckich, byli przewodnikami w terenie.

Od 16 września zaopatrywanie korpusu odbywało się wyłącznie drogą powietrzną. Niestety padające deszcze i górskie mgły ograniczyły mocno działania lotnictwa. Jednak w nocy z 15 na 16 września „kukuryźniki" wykonały siedemdziesiąt dwa loty w rejon Krempnej, gdzie zorganizowano punkt przyjmowania zrzutów i przewiozły tam 590 pocisków do dział 76 mm, materiały opatrunkowe, granaty. W nocy na 17 września lotnicy 208 dywizji bombowców nocnych, dostarczyli korpusowi 17,6 ton różnych ładunków, a w nocy na 18 września 16,1 tony. Część zrzutów przejęli jednak Niemcy.

24 września czołgi 14 brygady pancernej gwardii wzięły kurs z Tylawy na Olchowiec. Zwalczając na drodze rozmieszczone na stokach i szczytach wzgórz baterie artylerii nieprzyjaciela, pancerniacy dotarli tam wieczorem nawiązując kontakt z placówkami I korpusu kawalerii gwardii (w rejonie Olchowca). Następnego dnia połączyli się z ugrupowaniem uderzeniowym 38 armii i pod osłoną czołgów wyszły z okrążenia. Zostali oni skierowani przez Marszałka Koniewa poza linię frontu na odpoczynek i leczenie ran. Operowanie kawalerii i śpieszącym im z pomocą czołgów niełatwe jest w terenie górskim, tym bardziej, że podmokłym i przy braku utwardzonych dróg a takim terenem był rejon Krempnej. Użycie takich jednostek nie było do końca przemyślane, nie łatwego mieli też przeciwnika, bo zaprawione w bojach dywizje górskie w tym o ironio losu też te, które wkraczały butnie do Krempnej we wrześniu 1939 r.

Pierwszy korpus czechosłowacki 24 i 25 września oczyszczał z uparcie trzymającego się terenu nieprzyjaciela obszar na południowy wschód od Dukli. Jego oddziały wyzwoliły wieś Chyrową. W tym czasie 12 gwardyjska brygada pancerna pułkownika Duszaka, w zespół z 258 pułkiem 241 dywizji piechoty i pułkiem 70 gwardyjskiej dywizji piechoty wyzwalały Mszanę. Mieszkańcy tej wsi zarówno dorośli jak i dzieci zostali pomordowani przez uciekających hitlerowców, którzy zatruli nawet studnie.

Na kilka dni cała 38 armia od 25 września przeszła do obrony. Jej dowódca postanowił dokonać przegrupowania sił przed nowym natarciem na granicę. Przegrupowanie odbyło się podczas niezwykle ulewnych kilkudniowych deszczów, które zmieniły górskie drogi w rwące potoki, a stoki wzgórz w błotniste pochyłości. Deszcze, mgły, utrudniały widoczność, poruszanie się. Wojska były w dodatku zmęczone wielodniowymi bojami, szeregi przerzedziły się, nacierać było coraz trudniej. Działania utrudniała mgła wisząca jak mokra wata nad dolinami i wąwozami. Gliniasta gleba, grząska po deszczach, bardzo utrudniała

poruszanie się środków transportu i ludzi. Strome stoki z których człowiek obciążony maksymalnie staczał się co rusz w dół. Ziemia olbrzymimi kawałami przyklejała się do obuwia i kół. Ustawiczne deszcze zamieniały całą okolicę w bezdenne błoto. Z powodu złego stanu dróg, samochody nie docierały do pierwszych linii. Koła grzęzły, buksowały, ludzie nie mieli sił, żeby wóz który ugrzązł, wydobyć z błota. Nie pozostawało nic innego jak pod nieustannym ogniem, wśród ustawicznych wybuchów, czołgać się z amunicją albo pojemnikami kuchennymi na przednie pozycję, do tych, którzy na kęs ciepłej strawy czekali równie pożądliwie jak na dostawę amunicji. Do dział zaprzęgano od 5 do 8 par koni, by je wyciągnąć po pochyłościach, samochody musiały być holowane przez ciągniki gąsienicowe, do jednej haubicy 152 mm trzeba było „zaprzęgać" po kilka takich ciągników. Technika odmawiała posłuszeństwa. Żołnierz zziębnięty, przemoknięty do nitki, dzień i noc przebywał pod gołym niebem. On musiał dojść wszędzie, znieść wszystko, wytrzymać i iść naprzód.

30 września 1944 r. 38 armia gen. Moskalenki rozpoczęła kolejne natarcie w trwającej już trzy tygodnie operacji. Do tego momentu przeciwnik przerzucił na teren walk 40 procent wszystkich wojsk na froncie od granicy słowackiej po Zawichost. O godzinie 6^{30} rozpoczęło się przygotowanie artyleryjskie. Z natarcia lotniczego trzeba było zrezygnować z powodu niepogody. O godzinie 9^{00} poszła do ataku piechota i czołgi. 70 gwardyjska dywizja piechoty wyrzuciła Niemców z Ropieńki i Olchowca, docierając do Polan. Na odcinku 67 korpusu 140 dywizja piechoty, wspierana przez 242 brygadę pancerną 31 korpusu pancernego naciera na wzgórze Baranie. 1 października wojska prawego skrzydła 38 Armii osiągnęły dalszy postęp, zdobywając silnie umocniony punkt oporu niemieckiego w Polanach. Wieś zdobyły, atakująca z północy 127 dywizja piechoty, wespół z nacierającą od południa 70 gwardyjską dywizją piechoty i czołgami 14 gwardyjskiej brygady pancernej. Natarcie nastąpiło po zmasowanym dwudziestominutowym ogniu artyleryjskim i Niemcy musieli ustąpić. Ich obrona w tym rejonie utrzymana przez oddziały 24 dywizji pancernej, 253 dywizji piechoty i 202 pułku fizylierów została przerwana w kilku miejscach. Dywizje 67 korpusu, wspierane przez 242 brygadę pancerną, szły nieprzerwanie w ciężkim terenie ku granicy czechosłowackiej. Opanowały one Baranie i przekroczyły tego dnia granicę. W wyniku walk wieś Polany poważnie ucierpiała. Wojska niemieckie ustępując metr za metrem pod naporem radzieckich czołgów i piechoty zniszczyły prawie całkowicie Hutę Polańską i doszczętnie Ciechanię. Między Hutą Polańską a Ciechanią doszło do potyczki pancernych jednostek radzieckich i niemieckich. W początkach października wojska radzieckie opanowały Ciechanię, a właściwie pogorzelisko po wsi. Linia frontu ustabilizowała się i biegła do Ciechani pomiędzy

Polanami Chyrową a Myscową, która pozostała w rękach niemieckich. Ciechań i obszar między wojskami radzieckimi i niemieckimi obie strony starannie zaminowały. Powstał tzw „pas śmierci”. Niemcy ponadto ustawili zasieki z drutu kolczastego. Rejon Polan stał się przyczółkiem przyfrontowym i pozostał pod ogniem dział niemieckich aż do połowy stycznia 1945 r.

Pisząc o walkach w rejonie Krempnej nie sposób nie wspomnieć o „Dolinie śmierci”. Nazwą tą określano odcinek szosy Żmigród Nowy – Dukla oraz przyległy rejon Łysej Góry, Głojsc i Iwli, gdzie toczyły się najcięższe walki, zwłaszcza potyczki pancerne. Wspomniana szosa miała dla wojsk niemieckich, a zwłaszcza dowództwa armii „Północna Ukraina” bardzo ważne znaczenie. Była to już ostatnia i jedyna droga na północ od Karpat, łącząca dywizje walczące na prawym skrzydle grupy armii z jej centrum. Tędy właśnie można było przerzucać posiłki, sprzęt, zaopatrzenie dla armii walczącej pod Sanokiem i w Bieszczadach. Utrata tej rokadowej szosy oznaczała przerwanie bezpośredniej łączności z tą grupą, konieczność kierowania transportów dla niej przez ogarniętą powstaniem Słowację lub jeszcze okrężną drogą przez Węgry.

Do Głojsc i w rejon na wschód od Łysej Góry wojska radzieckie dotarły 11 września. Tego dnia na całym odcinku 38 armii, bez większych sukcesów, przegryzano niemiecką obronę, w której pojawił się kolejny nowy element - 8 dywizja pancerna. Po całodziennych krwawych bojach oddziały 70 gwardyjskiej dywizji piechoty, wespół z 162 brygadą pancerną 25 korpusu pułkownika Pietrowskiego oraz pułkiem kawalerzystów z dobrze już nam znanego korpusu gen. Wiktora Baranowa wyzwoliły Głojsce i osiągnęły północny skraj wsi Iwla, przecinając tym samym wspominaną szosę Nowy Żmigród – Dukla oraz obronę niemiecką na tym odcinku.

Na rozkaz marszałka Koniewa w nocy z 11 na 12 września w wyłom ten weszły jednostki 1 korpusu kawalerii gwardii z zadaniem wejścia na tyły i przebicia się do granicy polsko-słowackiej. Niestety z południa nie wyszły im naprzeciw, jak to pierwotnie planowano, dwie słowackie dywizje liczące 24 tysiące żołnierzy i dobrze uzbrojone.

Niemcy zorientowali się wcześniej o zamiarach Słowaków i rozbroili wspomniany korpus. Jedynie nieliczne oddziały zdołały z bronią w ręku ujść w góry do partyzantów. Co dalej działo się z korpusem gwardii gen. Baranowa już wiemy.

Przenieśmy się na teren walk w „Dolinie Śmierci”. Walczyły tu też jednostki czechosłowackie. Szczególnie wsławiły się w bojach o wzgórze 534 (Franków). 11 września

walczyła tu 3 brygada oraz 3 batalion 1 brygady wspierane przez 111 brygadę 25 korpusu pancernego.

Za upór i zdecydowanie w tych walkach marszałek Koniew przekazał żołnierzom czechosłowackim wyrazy uznania. Oddziały 1 i 2 batalionu 1 brygady czechosłowackiej przecięły szosę Żmigród Nowy – Dukla w okolicy Teodorówki. 2 batalion wyzwolił Teodorówkę wyzwalając z niewoli kilku rannych żołnierzy radzieckich. Tego samego dnia po godzinie 21^{00} nieprzyjaciel przeprowadził kontratak na wzgórze 534 z rejonu Nadola. Atak ten zastopował na krótko, liczący 50 żołnierzy oddział radzieckiej piechoty. Przewaga wroga była miażdżąca i radzieccy piechurzy polegli co do jednego, zaś Niemcy weszli na tyły 2 batalionu 1 czechosłowackiej brygady. Zatrzymano ich dopiero na północnych stokach wzgórza. Mimo ciemności bój nie ustawał. Szczyt wzgórza przechodził z rąk do rąk. W końcu Niemcy musieli ustąpić. Na wzgórzu tym znajduje się pomnik dla uczczenia pamięci bohaterów walk 1944 r. Wzgórze to walczący nazywali też „krwawym". Apogeum walk nastąpiło tu nazajutrz 12 września, kiedy hitlerowcy w ciągu zaledwie 2 godzin przeprowadzili pięć, poprzedzonych ogniem artylerii kontraktów na pozycje czechosłowackie i radzieckie na wzgórzu z użyciem czołgów i dział pancernych. Niektóre z tych kontraktów dochodziły tego dnia do północnych stoków wzgórza, ale po pewnym czasie nieprzyjaciel znów był odrzucany na szosę. Do walczących w okopach żołnierzy czechosłowackich przyszedł sam generał Swoboda (późniejszy prezydent Czechosłowacji). Za ten postępek strofował go marszałek Koniew, aby nie występował w roli fizyliera. Na tym to wzgórzu został ranny dwieście osiemnastoma odłamkami fizylier Antoni Sachor. Dwieście osiemnaście żelaznych drzazg wyciągnęły z jego ciała ręce wojskowych chirurgów, którym on i wielu innych zawdzięcza życie.

Przez kilka jeszcze dni wzgórze 534 przechodzi z rąk do rąk osnute dymem, zryte pociskami artylerii i bombami lotniczymi. Zdarzyło się, że na szczycie nie było nikogo, bowiem kiedy niemiecka artyleria ze wzgórza Chyrowa szalała szczególnie zaciekle, żołnierze wycofywali się na północne stoki Frankowa, zostawiając na szczycie tylko obserwatorów. A kiedy hitlerowska tyraliera ruszała, by obsadzić wierzchołek, piechota 1 brygady czechosłowackiej uprzedzała ją, dobiegając do szczytu i witała nieprzyjaciela zmasowanym ogniem broni maszynowej, do której przyłączyła się artyleria katiusz, a kiedy wróg napierał zbyt długo – nawet samoloty. Każdy metr wzgórz przesiąknięty był krwią. Tylko dwie barwy widziało się w czasie bojów : czerwoną i czarną.

Mimo zażartych szturmów nie udało się Niemcom odzyskać wzgórza. W końcowej fazie walk wdarł się tam batalion nadporucznika Antoniego Sachora i nie oddał wzgórza nikomu..

Niemieckie dowództwo nie chciało się pogodzić z utratą wzgórza 534 i odcinka szosy Łysa Góra – Głojsce. Walka o to wzgórze to tylko jeden z epizodów bitwy. Niemcy ustawicznie rzucają przeciw 38 armii i 1 Korpusowi Czechosłowackiemu nowe siły. 12 września na froncie pod Duklą oprócz dotychczasowych, solidnie przetrzepanych 208 i 74 dywizji piechoty oraz przysłanych im na pomoc pomniejszych jednostek działały także : 8 dywizja pancerna, 101 dywizja strzelców górskich oraz 1 dywizja pancerna. W trosce o rozszerzenie wyłomu na szosie Łysa Góra – Głojsce – Iwla generał Moskalenko rozkazał 25 korpusowi pancernemu nacierać w kierunku Żmigrodu. Jednocześnie przewidując niemieckie dążenia do zatkania luki w obronie skierował na ten odcinek 1244 samodzielny pułk dział pancernych, 11 samodzielną brygadę artylerii przeciwpancernej i inne oddziały wzmocnienia. Wykonując rozkaz dowódcy 38 armii gen. Moskalenki 25 korpus pancerny uderza w kierunku Nowego Żmigrodu. Po drodze w rejonie Łysej Góry, spotyka czołgi niemieckie 1 dywizji pancernej, która otrzymała rozkaz natarcia na wschód, aby odzyskać szosę do Głojsc i połączyć się z własnymi wojskami w rejonie Iwla-Nadole. Dochodzi do boju spotkaniowego, który zapoczątkowuje trwające kilka dni walki czołgów, najcięższe w całej operacji karpacko-dukielskiej. Dzień i noc radzieccy pancerniacy, artylerzyści i piechurzy toczą krwawą bitwę z raz po raz desperacko atakującymi Niemcami. Pancerne kliny niemieckie wrzynają się w radziecką obronę, ale potem ich tempo natarcia słabnie i wtedy czołgi 25 korpusu pancernego ruszają do kontrataku, odrzucają wroga na kilometr i dwa. Sytuacje takie powtarzają się po kilkakroć dziennie. Szosa Łysa Góra-Głojsce-Iwla i jej pobocza usłane są wrakami rozbitych i spalonych wozów bojowych niemieckich i radzieckich, czołgów, transporterów opancerzonych i dział szturmowych. Niektóre czołgi wystrzelawszy amunicję atakowały taranem i zastygały wczepione w siebie zbrojnym żelastwem. Dwa są główne ogniska walk – sama szosa i wzgórza 526 pod Łysą Górą. Tam bój jest najgorętszy, tam sytuacja zmienia się jak w kalejdoskopie.

13 września Niemcy przygotowują natarcie na pozycje prawoskrzydłowe 52 korpusu 38 armii, broniącego 37-kilometrowego odcinka frontu. Jednocześnie podejmują decyzję o wypędzeniu całej ludności cywilnej na przyfrontowych terenach. Żandarmeria polowa czyni to z całą bezwzględnością. Giną rozstrzelani przez hitlerowców ludzie, którzy nie dość szybko opuszczają swoje domostwa.

Na szosie Łysa Góra – Głojsce wchodzi do akcji 11 brygada artylerii przeciwpancernej gwardii i 1244 pułk dział pancernych. Niemieckie czołgi boleśnie odczuwają ogień tych dział. Z dobrze zamaskowanych stanowisk rozbijają one ogniem na wprost hitlerowskie „pantery" i „tygrysy". Artylerzyści zdejmują z dział tarcze ochronne. Przed pociskami czołgowymi tarcze armat nie chronią, a bardziej demaskują działa. Bez tarcz o wiele łatwiej jest ukryć je w terenowych zagłębieniach i zamaskować. Niemcy podchodzą wówczas blisko, a wtedy bije się na pewniaka. 16 zniszczonych hitlerowskich wozów bojowych i 300 zabitych faszystów zapisała na swoje konto w kilkudniowych walkach na dukielskiej szosie wspomniana brygada. Niestety jej straty były również niemałe. Ponad 200 żołnierzy, podoficerów i oficerów w tym dowódca pułku, pułkownik Kowin, poległo lub zostało rannych na polskiej ziemi.

Hitlerowcy nie patrząc na straty, parli jednak naprzód. 14 września znów ruszyli w „Dolinie Śmierci" do natarcia i to z dwóch stron. Na wzgórzu 526 i pod Łysą Górą atakowała część 1 dywizji pancernej i część 101 dywizji strzelców górskich. Główne siły 1 dywizji pancernej nacierały wzdłuż szosy do Głojsc. Natomiast w rejonie Iwli ze wschodu na zachód uderzały oddziały 8 dywizji pancernej, pułku szturmowego 1 armii pancernej, 1070 pułku piechoty i saperów. Był to bardzo ciężki dzień. Niemcy atakowali z szaleńczą determinacją, ścieląc gęsto trupem pola walki. Siły obrońców radzieckiego odcinka topnieją, ale udaje się powstrzymać marsz 73 pułku artylerii pancernej 1 Panzerdivizion, spalić most na Wisłoce w Kątach, hamując przegrupowanie niemieckiej grupy bojowej pod Iwlę. Artyleria kierowana przez obserwatora, znajdującego się w balonie na uwięzi, zadaje przeciwnikowi ciężkie straty, tak że Niemcy domagają się od swego dowództwa samolotu myśliwskiego do zniszczenia balonu. Lecz na szczęście dla obserwatora i walczących artylerzystów radzieckich brakowało wolnego myśliwca. W rejonie wzgórza 526 koło Łysej Góry, oddziały radzieckie przerwały hitlerowską obronę na styku pułku 1 dywizji pancernej i 101 batalionu dywizji strzelców górskich. Wdarły się nawet do Łysej Góry zagrażając stacjonującemu sztabowi niemieckiemu. Z wielkim trudem powstrzymali faszyści atakujących i sami przeszli z kolei do kontrataku. Po południu idzie kolejny dwustronny atak : 8 dywizji pancernej z rejonu Iwli i 1 dywizji pancernej z Łysej Góry wzdłuż szosy. Tym razem jest skuteczny.

25 korpus pancerny z nielicznymi czołgami, jakie mu zostały z 27, którymi zaczynał bitwę w „Dolinie Śmierci", nie mógł wespół z osłabioną 121 dywizją piechoty i przerzedzonymi jednostkami artyleryjskimi powstrzymać ponad setki „panter" „tygrysów" i innych wozów bojowych przeciwnika. Mimo dużych strat, Niemcom udaje się połączyć i opanować cały odcinek szosy. Oddziały radzieckie zajęły stanowiska na północ od niej.

Dotychczasowa luka w obronie we froncie niemieckim została zamknięta. W ten sposób wspominany już 1 korpus kawalerii gwardii opisany w akcjach wcześniej zostaje odcięty od głównych sił 38 armii. Na południowej stronie szosy w rejonie Iwla-Myscowa znalazła się również w okrążeniu 70 gwardyjska dywizja piechoty. Przed 38 armią wyrosła pod Duklą pancerna zapora. Wkrótce dołączyła do niej również niemiecka 24 dywizja pancerna sprowadzona z frontu nad Wisłą. 15 września na całym odcinku 38 armii walki nie ustają. Pod Iwlą, Głojscami i płonącą Łysą Górą nadal trwają boje broni pancernej i artylerii. Bardzo aktywne jest tutaj lotnictwo radzieckie. Od dwóch dni przeciwnik ma pod Duklą zdecydowaną przewagę w broni pancernej, ale nie udaje mu się uzyskać żadnych dalszych sukcesów.

Dowództwo radzieckie wobec wytworzonej sytuacji postanowiło przenieść ciężar swego uderzenia w kierunku południowym na wschód od Dukli. Od 15 września 1944 r. marszałek Koniew i dowódca 38 armii generał pułkownik Kirył Moskalenko wiązali swoje nadzieje na przesilenie w bojach pod Duklą z nowym natarciem zmontowanym w rejonie Rymanowa. Stało się zgodnie z ich oczekiwaniem, choć nie przyszło to łatwo. Pod Duklą, w rejonie szosy Łysa Góra-Głojsce-Teodorówka, nadal trwają zacięte boje, nie przynosząc zasadniczych rozstrzygnięć. 18 września Niemcy podjęli kolejne uderzenie. Znów w „Dolinie Śmierci" zgrzytnęły gąsienice, huczały działa, śmierć zbierała krwawe żniwo. I znów niemieckie natarcie zostało odparte. 18 i 19 września sytuacja pod Duklą nie ulega zmianie. Oddziały radzieckie to nacierają, to odpierają kontrataki wroga, trwa wymiana ognia, aktywnie działa lotnictwo. 20 września o godzinie 11^{00} wzmocnione oddziały radzieckie i czechosłowackie rozpoczęły natarcie na Teodorówkę i Duklę. Na Duklę natarcie poszło też ze strony wschodniej. W dniu tym Dukla była wolna chociaż pozostawała pod ostrzałem artylerii ze wzgórza Chyrowa. Dalej natarcie poszło przez Tylawę na Barwinek, który osiągnięto w pierwszych dniach października. Wcześnie przerwano kordon okrążający dywizje gen. Baranowa. Tym samym walki w „Dolinie Śmierci" straciły na znaczeniu.

Nadszedł 15 styczeń 1945 r. Po stronie radzieckiej pozycje do ataku zajęła 1 armia gwardii gen. Andrzeja Greczki. Okres przerwy w działaniach od jesiennych zmagań strona niemiecka wykorzystała do budowy umocnień, okopów i transzei. Ich liczba wyniosła na poszczególnych odcinkach od 2-3 a nawet 5. Umocnienia poprzedzone zostały licznymi polami minowymi i zasiekami z drutu kolczastego. Pas takich umocnień szczególnie rozbudowany był w Polanach (Ostryszne) i na Ciechanii.

Dnia 15.01.45 r. o świcie zawyły salwy katiusz nad niemieckimi pozycjami. To był sygnał, a po nim dopiero zagrzmiała salwa ze wszystkich luf. „Bóg wojny" (jak wspomina jeden z artylerzystów) w sprawiedliwym gniewie uderzył swym młotem w przestrzeń, w którą wkopała się zgraja niemieckich bestii, zgniótł przeciwległą stronę i rwał leśne porosty przez pełne 65 minut. Żaden cel nie został pominięty. W dniu 15 stycznia oraz następnych wyzwolone zostały Krempna i okolice Krempnej.

W czasie operacji karpacko-dukielskiej obie walczące strony poniosły bardzo ciężkie straty w ludziach i sprzęcie. Niektóre dywizje straciły ponad połowę swojego stanu osobowego. Strona radziecka straciła około 87 tys. zabitych i zaginionych (są też inne dane) a strona czechosłowacka 6,3 tys. Na placu boju pozostało setki wraków czołgów i dział pancernych, samochodów itp. Straty osobowe wroga wyniosły około 52-70 tys. zabitych, rannych i zaginionych. Rejon działań pokryty był licznymi mogiłami żołnierskimi. Po przeprowadzeniu ekshumacji kości części żołnierzy radzieckich i czechosłowackich (około 8 tys. spoczęły na cmentarzu w Dukli). Część poległych żołnierzy czechosłowackich przeniesiono na teren Słowacji i pochowano na cmentarzu w Komorniku Wyżnym. Przez dłuższy czas po ustaniu działań wojennych wiatr od lasów niósł niemiły zapach rozkładających się ciał poległych, zwłaszcza na polach minowych. Jaki los spotkał ludność cywilną na interesującym nas terenie w latach 1944/45 dowiadujemy się na podstawie obszernych fragmentów II części pamiętników o. J. Bohatiuka, greckokatolickiego księdza pochodzącego z okolic Zbaraża. W/w objął placówkę w Myscowej po zamaordowaniu ks. Szałasa na początku 1944 r. przez polskie podziemie za kolaborację z Niemcami i propagowanie nacjonalizmu ukraińskiego. Notatki dotyczą okresu po opisywanym wcześniej przerwaniu okrążenia korpusu gen. Baranowa. Tę część pamiętnika odnalezionego przez dr Albina Pietrusa we wsi Bednarka zamieszczono w Nr. 9 półrocznika „Płaj" z 1944 r. Według informacji zdobytych przez w/w o. Jarosław Bohatiuk urodził się w 1905 r. w Tarnopolskiem, zapewne w okolicach Zbaraża. Po ukończeniu gimnazjum i Akademii Teologicznej we Lwowie otrzymał święcenia kapłańskie i pracował w różnych parafiach grekokatolickich – ostatnio przed wyjazdem do Myscowej był proboszczem (parochem) Zbaraża.

Trzech braci o. Bohatiuka było członkami UPA. Córka Chrystia popełniła samobójstwo po wojnie (być może pod wpływem przeżyć jak to można wyczytać między wierszami pamiętnika).

Po wojnie o. Bohatiuk wrócił z transportem Łemków w Tarnopolskie, a po zdegalizowaniu tam kościoła grekokatolickiego przyjął prawosławie i pełnił w cerkwi powinności kapłańskie.

Autor jest sercem po stronie UPA, w której walczyli jego bracia. Tekst jednak ma olbrzymią wartość dokumentującą losy wsi łemkowskiej w w/w okresie „Środa 20.IX.1944. ... Front odsunął się 7-8 km od wsi i zdaje się, że z tego powodu bolszewicy nie strzelali na wieś – choć we wsi jest dużo wojska. Na plebanii jest dużo Niemców, którzy rabują i niszczą wszystko, co popadnie im w ręce. Nawet obrabowali cerkiew. Zabrali kielich, którego używałem do Służby Bożej, łyżeczkę z ołtarza do Komunii Św. krzyż ołtarzowy, z szaf w zakrystii kilka obrusów i wiele innych rzeczy. ... Na polu kończą wykopywać moje ziemniaki. Wszelkie prośby, aby mi chociaż trochę zostawili, nie pomagają. Czwartek 12.IX.1944, Narodzenia NP Maryi. Mimo uroczystego święta nie mogłem odprawić Służby Bożej w naszym obrządku. Przez wieś nieprzerwanie przejeżdża bardzo wiele transportów i w każdej chwili można oczekiwać ataku bolszewików. Dlatego odprawianie Służby Bożej w cerkwi byłoby b. niebezpieczne. Piątek-sobota 22.IX.1944. W ostatnich dwóch dniach tylko na peryferiach wsi padały granaty. Kto strzelał, Niemcy czy bolszewicy, trudno się było zorientować. Kilkanaście kroków od naszej kryjówki wczoraj zrzucili z samolotu bombę, która nie zrobiła żadnej szkody. Niedziela 24.IX.1944 Dzisiaj, chociaż niedziela, nie mogłem pójść do cerkwi aby odprawiać Służbę Bożą. Sytuacja we wsi była niepewna – dużo różnego rodzaju wojska. Stoi we wsi dużo dział, z których bez przerwy strzelają. Po południu niedaleko naszej kryjówki ustawiła się jedna bateria. Można spodziewać się, że bolszewicy ją odszukają i będą do niej strzelać. Uważałem pozostawanie tutaj za bardzo niebezpieczne. Zabrałem swoje rzeczy i tymczasowo zaniosłem do piwnicy gazdy P. Bryndzy na Woli. Wieczorem wystrzelili bolszewicy na wieś w okolice plebanii kilka granatów.
Poniedziałek 25.IX.1944. Raniuteńko przeniosłem się do piwnicy na plebanii, gdzie już wczoraj ulokował się dyrektor ze swoimi wnukami sierotami po św. pamięci o. Szałoszu. Na plebanii i w budynkach zastałem bardzo dużo wojska. W sadzie stały kuchnie i auta. Żołnierze w obejściu dość możliwi, nawet niektórzy z nich dobrzy, szczególnie katolicy. W mieszkaniu i budynkach duży nieład. Na plebanii ruina, okna prawie wszystkie powybijane. Drzwi zabrano do okopów. W stodole zboże i siano rozgrabiono. W odległości 200-300 metrów od plebanii, w łozinach koło rzeki stoi ciężka artyleria, która bez przerwy tak silnie strzela, że już nie można wytrzymać. ...

Piątek 29.IX.1944. Cały dzień z małymi przerwami strzelali bolszewicy na wieś z ciężkich armat. Bez przerwy – huk armat, trzask karabinów i karabinów maszynowych słychać było nad wsią. Jak dowiedziałem się od żołnierzy, bolszewicy rozpoczęli atak od strony Polan i przerwali front. Front znowu znacznie się zbliżył. W związku z tym dziś w nocy niespodziewanie wyjechało ze wsi i także z plebanii dużo ciężkich aut i kuchnie.

Sobota 30.IX.1944. Front bardzo się zbliżył. Bolszewicy są we wsi Polany, a Niemcy okopali się w niedalekim lesie, na tak zwanym Toczkowie, oddalonym od wsi o 1,5 km. Tak więc pierwsza linia frontu oddalona jest od nas 1,5-2 km, w związku z tym bolszewicka artyleria bez przerwy strzela na wieś.

Ciężkie dni grozy i strachu nastąpiły na nas. Nie ma spokojnej chwili, bezpiecznej. Bez przerwy słychać tylko świsty i wybuchy granatów. Życie nasze niepewne, w każdej chwili można spodziewać się śmierci. ...

Poniedziałek, wtorek 2.X – 3.X.1944. W ostatnich dwóch dniach wieś zatrwożona nowym nieszczęściem. Władza wojskowa zapowiedziała ewakuację wsi. Wczoraj nawet dwóch wojskowych przeszło przez dwie części wsi, to znaczy Dyliwel i Doliny, i zapowiedzieli, aby dzisiejszego dnia (2.X) o godzinie 8 rano mieszkańcy zebrali się na końcu wsi od strony Kątów, gdzie po nich przyjadą fury i odwiozą ich w wyznaczone dla ewakuacji miejsce. Oczywiście z wyznaczonych mieszkańców do ewakuacji nikt się nie zjawił w oznaczonym miejscu, a wszyscy rozbiegli się, gdzie kto mógł. Dużo uciekło do lasów, w potoki, na pola. Dwadzieścia pięć osób przybiegło do mnie, abym przyjął ich do piwnicy, chociaż na tyle osób nie było miejsca, bo już wczoraj przyjąłem do piwnicy dwie rodziny (diak i J. Mikołajczyk), które wygnali Niemcy z piwnicy na leśniczówce, to nie mogłem tym parafianom odmówić, bo to przeważnie byli biedacy. Żołnierze przeznaczeni do przeprowadzenia ewakuacji ze wspomnianych dzielnic zjawili się na dalszym końcu wsi, ale złowili tylko kilka osób. Co się z nimi stało, nie ma pewnych wieści. Dzisiaj jak i w poprzednich dniach bolszewicy strzelali na wieś z armat. Na Diłku wieczorem spalił się dom, prawdopodobnie A. Hłoda.

Środa-czwartek 4.X-5.X.1944. Sprawa ewakuacji wsi nie przestaje trwożyć. Na tak zwanym dolnym końcu wsi Niemcy łowią ludzi i już wywieźli kilkadziesiąt osób. Oprócz tego jeżdżą po opuszczonych gazdostwach i zabierają wszystko, co ma jakąkolwiek wartość, a głównie odzież, zboże, bydło. Ogólnie w całej wsi bezwzględnie grabią wszystko, zabierają ostatnią krowę, konia, kury zrabowali już wcześniej. W ostatnich dwóch dniach bolszewicka artyleria nie przestaje bić po wsi. Prawie codziennie pali się. W pierwszych dniach tygodnia zginęło od

bolszewickich granatów trzech młodych mężczyzn (dwóch żonatych i jeden niemy stanu wolnego).

Piątek 6.X.1944 r. Dzisiaj po południu, kiedy jedni z współmieszkańców byli w kuchni, a inni w piwnicy – padł gdzieś niespodziewanie granat blisko plebani. Za chwilę wszyscy z kuchni byli w piwnicy. Jeden z żołnierzy, który także skrył się do piwnicy, powiedział : pali się stajnia. Jak się okazało, granat upadł na stajnię i ją zapalił. Na tę wieść momentalnie wybiegł z piwnicy, dyrektor z sąsiadem i pobiegli do płonącej stajni, aby wypuścić krowy. Udał im się bydło uratować, ale nie mogli go wydrzeć z rąk Niemców. Tak samo, kiedy zapaliły się chlewy. Granaty bez przerwy pękały wokół plebanii, a krowy stały w sadzie. Z tej okazji skorzystali szybko Niemcy i zabrali dwie krowy p. dyrektora, a za kilka chwil inni żołnierze wzięli jedną krowę Łazorczyka. Wprawdzie za staraniem Niemców, którzy u nas kwaterowali, udało się odzyskać jedną krowę p. dyrektora, ale pozostałe dwie przepadły raz na zawsze.

Sobota 7.X.1944 r. Życie nasze na linii frontu bardzo przykre. Już czwarty tydzień mieszkamy w ziemiance albo w piwnicy, w niezwykle przykrych okolicznościach. W piwnicy na plebanii przebywa nas około 50 osób. Samych dzieci w wieku od 8 miesięcy do 10 lat jest tu 20. Z tego powodu bardzo ciężko jest zachować higienę, powietrze w piwnicy bardzo zanieczyszczone. Gdy do piwnicy napycha się jeszcze żołnierzy, to robi się tak gorąco, że nie można oddychać. Oprócz tego nie ma spokoju ani w dzień, ani w nocy. W nocy choć mniej strzelają na wieś, to znowu dzieci nie dają spać. Bywa często tak, że kilkoro dzieci zaczyna krzyczeć i to tak przeraźliwie, że rozrywa duszę gorzej od trzasku granatów. Ale to można by jeszcze znieść, gorsza sprawa jest w tym, że ciężko utrzymać tu higienę, w następstwie tego u mieszkańców naszej piwnicy pojawiają się wszy – partyzanci, jak ich nazywają żołnierze (co może być przyczyną różnych chorób). Ciężko teraz żyć, a końca tego nieszczęścia nie widać.

Niedziela 8.X.1944 r. Sytuacja na froncie niejasna, wprawdzie front od kilku dni stoi w miejscu, ale jak będą się rozwijać wydarzenia dalej, trudno przewidzieć. Niemcy prawdopodobnie podciągają tu nowe siły, ale do decydujących walk prędko nie dojdzie. Na razie prowadzą tu walki, jak to się mówi w wojennych komunikatach, lokalnego charakteru. Pomimo wszystkiego taki stan jest bardzo uciążliwy, szczególnie dla ludności cywilnej. Jest on nie do wytrzymania. Życie dla cywili w pasie przyfrontowym to piekło na ziemi, może w niektórych przypadkach bardziej wystawione na niebezpieczeństwo śmierci, jak żołnierzy. Jest ono wprost wyjęte spod wojennych praw. Wojsko robi co mu się podoba. Rabuje i znęca się nad ludnością bez miłosierdzia. Zrabowano prawie wszystko bydło, zboże i paszę, i mimo tego nie przestaje wojsko terroryzować spokojnej ludności. Wyczerpaną głodem i nędzą,

posyłają do ciężkich robót pod gradem bolszewickich kul, zmuszają do kopania okopów, noszenia amunicji na sam front. Dzisiaj przyjechało do mojej piwnicy dwóch żołnierzy za robotnikami do kopania okopów, a kiedy zdolni do pracy mężczyźni i kobiety pouciekali, jedno Niemczysko chciał mnie wziąć do robot, ale mnie także udało się uciec. Cały dzień z małymi przerwami strzelali bolszewicy z armat na wieś, dlatego nie wychodziliśmy prawie z piwnicy. Ot, takie nasze życie.

Poniedziałek 9.X.1944. ... władza wojskowa zarządziła ewakuacje cywilnej ludności wsi Myscowa dziś do godziny 4^{20} po południu. Cała ludność ma opuścić wieś, kto nie opuści wsi będzie rozstrzelany. Wojskowa władza nie przewiduje furmanek dla ludności cywilnej. Wszyscy cywile mają wyjść ze wsi, a w jaki sposób, to jego nie obchodzi. We wsi Kąty ma być zbiórka, a stamtąd udadzą się piechotą (bo koni we wsi już nikt prawie nie ma) do miejscowości przeznaczonej na ewakuację – do wsi Klęczany w pow. gorlickim. Ta wieść przeraziła mnie jak grom, bo choć powodziło mi się fatalnie, to jednak na ewakuację do polskiej wsi nie chciałem iść. Już dość wycierpiałem od polskich bandytów. Pomimo tego zdecydowałem się od razu opuścić wieś, bo sprzeciwianie się władzy wojskowej, i to jeszcze na froncie, uważałem za niebezpieczne. Aby nie trafić do obozu przesiedleńców, postanowiłem wyjść ze wsi przed oznaczoną godziną. Zdecydowałem się pójść do wsi Desznicy, gdzie po śmierci śp. ojca N. wyznaczono mnie na dojeżdżającego zarządcę. Wieś ta była oddalona od Myscowej o 6-7 km. Ze względu na to, że czasu do ewakuacji pozostało bardzo mało, zacząłem szybko się pakować. Wszystkich rzeczy nie mogłem zabrać, najkonieczniejsze musiałem jednak wziąć w dalszą drogę, na wygnanie. Z niewymownym żalem zabrałem się na ewakuację – wygnanie. Nie chciałem już iść na dalsze wygnanie, bo choć mi tu przykro pod gradem kul, ale życie wygnańca wśród obcych ludzi jest jeszcze bardziej przykre.” Po wielu perturbacjach autor wraz z córką Chrystią dociera do wsi Desznica, gdzie zatrzymuje się u byłej gospodyni po śp. o. N. Ł. Na nocleg zatrzymują się u miejscowego nauczyciela. W Desznicy spotkał wspomnianego wcześniej dyrektora szkoły z Myscowej.

„Wtorek 10.X.1944. Dzisiaj wstałem dość wcześnie, choć byłem bardzo zmęczony. Chciałem koniecznie jeszcze zastać i przywitać się z p. dyrektorem, który zapowiadał, że dzisiaj raniutko wybiera się w dalszą drogę. Wspomniany p. dyrektor jeszcze nie odszedł, dlatego, że była ładna pogoda. Odprowadziłem go jakieś 5-7 kilometrów. To dobry człowiek, dlatego chciałem z nim, może ostatni raz, porozmawiać. Odprowadziłem go aż do wsi Kotań i tam na leśniczówce pożegnałem się z nim i jego wnukami. Prawie siedem miesięcy mieszkałem

razem z nimi i w końcu przyszedł czas, że musieliśmy rozstać się i to wśród takich przykrych okoliczności ... w Myscowej musiałem wszystko zostawić. Zostałem więc tylko na łasce ludzi, ale na miłosierdzie długo nie mogłem liczyć, bo w parafii wiernych grekokatolików bardzo mało (w dwóch wsiach wszystkiego trzydzieści gospodarstw (Desznica i Jaworze zapewne), większość mieszkańców prawosławna apostaci). Na razie zamieszkałem u diaka i u niego żywię się z Chrysią. ...

Środa 11.X.1944. ... dzisiaj wieczorem przeprowadzili Niemcy z Myscowej do Desznicy kilkadziesiąt osób, które złapali w pobliskich lasach. Byli to ludzie z dalszego końca wsi. Jak mi opowiadali – także wczoraj łapali Niemcy w tym lesie ludzi z Myscowej, a nawet kilku – biorąc ich za partyzantów – rozstrzelali. Moich nieszczęśliwych parafian spotkało straszne, nieprzewidziane nieszczęście. Wielki pech moich nieszczęsnych parafian, ciężki zły los ich prześladuje.

Sobota 14.X.1944. Przed południem przyjechał do mnie z Myscowej kościelny M.R. ze swoim synem W., którego wczoraj zranili bolszewicy – granatem. Przyszedł z nim do lekarza do opatrunku. Bardzo się zdziwiłem, bo myślałem, że w Myscowej już nie ma całkiem ludzi. Tymczaesm dowiedziałem się od wyżej wymienionego M.R., że cała ludność tzw. górnego końca Myscowej została na miejscu. Mieli oni powiedzieć władzy wojskowej, że wolą zginąć na miejscu, niż iść na wygnanie i na śmierć głodową. Co będzie dalej z tymi ludźmi, trudno przewidzieć. ...

Poniedziałek-wtorek 16-17.X.1944. Życie w przyfrontowej strefie także jest niebezpieczne. Wprawdzie bolszewickie kule nie padają, a sięgają tylko peryferii. Ich samoloty często krążą nad nami i czasami bombardują. Na sąsiedniej wsie : Myscowa, Polany, Krempna, Sowieci nadal strzelają z artylerii. W ostatnich dniach słychać silne armatnie strzały z okolicy słowackiej granicy. Prawdopodobnie bolszewicy chcą się tam przerwać. W pobliskim lesie oddalonym od domu diaka (gdzie ja mieszkam) o 500 m., ustawiła się niemiecka artyleria, która strzelała z małymi przerwami prawie cały dzień i całą noc. Można się spodziewać, że bolszewicy będą szukać jej stanowisk. ...

Piątek – sobota 20-21.X.1944. W ostatnich dniach wieś zatrwożona wieścią, że będzie wkrótce ewakuowana. Wszyscy ludzie bardzo zdenerwowani. I nic dziwnego, bo ewakuacja, tak jak ją przeprowadzają Niemcy, to wielkie nieszczęście dla ludności. Cały majątek ich pozostaje, Niemcy rabują i niszczą. Na przykład w Myscowej, jak opowiadają naoczni świadkowie, Niemcy rabowali wszystko, co zastali w chacie i budynkach (zboże). Jak zabrali wszystko, zaczęli rozbierać budynki, z których drzewo zabierali do okopów, a blachę z

dachów ładowali na auta i wywozili, możliwe że do Niemiec. W swoim nienasyconym rabunku nie zostawili nawet cerkwi. Kilka razy ją rabowali, a w ostatnim czasie sprofanowali w niewymowny sposób. Jak donosi naoczny świadek, kościelny M.R., zrabowali albo zniszczyli Niemcy wszystko, co jeszcze zostało. Zabrali koszulki z obrazów, obrusy itd., dużo rzeczy poniszczyli, np. ornaty podarto i wyrzucono na drogę. Cerkiew we wnętrzu przedstawia straszną ruinę, straszny wygląd. Wspominany kościelny M.R. opowiada, że kiedy wszedł do cerkwi, to ona przedstawiała ruinę. Wygląd tak go przeraził, że nie mógł w cerkwi odmówić nawet „Ojcze Nasz".

Bolesna to wieść, ale za to zbezczeszczenie musi być kara. ...

Poniedziałek 23.X.1944. Znowu przymusowa ewakuacja. Rano o godzinie 6 przyszli do mieszkania dwaj żołnierze i oświadczyli, że do 10 godziny przed południem ludzie muszą ze swoimi rodzinami prędko opuścić wieś. Ci sami żołnierze przechodzili od domu do domu i tę straszną wieść roznosili po całej wsi. Było jasne, że wojskowa władza zarządziła przymusową ewakuację, którą były objęte oprócz Desznicy i Hałbowa także sąsiednie wsie Jaworze, Krempna, Kotań. Zgodnie z tym nakazem cała ludność pośpiesznie zaczęła zbierać się do drogi. Ja oczywiście zacząłem szybko pakować swoje rzeczy. Po jedną walizkę musiałem iść do nauczyciela, do którego droga wynosiła 1,5 kilometra. We wsi słychać było rozpaczliwy płacz. Od nauczyciela, który przed chwilą był u ortskomendanta, dowiedziałem się, że do od ewakuacji nie ma odwołania. Miejscowość do której mamy się przenieść – niewiadoma. Powiedziano tylko, że wymarsz nasz ma iść w kierunku Świątkowej. Wojskowa władza obiecała dać swoje furmanki mieszkańcom, którzy nie mają koni. Ze względu na taką sytuację, kiedy tylko powróciłem do domu, za kilkanaście minut byłem już gotowy do wyjazdu. Wojskowa żandarmeria, której powierzono przeprowadzenie ewakuacji, obiecała mi dać wspólną furmankę z jakimś wieśniakiem.

Przed godziną dziesiątą zaczęły wyjeżdżać furmanki w drogę. Co chwilę ich liczba zwiększała się. Kiedy przyjechała przeznaczona dla mnie, pożegnałem się z rodziną diaka i żołnierzami, którzy u nas kwaterowali. Wyniosłem swoje rzeczy na furę, na której było już dużo bagaży jakiegoś gazdy. Na drodze stał duży sznur furmanek, zaprzężonych w konie, krowy albo woły. Na drodze koło cerkwi zjechały się wszystkie furmanki z Hałbowa i część z Desznicy. Gnano drogą wiele bydła : krów, owiec i kóz. Na wozach jechali tylko słabsi starcy, dzieci i chorzy. Wszyscy zdrowi musieli iść pieszo. Taki był rozkaz żandarmerii. Kiedy wyjechaliśmy za wieś, zobaczyłem olbrzymi sznur wozów i tłum ludzi idących drogą i dźwigających olbrzymie ciężary. Szło dużo matek z małymi dziećmi na rękach, szli z trudem

także ludzi starsi wiekiem, często upadając z osłabienia na błoto. Szedłem także ciężkim krokiem za furmanką, szedłem już trzeci raz w tym roku na wygnanie w niewiadomym kierunku. ...

Kiedy zbliżaliśmy się do wsi Kotań, oddalonej od Desznicy o koło 5 km, zobaczyliśmy w dole długi sznur wozów, tłum ludzi i stada bydła. To była ewakuacja ze wsi Krempna i Kotań. Ten sznur wozów przejeżdżał do góry i łączył się z nami. Tak zjechało się razem pięć ewakuowanych wsi, a to Desznica, Hałbów, Jaworze, Krempna, Kotań. Transport rozciągał się na kilka kilometrów i po kilkunastu minutach zatrzymał się, bo bolszewicka artyleria zaczęła gwałtownie ostrzeliwać pierwsze wozy, które wyjeżdżały z lasu i wjeżdżały na pole. Wkrótce – po pół godzinie – bolszewicy przestali nas ostrzeliwać i wówczas ruszyliśmy dalej. Zaświstało kilka granatów i jak raz upadły blisko naszych wozów. Transport ruszył galopem na przód, a ja z Chrystią biegłem za wozem przez pół kilometra, aż póki nie przestali całkiem strzelać. Przestraszeni i zmęczeni przeszliśmy do Świątkowej. Po drodze dowiedzieliśmy się, że mamy się zatrzymać na dzień – dwa we wsi Bodaki oddalonej od Desznicy o około 25 km, a potem udać się w dalszą drogę, gdzie mamy zatrzymać się na stałe. Ale gdzie, nikt nam nie powiedział. Nasz transport posuwał się wolno ciężką drogą. Była ona niewymownie ciężka. Co raz trzeba było iść w błocie po kolana, pod górę, to znowu z góry ostro w dół. Pod wieczór dociągnęliśmy do wsi Bartne, gdzie zanocowaliśmy. ..."

Tu nasz bohater zatrzymuje się z powodu złego stanu zdrowia za zgodą żandarmerii niemieckiej.

„Sobota 28.X.1944. Dzisiaj dowiedziałem się o losie wysiedlonych którzy, przed kilkoma dniami wyjechali z Bodaków w nieznaną drogę. We wsi Klęczany, jak opowiadał mi jeden z wysiedlonych, cały transport podzielili się na trzy grupy : młodych i zdrowych wraz z nielicznymi dorosłymi (powyżej dziesięciu lat) zabrali do Niemiec. Musieli oni sprzedać swe bydło wojsku (w cenie za sztukę po 300-400 zł). Zdolnych do służby wojskowej także oddzielili, co zrobią z nimi nie wiadomo; domyślam się, że zabiorą ich do wojska. Pozostałych z transportu rozmieścili w pobliskich wsiach koło Gorlic. Polacy bardzo wrogo przyjęli naszych wysiedleńców. Nie chcą im niczego sprzedać, a jeszcze okradają. Diaka St. Kostiaka z rodziną, żoną i trojgiem dzieci, z których najmłodsze miało sześć lat, zabrali do Niemiec. ...

Wtorek 14.XI.1944. Dzisiaj byłem z Chrystią w Bartnem na święcie, zwanym tutaj kermeszem, ku czci św. Kosmy i Damiana. Odnośnie obrzędów cerkiewnych odprawiłem Służbę Bożą z miejscowym kapłanem, a potem miałem kazanie. Do domu wróciłem przed

wieczorem. Po drodze spotkałem duży transport ewakuowanych z Myscowej, Krempnej i Desznicy. Do tej pory wysiedleni przebywali we wsiach Świątkówce i Świątkowej. Teraz zmęczeni, jechali do wsi wyznaczonych przez władze wojskowe, czyli do obozu we wsi Klęczany. W tym transporcie były też wszystkie rodziny ze wsi Riaszitka (Reszówki) i po kilkadziesiąt rodzin ze wsi Świątkowa i Świątkówka W tych trzech wsiach to nowa ewakuacja. Transport zatrzymał się w nocy w Bodakach. Z Myscowej nocowało u mnie dwóch braci – sieroty. Matka ich zginęła przed dwoma tygodniami od granatu, a ojca jako dzieci z nieprawego łoża nie znali. ... Los wysiedlonych był nie do przewidzenia. Dużo między nimi było bosych i na pół gołych. Niektórzy z ewakuowanych jechali na wozach, inni szli piechotą w błocie po kolana. Ciężkie nieszczęście spotkało nieszczęsny lud. ..."

W międzyczasie piszący pamiętnik otrzymał parafię w Bednarce.

"19.11.1944. Parafia Bednarka, jak się dowiedziałem od sąsiednich duchownych, pod względem religijnym nie najgorsza, a lepsza od Myscowej. O tym samym przekonałem się dzisiaj z udziału wiernych w Służbie Bożej w niedzielę. Zachowanie w cerkwi przyjazne, nastrój pobożny. Także na wiczirni było dość wiernych. We wsi jest kilka rodzin sztundystów (tu nazywają ich basztarami – chodzi o baptystów, którzy mieszkali we wsi i innych okolicznych, wszyscy inni to gr.kat., prawosławnych (apostatów) nie ma. Wierni pod względem narodowościowym w większości Ukraińcy i tylko nieznaczna część „Rusnaki-Łemki".

Środa 22.IX.1944. Koło południa wybrałem się z Chrystią w odwiedziny do znajomego nauczyciela Zająca w Męcinie. Droga do Męciny niedaleka, około 6 km, i dlatego zaszliśmy szybko. P. Zająca zastaliśmy w domu. Długo nie byliśmy, bo szybko zaczęło zmierzchać. Między innymi opowiedział mi, że ubiegłej nocy było u niego trzech sowieckich partyzantów, którzy prócz tego, że prosili o jedzenie, nic nie zabrali. Byli to prawdopodobnie rozbitkowie z sowieckiej grupy, która w połowie września b.r. przerwała się przez Myscową, a potem była okrążona koło Grabu i rozbita przez Niemców. ...

Wtorek 16.01.1945. ... Około godziny 10. pierwsze oddziały bolszewików wkroczyły do wsi, Niemcy powysadzali we wsi mosty i urządzili zasadzki. Na ulicach wsi rozpętała się kilkugodzinna, zacięta walka, w której obie strony strzelały z armat i karabinów. W końcu zwyciężyli bolszewicy. Niemcy odstąpili, zostawiając we wsi kilku zabitych. Kilku Niemców dostało się do niewoli, ale bolszewicy w swojej zaciętości ich rozstrzelali. Bolszewicy mieli dwóch zabitych. Około 1 godziny po południu we wsi było już cicho – ucichły armaty i karabiny, potem zaczęły napływać do wsi niezliczone rzesze bolszewików. Szli lawiną, jak

kiedyś azjatyckie ordy na Europę. Ogarnął mnie strach i trwoga. Kiedy wróciłem do domu, na drogach i koło mieszkań zastałem dużo bolszewickich czołgów i żołnierzy. ...

Środa 17.01.45. Przez cały dzień przechodziło dużo wojska, piechoty, artylerii i taborów. Dużo żołnierzy kwateruje we wsi. Mój gazda gościł u siebie sowieckich politruków i innych wyższych oficerów. Przy tej okazji trochę z nimi rozmawiał, ale ostrożnie. Na ogół zachowywali się oni dobrze, tylko niektórzy z nich bardzo uparcie domagali się wódki. ...

Wracając do domu, poszedłem na wieś oglądać niemieckie trupy, które nie były jeszcze pochowane i leżały na drodze. Przez kilka trupów, które leżały na środku drogi, przejeżdżały auta. Były zdeformowane. Prawie wszystkie trupy były odarte z odzieży. Wszystkich zabitych było około 15. Jedni z nich zginęli w walce, większość rozstrzelali bolszewicy po zabraniu do niewoli. ... W ostatnich dniach dużo przesiedleńców z przyfrontowych wsi, jak Myscowa, Desznica i innych, jacy przebywali tu w okolicznych wsiach, wraca do domów – swoich zrujnowanych siedzib. Moi dawniejsi parafianie z Myscowej, którzy tu w Bednarce także przebywali, zbierają się do odjazdu.

Sobota 3.II.1945. Dzisiaj wyjechała z Bednarki do Desznicy moja była parafianka z Myscowej, A.H., która mieszkałą tu kilka tygodni. Była u mnie przed tygodniem pożegnać się, jak mówiła, raz na zawsze, bo wkrótce wyjeżdża do Rosji i cała wieś Myscowa także wyjeżdża. Było mi przykro, gdy z żalem żegnała się ze mną, tym bardziej, że dobrowolnie na straszną nędzę. Jako zamożna gaździna nieraz mnie ratowała w biedzie, szczególnie wtedy, jak mnie obrabowali bandyci i zostałem bez żadnych środków do życia. Przez jej przychylność do mnie wywiązała się między nami obustronna sympatia i zbliżenie. Wprawdzie przyjdzie mi za tę przychylność dużo wycierpieć, ale moja to wina. Może i lepiej, że rozchodzimy się na zawsze.

Wtorek 20.II.1945. W ostatnich tygodniach przeprowadzono na Łemkowszczyźnie przez Sowietów i ich sympatyków silną agitację za wyjazdem do Związku Radzieckiego. Łemkowie od kilkudziesięciu lat zatruwani moskiewską trucizną okazują się bardzo podatni na tę agitację. Kilka wsi w Dukielszczyźnie, zniszczonych wojną, już wyjechało na stałe osiedlenie do Związku Radzieckiego. Za przyczynę swojego wyjazdu podają, że ich wsie zostały zniszczone i że nie mają „żywioły" (tzn. inwentarza żywego). W ostatnich dniach wyjechała dobrowolnie na wysiedlenie do Związku Radzieckiego prawie całą wieś Myscowa. Na 300 domów (numerów) pozostało 30 rodzin, ale i ci mają wkrótce wyjechać. Za przyczynę swego przesiedlenia się podaje jak poprzednie wsie ruinę swoich gospodarstw i brak żywności. Nie jest to w 100 procentach prawdą, bo w 1940 roku, choć mieli pod dostatkiem żywności,

prawie cała wieś z wyjątkiem dwunastu rodzin, zapisała się na wyjazd do Rosji. Prawdą jest, że wielu wyjeżdżającym grozi głód i muszą szukać dla siebie jakiegoś ratunku. To rzecz zrozumiała, ale taki wyjazd nie uratuje ich od głodu. Do Związku Radzieckiego wyjeżdża wielu ludzi całkiem nie dotkniętych wojną, którzy mają piękne gospodarstwa i pod dostatkiem żywności, ale pozostawiają wszystko i jadą. Ktoś nie znający Łemków dziwiłby się, ale dla mnie wszystko jest jasne. Wyjeżdżają zatruci moskiewską trucizną, wyjeżdżają z tęsknoty do ziemi obiecanej, z tęsknoty do Rosji. Trucizna wpijana w Łemków przez lata dokonała swego. Żal mi tego nieszczęsnego narodu, bo wiem jaka czeka go gorzka dola. Jednak nie można go winić, że sam gotuje sobie to wielkie nieszczęście, bo co winne dziecko, że zjada piękną i słodką, ale trującą jagodę i umiera.

Środa 7.III.1945. Dzisiaj skorzystałem z okazji i furmanką, która jechała z Bielanki, pojechałem do Myscowej i po pięciu miesiącach odwiedziłem wieś. Już od dawna, kiedy ustępował front miałem ochotę odwiedzić moją dawną parafię, miejsce strasznych przeżyć, jakie przechodziłem tam przez kilka miesięcy. Jednak wybrać się piechotą było za daleko. A furmanką nie jest to męczące. Dzisiaj przysiadłem się do jednej z moich byłych parafianek z Myscowej E.M., która tu przebywa i która sama wybrała się dzisiaj do wsi. Do Myscowej zajechaliśmy na południe. Wyjeżdżając do wsi przypomniałem sobie te straszne dni, jakie przeżyłem opuszczając ją przed pięcioma miesiącami. Jak najdokładniej przypomniałem sobie te okropności, jakie przeżyłem na tej drodze. Co chwila wybuchały za nami, względnie przed nami w niedalekim oddaleniu pociski, a ja ostatkiem sił wlokłem swój bagaż. Dziś jest spokój, można wszystko oglądnąć. Wtedy widziałem dookoła siebie tylko dym i wybuchy granatów. Nie było czasu rozglądać się. Straszne to były chwile i może zostaną w życiu jako najstraszniejsze. Dzisiaj dla mnie to wszystko wspomnienia. Tak przypominając sobie te straszne czasy wjechaliśmy na wzgórze, z którego zobaczyłem większą część wsi i prawie wszystkie zrujnowane i spalone domy. Tylko kominy sterczą. Całych budynków prawie nie widać. Wjeżdżając coraz dalej w wieś miało się wrażenie, że jest wymarła, bo żadnej żywej duszy nie można było zobaczyć na drodze. Wspomniałem już, że Myscowa wyjechała do ZSRR, jednak kilka rodzin miało jeszcze pozostać. Zdawało mi się, że jestem w jakiejś zaczarowanej wsi, w której ludzie albo wymarli, albo zasnęli jakimś czarodziejskim sposobem. I tak ucieszyłem się, kiedy w niedalekim domu zobaczyłem dym z komina, co byłem pewnym znakiem, że ktoś tam mieszka. Gazdę z tej chaty znałem i dlatego zeskoczyłem z furmanki i z zamiarem dowiedzenia się czegoś wszedłem do środka, ale bardzo zdziwiłem się, kiedy zastałem tu obcych ludzi, i przypomniała mi się bajka o

umarłych, którzy po stu latach wstali z grobu i wrócili do swej wsi, ale nikogo już nie poznali. Po kilku słowach rozmowy dowiedziałem się, że to już nowi mieszkańcy Myscowej, Polacy z sąsiedniej wsi Kąty, którzy zajmują we wsi lepsze domy, których jeszcze front nie zrujnował. Ta wieść podziałała na mnie bardzo boleśnie. Nieszczęśliwy naród poszedł na poniewierkę, a gazdostwa jego zajmują wrogowie. Od wspomnianych Polaków dowiedziałem się, że we wsi zostało jeszcze kilkanaście rodzin, ale są one porozrzucane po całej wsi. Po tych informacjach pojechaliśmy dalej w wieś. Gaździna z którą jechałem, pojechała do swego domu. Poszedłem w górę wsi do cerkwi i plebani. Do cerkwi było jeszcze 3,5 km. Z pozostałych rodzin nikogo nie spotkałem. W tej części wsi, przez którą przechodziłem, wszystkie domy były zrujnowane. Plebania także na wpół zrujnowana, ściany co prawda stoją, ale pół dachu zdjęto. Mnie najbardziej ciekawiła cerkiew. Na zewnątrz była nie uszkodzona, ale w środku zrujnowana i zbezczeszczona. Do cerkwi wszedłem przez rozbite drzwi zakrystii, w której dwie kule armatnie wybiły ogromne wielkie dziury i było tam pełno gruzu, cegły i śmieci. W świętym miejscu stał wprawdzie ołtarz i kiwot, ale wszystkie wartościowe rzeczy były zrabowane. Cerkiewne księgi podarte i porozrzucane. Moja biblioteka, którą tutaj zostawiłem, także zniszczona. Nie zostało z niej jednej całej książki, tylko kupa podartego papieru. Ze świątyni Niemcy zrobili stajnie dla koni. Jeszcze widać gnój po koniach, cerkiewne rzeczy i książki wymieszane z końskim nawozem. W kącie obok wejściowych drzwi wypalono podłogę, tu żołnierze palili ognisko. Przez wybite okno naleciało do cerkwi śniegu, który jeszcze się nie stopił. Smutny ten obraz zrobił na mnie tak przygnębiające wrażenie, że aż zapłakałem. Dużo zniosłem już cierpień w swoim życiu i zahartowałem się na nie, ale tutaj nie mogłem nad sobą zapanować. Przykro mi było oglądać cerkiew, gdzie służyłem i działałem jako kapłan, w takim strasznym stanie. Nie mogłem długo patrzeć na tą straszną ruinę i dlatego pomodliwszy się wyszedłem. Chciałem zobaczyć jeszcze drugą część wsi i dlatego poszedłem do kościelnego A. Słabczaka, który mieszkał na drugim końcu wsi, gdzie przebiegała pierwsza linia frontu. Dobrych budynków i tu było bardzo mało. Wspomnianego gazdę A.S. zastałem w domu. Dom jego, który stał na samej frontowej linii, aż dziw nie był bardzo uszkodzony. Przy samym domu stoi jeszcze nienaruszone druciane ogrodzenie, między którym jest bardzo dużo min. Od tego ogrodzenia w odległości 100 kroków widać bolszewickie okopy, ale nie miałem odwagi ich oglądać, bo pas ten między nimi a okopami niemieckimi jest cały zaminowany. Ze względu na to, że robiło się mroczno, wróciłem do furmanki, aby jechać do domu. Było już jednak późno i zatrzymaliśmy się w Myscowej.

Czwartek 8.III.1945. Do domu wybraliśmy się wcześnie rano dlatego, że droga była zła i bardzo kurzyło śniegiem. Postanowiliśmy trzymać się gościńca. Trzeba było jechać przez Kąty na Żmigród. Taki wybór drogi odpowiadał mi, bo bardzo chciałem zobaczyć Żmigród, który wedle wieści miał być całkiem zniszczony. Wiadomość o zniszczeniu Żmigrodu okazała się prawdziwą. W całym miasteczku widziałem tylko kilka domów z dachami, i to w środku zrujnowanych. Wszystkie zrujnowane od kul, względnie spalone. Ludzi spotkałem bardzo mało. Wszędzie gdzie stał front, pozostała straszna ruina.

Czwartek 26.III.1945. ... We wsi panowała silna agitacja za wyjazdem do ZSRR i z tej przyczyny ludzie chodzili jak obłąkani nie wiedząc co robić. Już jednak widać, że nie oprą się agentom i prowokatorom. ... Zdaje się, że trzeba będzie iść na wygnanie, bo kiedy wyjadą parafianie, to ja sam nie będę mógł tu pozostać.

Poniedziałek 2.IV.1945. Dzisiaj po południu przyjechało do wsi z Gorlic trzech bolszewickich agentów, którzy rozpoczęli agitację za wyjazdem do ZSRR. W mitingu, jaki zwołali do szkoły, wziąłem także udział. Jeden z agentów w długim przemówieniu przyobiecał łatwowiernym Łemkom („rusińskiemu narodowi") jak się wyraził, wszelkie dobra w bolszewickim kraju. Po minach obecnych poznałem, że wierzą oni w te obiecanki, ale za tą łatwowierność przyjdzie im gorzko odpokutować. Dwóch agentów pozostało we wsi, będą zapisywać ochotników na przesiedlenie i ogólnie przygotowywać wieś do wyjazdu.

Środa 4.IV.1945. We wsi wielki ruch i zdenerwowanie. Ludzie chodzą jak struci i nieprzytomni. Dużo rodzin już się zapisało na wyjazd. Inni znowu nie wiedzą, co robić. Agitacja się zwiększa. Straszą, że kto nie wyjedzie dobrowolnie, to go bolszewicy aresztują. Wszystko jest możliwe! Jestem w wielkim kłopocie. Ile zła zniosłem na tym moim wygnaniu i wiem, że trzeba będzie iść na dalszą poniewierkę.

Piątek 6.IV.1945. Wzmaga się akcja za przesiedleniem. Już zapisało się na wyjazd 120 rodzin. We wsi zostaje jeszcze 50 rodzin i to też wahających się, niepewnych. Sąsiednie wsi, jak Wola Cieklińska, Folusz, Pielgrzymka, Rozdziele, wyjeżdżają w całości i to właśnie wywiera zły wpływ na bednarczan, którzy się jeszcze nie zapisali. We wsi smutek i płacz jak na pogrzebie. To naprawdę pogrzeb Łemkowszczyzny... Większość mieszkańców w Bednarce zgłosiła się na wyjazd tylko pod terrorem miejscowych agentów, którzy na pewno za swoją judaszową robotę wzięli ruble. Podli zdrajcy. Sprzedali swoich niedojrzałych braci Łemków. Ale te 30 srebrników nie wyjdzie im na pożytek. Nie unikną losu Judasza. Biedni Łemkowie nie wiedzą, co ich czeka, i chociaż ogólnie wszyscy z nich z całej duszy nienawidzą Ukrainy, mnie ich żal, bo i wśród nich można znaleźć piękne charaktery (dobrych ludzi). Wtorek

24.IV.1945. Propaganda za wyjazdem do ZSRR idzie wszystkimi sposobami : namową, strachem, terrorem. Pomimo tego w ostatnich dniach nie ma ona takiego wpływu jak na początku miesiąca. Pomału przychodzi opamiętanie. Dochodzą wieści o strasznym bycie w ZSRR. Kilkanaście rodzin pod wpływem tych wieści odwołało swoje deklaracje wyjazdu. Co będzie z tymi rodzinami? Czy wysiedlą przymusowo, czy zostawią na miejscu, na razie nie wiadomo. Zgłoszone do wyjazdu rodziny przygotowują się do wyjazdu, pieką chleb, suszą suchary itp. Wiele rzeczy, których nie można zabrać z żywego i martwego inwentarza, zboże, ziemniaki itp. sprzedają Polakom za bezcen, rujnują siebie w straszny sposób. Sąsiednie wsie Folusz i Wola Cieklińska już wyjechały, ale czekają na stacji w Jaśle, bo nie ma wagonów. Jak dochodzą wieści, niektóre wsie czekają na stacjach w Krośnie i Sanoku już 6 tygodni.

Środa 9.V.1945. Częściowe przesiedlenie Bednarki. Na froncie wielkie wydarzenia, ale wieś nie jest tym zainteresowana, a to z tej przyczyny, że przesiedleńcy z Bednarki do ZSRR już trzeci dzień wyjeżdżają na stację do Zagórzan. Więc cała wieś przejęła się tym wyjazdem ze względu na to, że dużo rodzin wyjeżdża nie z własnej woli. We wsi już trzeci dzień słychać rozpaczliwy płacz. Ludzie wyjeżdżający obcałowują swe domy, ściany, drzwi, padają na ziemię, całują i nie chcą z niej powstać. Nie mogę patrzeć na ten ich ból. Żal mi biednych ludzi. Naród przeżywa straszliwe cierpienia. Ta golgota jest straszna jeszcze z tego powodu, że nie ma nadziei, że po krzyżu przyjdzie dla nich zmartwychwstanie. Nasza cerkiew obchodzi właśnie pamiątkę Zmartwychwstania Pańskiego, a Łemkowszczyzna odbywa swój pogrzeb.

Środa 30.V.1945. Ciernista droga przesiedleńców. Droga przesiedleńców do ZSRR jest nadzwyczaj ciężka z przyczyn braku transportu. Przesiedleńcy czekają na stacjach po kilka tygodni (nawet półtora miesiąca). A kiedy nawet ruszą z miejsca, to długo muszą czekać na stacjach po drodze. Na granicznej stacji Chyrów przechodzą przesiedleńcy swojego rodzaju kwarantannę – „czystoliszcze", muszą poddać się oględzinom lekarskim i wizycie w NKWD. To wszystko zajmuje bardzo dużo czasu i z tego powodu – jak dochodzą wieści – zgrupowani tam ludzie z kilkudziesięciu wsi i śród niezwykle ciężkich warunków odbywają dezynfekcję. Tak, tak ciężka jest droga do „ziemi obiecanej", „raju", i wąska jest brama chyrowskiej kwarantanny, która do niego prowadzi. Dzisiaj po trzech tygodniach postoju w Zagórzanach przesiedleńcy z Bednarki wyjechali do Chyrowa. W ostatnich dniach wyjechali na stację do Zagórzan przesiedleńcy z sąsiedniej wsi Rozdziele, około 80 rodzin. W kolejności do wyjazdu w najbliższych dniach wyznaczono z naszej okolicy wsie Wapienne i Męcina... .

Poniedziałek 25.VI.1945. Areszt NKWD. Przed dwoma tygodniami w sąsiednich wsiach Męcinie i Wapiennem przeprowadzono aresztowania. W Męcinie aresztowano dwóch nauczycieli tamtejszych (z Galicji) i kilku wieśniaków, a w Wapiennym zaaresztowali trzech, którzy wrócili z powrotem z ZSRR, i ich rodziców. Ci uciekinierzy z ZSRR jeszcze w lutym tego roku wyjechali do „raju" i na własne oczy zobaczyli, jak on wygląd. Powrócili do domów i pod wpływem ich wieści z „raju" wymienione wsie odmówiły wyjazdu, choć podpisały już wcześniej zgodę. Aresztowania nie przeprowadzono oczywiści z zamiarem zmuszenia wsi do wyjazdu. I oczywiści NKWD cel swój osiągnęło. Aresztowani podpisywali prośby na wyjazd do ZSRR i kilku wypuścili na wolność. Wymienione wsie przestraszone aresztowaniami prawie w całości podpisywały podania o przesiedlenie.

Sobota 30.VI.1945. W tych dniach powrócił do Bednarki jeden z miejscowych przesiedleńców, który wyjechał do ZSRR na początku poprzedniego miesiąca. Był on tam, jak opowiadał, w obwodzie charkowskim przez trzy tygodnie. Wszystkich przesiedleńców z Bednarki rozdzielono po kila rodzin do różnych kołchozów. Mieszkają razem z tamtejszymi kołchoźnikami. Na drugi dzień po przyjeździe zaraz zabrali ich do pracy w kołchozie. Na razie nie dają żadnych przydziałów, tylko zmuszają, by ciężko pracować nawet w niedzielę i święto. Miejscowa ludność bardzo biedna i strasznie głoduje. W poprzednim roku za dniówkę w kołchozie otrzymali 40dkg kukurydzy i więcej nic. Dlatego nie wydaje się dziwne, że cierpią głód. Ze zdziwieniem pytają się tamtejsi ludzie przesiedleńców, po co oni przyjechali. Wśród naszych ludzi straszne przygnębienie i niezadowolenie. Ludzie płaczą i narzekają na swoją dolę i żyją tylko nadzieją, że powrócą jeszcze do domu. Gdyby pozbawiono ich tej nadziei, to jak mówił uciekinier, ludzie z rozpaczy popełniliby samobójstwa. On uciekł w podartych łachach zostawiając swoje rzeczy tam na miejscu.

Niedziela 1.VII.1945. W ostatnich dniach przejeżdżało bardzo dużo bolszewickiego wojska. Ze sobą prowadzą wielkie stada koni, krów, owiec i świń. Wiozą także pełne wozy różnego dobra zrabowanego z Niemczech i na Węgrzech... (Na tym pamiętnik się urywa).

A to jeszcze jeden przykład na to jak Łemkowie „dobrowolnie i ochotniczo" wyjeżdżali do byłego ZSRR. Jest to relacja Stanisława Piątkowskiego, z Sądu Grodzkiego w Gorlicach zamieszczona w jednym z wrześniowych numerów „Nowin" z 1990r.

..."Wtedy do mnie zgłaszały się liczne delegacje wiosek łemkowskich z całego powiatu gorlickiego, błagając mnie o ratunek, gdyż zmuszano ich okrucieństwami do podpisywania zgody na przesiedlenie do Związku Radzieckiego.

Cóż mogłem tym Łemkom powiedzieć? Co dla nich zrobić? Byłem takim samym jak oni niewolnikiem przemocy i mogłem tylko te ich prośby przesyłać do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

Ale raz dostałem z ministerstwa wezwanie do przesłuchania, w charakterze świadków pod przysięgą, kilku Łemków ze wsi Banica na temat, czy prawdą jest, że byli zmuszani przez policję ukraińską do podpisywania oświadczenia, że czują się Ukraińcami i proszą o przeniesienie ich na terytorium Związku Radzieckiego, a jeśli byli przymuszani do takich podpisów, to jak to przymuszanie wyglądało oraz czy rzeczywiście chcą być przesiedleni do ZSRR.

Na wezwanie sądowe świadkowie wstawili się w wyznaczonym terminie. W tamtym czasie obowiązywała jeszcze przedwojenna procedura o zaprzysięganiu świadków, więc ja zaprzysięgałem owych, i przesłuchiwałem ich kolejno tak, że żaden z nich nie słyszał co zeznają inni, ale wszyscy zeznawali jednakowo, to samo.

A więc mówili, że tych żandarmów było trzech, byli w wojskowych mundurach radzieckich, mówili, że stanowią komisję i mają pełną władzę, więc trzeba mówić szczerą prawdę i podpisywać listę, którą mają. Na pytanie o narodowość, wszyscy poinformowali owych członków komisji, że są Rusnakami . Na to tamci odpowiedzieli, że Rusnacy to znaczy Ukraińcy. Z tego wynikła kłótnia, bo sołtys wioski oświadczył, że jak Rusnak to Polak wyznania greckokatolickiego. Poparł w tym sołtysa jeden ze starszych Łemków i dodał, że on służył w Polskim wojsku u jest Polakiem jako Rusnak. Obaj przeczytali ową listę jaką im ci wojskowi dali do podpisania i oświadczyli, że tej listy nie podpiszą, ponieważ po pierwsze nie są Ukraińcami, a po drugie, nie chcą się przesiedlić do Związku Radzieckiego z Polski. Na to oświadczenie ci żandarmi ukraińscy skuli ręce obu oponentów, powiesili na najbliższym drzewie sołtysa i przywiesili mu na szyi napis: „zdrajca narodu ukraińskiego”. A że w pobliżu był wielki, bardzo żywotny kopiec dużych mrówek, wykopali tuż przy tym mrowisku dół wysokości człowieka i zakopali w nim tego opozycjonistę drugiego Łemka, aż po szyję tak, że tylko głowa tego człowieka wystawała z ziemi. Mrówki rozwścieczone od razu rzuciły się na tę głowę. Żandarmi ukraińscy zapowiedzieli, że tak samo karany będzie ten, kto chciałby tego człowieka wykopać. Potem ci żandarmi zapytali chłopów obecnych przy tym zajściu, który z tych Rusnaków nie jest Ukraińcem. Ale wszyscy milczeli. Potem znów zapytano ich, który z nich nie chce podpisać tej listy, że proszą ich o przesiedlenie do Związku Radzieckiego. Chłopi znów milczeli. Po dłuższej chwili milczenia, ten żandarm powiedział: „No! Skoro wszyscy chcą podpisać, to podpisujcie”. Więc wszyscy podpisali. Na tym skończyła się treść

zeznań tych świadków z Banicy. Ale w dalszym ciągu ich zeznań wobec mnie usprawiedliwiali się, że musieli podpisać ową listę, chociaż nie chcieli ale bardzo bali się. Protokoły zeznań przesłano do MSW, a co tam z tym zrobiono to nie wiem. Wiem tylko, że z początkiem 1945 roku, zwłaszcza w drugiej połowie marca i później szły do Związku Radzieckiego pociągi pełne zrozpaczonych Łemków"...

Obydwie te relacje pozostawiam bez komentarza.

Cmentarze żołnierskie z czasów I wojny światowej.

Mimo, że na ten temat ostatnio dużo ukazało się publikacji, chociażby w związku z niedawną rocznicą 80-lecia bitwy gorlickiej to niniejsze opracowanie nie byłoby kompletne bez krótkiego rozdziału poświęconego tej tematyce. Cmentarze te bowiem, stanowią obok cerkiew główną atrakcję turystyczną kultury materialnej opisanego terenu.

W ostatnich latach z powodu przeobrażeń w kraju na odcinku przywracania cmentarzom dawnej świetności zaszło wiele korzystnych zmian. Zmiany te być może byłyby jeszcze bardziej zadawalające gdyby nie brakowało środków, i gdyby szybciej zmieniała się mentalność decydentów. Chodzi szczególnie o takie przypadki, gdzie decydują ci sami ludzie co przed 1989r. Pocieszającym jednak jest fakt, że nie brak w terenie zapaleńców, regionalistów, dzięki którym głównie, tak wiele cmentarzy uratowano od całkowitej zagłady a innym przywrócono dawną świetność po gruntownej restauracji. Ale o tym nieco później, a teraz cofnijmy się nieco wstecz.

I wojna światowa pozostawiła po sobie liczne cmentarze, następstwo przebiegającej tędy linii frontu, przesuwającego się często w wyniku kolejnych ataków. Niezmiernie ciężkie walki w Krempnej i okolicach toczą się zimą 1914/15 roku, kiedy to Rosjanie próbowali się przez przełęcze karpackie przebić na Nizinę Węgierską. Z tego okresu pochodzą mogiły poległych rozproszone w terenie. Po urządzeniu cmentarzy, dokonano ekshumacji wykorzystując jeńców rosyjskich i poległych przenoszono w miejsce spoczynku. Kolejne groby pojawiły się w wyniku dramatycznych walk w ramach ofensywy pod Gorlicami w maju 1915 r. Wśród poległych było wielu Polaków wcielonych do armii austriackiej i carskiej.

Na samej Łemkowszczyźnie znajdują się 54 cmentarze wojenne z okresu I wojny światowej. Na nich około 1260 pojedynczych grobów i 617 mogił zbiorowych. Największe cmentarze doczekały się ciekawej oprawy architektonicznej i wrosły trwale w beskidzki krajobraz. Przy opracowaniu ich architektury współdziałali także polscy plastycy, odbywający służbę w wojsku austriackim. Byli to, między innymi: Jan Szczepkowski, Henryk Uziembło, Stanisław

Klimkowski, Alfons Karpiński. Ryginalnym wprowadzeniem starosłowiańskich wątków dekoracyjnych wyróżniają się cmentarze zaprojektowane przeważnie w drewnie przez Dušana Jurkoviča, słowackiego architekta, służącego w wojsku austriackim.

Po definitywnym odejściu frontu postanowiono trwale upamiętnić pamięć poległych, w tym także przeciwników. Polegli poddani cesarzowi zostali uczynieni bohaterami. Pamiętamy, że w tym czasie, gdy urządzano cmentarze, toczyły się działania na froncie. Wzięto sobie za punkt honoru, aby nie dopuścić, by choć jedna mogiła bohaterów uległa zapomnieniu. Władze wojskowe zdając sobie sprawę ze znaczenia bitwy pod Gorlicami, pragnęły ze wznoszonych cmentarzy uczynić swoisty pomnik zwycięstwa.

Z ramienia ministerstwa wojny sprawami poległych zajmował się od 1914 r. Wydział ds. Grobów Wojskowych przy Komendzie Garnizonu w Krakowie, dowodzony przez kapitana a później majora Rudolfa Brocha. Wydział ten miał opinię, jednej z najlepiej pracujących jednostek armii austro-węgierskiej. Myślę, że nie z powodu przekraczania planu ilości poległych. Podkomendni niepospolitego organizatora mjr Brocha od lata 1915 do jesieni 1918 roku zbudowali w Galicji Zachodniej 400 cmentarzy, bardzo starannie urządzonych. Wiele z nich to prawdziwe zabytki sztuki. Na ich zbudowanie zużyto olbrzymich ilości materiałów takich jak: kamienia, żwiru, piasku, cementu, wapna, cegły, dachówki, drewna modrzewiowego (ze względu na dużą żywotność), drewna innych gatunków iglastych i dębu, żeliwa, żelaza kowalnego, gwoździ i klamer, tynków szlachetnych, blachy stalowej ocynkowanej, środków do impregnacji drewna, farb olejnych oraz sadzonek drzew liściastych, iglastych, krzewów ozdobnych i kwitnących, bluszczu i innych roślin wiecznie zielonych i pnących a także nasion traw. Ekshumowano i przeniesiono na miejsca wiecznego spoczynku 60 829 zwłok.

Aby tego dokonać, Broch zgromadził znakomitą kadrę: siedmiu architektów, dwóch budowniczych, sześciu rzeźbiarzy, osiemnastu malarzy i grafików. Stworzył pracownię modelarską, fotograficzną, ogrodniczą, grupy ewidenckie, geodezyjne, kartograficzne, warsztaty kamieniarskie, stolarskie, ciesielskie, tartaki. Powołał specjalną grupę propagandową. Jej zadaniem było zdobywanie pieniędzy na to ogromne przedsięwzięcie poprzez produkcję i sprzedaż odznak, pamiątek, widokówek. Grupa ta zorganizowała specjalne wystawy makiet, obrazów i zdjęć cmentarzy (między innymi w Wiedniu, Krakowie, Berlinie itd.). Sprzedano 2 662 plakietki pamiątkowe, 104 400 odznak „Troski o groby", 172 658 widokówek, 1 446 220 orientalnych planów cmentarzy, 122 185 ogólnych mapek pól bitewnych Galicji Zachodniej, 3 882 obrazków, rycin i akwarel. Wiele z nich to dzisiaj

rarytasy dla zbieraczy. W warunkach pokojowych dzieło budowy tylu cmentarzy kosztowałoby krocie. Mjr Broch nie czekał na fundusze. Zresztą nigdy by ich nie zyskał w warunkach wojennych i priorytetu frontu. Stosował dyskretny przymus, szantażując moralno-patriotyczną frazeologią, brał darmowy cement i żelazo z zakładów przemysłowych, drewno z majątków ziemskich, pieniądze od kogo się dało. Pracę w terenie wykonywano rękami jeńców. Wspomniani już jeńcy carscy pracowali także jako cieśle a sprowadzani z frontu południowego Włosi pracowali jako kamieniarze i rzeźbiarze, uprawiając w niezłych warunkach swe artystyczne rzemiosło. Znakomicie współpracując z projektantami. Major Brach był przełożonym grupy wybitnych twórców, silnych indywidualności artystycznych o głośnych nazwiskach. Dzięki sprawnej organizacji i swobodzie twórczej ludzie ci stworzyli niepowtarzalne dzieła. Zresztą byli tu bardziej przydatni niż na froncie, na który im zapewne nie było spieszno. Więc robili najlepiej jak umieli to co potrafili robić z dala od frontu i działań wojennych.

Przyszłe miejsca pamięci lokalizowane były tak, aby były organicznie zespolone z kulturowym krajobrazem.

Zastępcą komendanta krakowskiego Kriegsgraberabteilungu, znanego już nam majora Rudolfa Brocha, był kapitan Hauptman. Hans Hauptman był nie tylko hauptmanem (kapitanem), ale także i poetą. Dawniej o genialnych sentencjach albo wstrząsających wierszach mawiało się, że winny być ryte w kamieniu. Hauptman pisywał tylko takie. Jego to bowiem przeważnie autorstwa są inskrypcje na galicyjskich cmentarzach.

Rudolf Broch i Hans Hauptman wydali w 1918 r. nakładem Militarkommando Krakau niebywałe dzieło „Westgalizisch Holdengruber" (Zachodniogalicyjskie groby bohaterów). Opisali oni i udokumentowali wszystkie budowane cmentarze. Wziąwszy pod uwagę okres opracowania dzieło to jest niebywałe i nie ma odpowiednika z II wojny światowej. Cmentarze stoją na wysokim poziomie artystycznym i odznaczają się dużą starannością wykonania.

Teren Galicji Zachodniej we wstępnej fazie projektowania podzielono na dziesięć „okręgów cmentarnych". Na czele każdego okręgu stał szef w osobie malarza, rzeźbiarza lub architekta, realizujący swe wizje za pomocą dobrze funkcjonującego zespołu służb technicznych. Dla galicyjskiego grobownictwa pracowali Polacy: Alfons Karpiński, Jan Szczepkowski, Henryk Uziębło, Czech Adolf Kaspar, Słowak Dusan Jurkowic, Wiedeńczycy: Hans Mayr i Johan Jager. To nazwiska najwybitniejszych. Spotkać je możemy w terenie zwiedzając cmentarze lub w różnych opracowaniach.

Okręgiem cmentarnym z nr 1 był interesujący nas „okręg Żmigród". Cmentarze wojenne numerowano kolejnymi numerami licząc od okręgu nr 1. I tak cmentarze leżą już na terenie Gminy Nowy Żmigród.. Cmentarze te projektował Dušan Jurkovič. Wyróżniają się podobnie jak pozostałe 31 przez niego zaprojektowanych i zrealizowanych, oryginalnym wprowadzeniem starosłowiańskich wątków dekoracyjnych. Za swą pracę zebrał wiele pochwał. Nazywano go „poetą drewna", powtarzano, że jego działa odznaczają się „ludoznawczym liryzmem". Pisały o nim gazety wielu krajów. Pasję twórczą Jurkoviča, wielką artystyczną konsekwencję i staranność aż do najdrobniejszych szczegółów możemy podziwiać do dzisiaj. Drewniane krzyże nawiązują formą do tradycji ludowej. Na każdym cmentarzu są inne tak jak inny jest każdy cmentarz nie tylko u Jurkoviča. Oprócz drewnianych krzyży różnych kształtów i wielkości Jurkovič postawił wieże – kaplice, zwane także gontynami. Przed wszystkim nie były one pomyślane jako kaplice, miejsca kultu religijnego, gdyż nie miały wnętrza, czy choćby niszy, w której można by umieścić sakrum. Były samą konstrukcją. Gontyny były całkowicie afunkcjonalne, zbudowane wyłącznie w celu dopełnienia kompozycji. Cmentarz położony na wierzchołku wzniesienia lub stoku otoczony był murem z kamieni i wyposażony w stalową bramkę. Tak więc owe „gontyny", gdy tylko patrzyło się na nie od dołu, mogły sprawić wrażenie gontyn, a całość jawiła się niczym jakieś tajemnicze , prasłowiańskie ni to miejsce kultowe, ni to grodzisko. W każdym razie coś prasłowiańskiego, legendarnego. Tym sposobem scenografia D. Jurkoviča znakomicie spełniała swoją rolę. W takiej oprawie bezsensowna i wstrętna żołnierska śmierć stawała się czymś bajkowym, ponadczasowym, wypełnieniem nieruchomego Przeznaczenia, z którym musimy się pogodzić. A wokół wspaniała beskidzka panorama. Pejzaż, który był przed nami i będzie po nas. Więc podziwiamy ten pejzaż i w tym momencie, zupełnie mimo woli, przychodzi nam do głowy idiotyczna myśl, że poległym bohaterom słodko się tutaj śpi.

Jurkovič dopracował się własnego stylu transponującego motywy ludowe.

Galicyjskie cmentarze z tamtej wojny przestały być tylko sprawą garstki fanatyków, do których też po trosze się zaliczam. Pospadali ze stołków niektórzy gminni dygnitarze oraz wojewódzcy władcy, wyznający pogląd, że są to pamiątki po zaborcach, nie zasługujące na dobre traktowanie. Podjęto trud konserwacji mimo ostrego kryzysu i nawały innych potrzeb. Odremontowano i uporządkowano wiele cmentarzy w ostatnich latach. Szczególnie dużo w związku z 80-leciem bitwy gorlickiej. Wcześniej pięknie odnawiano cmentarz Nr 6 w Krempnej a następnie Nr 4 w Grabiu. Zaczęła miejscowa szkołą pod kierunkiem nauczycieli-regionalistów. Przyłączyło się Stowarzyszenie Przyjaciół 27 Pułku Piechoty „Konig der

Belgier" z Grazu (Austria). Jak doszło do tego i jak przebiegała współpraca, o tym nieco później.

Ponad Krempną, na tzw. „Łokciu" w grudniu 1914 r. nadporucznik Krotochwil z grupą żołnierzy Najjaśniejszego Pana osłaniał odwrót c.k. armii za Wisłokę przed carskimi sołdatami. W boju niewielu uszło z życiem. Stąd tak dużo czeskich nazwisk na tabliczkach umieszczonych na krzyżach cmentarnych cmentarza Nr 6 w Krempnej. Wielu pochowanych to zmarli w założonym w Krempnej obok cerkwi wojskowym lazarecie.

Z tablicy informacyjnej umieszczonej na skrzyżowaniu dróg w centrum wsi możemy wyczytać, że pochowani pochodzą z następujących jednostek :

Żołnierze armii austro-węgierskiej pochodzą z:

CK 21 Pułku Piechoty z Caslau (Czechy)

CK 27 Pułku Piechoty z Grazu (Austria)

CK 37 Pułku Piechoty z Nagy Warad-Oredea (Rumunia)

CK 87 Pułku Piechoty z Calije (Słowenia)

CK 97 Pułku Piechoty z Triestu (Włochy)

CK 98 Pułku Piechoty z Wysoke Myto (Czechy)

CK 7 Batalion Strzelców z Lubijany (Słowenia)

CK 28 Pułk Artylerii Polowej z Przemyśla (Polska)

CK 8 Pułk Strzelców Obrony Krajowej

CK 27 Pułk Strzelców Obrony Krajowej

CK 28 Pułk Strzelców Obrony Krajowej

Żołnierze rosyjscy pochodzą z :

47 Carsko-Rosyjski Pułk piechoty

192 Carsko-Rosyjski Pułk piechoty

Żołnierze ci pochodzili z Kasan (Samara, Orenburg-Tataria) i pochowani są w 12 zbiorowych mogiłach z krzyżami prawosławnymi. Polegli z jednostek CK pochowani są w pojedynczych mogiłach.

Teraz przedstawię przebieg odbudowy cmentarza w Krempnej na podstawie notatek z kroniki samorządu Szkoły Podstawowej w Krempnej, którego jestem opiekunem od blisko 15 lat, oraz na podstawie moich wspomnień jako uczestnika tego przedsięwzięcia.

Zaczęło się już jesienią 1988 r. Najpierw z grupą uczniów starszych klas wraz z kol. Barbarą Mielczarek wzięliśmy się za odkrzaczanie cmentarza, którego nie było widać w gęstych zaroślach. Szkoła w latach powojennych a ściśle harcerze opiekowali się cmentarzem lecz

tylko doraźnie i to przy okazji, jak to się wtedy mówiło Święta Zmarłych. Grabiono i wynoszono do lasu opadłe liście z licznych drzew i zbierano śmieci po częstych, urządzanych tu ogniskach przez profanujących uświęconą ziemię. W latach siedemdziesiątych ponoć więźniowie przebywający tu w miejscowym zakładzie karnym wycinali chaszcze w obrębie cmentarza. Stan w jesieni 1988 r. (czego dowodzą fotografie) przedstawiał się mniej więcej tak:

- główne budowle groziły zawaleniem lub osunięciem poszczególnych części. Zagrażały życiu i zdrowiu często przychodzących tu dzieci miejscowych i przyjezdnych w okresie lata.
- mur uległ zniszczeniu w około 50 % a brama wejściowa zdemolowana leżała fragmentami w krzakach. Prawdopodobnie tylko ze względu na znaczny jej ciężar (masę), nie została ta brama zebrana. Wewnątrz cmentarza w samych grobach i w bezpośrednim ich sąsiedztwie powodującym wysadzenie grobów i murów wyrosło blisko trzydzieści kilkudziesięcioletnich drzew (głównie sosen) samosiejek. Część drzew zasadzonych w okresie urządzania cmentarza a więc blisko 80 lat temu rozrosło się tak, że wysadzały one kamienne budowle.
- groby zapadły się w ziemię tworząc nisze.
- pozostało tylko około 1/3 krzyży w tym większość przewróconych i zbutwiałych.
- poginęła większość tabliczek znamionowych z krzyży, a istniejące z wyjątkiem kilku były nieczytelna.
- cmentarz był zakrzaczony kilkunastoletnimi odrostami pojawiającymi się również na murze i budowlach kamiennych.
- obejście cmentarza zarosło kilkudziesięcioletnim lasem a przez gąszcza prowadziła tylko wąska ścieżka do cmentarza od strony wschodniej i południowej (od campingów).
- Jedyną zaletą zastanego stanu była jego romantyczność, skłaniająca do zadumy, refleksji i różnorakiej twórczości artystycznej i nie tylko.

  Najpierw postanowiliśmy odsłonić cmentarz i pokazać go światłu dziennemu, bowiem wilgoć szybko dopełniała dzieła zniszczenia, zwłaszcza murów. Wycinaliśmy krzak po krzaku, bacznie uważając na pełzające żmije, aby nie zrobić im krzywdy w duchu prosząc je o przebaczenie z powodu wygnania ich z legowisk. Jak te cmentarne hieny zakłócaliśmy spokój zmarłych, a może dotrzymywaliśmy im chwilowo towarzystwa. Dzieci były pełne zapału i ich postawa zadziwiała nas. Przedsięwzięcie wymagało wcześniejszego przygotowania ich co do jego celowości. Pamiętamy, że był rok 1988.

Niektórzy rodzice zwłaszcza miejscowi aktywiści partyjni wrogo nastawili dzieci przeciwko naszemu działaniu. Także i nam wręcz oświadczono, abyśmy dali spokój sprawie, gdyż tam leżą zaborcy. Przy wycince drzew na grobach pomagają nam zaprzyjaźnieni WOP-iści z Ożennej z piłą motorową. Organizujemy wielką zbiórkę butelek, a zebrane pieniądze przeznaczamy na zakup piasku i cementu oraz drewna na wykonanie krzyży. Rozpoczynamy pierwsze zabezpieczające prace murarskie. Wykonują je murarze - rodzice oraz nasz kierowca szkolny z zawodu także murarz Andrzej Książkiewicz. Pomocnikami są uczniowie klas starszych. Rusztowań użycza Przedsiębiorstwo Naftobudowa z Jasła. Zdolności murarskie odkrył w sobie tut. lek. wet. Dariusz Mielczarek.

Mimo wielokrotnych petycji o przydział drzewa z lasu wiejskiego na wykonanie krzyży, drewna nam nie przydzielono.

Wiosną 1989 r. kontynuujemy prace przy odkrzaczaniu paląc zschłe gałęzie i karczując pnie aby nie dopuścić do ponownych odrostów. Właśnie karczunek to najcięższa praca. Jedynym użytecznym narzędziem jest kilof. Pomagają nam absolwenci, a nawet ks. Zdzisław Drozd zaangażowany w dzieło odbudowy. Ponieważ nie możemy dostać przydziału na cement otrzymujemy go od przedsiębiorstwa ORB LP budującego osiedle na "Łokciu". U nich znalazłem zrozumienie dla naszej sprawy. Urządzamy jakby na nowo każdy grób. Pan Mielczarek układa kamienie wykopane z ziemi na zapadniętych grobach. My z chłopcami przy pomocy kilofów i leśnych motyk zdzieramy darń i wykopujemy korzenie z użyciem siekier. Dosypujemy ziemi z lasu i próchnicy przywiezionej z Iglopolu. Gruz i kamienie pomaga nam bezpłatnie wywieść mieszkaniec Krempnej Michał Kuszwara. Jego postawa jest dla nas zachętą. Prace kontynuujemy jesienią tego roku. Postęp jest wyraźny a mury i budowle na tyle zabezpieczone i odnowione, że nie grożą zawaleniem. 2 listopada na cmentarzu zbiera się cała szkoła i nieco miejscowych dorosłych i z udziałem ks. Drozda odbywa się nabożeństwo w intencji zmarłych żołnierzy.

Prawdopodobnie pierwsze po 1939 r. a i być może pierwsze po wybudowaniu cmentarza. Cieszy oko wykonana praca, ale do finału jeszcze daleko. Pamiętamy, że jesteśmy już u schyłku 1989 r., tj. roku przełomu i obalenia komuny. Kol. Barbara Mielczarek zainteresowała przedsięwzięciem ambasadę austriacką w Warszawie. Attache kulturalny obiecał pomoc. Dotrzymała słowa i do Krempnej zawitała delegacja kombatanckiej organizacji zajmującej się grobami poległych Austriackiego Czarnego

Krzyża. Odbudową zainteresowali oni Stowarzyszenie Przyjaciół 27 Styryjskiego Pułku Piechoty w Grazu kultywującego tradycję 27 CK Pułku piechoty im. "Króla Belgów", z którego to pułku między innymi pochowani są polegli na cmentarzu Nr 6 w Krempnej.

Szczególne zainteresowanie okazał dr Herwig Brandstetter - dyrektor Izby Handlowej w Grazu. Jego bowiem ojciec walczył w Krempnej w tym pułku. Zjawił się wraz z delegacją Stowarzyszenia w maju 1990 r. w Krempnej informując oficjalnie o inicjatywie odrestaurowania cmentarza w Krempnej, już wspólnymi siłami, przy pomocy władz gminnych i wojewódzkich. Przedsięwzięcie otrzymało dużą oprawę propagandową. Było czymś nowym w okresie przełomu politycznego w naszym kraju. Zawiązał się komitet odbudowy cmentarza na czele którego stanęli : dr H. Brandstetter i wojewódzki konserwator zabytków Zdzisław Gil. Dokonano podziału zadań pomiędzy obie strony. Strona polska finansowała zakup drewna modrzewiowego i budowę drogi do cmentarza oraz zakup piasku. Załatwianiem drewna zajęli się B.D.Mielczarkowie. Trzeba było je pozyskać w odpowiedniej średnicy a takie modrzewie rosną aż w Łysej Górze. Następnie przewieść je na tartak, przetrzeć i wysuszyć. Wspaniałe modrzewiowe krzyże wykonali na wzór pierwotnych D. Mielczarek wraz z A. Wróblem mającym smykałkę do drewna. 72 krzyże wykonywali w wolnym czasie przez rok czasu. 20 lipca 1990 r. 20 osobowa grupa Austriaków, żołnierzy zawodowych z Grazu, pod wodzą porucznika Franza Urschlera, zajechała do Krempnej, wyposażona we własny sprzęt remontowy i materiały. W tym czasie pełniłem w okresie wakacji funkcję kierownika Szkolnego Schroniska Młodzieżowego, Polskiego Towarzystwa Schronisk Młodzieżowych. Schronisko zlokalizowane jest co roku w tut. Szkole Podstawowej. W obejściu szkoły Austriacy zlokalizowali swój obóz i po oficjalnym przywitaniu nieomal z marszu przystąpili do pracy. I pomyśleć, że pani Anna Bogan doczekała znów czasów, że do Krempnej przyjechali żołnierze w austriackich mundurach, tym razem w celach pokojowych w celu odrestaurowania starej nekropoli. Wspominam tu o tym także dlatego, że kilka miesięcy temu obchodziła ona hucznie swoje setne urodziny jako najstarsza mieszkanka gminy. Jeszcze niedawno udzielała mi wyczerpującego wywiadu nt. historii Krempnej i okolic. Jej pamięć mnie zdumiewała, a także jej żywotność. Właśnie pisząc ten rozdział dowiedziałem się, że Pani Anna odeszła na zawsze.

Dokumentację odbudowy i fachowy nadzór sprawował inż. Feliks Grűnwald. Pomagają polscy kamieniarze, których przysłał wojewódzki konserwator zabytków.

Pracujących odwiedza m.in. wojewoda krośnieński Zygmunt Błaż wraz z delegacją Austriackiego Czarnego Krzyża na czele z dr H. Brandstetterem.

W obozie powiewają flagi : austriacka, polska i styryjska biało-zielona. "Ty, który jeszcze żyjesz, pamiętaj o zmarłych" to nasze motto, mówi dr Brandstetter. A poza tym leżą tu koledzy mojego żyjącego jeszcze ojca z jego pułku. Przy wspólnej pracy i po pracy zawiązują się przyjaźnie, które trwają do dziś. Sam doświadczyłem takiej przyjemności goszcząc Austriaków przy wspólnym ognisku. Nawiązane kontakty i przyjaźnie pozwoliły mi zwiedzić Styrię latem 1991 r. Poznałem austriacki "ordnung" z autopsji. Codziennie na porannym apelu austriaccy goście śpiewają hymn własny i polski, ambitnie ucząc się niezmiernie trudnych dla nich polskich zwrotów. Pomimo, że niemiłosiernie kaleczyli polską mowę, to jednak ich ambicja i postawa ma swoją wymowę. Goście obdarowują pojawiające się mimo wakacji dzieci drobiazgami, które cieszą w tym czasie. Dorosłych sympatyków ich przedsięwzięcia częstują piwem i gronowym winem.

Po wyjeździe Austriaków przez cały sierpień oraz jesienią kilofami i siekierami karczujemy teren cmentarza metr po metrze. Usuwamy dziesiątki potężnych pni sosnowych z grobów i ich sąsiedztwa oraz te spod murów. Nie dały im rady żadne maszyny. Ciągnik nie wjechał przez krętą i wąską bramę cmentarza. Pomimo upałów i wakacji wykonujemy wielką robotę. Zrywamy darń na całym cmentarzu, usuwamy tony kamieni, przygotowujemy teren pod wysiew szlachetnej trawy. Groby zasadzamy skalnymi roślinkami - głównie goździkami skalnymi. Przywożę je całymi worami z Jasła jako dar od ogrodnika, sympatyka przedsięwzięcia a zarazem mojego wujka Ludwika Rączki. Zakup takiej ilości kwiatów sporo kosztowałby. Praca przy ukwiecaniu kontynuowana jest co roku, to wielka sprawa wychowawcza. Robimy wszystko, aby na dzień otwarcia i poświęcenia cmentarza po odnowieniu lśnił on i zachwycał zaproszonych gości. Przekopujemy większość wykarczowanego terenu wokół cmentarza. Austriacy wykonali obok muru nawet ławki dla strudzonych turystów.

W maju 1990 r. siejemy trawę. Cmentarz tonie w wiosennych kwiatach.

W przeddzień uroczystości 27 lipca 1991 r. przyjeżdża część gości z Austrii. Pomagają wstawić nowe krzyże w przygotowanych przez nich specjalnych metalowych uchwytach. Zapobiegnie to ich butwieniu od dołu. Pozostawiono trzy stare dla porównania kształtów. Goście są zachwyceni tym co zrobiliśmy pod ich nieobecność. Cmentarz zazielenił się świeżą trawą a wszystkie groby są ukwiecone. Chwała dzieciom i ich opiekunom. Program uroczystości w dniu 28.07.90 r. jest imponujący.

Liczba przyjezdnych wielokrotnie przewyższa liczbę miejscowych. Mówiono później, że gości i zebranych miejscowych było około 4 000.

Przed południem pomimo nie najlepszej pogody zaroiło się i rozgwarzyło na łące pod cmentarzem. Co kawałek słychać rozmowy w różnych językach, głównie po niemiecku. Z autobusów z obcą rejestracją wysiedli mężczyźni w popielatych ubraniach z zielonymi wyłogami, w charakterystycznych kapelusikach. Przyjechali ze Styrii. Z żonami, dziećmi, nawet z wnukami. Przywieźli swoją tradycyjną orkiestrę w galowych mundurach, prezentującą się imponująco. Zaprosili austriackiego ambasadora. Wprowadzili ich na znany już sobie teren oficerowie i podoficerowie 54 Styryjskiego Kadrowego Pułku Piechoty Obrony Krajowej z Grazu. To oni rok temu w ramach urlopu pracowali tu przy odbudowie. Czekała na nich i innych gości kompania honorowa i orkiestra Wojska Polskiego z Kielc. Za orkiestrami na miejsce uroczystości udają się zaproszeni specjalnie goście oraz wszyscy chętni obejrzenia uroczystości i wzięcia w niej udziału.

W oczekiwaniu na oficjalne rozpoczęcie goście przechadzają się po cmentarzu. Czytają inskrypcję bardziej czytelną po odnowieniu : "Walczyliśmy pierś w pierś, zmartwychwstaliśmy ramię w ramię" oraz "W jedności, pamięci i błogosławieństwie pokoju żyje nasza śmierć". Wśród gości książę von Lichtenstein, wnuk ostatniego cesarza austro-węgier Karola Habsburga, ambasadorzy i przedstawiciele wielu placówek dyplomatycznych krajów z których pochodzili polegli, a więc : wspomnianej Austrii, Węgier, Czechosłowacji, Włoch a także jeszcze wówczas ZSRR. Przy jednym ołtarzu stają duchowni i kapelani wojskowi z Austrii i Polski, rzymskokatoliccy i innych wyznań w tym staruszek ks. prawosławny z pobliskiej Pielgrzymki liczący sobie wówczas 90 lat. Niestety obecnie już nie żyje. Wygłosił on mowę do zebranych nie ukrywając wzruszenia i wdzięczności za zaproszenie. Szkoda, że proboszcz miejscowej parafii nie stanął obok ks. z Pielgrzymki. Ówczesny arcybiskup przemyski Ignacy Tokarczuk nie był zbytnim zwolennikiem ekumenizmu zwłaszcza z udziałem prawosławnych. Za taki krok odpowiedziałby niechybnie przed swym zwierzchnikiem.

W trakcie uroczystości grane są hymny państwowe i melodie wojskowe współczesne i te z przed prawie wieku. W programie był też hymn : austrowęgierski (Keiserlied) i rosyjski hymn cesarski (Boże cara hrani). Jednak na polecenie ambasadora ówczesnego ZSRR, wojewoda zakazał grania tego ostatniego, a przecież chodziło o melodię, którą nikt nie pamięta, chyba staruszek ks. z pielgrzymki.

Niemniej jednak melodię zagrano na części nieoficjalnej na estradzie pod szkołą. Delegacja radziecka nie założyła nawet kwiatów na mogiłach rosyjskich. Goście czytali treść tablicy pamiątkowej umieszczonej w dwóch językach. Przygotowano okolicznościową wystawę w szkole przy udziale plastyków z Liceum Plastycznego w Miejscu Piastowym. Wystawa jest dwujęzyczna i nikomu to nie przeszkadza. Po wystawie urządzono aukcję prac poświęconą cmentarzom wojskowym i zabytkom sztuki cerkiewnej. Prace nabywają głównie goście z Austrii.

Uroczystość to lekcja historii i pokaz tradycji. Udowodniła, że do historii można nabrać dystansu, przynajmniej na styku dwóch kultur i wcale to nie musi wywoływać zbytnich emocji.

Nikt w trakcie spotkania nie wspomniał zbrodni Thalerhoffu leżącego przecież tuż pod Grazem, skąd przybyli goście. Może jedynie najstarsza mieszkanka Krempnej mając to w pamięci nie przebyła na uroczystość pomimo specjalnego zaproszenia i przygotowania ławy dla seniorów. Za to przybyło wiele delegacji kombatanckich. Nad zebranymi powiewały flagi wielu państw w tym flaga z czarnym krzyżem symbolizująca Austriacki Czarny Krzyż. Flagę ZSRR po uroczystościach zabrał jakiś kolekcjoner. Była to już ostatnia chwila na ciekawą pamiątkę po rozpadającym się mocarstwie. Na groby spadały krople wody święconej a delegacje kombatanckie z wielu krajów złożył wieńce. Po uroczystości na cmentarzu odbywa się druga część imprezy w obejściu szkolnym. Wręczano między innymi odznaczenia dla osób, które wyróżniły się w odbudowie. Wśród odznaczonych znaleźli się Ci, którzy autentycznie zrobili najwięcej : Państwo Barbara i Dariusz Mielczarek. Mam także osobistą satysfakcję, że doceniono mój wkład i wręczono mi także Krzyż Austriackiego Krzyża, który najwięcej cenię spośród innych wyróżnień.

Bieżącą opiekę nad odnowionym cmentarzem sprawuje miejscowa szkoła. Co roku wiosną i jesienią pielęgnujemy groby. Cmentarz ten dzięki tek troskliwej opiece został uznany przez kompetentne organizacje za najlepiej utrzymany cmentarz żołnierski z I wojny światowej w byłej Galicji. To dla nas kolejna zachęta do sprawowania opieki.

W latach następnych w podobnych okolicznościach odnowiony z całkowitej ruiny został cmentarz Nr 4 w Grabiu. Pierwsze prace przy odkrzaczaniu znów wykonuje grupa zapaleńców pod przewodnictwem B. i D. Mielczarków przy moim skromnym udziale. Obiekt ten w czasie walk w 1939 r. był miejscem potyczki. Paląc zeschłe gałęzie nie wykluczyliśmy możliwości wybuchu pocisków, rozgrzanych pod ogniskami. Zasadnicze prace wykonano latem 1993 r. przy udziale Austriaków i altem 1994 r. kiedy to odbywała

się uroczystość poświęcenia, już nieco skromniejsza jak ta w Krempnej. W trakcie odbudowy ściśle współpracował komitet odbudowy z lokalnymi władzami gminnymi i wojewódzkimi. Lata przełomu zrobiły swoje.

Cmentarz Nr 4 w Grabiu zaprojektował Dušan Jurkovič. Jego konstrukcja jest bardzo ciekawa i nietypowa. Przypomina obóz warowny z szańcami obłożonymi kamieniami. Wśród poległych są też Polacy. Zlokalizowany jest po prawej stronie drogi do granicy z Słowacją powyżej Strażnicy Granicznej, przy niebieskim szlaku turystycznym. Zresztą kilkunastometrowa odbudowana gontyna, czyni cmentarz widocznym ze wszystkich stron w promieniu kilku kilometrów. Jest tu pojedynczych mogił 53, zbiorowych 31. Inskrypcja głosi :

Chcecie zważyć ofiary tej wojny
Do sławy i honoru na jednej szli
Dołóżcie jeszcze odrodzoną duszę narodu
I szala i tak wzniesie się do góry.

Szkoda, że po odnowieniu cmentarz ten leżący tuż przy szlaku granicznym, nie znalazł instytucjonalnej opieki. Myślę tu choćby o załodze Strażnicy Granicznej czy o miejscowej szkole oddalonej tylko o 2 km. Zresztą co tu mówić o opiece nad tym cmentarzem ze strony szkoły, skoro obok tejże leży kolejny cmentarz Nr 5 wymagający odbudowy, popadający w ruinę. Doraźnie zapaleńcy w osobach R. Frodymy i D. Mielczarka zabezpieczyli najcenniejszy krzyż dębowy przed przewróceniem. Cmentarz ten, położony jakby w świerkowym lasku nie wymagałby zbytnich nakładów. Jest tam 6 pojedynczych i 27 zbiorowych mogił. Projektował go Dušan Jurkovič. Resztki krzyży w szczątkowej postaci, leżą w większości w chaszczach.

Inskrypcja głosi :

Odrodzenie duszy narodu
Wznosi się ponad cierpienie
Boże zlituj się nad naszą ofiarą
I pozwól potomnym wznieść się
Tym zwycięstwem ponad groby.

Pozostałe 3 cmentarze znajdują się w Ożennej. Nr 1 i Nr 2 leżą w bezpośredniej bliskości obok siebie, u źródeł potoczka pod lasem, na zboczach Czerechmy. Dojście od strony zabudowań byłego obiektu rolnego Iglopolu, tam gdzie wpada potok, spod Czeremch do

Ryjaka (potok). Na cmentarzu Nr 1 leżą polegli Rosjanie w ilości 130. Napis : Padło na polu chwały 130 rosyjskich żołnierzy. Nr 2. Polegli Rosjanie w ilości 150. Napis : Padło na polu chwały 130 rosyjskich żołnierzy. Polegli pochodzą z okresu walk o przełęcze z przełomu 1914/1915 r. Są to mogiły masowe w formie kurhanu o podstawie kwadratowej. Obok znajdują się kamienne tablice z napisem, oraz duże kamienne krzyże prawosławne. Obydwa krzyże zarośnięte i prawie niewidoczne.

Cmentarz Nr 3. Polegli Austriacy (w tym Węgrzy). Pisząc bowiem Austriacy, mamy wciąż na myśli przynależność do armii a nie narodowość. Są polegli z pułków 27 i 28 oraz pułku artylerii Nr 2. Całość dzieli się na część A i B - obydwie bardzo zdewastowane. Cmentarz był otoczony murkiem z kamienia. Zlokalizowany przy niebieskim szlaku turystycznym w Grabiu w kierunku Ciechani. Szlak wiedzie wzdłuż zabudowań byłego Iglopolu w Ożennej, po czym przekroczywszy potok, skręca w lewo i pnie się do góry. Cmentarz jest położony 100 m na północ od tego skrętu na dawnym terenie przycerkiewnym. W rosyjskiej części A napis na płycie : Poległym wrogom miejsce ostatniego spoczynku poświęcają współczucie i humanizm. W części B (austro-węgierskiej) napis na obelisku głosi : Wiernych synów, którzy oddali swe życie, kryje z wdzięcznością dumnie ziemia ojczysta. Wszystkie te 3 obiekty w Ożennej są w szczątkowej formie i trudne do odnalezienia zwłaszcza w bujnej letniej zieleni. Widziałem jednak na filmie video jak we włoskich Alpach odnawiano cmentarz położony wysoko w górach, gdzie transport materiałów odbywał się ręcznie i na plecach zapaleńców z Austrii. Ruina tego cmentarza tę z Ożennej. Pozostaje pytanie, czy ktoś podejmie wyzwanie odnowienia cmentarzy NR 1,2,3 i 5. Każdemu takiemu już z góry należy się wdzięczność i hołd. Im dłużej będziemy zwlekać, tym wysiłek, trud i nakłady finansowe będą większe.

Opis miejscowości

W rozdziale tym zamieszczam informacje dotyczące poszczególnych miejscowości z terenu obecnej Gminy Krempna, które nie zostały ujęte w poszczególnych rozdziałach.

Uzupełnieniem będą ciekawostki dotyczące wydarzeń w niektórych wsiach.

Krempna.

W drugiej połowie XV wieku córka Pakosława Wojszczyka - Katarzyna poślubiła Mikołaja ze Stadnik - Stadnickiego i wniosła mu w posagu część dóbr żmigrodzkich. Krempna należała do klucza tychże dóbr. Tenże Mikołaj Stadnicki był twórcą fortuny Stadnickich i założycielem linii Stadnickich ze Żmigrodu. W roku 1510 syn Mikołaja, Andrzej Stadnicki otrzymał Krempną. Po roku 1663 Krempna należała do rodu Stadnickich. W roku tymże dobra żmigrodzkie zostały podzielone między Aleksandra Tymienickiego i Samuela Stokowskiego. W końcu XVII wieku dobra żmigrodzkie wraz z Krempną przyjęli Wiśniowieccy, a od 1725 roku spowinowaceni z Wiśniowieckimi Radziwiłłowie. Karol Radziwiłł zwany też „Panie Kochanku" był kolatorem w czasie budowy cerkwi w Krempnej. W 1784 roku sprzedał on dobra żmigrodzkie Józefowi Bobowskiemu. Kolejnymi właścicielami Krempnej byli : Stanisław Grzembski (od 1795 r.), hrabiowie Stadniccy (od 1801-1855 r.), rodzina Józefa Barnereithera. Józef Zubrzycki kupił Krempną w 1871 roku, aby w rok później sprzedać ją Józefowi i Annie Chichońskim. W 1877 roku dobra żmigrodzkie przeszły z kolei na Józefa Kalasentego Dankiewicza. W roku 1884 właścicielem ich stał się Jan Lewicki. Od roku 1890 aż do pierwszej wojny światowej dobra te wraz z Krempną były własnością rodziny Franciszki z Badenich Potulickiej. Także hr. Potulicka w okresie międzywojennym miała dobra Krempnej (w tym lasy). Inne stanowiły własność Żydów.

Założycielem wsi Krempna był najprawdopodobnie Mikołaj Stadnicki, zmarły około 1510 r. Działo się to prawdopodobnie na przełomie XV i XVI wieku. Zachowała się wzmianka o istnieniu prawosławnej cerkwi w Krempnej w 1507 roku. Stadniccy lokowali Krempną na prawie wołoskim. W 1554 roku synowie Andrzeja Stadnickiego Marek i Mikołaj

podzielili się majątkiem ojca tak, że Marek brał połowę dochodów ze wsi ruskich, m.in. z Krempnej.

Według przekazów ludowych pierwsi przybysze wybudowali swe domostwa w pobliżu dzisiejszej miejscowości Żydowskie, ale później z powodu zbójeckich napadów i silnych wiatrów przenieśli się tam, gdzie obecnie stoi budynek cerkiewny. Nazwa Krempna (łemk. Krampna), wywodzi się ponoć od słowa, kram, jako że wioska położona była na szlaku handlowym do Bardejowa, a przejeżdżający kupcy często rozkładali tu przydrożne kramy. Według innego tłumaczenia nazwa wsi pochodzi od słowa „krępy". Czy to słowo miałoby dotyczyć postury jej mieszkańców - trudno powiedzieć. Jeszcze w latach sześćdziesiątych w pisowni używano słowa Krępna (tablica erekcyjna przy wejściu do budynku tutejszej szkoły).

W opisie powiatu jasielskiego z 1907 roku ksiądz Sarna wymienia, że w roku 1581 był we wsi 1 zagrodnik bez roli, 1 komornik bez bydła. Istniało 11 półdworzyszcz wołoskich i jedno dworzyszcze popie. W roku 1650 wieś ucierpiała bardzo wiele od powodzi rzeki Wisłoki, której wylewem chaty zostały zabrane, a pola kamieniami zasypane, czego jeszcze w roku 1702 można było poznać ślady. W ten sposób zniszczone zostały 4 łany i piąty, który pop otrzymał. Rewizorowie w roku 1677 orzekają, „że ledwie z trzech dworzyszcz podatek Rzeczpospolitej płacić mogą, wyjąwszy popa, którzy (popi) są przez konstytucję od ciężarów Rzeczpospolitej uwolnieni."

W roku 1880 w Krempnej żyło około 500 mieszkańców -grekokatolików. W 1907 roku miało być tu 678 mieszkańców.

Do drugiej połowy XIX wieku wieś była jednym z najpoważniejszych ośrodków kamieniarskich na Łemkowszczyźnie. Wyrabiano tu krzyże, kapliczki, nagrobki i różne przedmioty użytkowe w tym koła młyńskie. Strój Łemków w okolicy Krempnej różnił się od innych tzw. świecami, czyli białymi sznurami, ozdabiającymi skraj opadającego na plecy szerokiego kołnierza czuchy. Stąd też nazywano tut. Łemków „Świcakami".

Druga połowa XIX wieku zapisała się w historii Krempnej okresami moru i głodu. I tak w roku 1849 zapanowała epidemia cholery przywleczona do wsi w czasie przemarszu wojsk rosyjskich na Węgry w celu stłumienia rewolucji. Epidemia powtórzyła się w roku 1873. Zmarło wtedy 92 ludzi, w tym w Kotani 32. W latach 1853-55 panował głód. Zmarło wtedy 32 ludzi, w tym w Kotani 10 osób. W tymże 1873 roku panowała wśród dzieci epidemia dyfterytu, na wskutek której zmarło w Krempnej 21 dzieci.

Po I i następnych rozbiorach Polski, Krempna znalazła się pod administracją terytorialną obwodu czerwono-ruskiego, dystryktu dukielskiego a cyrkułu pilźnieńskiego. W

1790 roku przeszła podobnie jak inne miejscowości okoliczne pod cyrkuł jasielski. Przed zaborami Krempna i okolica zaliczały się do Ziemi Bieckiej, Małopolski, woj. sandomierskiego. Rzeka Wisłoka oddzielała woj. krakowskie od sandomierskiego (na wschód od Wisłoki). Parafia poprzez dekanat dukielski podlegała diecezji przemyskiej (prawosławnej a później grekokatolickiej po przyjęciu unii brzeskiej). Podczas masowego przechodzenia na prawosławie pod wpływem ukrainizacji (tzw. schizma tylawska) w Krempnej nie znaleziono zwolenników prawosławia w ilości pozwalającej na utworzenie parafii. Wieś pozostała grekokatolicka, w przeciwieństwie do sąsiedniej Kotani, gdzie połowa ludności zmieniło wyznanie.

Według spisu z 1902 roku języka ruskiego w ówczesnym powiecie jasielskim używało 8.72 % mieszkańców. Nadmienić należy, że wsie Polany i Myscowa należały wówczas do powiatu krośnieńskiego.

Przed I wojną światową do czasu spalenia prawie całej wsi miejscowość była jakby miasteczkiem. Część budynków posiadała już wówczas kanalizację. W miejscu obecnej szkoły i na terenie przyległym funkcjonował duży tartak parowy. Szkoła po części zbudowana jest na jego fundamentach. W Krempnej mieszkało wiele rodzin Żydów. Jeden z Żydów - Berger prowadził karczmę w miejscu, gdzie do niedawna stał budynek starego ośrodka zdrowia.

Najstarsze informacje dotyczące szkoły w Krempnej sięgają 1835 roku, kiedy to wybudowano nową szkołę parafialną. Usytuowana była po lewej stronie drogi biegnącej w kierunku Polan przed budynkiem obecnej plebani par. rzym. kat. Do szkoły tej chodziły dzieci wszystkich narodowości: łemkowskie, polskie i żydowskie. Wspomina mieszkanka Krempnej A. Bagan : Moja mama nie chodziła do żadnej szkoły. Ja uczyłam się w szkole parafialnej. Uczyliśmy się po polsku i rusku (ukraińsku a później łemkowsku). Pamiętam jak w czasie wspólnej modlitwy dzieci żydowskie stały milcząco. Chociaż były innego wyznania szanowały naszą wiarę i wstawały do modlitwy. Szkoła była czteroklasowa. Klasy 3 i 4 powtarzało się, tak, że nauka trwała 6 lat. Nauczyciel był jeden. Mieliśmy łemkowską czytankę. Do dzisiaj pamiętam wiersze z czasów szkolnych (byłem świadkiem ich recytacji po łemkowsku). Świadectwa były dwujęzyczne.

Według kroniki szkolnej (SP Krempna), naukę w 1870 roku prowadził diakon (organista). W 1884 roku językiem wykładowym był ukraiński. Wówczas do szkoły chodziło 70-90 dzieci. W czasie I wojny światowej budynek szkolny podzielił los innych budynków, czyli został spalony przez Madziarów (Węgrów).

W 1920 r. utworzono szkołę powszechną w budynku gromadzkim o jednej sile nauczycielskiej z językiem wykładowym polskim. Obok języka polskiego uczono się ukraińskiego. W 1933 roku z inicjatywy wójta gromady Krempna Jana Reszetera przystąpiono do budowy nowej szkoły o trzech salach lekcyjnych i mieszkaniach dla 3-ch nauczycieli. Budowę finansowano z funduszów gromadzkich. Szkołę oddano do użytku w 1936 roku. Stała na miejscu obecnej szkoły i była drewniana. Uczyło się w niej ponad 90 dzieci. Nauczycieli było dwóch. Językiem wykładowym był j. polski. Obok polskiego uczono się łemkowskiego. W okresie okupacji językiem wykładowym był ukraiński. Po wojnie budynek doprowadzono do pierwotnego stanu, gdyż był częściowo zniszczony w czasie działań wojennych. W szkole uczyła jedna nauczycielka w j. polskim. W lipcu 1946 roku budynek został w nocy spalony przez podziemie ukraińskie wraz z budynkiem posterunku milicji. Mieszkająca w szkole nauczycielka p. Szyszlak o mało nie przypłaciła życiem. Dzięki pomocy ludności zdołano ją uratować z pożaru wraz z dzieckiem. W roku szkolnym 1947/48 zajęcia szkolne z inicjatywy własnej prowadził Jan Reszeter. Wiosną 1948 roku Inspektorat Oświaty w Jaśle skierował nauczyciela, który prowadził zajęcia w budynku połemkowskim odremontowanym przez ludność napływową. W budynku tym oraz innym mieszczącym się obok cerkwi zajęcia odbywają się w trudnych warunkach do 1950 roku. Realizowany jest program 5 klas. W roku szkolnym 1950/51 szkoła w miejsce budynku obok cerkwi otrzymuje odremontowany budynek obok poprzedniego budynku szkolnego. Pierwsze dwa budynki przy drodze w kierunku do Polan po lewej stronie drogi licząc od skrzyżowania. Sytuacja materialna szkoły poprawia się nieco. Później część zajęć odbywa się w późniejszym budynku ośrodka zdrowia. Sytuacja ulega radykalnej poprawie z chwilą oddania nowowybudowanego obiektu w 1959 r. Nową szkołę zlokalizowano na miejscu poprzednio spalonej po powiększeniu fundamentów starej szkoły (dawniej tartaku).

W latach 1922-23 część najbiedniejszych gospodarzy wyemigrowała na zarobek do USA, Kanady, Argentyny. Wracali w rodzinne strony po 7-8 latach.

W okresie międzywojennym w Krempnej zaznaczyły się wpływy ukraińskiej organizacji „Proświta", głównie wśród młodzieży. Trzeba też jeszcze wspomnieć o silnych tendencjach polonizacyjnych wśród ludności łemkowskiej. Na wskutek ruchu naturalnego ludności następowała asymilacja w otoczeniu polskim. Władze nie popierały organizowania szkolnictwa narodowościowego, dopuszczając jedynie naukę języka łemkowskiego, obok języka polskiego, jako wykładowego. Kadrę nauczycielską w szkołach powszechnych we wsiach łemkowskich stanowili w większości Polacy.

Po zajęciu wsi przez Niemców do Krempnej przyjechała delegacja ukraińska, która z miejsca założyła organizację nacjonalistyczną. Szybko popsuły się stosunki między Łemkami a Polakami głównie z sąsiedniej Huty Krempskiej (do 1939 r. stosunki te były więcej niż poprawne, wzajemne zaproszenia na wesela, chrzciny, wspólne zabawy itp.). Do urzędów i szkół wprowadzono język ukraiński. Posterunek żandarmerii obsadzono 12 ukraińskimi funkcjonariuszami dowodzonymi przez niemieckiego komendanta.

Wysiedlenia na wschód i zachód unikło tylko cztery rodziny mieszane i unicki ksiądz Jan Wysoczański. Odprawiał on w cerkwi nabożeństwa rzymskokatolickie dla nasiedlonych i Polaków z Huty Krempskiej. Po powrocie kilku rodzin po 1956 roku, rozpoczął on za zgodą władz odprawianie mszy unickich. Duchowny ten zmarł w 1982 r.

Ponieważ z chwilą wznowienia obrządku unickiego w tut. cerkwi ks. Wysoczański odmówił posługi w obrządku rzym. kat., ordynariusz przemyski utworzył w 1957 roku ekspozyturę parafii Desznica i polecił duszpasterzowi ks. Alfredowi Mastejowi przyjąć opiekę nad Krempną i Kotanią. Między obu duszpasterzami zaczęło dochodzić do nieporozumień. Wykorzystały to władze powiatowe i w roku 1962, pod pretekstem złego stanu technicznego cerkwi zamknęły ją. W roku 1967 w specjalnej ankiecie do Kurii Biskupiej ówczesny proboszcz z Desznicy Ks. Stanisław Karabin podał, że cerkiew jest zaplombowana i niszczeje, zalewana wodą spływającą przez liczne dziury w dachu. Władzom administracyjnym a zwłaszcza partyjnym nie śpieszno było do wznowienia duszpasterstwa w tej już wówczas letniskowej miejscowości. Sytuacji tej należało przeciwdziałać. Za radą ks. Karabina kilku odważniejszych mieszkańców Krempnej wybudowało - po zamknięciu cerkwi kaplicę polową z ołtarzem, w której księża z Desznicy odprawiali co niedziela msze św. Zimą nabożeństwa przeniesiono do salki w cerkiewnej plebani, zajętej na ten cel przy użyciu siły, gdyż władze na mocy dekretu z 5.09.47 r. uważały ją za mienie państwowe. Ta działalność religijna ściągneła na mieszkańców liczne kolegia i kary administracyjne. Wkrótce pojawiły się pogłoski o przeniesieniu cerkwi do skansenu w Sanoku. Jednak z pomocą życzliwych pracowników z urzędu konserwatora zabytków zamiar ten udaremniono. W roku 1969 ks. biskup Ignacy Tokarczuk ustanowił w Krempnej samodzielną parafię, którą 7 lipca tego roku objął ks. Kazimierz Piotrowski. On też rozpoczął organizować delegacje i wysyłać pisma do władz w sprawie otwarcia cerkwi, lecz nie odniosło to żadnego skutku. Stopniowo miejscową ludność ogarnia zniechęcenie. Gdy wydział d/s. wyznań Urzędu Wojewódzkiego w Rzeszowie nie zatwierdził nominacji ks. Piotrowskiego na proboszcza, nie mógł on znaleźć kwatery w domu prywatnym (z powodu szykan i nieprzyjemności odmawiano mu jej).

Zamieszkał więc w salce katechetycznej, w której jednocześnie odprawiał nabożeństwa w porze zimy. Z upływem czasu jego cierpliwa i ofiarna postawa wpłynęła na zmianę stanowiska miejscowej ludności. Jednak cerkiew wciąż była zamknięta i popadała w ruinę. W 1970 r. władze powiatowe usunęły księdza z salki, wówczas schronienia udzielił mu jeden z gospodarzy łemkowskich. Był to znak, że we wsi ucichły dawne zadrażnienia i niepokoje - także te na tle różnicy obrządków. Wytworzył się klimat wzajemnej życzliwości. W grudniu 1970 r. do Jasła udała się delegacja miejscowych kobiet, której przewodniczący Powiatowej Rady Narodowej obiecał, że cerkiew będzie otwarta i zwrócona parafii katolickiej. Wkrótce wiadomość ta została potwierdzona podczas zebrania wiejskiego w Krempnej. Rozpoczęto starania o pozwolenie na remont obiektu w Krempnej. Pozwolenie to po wielu trudach uzyskano i obiekt odremontowano przy aktywnym udziale miejscowej ludności. Pierwszą mszę świętą w odzyskanej cerkwi odprawiono 25.12.71 r. (pasterka). Prace remontowe i konserwacyjne ukończono w czerwcu 1972 r. Na uroczystość przybył ks. biskup Ignacy Tokarczuk - ordynariusz przemyski.

W przedsionku cerkwi (aktualnie kościoła rzym. kat.) po stronie południowej stoi feretron z figurą Matki Boskiej. Rzeźba jest ubrana w szaty i ma prawdziwe włosy. Wśród miejscowych grekokatolików jest uważana za cudowną i otoczona czcią. Przed wejściem do cerkwi po lewej stronie, nieco z boku znajduje się piękna figura kamienna przedstawiająca św. Mikołaja z I poł. XIX w. Istniejący we wsi stary tartak nad Wisłoką do pierwszych lat powojennych miał napęd wodny. W tym celu pod tartak doprowadzony był (istniejący nadal) jarek. Wypływa on z obecnego zalewu po interwencji byłego właściciela obiektu - Reszetera. W jarku tym spotkać można aktualnie wydry.

W 1907 r. w Krempnej istniała placówka pocztowa z telegrafem. Trudne były warunki życiowe mieszkańców w pierwszych latach powojennych. Na dawniej uprawianych polach wyrastały krzaki. Lasy zwycięsko zaciskały pierścień wokół wsi. Olbrzymie trudności panowały w dziedzinie zaopatrzenia w podstawowe artykuły żywnościowe i do produkcji rolnej. Już jednak w 1945 r. obsiano część pól. Remontowano budynki uszkodzone w wyniku działań wojennych.

Złożona sytuacja i specyficzne lokalne warunki i problemy spowodowały, że zmiany dokonywały się tu z opóźnieniem. Postęp był wolniejszy niż na terenach położonych dalej na północ. Jako ostatnia w byłym powiecie ukonstytuowała się Gminna Rada Narodowa. Duży wpływ miała na to odległość od ośrodków władzy państwowej (powiatów), brak transportu publicznego, brak kadry administracyjno-gospodarczej i oświatowej. Te i inne fakty

spowodowały, że region Krempnej i okolic pomimo trudów i wysiłku z opóźnieniem goił wojenne rany.

Pierwsze grupy turystów trafiają do tutejszych okolic już w okresie międzywojennym. Pojawiają się też pierwsi letnicy zafascynowani tutejszym folklorem łemkowskim i dzikością przyrody. Do dzisiaj przetrwały resztki tradycyjnego budownictwa mieszkalno-gospodarczego tj. łemkowskie „chyże". Na tutejszym połemkowskim cmentarzu i w obejściu kościoła można spotkać kamienne krzyże i nagrobki z drugiej połowy XIX w i początku XX wieku.

Nad zalewem w Krempnej zlokalizowane są ogólnodostępne ośrodki wypoczynkowe w domkach campingowych, zakładowych i prywatnych. Ich liczba sięga stu. Jest całoroczny hotel ZPNiG Jasło. W sezonie letnim czynne są stołówki, bary i kawiarnie. Dobrze funkcjonuje sprywatyzowany prawie w całości handel i gastronomia. Funkcjonuje w okresie letnim schronisko młodzieżowe PTSM i studencka baza namiotowa. Oddano do użytku nowy budynek ośrodka zdrowia z pełną obsadą. Oddano do użytku budynek siedziby dyrekcji Magurskiego Parku Narodowego. W okresie zimowym czynny jest wyciąg narciarski a przez cały rok działa ośrodek jeździecki - stajnia „Rumak" w Kotani.

Huta Krempska

Dziś Huta Krempska jest przysiółkiem Krempnej. Położona jest około 2 km na południowy wschód od Krempnej w przepięknej, urokliwej dolinie wzdłuż wijącego się potoku kilkakrotnie przecinającego wioskę. Wieś założona przypuszczalnie na przełomie XVII i XVIII wieku, wraz z uruchomieniem huty szkła. Znajdowała się ona w pobliżu wystawionej przez hutników kapliczki, stojącej na końcu wsi idąc od Krempnej przez kładkę na Wisłoce (obok zabudowań P. Michalika). W czasie orki, po deszczu wypłukującym glebę, można tam zbierać po polu resztki szkła. W uroczej kapliczce niedawno odnowionej, stojącej pod starą lipą, ponoć zasadzoną przez osadników do niedawna znajdował się szklany krzyż. Wykonany był przez hutników. Stanowił dowód rzeczowy istnienia huty. Jednak w ostatnim czasie dowód dosięgnęła chyba świętokradzka ręka, bo nie widziałem go na ołtarzyku. Mam jeszcze nadzieję, że został zabrany na przechowanie przez mieszkańców na czas remontu. Nieopodal kapliczki znajduje się ślad po dawnym spiętrzeniu wody w postaci wału ziemnego. Wieś była w zdecydowanej większości polska. Kilka rodzin Łemków schroniła się tu ponoć przed Tatarami. Po nich pozostały nazwy łąk : Merdyczka, Hawrylanka, Pakuszowa i Pietruszka.

Przed II wojną światową w Hucie było około 20 gospodarstw i około 120 mieszkańców, w tym około 100 Polaków. Resztę stanowili Łemkowie lub mieszańcy. Najbliższa parafia rzym. kat. znajdowała się w Nowym Żmigrodzie. Dzieci z Huty chodziły do ruskiej szkoły w Krempnej. Uczyły się tam po polsku i rusku. W 1928 r. z inicjatywy działaczy Towarzystwa Szkoły Ludowej w Jaśle zorganizowano we wsi prowizoryczną, czteroklasową szkołę, a cztery lata później przy pomocy komendanta straży granicznej w Krempnej Jana Dragana, postawiono nowy budynek szkolny z jedną salą lekcyjną i jednym mieszkaniem. Stał on w miejscu, gdzie teraz droga biegnąca do Huty od strony Żydowskiego chowa się w lesie. W miejscu szkoły stojącej ogniś po lewej stronie drogi stoi teraz pasieka uli.

Lasy wokół huty były własnością Potulickich, którzy przegrali je w karty z Żydami Wistrajchami, podobnie jak tartak w Mytarce.

W huciańskiej szkole harcerze z jasielskiego gimnazjum organizowali w lecie obozy z ogniskami, śpiewami i skeczami. Brała w nich udział zapraszana miejscowa ludność.

Nową szkołę, wspomina były mieszkaniec Huty Krempskiej J. Maciejczyk, wybudowano ze środków społecznych. Moja rodzina dała nieodpłatnie grunt pod szkołę koło tzw. Wielkiego Lasu. Po oddaniu szkoły komitet szkolny zwrócił się do hrabiny Potulickiej z prośbą o podarowanie dla szkoły trzech mórg lasu, aby szkoła miała opał na zimę. Prośba została spełniona. Sam latałem z taśmą, wspomina J. Michalik z leśniczym i inżynierem co odcinali las dla szkoły od hrabiowskiego. W czasie jak byłem w szkole w czwartej klasie organizowano już spotkania z dziećmi ze szkoły w Krempnej. Odbywały się biegi i skoki na łące tzw. Kogutówce. Mój ojciec cieszył się, że chodziłem do szkoły, bo on ani czytać, ani pisać nie umiał. Już w klasie trzeciej pisałem mu kwity na kloce a był gajowym. Ojciec tylko inkasował pieniądze. Matka natomiast umiała pisać. Chodziła do szkoły w Kątach i wszystkie zestawienia dla leśniczego robiła za ojca. Po ukończeniu szkoły, mój ojciec chrzestny chciał, aby mnie posłano do szkoły dalej. Ojciec się nie zgodził, bo trzeba byłoby płacić za naukę. Za jedną dwóję w gimnazjum w Jaśle płaciło się 25 zł kary. Więc pozostałem w domu. Ojciec mówił : on tak świetnie pisze i liczy, to już mu więcej nie trzeba.

Pierwszą nauczycielką szkoły była Eugenia Kalitówna z Dębowca a następnie jej miejsce zajął muzyk Wojciech Wiktor z okolic Limanowej. Z kolei przyszła do nas Maria Waksmandzka z Dąbrówki, mówi sięgając pamięcią wstecz Józef Maciejczyk. Była to Dąbrówka Polska koło Nowego Sącza. Szkoły polskie powstawały w okresie narastania przejawów nacjonalizmu ukraińskiego. Rząd nie dał ani złotówki na budowę szkoły,

podobnie jak w całym powiecie jasielskim. J. Maciejczyk dodaje jeszcze, że na fundamentach koło leśniczówki p. Waśkiewicza stała stara szkoła, którą rozebrano po oddaniu nowej tuż przed wojną. Na tych fundamentach zamierzano wybudować obiekt urzędu gminnego, lecz przyszła wojna. Zwróćmy uwagę na solidność wykonania tychże fundamentów, nieomal nie naruszonych po tylu latach. To swoisty pomnik dobrej roboty budowlanej.

Życie w Hucie Krempskiej w okresie międzywojennym nie było usłane różami. Według relacji wspomnianego już P. Michalika urodzonego 1 sierpnia 1923 r. w Hucie Krempskiej, dzieciństwo nie było łatwe i rozkoszne, jak mają obecnie dzieci. Mając sześć lat już szedłem ze starszym bratem z bydłem do lasu na pastwisko. O godzinie 4 rano matka budziła nas i do godziny 12 tej trzeba było paść bydło w lesie na polanach. Po południu wyganiało się znów bydło aż do wieczora począwszy od 3 po południu. Brało się torbę na ramie a w niej tzw. marendzie tj. kawałek chleba domowego z masłem. Jeżeli nie szedłem do lasu z bydłem to pasłem jedną lub dwie krowy koło domu, gdy były podkulawione lub wysokocielne. Miałem jedenaścioro rodzeństwa. Starsi przebywali latem w polu. Mężczyźni i starsi chłopcy szli do lasu ścinać i zrywać drzewo, żeby zarabiać na życie całej rodziny. Kobiety i starsze siostry pracowały w domu. Skubały pierza, przędły len i tkały płótno. Robiły z tego koszule na lato i spodnie do roboty. Młodsza brać pracowała w oborze. Karmiła bydło, wyrzucała gnój, mleła w żarnach zboże na mąkę. Matka przerabiała mleko na masło i składała je w kamiennych garnkach na zimę, kiedy to krowiny przestawały dawać mleko. Składała również ser do fasek drewnianych. W zimie dawano nam ser do ziemniaków lub pierogów ruskich z razowej mąki. Jedliśmy też ziemniaki z kapustą i pęcaki (kaszę jęczmienną) z suszonymi śliwkami. Raz w tygodniu matka piekła w piecu chleb. Ojciec jako gajowy w Wielkim Lesie u Potulickich zarabiał miesięcznie 10 zł i zboża 800 kg na cały rok. Mógł też korzystać z pastwiska w lesie. Dostawał też opał, tzw. pniakowe od każdej fury co wyjeżdżała z lasu z drewnem opałowym.

Towarzystwo Szkoły Ludowej w Jaśle dało w podarunku w 1934 r. aparat radiowy sześciolampowy ze ściennym głośnikiem dla szkoły w Hucie Krempskiej. Mieszkańcy z Huty należeli do parafii w Nowym Żmigrodzie. Ponieważ było tam daleko bo 19 km, - szli nieraz na mszę do cerkwi w Krempnej, gdzie ksiądz ruski odprawiał w języku starocerkiewnym. Po zainstalowaniu radia, nastawili go na Kraków. Chcieli z Kościoła Mariackiego posłuchać mszy. Dziadek mój Leon mając wówczas dziewięćdziesiąt lat przyszedł zobaczyć jak to się w szkole ludzie modlą. Jak usłyszał głos księdza z głośnika na ścianie, powiedział : ludzie, wy wariaty, ojciec mój prawdę mówił, że przyjdą takie czasy, że diabeł ze ściany będzie mówił, a

ludzie do niego będą się modlić i tak to dziś przyszło, bo zobaczyłem i usłyszałem na własne uszy. Strzelił drzwiami i wyszedł. Nie pomogło tłumaczenie, że to ksiądz z Krakowa mówił. Powiedział : haw do gwizdka mi pogadaj, on tam będzie mówił a tu go będzie słychać? I chyba wy nie wiecie jak daleko jest do Krakowa, ile dni trzeba furmanką jechać. My z ojcem jechali dwa tygodnie. Tak to było z pierwszym radiem w Hucie. Przy okazji przypomina mi się sytuacja z pierwszym telewizorem w Krempnej, który jako dar Inspektora Oświaty w Jaśle zainstalowano pod koniec lat sześćdziesiątych w tutejszej szkole. Było to niedługo po elektryfikacji wsi. Zebrała się cała wieś jak wówczas w Hucie przy radiu. Nie można było ustawić obrazu, który wciąż skakał. Wreszcie pojawiły się ukośne szaro-czarne pasy i w żaden sposób nie chciały zniknąć. Po dłuższym oczekiwaniu wstał jeden z najstarszych mieszkańców wsi, powszechnie szanowany i powiedział : jest grudzień, więc pokazują zaorane pole. Jak długo będziemy tu siedzieć i czekać. Może aż spadnie śnieg. Po czym wyszedł a za nim wszyscy inni.

Mój brat, wspomina dalej P. Michalik kupił z kolegą rowery. Wszyscy w niedzielę szli na łąkę i uczyli się jeździć. Była to sensacja, że kawalery mają rowery i do Żmigrodu mogą za jedną godzinę zajechać. Dziadek zobaczył, że brat ma rower, przyszedł do ojca i mówi - po coś ty bicygiel kupił synowi? Ojciec mówi - ma już 20 lat, zarobił sobie, to niech ma i do kościoła może w każdą niedzielę jeździć. A dziadek : jak on będzie jeździł do kościoła na tym bicyklu, musi go diabeł trzymać z boku. Ojciec mówi, że to nieprawda, że sam jedzie. Dziadek wtedy wziął dwa koła z kolców od pługa, ustawił jedno za drugim i mówił - siadaj na to i jedź, jak cię z boku kto nie potrzyma, to nie pojedziesz. Dziadek nigdy nie widział jadącego rowerem.

Potańcówki robiono zawsze w domach prywatnych. Żadna panna nie poszła na tańce bez zezwolenia ojca i tak jeśli ojciec pozwolił, to musiał przyjść kawaler i prosić ojców i obiecać, że do dwunastej będą w domu. Cała orkiestra to były skrzypce i bęben.

Podczas zbiórki siana wszystko siano noszono w płachtach na plecach i ładowano na strychy. Siana nie wożono nigdy wozem. Zboże wożono wozem drabiniastym na drewnianych osiach i drewnianych kołach.

Za posiadanie broni, jeśli była utrzymana w staranności dostawało się trzy dni aresztu, dlatego było wielu kłusowników. Przerabiano karabiny austriackie na myśliwskie obcinając lufy. Naboje (drobny śrut) robiono z ołowiu i z tego strzelano do zwierzyny. Za skórkę z kuny leśnej Żydzi płacili od 25 dolarów. Wykonywali oni z nich tzw. sztramy do kapeluszy w

których chodzili do bóżnicy. Po zakupy chodziło się do sklepu w Krempnej. Tam można było zakupić wszystko od wódki po gwoździe.

Dzieci mieszkańców Huty Krempskiej chrzcił ksiądz ruski grekokatolicki z Krempnej, tylko z tą różnicą, że wysyłał zaraz do księdza w Żmigrodzie Nowym zawadomienie i ten wpisywał do ksiąg metrykalnych.

W Żmigrodzie Nowym wspomina w/w przed 1939 rokiem były trzy sklepy spożywcze katolickie i dwa szynki. Reszta była w Żydowskich rękach. Kobiety polskie często usługiwały Żydom w Szabas. W sobotę żaden Żyd z powodu święta nawet pod kuchnią nie zapalił. Musiał mu zapalić katolik. Jak umarł Żyd czy Żydówka to w godzinę nieśli go na okopisko (cmentarz) i chowali na siedząco. Mówili, że na sądny dzień nim katolik siądzie, to Żyd już będzie szedł. W Żmigrodzie Nowym było około 2000 Żydów. Jak przyszła wiosna i jak była pogoda to na rzece nie było gdzie się skąpać, tyle leżało tego po brzegach. My z drugiej strony rzeki biliśmy z procy kamieniami do Żydów aby oczyścić miejsce do kąpieli.

Tradycją również było, że w dobie Zielonych Świątek kawalerka maiła panny, jeżeli zależało komuś na jakiejś, to malowali szyby w oknach, kładli szyby na kominach, roznosili od domów wszystkie narzędzia. Pamiętam, że wynieśli na dach pustego domu cały drewniany wóz drabiniasty, naładowali siano, zrobili furmana ze słomy. Inny wóz wyciągnęli na górę w środek żyta, a chłop szukał cały tydzień, dopiero pasąc krowy zobaczył sterczący dyszel z żyta.

Po wieczorach późno młodym chłopakom chodzić nie było wolno, a jak złapali młodego stara kawalerka, to prali po gołym tyłku pasami.

W sierpniu 1939 r. woziliśmy do Sekcji Drogowej kloce do Żmigrodu. Robili tam zapory przeciwczołgowe na drodze państwowej.

Gdzieś w końcu sierpnia ściągnęli wszystkie obozy harcerskie przed ukończeniem sezonu. Obozy były z Katowic, Będzina, Krakowa, Jasła. Część kwaterowała w Ośrodku Wychowania Fizycznego koło mostu w Krempnej. Ośrodek zajęło wojsko (Obrona Narodowa).

Pierwszy raz widziałem film dzwiękowy, propagandowy wojskowy, jak wyświetlali z samochodu koło mostu w Krempnej. Końcem sierpnia przyszło zawiadomienie przez sołtysa, żeby dać konia z wozem do dyspozycji wojska. Pojechał brat Jasiek. Jak wyjeżdżał to żegnał się z ojcem, a jak ruszył to ja śpiewałem „Gdy naród do boju...” a matka złapała starą miotłę i dostałem po głowie. Krzyczała : on jedzie na wojnę, nie wiadomo czy jeszcze wróci a tobie jeszcze głupstwa w głowie. Jak Niemcy strzelali to siedzieliśmy w piwnicy. Obrona

Narodowa uciekła z granicy. Mieli francuskie, długie karabiny co nic nie wartały. Jeden żołnierz z Obrony Narodowej bronił się nad szosą z karabinem maszynowym. Nie dał się wziąść do niewoli i Niemcy go zabili. Został pochowany na cmentarzu w Krempnej, a później rodzina zabrała go do swojej parafii. W październiku ojciec został zaproszony na wiejskie zebranie do Krempnej jako radny Zarządu Gminnego. Na zebranie przyjechała delegacja ukraińska i śmiało twierdzili, że była Polska, ale już jej nigdy nie będzie. Panowali Polacy, ale teraz już nie będą nigdy. I zakładali od razu ukraińską organizację. Ruski radny z Krempnej (miał żonę Polkę) powiedział, że Polaczki dwajcet (20) lat kręcili nam językami a teraz kręcić nie będą. Jak nam to ojciec powiedział to płakał jak małe dziecko, aż go matka skrzyczała. I już Huta nie była przyjacielem Krempnej jak dawniej, powstała jakaś nienawiść między Polakami a Łemkami. Do wojny razem żyli i szanowali się jak bracia, kumowali itd. Od tego zabrania przyszły na Polaków ciężkie czasy. W cerkwi na nabożeństwie śpiewano : „Boże jedyny daj Ukrainu".

W grudniu 1939 roku brat Jasiek wraz z kolegą poszli na kupno skór na kierpce i zelówki do Gorlic i nocowali u Łemka. Było w tym domu młode małżeństwo. Kolega brata mówił po łemkowsku biegle, to wierzyli, że oni też są Łemkami. Ta młoda gospodyni mówiła, „że jakby w nocy złapała Lacha, to sama by z niego żywcem pasy ciągłą, a oni tylko jej przychwalali. Tak młodzi przesiąkli nacjonalizmem ukraińskim."

Wśród różnych przedmiotów, które zebraliśmy w krempskiej szkole znalazły się narzędzia do wyrobów gontów. Pochodziły one od rodziny ostatniego w okolicy gonciarza z Huty, który zmarł w 1984 r. Robił je jeszcze kilka lat przed śmiercią. Był on ostatnim przedstawicielem tego powszechnego niegdyś w okolicy zajęcia. Opowiadał, że na dobre gonty trzeba było szukać prostej jodły „nie mającej barana" tj. zgrubień i narośli. Musiała ona rosnąć na płaskim (broń Boże nie zboczu), mieć gałęzie skierowane w dół (wiele jodeł ma prawie poziome) i korzenie na wierzchu. Ściętą jodłę po okorowaniu piłowano na klocki o długości około 50 cm. Teraz z takich klocków robi się gonty rżnąc je po prostu piłą. Ale porządny rzemieślnik, nigdy się tego nie dopuścił - tzw. rżnięty gont przepuszcza wodę i butwieje. Należało więc klocek szczypać siekierką na deszczułki (wzdłuż klocka - dzieląc jego przekrój na wycinki koła o szerokości około 2 cm na obwodzie). Następnie gonty wyrównywało się ośnikiem umieszczając w specjalnym uchwycie zwanym przez Łemków hrabem. Potem za pomocą tzw. struha wycinano w brzegu gontu pachę (tj. felc). Gonty kładziono przybijając do łat - dobry dach był kryty dwoma warstwami skierowanymi pachami w przeciwne strony. Gont ma koniec górny i dolny i musiał być tak kładziony jak rosło

drzewo. Przyzwoicie wykonany i położony gont mógł bez remontów przetrwać i 80 lat. Obecnie Huta Krempska jest jakby żywym skansenem. Po niewielkich przeróbkach można by tam nagrywać sceny filmowe w plenerze z akcją przed dziesiątkami lat.

Kotań

Pierwszy dom w tej miejscowości leżył tuż nad zalewem na rzece Wisłoce w Krempnej spiętrzającym wody przez zaporę wybudowaną w latach 1972-1974. Wieś ciągnie się po prawej stronie Wisłoki idąc od Krempnej do centrum wsi. Dalej w prawo wzdłuż bezimiennego strumienia. Rozciąga się na długości około 6 km. Większość mieszkańców zajmuje budynki mieszkalne byłego Iglopolu. Na wsi rolniczej jest około 20 gospodarstw.

W 1581 r. była Kotań królewszczyzną, stanowiącą uposażenie starosty bieckiego. Łanów kmiecych było wtedy 5, sołtysi łan 1. Później Kotań miała historię podobną jak pobliskie wsie. 19 maja 1763 r. Franciszek, Ferdynand Lubomirski wydaje dokument dotacyjny dla gr. kat. kościoła w Kotani, mocą którego przekazuje pod budowę rolę zwaną „Pawlikówka".

W końcu XIX wieku żyło tu 316 mieszkańców, z czego około 300 grekokatolików a 16 katolików obrządku rzymskiego.

W latach trzydziestych naszego stulecia, podobnie jak w innych wsiach, doszło do sporów między mieszkańcami wsi a księdzem grekokatolickim. Skutkiem waśni było przejście części mieszkańców Kotani na prawosławie. Zbudowali oni sobie świątynię o której pisałem wcześniej.

Podczas drugiej wojny światowej spaliła się połowa wsi. Wcześniej wysiedlono wieś. Część mieszkańców wyjechała na Ukrainę a część dwa lata później przesiedlono na tereny województwa zielonogórskiego. Przed wojną było około 50 gospodarstw. W latach pięćdziesiątych we wsi utworzono PGR a w latach siedemdziesiątych w przedsiębiorstwie rolnym pracowali więźniowie z utworzonego tu zakładu karnego. Liczba więźniów rozmieszczonych w kilku zakładach po okolicznych miejscowościach sięgała 600.

Więźniowie ci wykonywali między innymi prace karczunkowe, odkrzaczając zarośnięte po wojnie pola. Praca ich dawała jednak mierne efekty. W latach osiemdziesiątych prace te po likwidacji więziennictwa na tym terenie kontynuowało wojsko. Obecnie tereny te znów zarastają i zostały w większości przejęte przez Magurski Park Narodowy. Lasy znów zaciskają pierścień wokół wiosek.

W uzupełnieniu informacji dotyczących cerkwi z poprzedniego rozdziału dodaję, że jeden z kotańskich dzwonów znalazł się w Desznicy, podobnie jak pająk (żyrandol).

We wsi jeszcze początkiem lat siedemdziesiątych istniała szkoła podstawowa 4-klasowa. Po jej likwidacji władze gminne zobowiązały się do bezpłatnego przewozu dzieci do szkoły w Krempnej i do tej pory umowa jest przestrzegana.

Pod koniec lat siedemdziesiątych na burzliwym zebraniu wiejskim, w którym brałem udział, władze gminne zobowiązały się przebudować i utwardzić drogę przez wieś aż do sołtysa, nie wymieniając z nazwiska. Wówczas sympatyzując z mieszkańcami wsi jako były jej mieszkaniec poradziłem im po cichu aby w miarę postępu robót wybierali sołtysa mieszkającego coraz to dalej, aż do końca wioski. Tym sposobem droga wydłużała się coraz bliżej końca wsi i fortel się udał.

Grunty po byłych PGR-ach nabyli głównie jako dzierżawę rolnicy zagospodarowując je. Obiekty Iglopolu wydzierżawili prywatni przedsiębiorcy. Linię autobusową PKS doprowadzono do wsi w drugiej połowie lat siedemdziesiątych po ukończeniu budowy drogi asfaltowej do Grabiu przez Rostajne. Drogę tę budowały dwie firmy ORB LP od strony Wyszowatki i RDP od strony Kotani. ORB uporało się z robotami w terminie a RDP z dwuletnim opóźnieniem z powodu ciągłego obsuwania się skarp na Rostajnem. Te obsunięcia zdarzają się do dzisiaj. Doszło do paradoksu. Aby dojechać do Rozstajnego odległego o kilka kilometrów od Kotani trzeba było dokonać objazdu około 30 km przez Grab. W Kotani mieściła się dyrekcja państwowych gospodarstw działających pod różnymi szyldami w miarę reorganizacji prowadzonych z powodu ciągłej ich deficytowości. W szczytowym okresie w tych gospodarstwach było około 4000 tys. szt. bydła, około 1500 szt. owiec oraz kilkuset świń i do 80 szt. koni w większości pod siodło. Zatrudniano setki pracowników zapewniając mieszkania i byt. Obecnie obiekty przejęte przez Agencję Rolną Skarbu Państwa są wydzierżawiane chętnym, lecz w większości niszczeją.

Świątkowa Mała (zwana też Świątkówką)

Dzieje tej wioski powiązane są z dziejami sąsiedniej Świątkowej Wielkiej oraz także Świerzowej Ruskiej i po części Rostajnego. W różnych kolejach losu wsie te należały, bądź nie do jednej parafii (daw. parochii).

Brak jest historycznych dokumentów określających dokładnie datę założenia tych wiosek. Można tylko domniemywać, że powstały one na przełomie XV i XVI wieku. Według przekazów jak zanotowano w kronice parafialnej Parafii Świątkowej Wielkiej, pierwsi

mieszkańcy owych wsi przybyli tu z południa, wyparci przez Madziarów (pisałem o tym podając teorie pochodzenia Łemków). Inne podania głoszą, że osiedlili się tu ludzie, których z dawnych ich siedzib na północy wyparli Polacy. Prawdopodobnie było tak, że z węgierskich nizin przesiedleńcy naszego rodu osiedlili się aż koło Żmigrodu, po pewnym czasie cofnęli się w góry pod naporem sąsiadów z północy. Dowodem na to może być wzmianka o tym, że we wsi Skalnik koło Żmigrodu stała dawniej pierwsza w tej okolicy cerkiew, wybudowana staraniem naszych pobożnych i szczodrych rodaków zakarpackich. Teraz na miejscu gdzie dawniej stała cerkiew, stoi kościół, a we wsi ostało się (okres międzywojenny) kilka rodzin grekokatolickich. Czy powyższe informacje są prawdziwe? Z innych źródeł wiadomo, że kamienny kościół rzym. kat. w Skalniku otoczony 1000 letnimi dębami, wybudowano w miejscu dawnego drewnianego, pamiętającego czasy Cyryla i Metodego. Ołtarz główny, ambona i chrzcielnica mają pochodzić z tego kościoła.

Świątkowa Mała jest najwcześniej notowana w dokumentach, wcześniej niż sąsiednie wioski. Istniała już w 1510 r. Należała do Stadnickich. W 1581 r. miała 7 dworzyszcz wołoskich i jedno sołtysie. Należała do parafii w Grabiu. Ks. Sarna podaje, że w tym roku istniała w tej wiosce cerkiew. W 1633 roku wieś należała do Kochanowskiego. W ówczesnej kronice parafialnej w Grabiu odnotowano, że właściciel myscowskiego klucza dóbr, chorąży koronny Kochanowski, pismem z 24 marca 1633 r. nadał duchowieństwu „obrządku greckokatolickiego" w swych włościach pewne prawa i przywileje. Do owych dóbr należały wtedy : Myscowa, Polany, Świątkowa, Grab, Ożenna, Wyszowatka, Rodocyna, Żydowskie i Długie. Oznaczało to, że Świątkowa wraz z okolicą, już w 37 lat po unii brzeskiej przejęły unię. To wydaje się być mało prawdopodobne. Zresztą kronikę pisał proukraińsko nastawiony ksiądz unicki usilnie szukający swych korzeni w dobie ostrej rywalizacji z kościołem prawosławnym. Prawa i przywileje greckokatolickiego duchowieństwa w dobrach klucza myscowskiego potwierdził nowy właściciel wspomnianych wsi, książę Jerzy Lubomirski. Wydał on 26 maja 1746 r. pismo, którego odpis miał się znajdować w ówczesnych aktach parafialnych w Grabiu. Książę oznaczył obowiązki włościan względem proboszczów. Między innymi chłopi dzierżawiący pańską ziemię mieli obowiązek składać swoim księżom „daniny według praw i zwyczajów cerkiewnych". Ta data już jest bardziej prawdopodobna. Poddani mieli również prawo do bezpłatnego wyrębu drzewa na budowy w swych gospodarstwach. Tenże Jerzy Lubomirski wydał kolejny dokument (w Bieczu, 15 stycznia 1776 r.) którego odpis znajdował się też w tym czasie w Grabiu, w którym zwalnia niektórych duchownych od wszelkich powinności wobec pana na stałe. Prawo to miałoby także obowiązywać

spadkobierców Lubomirskiego. Przywilej ten przysługiwał duchownym z Polan i Świątkowej. Później został rozszerzony na parafie całego myscowskiego klucza.

W 1891 r. Świątkowa liczyła 247 mieszkańców grekokatolików i 4-ch Żydów.

W pierwszej wojnie światowej wzięło udział 27 osób, 4 z nich zginęło.

W lipcu 1927 roku cała wioska przeszła na prawosławie. Nie było prawosławnej świątyni, chodzono więc do Świątkowej Wielkiej. Tam pobudowano cerkiew naprzeciw wylotu drogi od Wołowca. Jak doszło do przejścia na prawosławie?

Wróćmy do kroniki parafialnej. Tuż przed I wojną światową pojawiły się pod wpływem moskalofilskiej politycznej agitacji silne sympatie do rosyjskiego prawosławia (przypominam, że autorem kroniki jest duchowny grekokatolicki). I tak z końcem 1911 r. Przeszła na prawosławie część parafian w Grabiu i sąsiedniej Wyszowatce (wspominam o tym pisząc o bł. Maksymie Sandowyczu) a w 1912 część ludności w Radocynie, Długim i Nieznajowej. Jednak ten mało ekspansywny ruch nie rozszerzył się, a w czasie I wojny zupełnie zamarł. Nie bez znaczenia miały tu sankcje austriackie w tym Thalerhoff. Dopiero 8 lat po wojnie ten „ogień antyreligijny", chwilowo przygaszony, a teraz świadomie rozdmuchany przez moskalofilów, wybuchnął z niebywałą dawniej siłą w Tylawie (Schizma Tylawska) i Trzciance. 16 listopada 1926 roku w Tylawie odbył się moskalofilny, prawosławny wiec, na którym zadecydowano o przejściu niemal całej parafii na prawosławie. Za Tylawą przeszło wiele innych wiosek na Łemkowszczyźnie, a między innymi i wsie należące do parochii w Świątkowej Wielkiej. Było to w 1927 roku. Parochem w Świątkowej Wielkiej był wtedy ks. Petro Kałamuneckyj. Świątkówka należała do tej parochii. Najpierw przeszła na prawosławie Świerzowa Ruska i Świątkowa Mała (w lipcu), a Świątkowa Wielka w drugiej połowie września i na początku października. Świątkowa Mała przeszła na prawosławie w całości, w Świątkowej Wielkiej pozostała przy cerkwi grekokatolickiej tylko jedna rodzina. (czyżby chodziło o rodzinę parocha). W Świerzowej Ruskiej pozostało 2 rodziny (15 osób).

Przyczyny takiego stanu rzeczy miały charakter zarówno ogólny jak i szczególny. Najważniejszą, podstawową przyczyną jest to (podaje kronikarz), że całymi dziesiątkami lat wmawiano naszym Łemkom i wszczepiano moskalofilskiego i prawosławnego ducha oraz moskiewsko-prawosławną i religijną ideologię. Mówiono, że Łemkowie i Wielkorusiny (Moskale) - to jeden i ten sam „naród ruski". Wskazywano na moskiewszczyznę jako jedyną, nierozdzielną ojczyznę wielkiego „narodu ruskiego" - czyli wszystkich Moskalów, Rosjan, do których zaliczamy Łemków. Głoszono, że tylko z moskiewskiej Rosji może przyjść zbawienie

Łemkowszczyzny i wychwalano przed Łemkami „ruskie prawosławie". Wskutek tego jeszcze przed wojną zrodziła się wśród Łemków gorąca sympatia do Rosji, a za nią i silne ciągoty do „ruskiej wiary prawosławnej". Dla zagorzałych zwolenników Rosji dogmatyczną zasadą stało się twierdzenie: „kto ruski, ten prawosławny". Łemkowie to według Moskali - naród ruski. Stąd Łemkowie powinni być także prawosławnymi. Owe skłonności zbałamuconych moskalofilską agitacją Łemków popierali też reemigranici łemkowscy z Ameryki i Kanady, którzy tam przeszli na prawosławie, a także krajowa i amerykańska prasa promoskiewska. W ślad za tym jak pisze w kronice parafii ks. Gajda, duszpasterz z Krempnej (1910-1928), Łemkowie, „choć oficjalnie podawali się za grekokatolików, nie mieli ducha katolickiego, w unii nie byli utwierdzeni i w duszy czuli się prawosławnymi." Owe przyczyny ogólnego charakteru występowały również w parochii świątkowskiej. Dochodziło do tego i to jeszcze przed wojną światową, że mieszkańcy Świątkowej razem ze znaczniejszymi gospodarzami z Tylawy, jeździli do Kijowa, by zwiedzić tamtejsze ośrodki religijnego życia prawosławnego. A powróciwszy do domu, stali się propagatorami prawosławia w swoich wioskach. Istniały jeszcze inne, szczególne przyczyny przejścia miejscowych na prawosławie. Do najważniejszych należały naprężone stosunki między miejscowym proboszczem ks. Kałamuneckym i parafianami, niekiedy wręcz gwałtowne spory, których niestety na czas nie zlikwidowano. I tak Świerzowa Ruska prosiła parocha, by na msze święte jakie odprawiał w świerzowskiej cerkwi co trzecią niedzielę, jeździł własnymi końmi, za co gospodarze oferowali księdzu pomoc w pracach polowych. Proboszcz odpowiedział odmownie. A że już wcześniej panowała między duchownym a parafianami ze Świerzowej niezgoda w sprawie należnych cerkwi danin, owe spory wykorzystał nieprzychylny proboszczowi wójt i przeciągnął świerzowian na modne i atrakcyjne wówczas na Łemkowszczyźnie prawosławie. Z kolei Świątkowa Mała chciała wybudować szkołę. Na terenie gromadzkim nie było odpowiedniego placu na budowę, więc chłopi poprosili proboszcza, aby wystarał się u biskupa o zgodę na sprzedaż kawałka cerkiewnego lasu pod szkołę. Jednak stanowisko porocha w tej sprawie nie było jasne. Raz obiecał się postarać, a za drugim razem cofnął obietnicę. Sprawa ciągnęła się około roku i budowa szkoły została z winy proboszcza wstrzymana. W końcu ów spór przerodził się w istną burzę. Przeciw proboszczowi solidarnie wystąpiła cała gromada. Niektórzy z wioski udali się do Tylawy. Tu rozumie się doradzono wysłannikom ze Świątkowej Małej niezwłoczne przejście na prawosławie, co też gromada w całości uczyniła. Moskiewskie prawosławie (pisze kronikarz) działało wtedy na Łemkowszczyźnie jak prawdziwa epidemia duchowa, która dosięgła każdego, kto zbliżył się

do niej, a miał osłabiony organizm religijno-duchowy. Wśród tego zamętu najdłużej trzymała się Świątkowa Wielka - około dwóch miesięcy po przejsciu wspomnianych wsi na prawosławie. Agitacja moskiewsko-prawosławna, oprócz sprawy danin nie miała żadnego punktu zaczepienia. Ale agitatorzy moskalofilscy postawili tu też na swoim. Namawiali, grozili, bałamucili, obiecywali aż cała wieś z wyjątkiem jednej rodziny przeszła na prawosławie. Z powodu walk o cerkwie pomiędzy prawosławnymi a grekokatolikami starosta powiatowy z komisarzem policji i oddziałem żandarmerii zamknęli i opieczętowali je. Wcześniej prawosławni zabrali ponoć wiele przedmiotów z cerkwi, których nie zwrócili.

W wiosce Świątkowa Mała przed II wojną światową było 62 gospodarstwa. Pracował tartak parowy nad Wisłoką, nieco powyżej obecnego mostu. Było dwóch kowali (Łemko i Cygan), jeden szewc, dwóch krawców. Nie było sklepu, ale działał mały kiosk. W 1945 r. zostało 7 rodzin, inni (250 osób) wyjechali do ZSRR. Pozostałe osoby wysiedlono w 1947 roku na ziemie zachodnie. Później przybywali osadnicy z okolic Nowego Targu, a od 1956 roku powracali Łemkowie. Od lat 50-tych mieszka w Świątkowej rodzina Cyganów z Rostajnego. Cygan Michał prowadził kuźnię do niedawna.

Przy nieutwardzonej drodze, odchodzącej na południe niedaleko od przystanku PKS-u stoi cerkiew p/w św. Michała Archanioła. W uzupełnieniu informacji z odnośnego rozdziału podaję, że budynek ten remontowano na przełomie XIX i XX wieku. Prawdopodobnie wówczas cerkiew przebudowano dobudowując wieżę. Remont prowadzono też w latach 1975-1978. Jest to cerkiew typu zachodniołemkowskiego : drewniana, trójdzielna, z wieżą zwięczoną izbicą. Babiniec jest przykryty daszkiem dwuspadowym. Przed wejściem do babińca mała kruchta kryta także daszkiem dwuspadowym.

Świątynia długo nie była używana po 1947 roku. Osadnicy, którzy przybyli tutaj w latach 50-tych, zastali świątynię prawie pustą, beż wyposażenia. Ikony składające się na ikonostas i znajdujące się na ścianach cerkwi pochodzą z różnych okolicznych wiosek, w których zniszczono cerkwie. Ikonostas jest barokowy, z częściami rokokowymi. Brakuje w nim ikon z rzędu prazdników (skradzione w latach 70-tych) i proroków, oraz diakońskich i carskich wrót. W rzędzie Deesis możemy zobaczyć rzadziej spotykane przedstawienie na osobnych ikonach Apostołów oraz Matki Boskiej i św. Jana Chrzciciela. W miejsce Pantokratora umieszczono obraz Matki Bożej w typie Umilenie. Obraz Chrystusa Pantokratora, znajduje się zaś na miejscu carskich wrót. Te dwa obrazy mają drewniane płaskorzeźbione i złocone sukienki. W rzędzie ikon namiestnych widzimy (od lewej strony) : św. Mikołaja, Matkę Bożą z Dzieciątkiem (Hodegetria), Chrystusa Nauczającego, św.

Michała Archanioła. Wszystkie pochodzą z XVII wieku (zapewne rok 1670). W roku 1991 ikonostas odnowiono.

Na ścianach cerkwi umieszczono fragmenty ikonostasów barokowego i rokokowego, z XVII i XVIII wieku, częściowo pochodzące z cerkwi w Rostajnym. Znajduje się tu także fragment ołtarza z Ukrzyżowaniem (napis Bazyli Fedak malował r. 1843), ikona Wóz Ognisty - barokowa z XVII w. i dużych rozmiarów barokowy Sąd Ostateczny, z 1653 roku. Teraz świątynia służy jako kościół filialny, rzymskokatolicki parafii w Desznicy. Na wschód od cerkwi znajduje się stary łemkowski cmentarz. Przy drodze do Krempnej, obok przystanku PKS-u stoi duża murowana kapliczka z XIX w.

Budynek po dawnej szkole podstawowej sprzedano osobie prywatnej w latach 70-tych.

Świątkowa Wielka

Wioska leży w szerokiej dolinie potoku Świerzówka licząc od jego ujścia do Wisłoki na długości około 3 km. Wieś założono w XVI wieku, przypuszczalnie przed rokiem 1564. Była wsią starostwa bieckiego. Według kroniki parafialnej już w 1581 roku stała tu cerkiew, mieszkał sołtys i pop. Nazwa pochodzi może bądź od słowa światо-święto, bądź od imienia Świątko.

W XVII wieku wieś była siedzibą parafii, obejmującej Jaworze. Płacono podatek od 19 łanów kmiecych. W 1629 roku zaczął działać młyn. Świątkowa Wielka nadal była wsią królewską. W roku 1765 miała 26 ról. Był też wtedy tartak. W latach 1830-1831 szalała we wsi cholera. Z tego powodu rząd dekretem zrezygnował z poboru podatków. W 1845 r. w kronice odnotowano bardzo srogą zimę, a także wielką powódź, która uczyniła wiele dotkliwych szkód. Władze cywilne pośpieszyły wówczas z pomocą. Także i sami chłopi pomagali wówczas powodzianom. W 1847 r. panował we wsi wielki głód. Zboże nie obrodziło, a na zakup paszy nie było pieniędzy. Mnożyły się wówczas różne choroby dziesiątkujące ludność. Władze cywilne starały się dopomóc chłopom. Wokół panowała żałoba. Wszędzie słuchać było płacz i nieustające bicie dzwonów cerkiewnych na trwogę. Chłopi robili mąkę ze słomy, cięli sieczkę, suszyli ją, tarli, dodawali trochę ziarna i z tej mieszaniny piekli „chleb". W 1849 r. po raz drugi nawiedziła Świątkową i okolice cholera, która pochłonęła wiele ofiar.

Na 13 czerwca 1857 r. prasa zapowiedziała, że pojawi się kometa, która miała zniszczyć ziemię. Z tej przyczyny woda z oceanów miała zalać Europę. Wskutek tej nieostrożnej publikacji prasowej naród, oczekujący bliskiego końca świata, bardzo się rozpił.

Ludzie nie chcieli ani orać, ani siać, ani wykonywać innych prac gospodarskich. Zamieszanie to wykorzystali Żydzi, za bezcen skupując grunty chłopskie i śmiejąc się w kułak z ludzkiej naiwności i głupoty. W latach 80-tych XIX stulecia rozpoczęła się we wsi emigracja zarobkowa do Ameryki. Władza odnosiła się do tego nieprzychylnie. Starostwo jasielskie rozesłało do urzędów gromadzkich i parafialnych rozporządzenie, aby odradzać ludziom zamorską emigrację, bo - jak pisano, Ameryka jest bardzo daleko, koszta podróży są bardzo wysokie, na morzu panuje niebezpieczna zaraza, w Ameryce emigrantów wysadzą byle gdzie i będą oni ginąć tam z głodu. Jednak chłopi nie dawali temu wiary, i który tylko miał 160 florenów na podróż, starał się o paszport i wyjeżdżał do Ameryki na zarobek.

Z kroniki szkolnej dowiadujemy się, że szkołę ludową zorganizowano we wsi w 1882 roku. W 1887 roku mrozy dochodziły do -35^0C. W 1889 roku panowała wielka susza Zabrakło gospodarzom paszy. Ucierpiało na tym bydło. Masowo sprzedawano stare krowy za bezcen oraz podobnie konie. Sporą ilość koni ubito. Na domiar złego wybuchła także epidemia ospy. W 1899 roku zanotowano wielką powódź we wsi, tak, że z wodą popłynęły wszystkie mosty, a wysoka hałda mułu zatarasowała wejście do szkoły. W następnym roku silna burza rozwaliła wiele zabudowań gospodarskich.

W 1911 roku przeprowadzono w Galicji spis ludności oraz wybory do parlamentu austriackiego. Rozgorzała wtedy w Świątkowej szalona agitacja rusofilskiej partii politycznej, prowadzona przez miejscowego studenta Wasyla Korbę i grekokatolickiego księdza - moskalofila, mieszkającego w sąsiedniej parafii (prawdopodobnie chodziło o bł. Maksyma Sandowycza z Grabiu). Namawiano ludzi, by dla oznaczenia swej narodowości wpisywali w arkusz spisowy słowo „Russnak" z dwoma „s", a nie z jednym „s". Jak twierdzili, „Russnak" z dwiema „s" jest prawdziwym twardym Russnakiem, a „Rusnak" z jednym „s" tylko miękkim Rusnakiem, który może łatwo stać się Ukraińcem lub Polakiem. Podczas wyborów mieszkańcy Świątkowej głosowali na moskalofilskiego kandydata Włodzimierza Kuryłowicza, powiatowego sędziego z Rymanowa, który w sanockim okręgu wyborczym rywalizował zwycięsko z ukraińskim kandydatem Załozeńskim.

Oprócz strat w zabitych i pomordowanych w Thalerhoffie, wymienionych wcześniej, mieszkańcy Świątkowej odnieśli wskutek wojny wielkie straty materialne. Wojska austro-węgierskie, ustępując przed Rosjanami paliły i niszczyły wszystko na drodze. Spaliła się połowa Świątkowej Wielkiej - wszystkie chaty i zabudowania gospodarcze (oprócz cerkwi) od Świątkowej Małej aż do szkoły. Większych bitew na terenie parafii nie było. Miały miejsce tylko niewielkie potyczki, po których zwycięscy Moskale ruszyli na południe, na teren

Węgier. Ponieważ wszyscy zdrowi i młodzi mężczyźni poszli na wojnę, we wsiach zostały tylko kobiety, dzieci i starcy, którzy straciwszy prawie cały majątek i dach nad głową, znaleźli się w rozpaczliwym położeniu. Mieszkali w piwnicach, jamach, a niektórzy - w nie spalonej części wioski. Część mieszkańców uciekła wtedy z ustępującymi Rosjanami. Tam przekonali się, że twarda rosyjska rzeczywistość odbiega od różowych opowieści o szczęśliwym raju. Emigranci rozeszli się po Rosji i Ukrainie w poszukiwaniu zarobku. Niektórzy z nich zmarli w Rosji, inni albo wówczas, albo kilka lat po wojnie, złamani moralnie i fizycznie, powrócili do swych rodzinnych stron. Pobyt mieszkańców Świątkowej na Ukrainie miał i dodatnie i ujemne skutki. Do ujemnych należy zaliczyć zarażenie komunizmem. Do dodatnich autor kroniki parafialnej zalicza to, że emigranci przekonali się o bezpodstawności twierdzenia moskalofilskich działaczy, że „nie ma żadnej Ukrainy", a tymczasem „owi zbiegowie widzieli Ukrainę na własne oczy i spotkali się ze świadomymi Ukraińcami i z żołnierzami ukraińskimi. Patrzyli i przekonywali się, że ich bracia ze wschodu nie za fikcje i mrzonki kładą swe bujne głowy na szerokich polach walk, ale za rzeczywistą, realną, niezniszczalną narodową ideę ukraińską." Nie trzeba zapominać, że Świątkową Wielką, obok Tylawy, uważano przed I wojną za twierdzę „ruskości" na Łemkowszczyźnie. Nie od rzeczy będzie tu dodać, że sześciu świątkowskich gospodarzy wywieziono do Thalerhofu, jednak wszyscy wrócili stamtąd cali i zdrowi.

Niedługo po ustąpieniu Moskali na wschód mieszkańcy Świątkowej przystąpili do odbudowy domów spalonych przez Madziarów. Jednak prace te posuwały się opornie, a to z braku mężczyzn we wsi i z niedostatku funduszy. Nieco później po wojnie i powrocie mężczyzn z wojny, rozpoczęto odbudowę wsi szerokim frontem. Do 1925 r. wioska była już całkowicie podniesiona z ruin.

Przed I wojną założono rusofilską czytelnię im. Kaczkowskiego. W roku 1918 powstała tu wcześniej wspomniana Ruska Rada Narodowa skupiająca kilka wsi. Na czele jej stał proboszcz ks. Peter Kałamuniecki. Toczono dyskusje na temat przyszłości Łemkowszczyzny. Rozważano nawet przyłączenie się do Czechosłowacji (rozpoczęto podobno jakieś pertraktacje w tym względzie), Ukrainy, lub wręcz Rosji (nie mówiono tylko jak przeskoczyć Ukrainę). Rada tymczasem została rozwiązana wraz z nadejściem polskiego wojska i żandarmerii.

W 1925 roku Łemkowie założyli tu spółdzielnię spożywczą (należała do Związku Spółdzielni Ukraińskich we Lwowie) i zbudowali sklep, który spłonął w tajemniczych okolicznościach w 1928 roku. Postawiono wówczas nowy, murowany budynek używany po II

wojnie też jako sklep. Istniały również 2 sklepy prywatne, prowadzone przez Łemków. Siłami społecznymi postawiono murowaną szkołę. Działało teatralne kółko amatorskie, wystawiano 2-3 sztuki rocznie. Wybudowano również drewnianą mleczarnię.

W 1937 roku cała wioska liczyła 815 mieszkańców prawosławnych, 26 grekokatolików i 2 katolików obrządku łacińskiego.

W wiosce pracowało wówczas 4 kowali i 2 krawców. Obok figury Świętej Rodziny na końcu wioski, jeden z gospodarzy wyrabiał olej, głównie z lnu i słoneczników. Stał tam oddzielny budynek olejarni wielkości spichlerza. Był to jedyny taki zakład w okolicy, dopiero przed samą wojną wybudowano taki sam w Krempnej. Pracowały tu też stępy. Robiono z jęczmienia pęcaki.

W Świątkowej Wielkiej mieszkały 3 rodziny Żydowskie. Działały dwie karczmy. Jedna - żydowska - stała przy drodze do Wołowca około 100 m. od krzyżówki, druga przy początku drogi do Rostajnego. W 1938 roku wybudowano szosę z Desznicy do miejsca obecnego przystanku PKS Rostajne Skrzyżowanie. Dawna wiejska droga znajdowała się bliżej rzeki, często ją przekraczała, szła obok murowanej XIX wiecznej kapliczki (koło zab. R. Barana), która teraz stoi tyłem do drogi.

Przeprowadzono też komasację gruntów. Wioska liczyła wówczas 186 domów. Nowe stawiano pod Mareszką, na Reszówkach (ta część wioski, obecnie nie zamieszkana, znajdowała się nad potokiem Reszówką, równoległym do Świerżówki i położonym od niej bardziej na wschód) oraz w stronę Rostajnego. Zbudowano drewniane mosty na Świerzówce : przy sklepie, koło szkoły i tuż przed jej ujściem do Wisłoki.

Lasy gromadzkie znajdowały się pod Uhercem i na Kolaninie, dużo było prywatnych.

W czasie okupacji istniał przymus pracy, głównie przy ścince i zwożeniu drewna. Zimą trzeba było codziennie odśnieżać drogę Kąty - Krempna - Grab. Duży oddział AK, liczący około 250 ludzi stacjonował na Kolaninie i Magurze. Podczas natarcia sowieckich oddziałów na Polany w 1944 roku wysiedlono ludność na zachód o czym pisałem w poprzednim rozdziale dotyczącym wojen światowych.

W 1945 roku prawie wszyscy mieszkańcy wyjechali na wschód (838 osób), pozostały cztery rodziny.

Zaraz po wojnie dość często przyjeżdżało do wioski polskie wojsko. Zawsze z nimi był sowiecki major. W zasadzce zorganizowanej przez to wojsko zginęło trzech członków oddziału UPA oraz jeden polski oficer. Polscy pogranicznicy stacjonowali w Krempnej. W

maju 1947 roku wywieziono pozostałe cztery rodziny na zachód w ramach akcji „Wisła”. Po roku 1957 niektórzy z nich wrócili.

Dziś wieś zamieszkała jest przez rodziny polskie i łemkowskie oraz mieszane. Przedwojenne budynki to m.in. murowana szkoła gdzie w lecie czynne jest schronisko młodzieżowe PTSM, były sklep i leśniczówka.

Na początku wsi, niedaleko mostu na Wisłoce, od szosy odchodzi polna droga do Desznicy. Około 30 m. od jej początku stoi kamienna kapliczka z 1862 roku.

Ozdobą wioski jest drewniana cerkiew unicka p/w św. Michała Archanioła, zbudowana w 1757 roku (data na nadprożu wejścia), przy pomocy Piotra Paszkiewicza. Budynek remontowano w latach 1796, 1826-1828 i 1914 oraz w latach 80-tych (wymiana pokrycia dachu i ścian). Obecną zakrystię zbudowano po 1933 roku.

Cerkiew jest orientowana, typu zachodniołemkowskiego : drewniana, trójdzielna, z wieżą zwieńczoną izbicą. Do prezbiterium od północy przylega zakrystia. Dachy i kopuły pokryte są blachą, gzymsy na zewnątrz cerkwi malowane były różnokolorowo. Jak dowiodły badania starych gontów z dachów i ścian, również one były malowane na jaskrawe kolory np. na czerwono czy niebiesko.

W nawie zwracają uwagę skrzyżowane tragarze ozdobione ornamentem sznurkowym.

Na początku lat 50-tych w cerkwi znajdowały się dwa ikonostasy. Jeden, z 1 połowy XIX wieku, stał przed sanktuarium, natomiast drugi, barokowy z XVII w. był złożony na strychu. W roku 1958 nie było już żadnego z nich.

Pozostał ołtarz główny późnobarokowy z wieku XVII z nowym obrazem Serce Jezusa oraz ołtarz boczny rokokowy z obrazem Ukoronowanie Matki Boskiej i rzeźbą Ducha Św. w postaci gołębicy. Nad otworem do prezbiterium umieszczono Pasję, wielostrefową ikonę Ukrzyżowanego - zapewne z XVIII wieku oraz 12 prazdników.

Wewnątrz świątyni zachowała się piękna polichromia, prawdopodobnie z 2 połowy XVIII wieku, przemalowana w roku 1826. Zaczęto ją odnawiać w roku 1991.

Obecnie jest tu sprawowany obrządek rzym. kat. Msze św. odprawiane są co dwa tygodnie na przemian ze Świątkową Małą. Odprawia je ksiądz przyjeżdżający z Desznicy - siedziby parafii.

Po drugiej stronie szosy znajduje się duży cmentarz połemkowski z kilkunastoma kamiennymi nagrobkami w dość dobrym stanie.

We wsi zachowało się kilka ładnych starych połemkowskich chyży, zwłaszcza bliżej Świerzowej. Ciekawa jest figura Świętej Rodziny z płaskorzeźbami świętych na cokole za skrzyżowaniem drogi do Desznicy.

Położona malowniczo wieś jest dużą atrakcją turystyczną. Jej przyszłość moim zdaniem to agroturystyka. Wieś posiada połączenie autobusowe z Jasłem oraz sprawnie działający sprywatyzowany handel. W centrum wsi położone są niszczejące obiekty po gospodarstwach rolnych Iglopolu.

Świerzowa Ruska

W latach siedemdziesiątych obecnego stulecia wieś nosiła nazwę Świerzowa. W niektórych starszych zapiskach spotyka się nazwę (Świerżowa Ruska).

Wioska założona prawdopodobnie w 1574 roku. W 1680 roku posiadała 4 gospodarstwa z ziemią, jedno bezrolne oraz młyn. Była wioską królewską. W 1765 roku posiadała już 27 ról i tartak.

Mieszkał tutaj oprócz sołtysa, krajnik, a więc zarządca wszystkich wiosek łemkowskich starostwa bieckiego.

21 lipca 1770 roku miała tutaj miejsce potyczka oddziału konfederatów Kazimierza Pułaskiego z Rosjanami. Około 200 konfederatów próbowało zorganizować zasadzkę na carskiego generała. Rosjanie nie dali się zaskoczyć i po zaciętej walce konfederaci wycofali się ze znacznymi stratami.

W 1845 roku wieś należała do Augusta Sternega, który nabył ją od Józefa Rogali Lewickiego. Z kolei dobra te nabywa Antoni hr. Mitrowski. W 1880 w spadku po nim wieś nabywa Jan Lewicki. Ten zaś sprzedał dobra świerzowskie w 1890 hr. Polutulickiej. W 1907 roku wieś liczyła 455 grekokatolików. Mieszkała tam wtedy też sześcioosobowa rodzina żydowska prowadząca karczmę. Funkcjonowała też 1-klasowa szkoła ludowa i sklep prowadzony przez katolika. Na folwarku Majdan, który znajdował się w górze potoku, mieszkali pracownicy leśni.

Z 28 uczestników I wojny światowej z tej wsi, zginęło 3. W lipcu 1927 roku wioska przeszła z wyjątkiem dwóch rodzin na prawosławie. Wybudowano cerkiew prawosławną przy głównej drodze, na wysokości cerkwi unickiej. Miejsce po tej świątyni leży 70 m. drogą przez potok od rzeźby Św. Rodziny z 1938 r. Leży ono na skarpie. Po wspomnianej cerkwi unickiej p.w. Św. Jana Chrzciciela zbudowanej w 1894 roku pozostała jedynie mała kopułka.

Na znajdującym się obok cmentarzu pozostało jedynie kilkanaście krzyży. Najstarszy spośród tych kamiennych krzyży pochodzi z 1883 r. Jest też tam polski nagrobek z napisem z 1904 r.

W tej malowniczo położonej niezamieszkałej aktualnie wiosce znajdujemy także idąc od strony Bartnego, z którą to wioską Świerzowa Ruska graniczyła, oprócz figury Św. Rodziny, także figurę Św. Mikołaja, ze śladami polichromii kolorowej. W dalszej części doliny spotykamy figurę Matki Bożej z 1894 roku i trzy duże krzyże z postacią Chrystusa. Wszystkie z końca XIX wieku.

W 1933 roku założono to proukraińską czytelnię Proświty, zamkniętą przez władze polskie. Funkcjonowała tu też spółdzielnia spożywcza „Nasz Trud" należącą do Związku Spółdzielni Ukraińskich we Lwowie, a potem do polskiego związku w Warszawie. Działał również prywatny sklep łemkowski. W 1936 roku mieszkało tu 406 prawosławnych, 22 unitów i 2 katolików obrządku łacińskiego. Istniała szkoła jednoklasowa z językiem ukraińskim. Drewniany budynek szkolny stał niedaleko cerkwi prawosławnej. Działała karczma sprzed I wojny. W 1945 roku wszyscy mieszkańcy wioski w liczbie 530 osób wyjechali do ZSRR, zabierając całe wyposażenie cerkwi. Po tym wydarzeniu powróciło do wioski kilka osób z robót przymusowych w Niemczech. Osoby te wysiedlono w 1947 r.

Zanim przejdę do opisu kolejnej miejscowości, także opustoszałej, podobnie jak Świerzowa Ruska tj. Rostajne, parę słów refleksji o ostatnio opisywanych miejscowościach, powiązanych ze sobą poprzez podobne koleje losu, więzi sąsiedzkie itd. Świerzowa, Świątkowa Wielka, Świątkówka i sąsiednie miejscowości to wsie przydrożnych świątków, zapłakanych jesienią, nostalgicznych i smutnych. Elektryfikację zaprowadzono tu na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych.

Ludzie opowiadają, że dawno temu, gdy nieczyste duchy chodziły po świecie, znalazł się w Świerzowej Ruskiej taki jeden - filozof chłopski, co sobie umyślił przechytrzyć diabła. Pożyczył pieniędzy od lucyferowego sługi, a nie śpieszno mu było z oddaniem.

Dawaj co moje - chodziło i prosiło diablisko. Chwat zasię:
Zobaczysz ty pieniądze, Belzebubie zatracony! Prędzej się Kolanin i Mareszka zejdą...

Diabeł zwołał braci i dalejże przesuwać Mareszkę. Ruszyła góra z posad. Ksiądz zobaczywszy, co się wyprawia, ledwo uprosił, aby odstąpili od zamiaru. Chłop zwrócił dług, ale urwisko pozostało.

Dawniej bywały tu wojny religijne. Teraz ustały ponoć po tym jak baca w Nieznajowej zagonił owce do cerkwi nie szanując miejsca uświęconego i piorun zabił siedemnaście owiec.

Teraz przeplatają się zwyczaje i obrzędy. Nie doszukują się ludzie czyje które święto. Nierzadko świętują Boże Narodzenie i Wielkanoc dwukrotnie, z wiarą męża i żony lub po sąsiedzku.

W Świątkowej są górale, przesiedleni z Obidowej, Skrzypnego. Na początku było różnie - góral, wiadomo zuch do wybitki. Teraz zadomowili się na nowym miejscu. Nie noszą strojów regionalnych, nie śpiewają, nie tańczą góralskiego na weselach. U dzieci zanika specyficzna mowa i akcent. Teraz oni świątkowianie - Łemkowie, Polacy z Tylawy i Huty Polańskiej oraz górale.

Ogniś wędrowało trzech braci. Nie byli to Lech, Czech i Rus, ale inni śmiałkowie złaknieni przygód i przestrzeni. Rozstali się więc i każdy poszedł w inną stronę. Upłynęło wiele lat, a pamięć o nich wieść gminna utrwaliła i przechowuje w nazwach miejscowości: Rozstajne /Rostajne/, w tym miejscu się rozeszli. Jeden poszedł w nieznane, przepadł bez wieści - stąd wieś Nieznajowa, obok Rostajnego. Ta ostatnia leży już poza terenem Gminy Krempna - na terenie województwa nowosądeckiego. Zajmijmy się teraz miejscowością gdzie nastąpiło rozstanie.

Rostajne.

W niektórych materiałach można spotkać się z pisownią Rozstajne. Nazwa być może pochodzi od rozstaju dróg, gdzie położona jest miejscowość. Od północy graniczy z Świątkową Wielką. Od wschodu przez las z Żydowskim, od zachodu z Nieznajową i od południa z Wyszowatką i Grabiem. Wioska leży nad potokiem Ryjak, przed jego ujściem do Wisłoki. W potoku tym wspaniałe tamy porobiły bobry. Latem można tu spotkać górali wypasających owce. W ciągu roku prywatna firma wypala tu węgiel drzewny w tzw. retortach. Jest też kilka zbudowanych na dziko letnich domków. Zachowało się bardzo mało śladów dawnej wsi.

Na skrzyżowaniu dróg, koło mostu od strony Świątkowej zachowała się duża, zbudowana z kamienia kapliczka. Budynki przy przystanku PKS - Rostajne Leśniczówka i Rostajne Skrzyżowanie leżą na terenie należącym przed wojną do wsi Świątkowa Wielka. Wioski te rozgraniczała rzeka Wisłoka. Za czasów PGR-ów wypasano tu bydło - tzw. wypas letni. Zachowały się tylko dwa żeliwne krzyże.

Wioska została założona przed 1581 rokiem. Miała wtedy 7 dworzyszcz wołoskich. Należała do parafii w Grabiu, i dóbr Stadnickich. W rejestrach podatkowych zachowało się nazwisko sołtysa o nazwisku Andrzej Rostański. Płacił on podatek od Świątkówki, Radocyny i Długiego. W 1888 roku żyło tu 389 gr. kat.

i 7 Żydów. Wieś spalona w 1914 roku wraz z cerkwią i plebanią przez Węgrów. Ludność mieszkała w ziemiankach. Część przeniosła się do Grabiu i innych sąsiednich wiosek. W 1918 roku żyło tutaj 283 mieszkańców. Od zakończenia wojny, aż do 1936 roku msze odprawiał proboszcz unickiej parafii z Grabiu. Tylko niewielka część mieszkańców przeszła na prawosławie. W 1936 roku mieszkało tu 298 grekokatolików, 20 prawosławnych i 7 Żydów. Stało około 65 domów, w tym cztery chaty kurne. Cerkiew unicka parafialna pw. Św.Św. Kosmy i Damiana była drewniana. Znajdowała się około 1200 metrów od Wisłoki w kierunku południowym i 80 metrów na wschód od szosy. Po cerkwi i po cmentarzu nie pozostały żadne ślady. Zbudowano ją w 1921 r. na miejscu poprzedniej z 1791, spalonej podczas I Wojny Światowej. W Rostajnym była przed wojną jedna rodzina Żydowska. Żyd prowadził karczmę i sklepik. Jego żona piekła bułki z dodatkiem ziemniaków. Podobno były bardzo miękkie. Po pierwszej wojnie światowej postawiono tymczasowy budynek szkolny. W latach 30-tych zbudowano nową szkołę, drewnianą, naprzeciwko cerkwi. Nauczycielem był Polak. Droga utwardzona kończyła się przed Wisłoką od strony Świątkowej Wielkiej. Mostu nie było. W 1939 roku rozpoczęto komasację gruntów.

W 1911 roku osiedlił się w Rostajnym Iwan Szatyński. Był rzemieślnikiem z okolic Dobromila, prawdopodobnie był Ukraińcem. Początkowo miał tartak wodny w górze wioski w stronę Grabiu, ale potem z niego zrezygnował. Drugi raz ożenił się w Nieznajowej i tam się przeniósł. Zmarł przed drugą wojną. Jego syn Włodzimierz ożenił się z Łemką. Obaj rzeźbili krzyże i figury przydrożne, zajmowali się też stolarką, robili szafy, kredensy a nawet wialnie /urządzenie oddzielające plewy od ziarna/. Dokładniej podobno robił ojciec. Syn mieszkał w Rostajnem za Ryjakiem, około 200 m poniżej cerkwi. Tam miał takarkę wodną. W 1945 roku z całą wioską wyjechał do ZSRR.

Z wioski tej pochodził wspomniany właśnie przy opisie Świątkowej Małej Cygan Michał Syłak /Siwak/ wraz z rodziną. Jako kowal prowadził kuźnię obok domu. Uprawiał ok. hektara pola. Jego drugim zajęciem była gra na skrzypkach. Uczył gry innych za opłatą. Grywał w kapeli weselnej /skrzypce, trąbka, cymbały stustrunowe, harmonia/. Grali głównie Cyganie i Łemkowie, W czasie wojny policja ukraińska zabrała mu żonę i siostrę. Niemcy wysłali je do Oświęcimia, gdzie zginęły. Został sam z dwójką dzieci, w tym z trzymiesięcznym synem. Jego samego kilka razy prowadzono na rozstrzelanie. Egzekucję jednak odkładano, bo we wsi potrzebny był kowal. Wysiedlenia w 1947 roku uniknął gdyż znajomy porucznik w czasie wesela uprzedził go o akcji. Zmarł w Świątkowej Małej pod koniec 1995 r. Tam też prowadził kuźnię.

W Rostajnym w czasie ostatniej wojny przysłany ze wschodu unicki ksiądz prowadził propagandę proukraińską. Aktywna była też policja ukraińska. Ksiądz ten jednocześnie uczył w szkole. Ludność wysiedlono jesienią 1944 roku, gdy zbliżał się front. Stacjonowały tu wojska niemieckie stawiając kuchnię polową.

Do ZSRR wyjechało większość - 269 mieszkańców. Pozostałe 11 rodzin wysiedlono w 1947 roku. Tym samym wioska przestała istnieć i tak przetrwało do dzisiaj.

Wyszowatka.

W niektórych dokumentach przeczytać można Wyszowadka. W latach siedemdziesiątych wprowadzono pisownię jak w podtytule.

Nazwa pochodzi od słowa „wisz" oznaczającego zarośla, sitowie, mokrą łąkę. Istotnie Wyszowatka położona jest w znacznej części na terenie podmokłym. Aktualnie istnieją tu budynki po byłych zakładach rolnych PGR a następnie Iglopolu oraz po zakładzie karnym, rozwiązanym pod koniec lat siedemdziesiątych. Miejscowość posiada połączenie autobusowe /PKS/ z Jasłem. Grunty po gospodarstwach państwowych poprzez Agencję Rolną Skarbu Państwa nabyli byli pracownicy i prywatna inicjatywa. Podobnie budynki.

W samej Wyszowatce przy drodze stoją dwa kamienne krzyże, obydwa z roku 1904. Na terenie gospodarstwa, około 50 m poniżej przystanku PKS stoi dobrze utrzymana, duża murowana kapliczka z kamienia, otynkowana i kryta gontem. Postawiono ją w 1924 roku.

Miejsce po cerkwi znajduje się w górze wioski, pomiędzy byłym biurem PGR a główną szosą. Asfaltowy parking przed biurami, to miejsce po łemkowskim cmentarzu. Nad rowem przydrożnym stoi zwalony krzyż z rzeźbioną postacią Chrystusa. Obok wspomnianych krzyży z 1904 roku stoi funkcjonujący sklep.

W 1629 roku wioska była własnością Marka Antoniego Stadnickiego. Znajdowały się tutaj 3 dworzyszcza wołoskie i jedno dworzyszcze sołtysie. W 1890 roku żyło tu 303 gr.kat., a w roku 1918 tylko 183. Po 1931 roku /było wtedy 210 gr.kat./, prawie cała wioska przeszła na prawosławie. Zbudowano drewnianą cerkiew prawosławną /wcześniej nie było żadnej/. W 1936 roku mieszkało w Wyszowatce 178 prawosławnych i 41 unitów. W roku 1938 wybudowano szkołę.

We wrześniu okopały się tu oddziały Obrony Narodowej. Niemcy nie atakowali. Jedynie nocą Słowacy ostrzeliwali Polaków z granicznych grzbietów. Oddziały ON odeszły później na północ.

Po drugiej wojnie światowej wioskę w całości wysiedlono na wschód. Wyjechało 240 osób. Wyszowatka jest ostatnią wioską w Gminie Krempna graniczącą z województwem nowosądeckim a zarazem pierwszą graniczną wioską z Słowacją idąc od strony zachodniej. Od wschodu sąsiaduje z Grabiem. Przynależy do rzym.kat. parafii w Krempnej /filia w Grabiu/.

Grab.

Ta przygraniczna, niewielka dzisiaj wioska, graniczy od wschodu z Ożenną, oddziela te wioski droga od Krempnej ku Granicy Państwa z Słowacją. Od północy poprzez pas leśny graniczy z Żydowskim. Leżące pomiędzy wsią a granicą lasy nie weszły w skład Magurskiego Parku Narodowego. Po likwidacji Nadleśnictwa Żmigród, lasy te przejęło Nadleśnicwo Gorlice.

Grab położony jest w dość rozległej dolinie potoku Ryjak, wpadającego do Wisłoki koło mostu w Rostajnem. Jest to jedna z najstarszych wsi w okolicy, Ma bardzo dobrze udokumentowaną historię. Duże znaczenie miał tu fakt, że Grab leżał przy trakcie handlowym, prowadzącym ze Żmigrodu i Krempnej przez Przełęcz Beskid na południową stronę Karpat. O szlaku tym wspominają dokumenty z połowy XV wieku. Wzmianka o samym Grabiu pochodzi z 1490 roku. Wtedy to król Kazimierz Jagiellończyk poświadczył, że Jan Wojszczyk ze Żmigrodu zapisał żonie Jadwidze 2000 grzywien posagu i wiana na połowie miasta Żmigród i wsi doń przyległych, wśród których wymienia się Grab.

W 1497 roku miał miejsce napad mieszczan ze słowackiego Bardejowa na wioskę Grab w odwet za ataki beskidników na kupców.

W roku 1581 wioska została opisana jako własność Mikołaja Stadnickiego. Liczyła już wówczas około dwudziestu gospodarstw / a dokładnie 17 dworzyszcz wołoskich, jednego komornika bez bydła, jednego zagrodnika bez roli i dworzyszcze sołtysie/. Wieś była siedzibą parafii, do której należały: Radocyna, Dołchy /Długie/, Ozinna /Ożenna/, Świętkowa /Świątkowa/ Mała, Wiszowatka, Nieznajowa i Rostajne. Świadczy to o dużym znaczeniu wsi i jest jakby potwierdzeniem teorii o zasiedlaniu tych terenów począwszy od południa.

W latach 1769-1771 powyżej Grabiu znajdował się jeden z obozów konfederatów barskich. Dowodził nim Kazimierz Pułaski. Często wyprawiał się z obozu przeciwko Rosjanom. M.in. Podjął próbę zaatakowania Lwowa. Potyczki staczano także koło obozu.

W styczniu 1770 roku, pod nieobecność konfederatów, wojska carskie zajęły Grab. Jednak 13 stycznia Pułaski i Mączyński odbili obóz. Ze względu na jego zniszczenie konfederaci przenieśli się do Koniecznej i Izb.

W 1849 roku traktem do granicy przeszły wojska rosyjskie, idące na pomoc Austrii w celu stłumienia powstania węgierskiego . Do granicy Galicji odprowadzał je sam car Mikołaj I. Pamięć o tym wydarzeniu jak podają przedwojenne kroniki, wciąż była żywa wśród mieszkańców wsi.

W 1880 roku żyło w Grabiu 611 osób, głównie grekokatolików. Istniała szkoła ludowa, jednoklasowa. We wsi w 1890 roku działała poczta a niedługo później telegraf. W roku 1907 istniała czytelnia Proświty, a w szkole uczyło dwóch nauczycieli.

W 1911 roku około połowy wsi próbowało przejść na prawosławie. Pisałem o tym opisując działalność bł. Maksyma Sandowycza, który pracował w Grabiu jako duchowny prawosławny. Jednak ordynariusz przemyski zręcznie ową schizmę zlikwidował. Podczas I wojny Austriacy aresztowali rodziny, które próbowały zmienić wiarę /część z nich została umieszczona w Thalerhofie/. Z kolei Rosjanie którzy niedługo potem zajęli wioskę, szykanowali unitów.

W czasie I wojny spalono między innymi budynki plebani i szkoły. W okresie międzywojennym działała tu czytelnia o profilu rusofilskim im. Kaczkowskiego . Istniała szkoła trzyklasowa z językiem ukraińskim. Proboszcz parafi unickiej obsługiwał cerkwie w Rostajnym i Ożennej.

W porównaniu z innymi wioskami schizma prawosławna nie znalazła w okresie międzywojennym zbytniego poparcia. Z około siedmiuset łemkowskich mieszkańców wsi wiarę zmieniło niecałe sto. Jak zaznaczają dokumenty cerkiewne, „Schizmatycy” z 1911 roku teraz pozostali przy wierze katolickiej Wyznawcy prawosławia zbudowali kaplicę prawosławną poza wioską, obok drogi odchodzącej do Wyszowatki.

W 1936 roku Grab liczył 609 grekokaolików, 85 prawosławnych, 26 katolików obrządku łacińskiego i 8 Żydów. Wyznania rzym. kat. byli Polacy odbywający służbę w straży granicznej. Część z nich mieszkała tu z rodzinami. Budynek strażnicy znajdował się prawie w tym samym miejscu co obecnie.

W Grabiu mieszkało trzy żydowskie rodziny, prowadzące sklepy. W wiosce istniał również spółdzielczy sklep łemkowski. Żyło też tutaj kilka rodzin cygańskich. Wieś przed drugą wojną uchodziła za zamożną. Ziemie, były tu jak na warunki górskie dość urodzajne.

W czasie wojny Niemcy utrzymywali placówki w szkole i strażnicy, obie po około 40 żołnierzy. Na roboty przymusowe wysiedlono około 100 osób. W czasie bitwy dukielskiej wieś wysiedlono ze względu na bliskość frontu. Najpierw do Wyszowatki, a później do Nieznajowej i Nowicy. Podczas budowy umocnień Niemcy rozebrali prawosławną cerkiew. We wrześniu 1944 roku na kilka godzin Rosjanie zajęli wioskę, ale wycofali się do Ciechani. Bardzo ciężkie walki o wieś trwały przez kilkanaście dni. Na wioskę prowadzono naloty bombowe. Niemcy wycofali się z wioski 17 stycznia 1945 roku.

Wiosną 1945 roku niedawno powróconych do wsi po wysiedleniu mieszkańców Grabiu wojsko polskie i sowieckie zaczęto wysiedlać do ZSRR. Wszyscy mieli opuścić wioskę. Jednak dzięki interwencji w Jaśle /powołano się na wcześniejsze zapewnienia władz o dobrowolności akcji/ około 40 rodzin zawróciło z drogi. Wyjechała wówczas ponad połowa mieszkańców wsi. W 1947 roku pozostałych wysiedlono w woj. gorzowskie i gdańskie. Od końca wojny aż do zakończenia akcji „Wisła" stacjonował w wiosce oddział polskiego wojska. Po 1956 roku pozwolono niektórym mieszkańcom Grabia wracać z zachodu, jeżeli był wolny dom i kawałek pola. W latach 50-tych osiedliły się w Grabiu rodziny z okolic Jasła i Nowego Targu. Dziś we wsi mieszka kilkanaście rodzin łemkowskich.

We wsi pozostało kilka łemkowskich chyży. Pod koniec lat siedemdziesiątych zamieszkała była jeszcze chata półdymna. Sporo jest przydrożnych krzyży i kapliczek. W niedługim czasie zacznie funkcjonować przejście graniczne w ramach tzw. małego ruchu granicznego. Skrajem wsi od strony Ożennej biegnie niebieski szlak turystyczny w kierunku odnowionego cmentarza wojennego Nr 4 z okresu I wojny. Ostatnio w miejscowej szkole wybudowanej na początku lat siedemdziesiątych dobudowano dach i uruchomiono kolejną, już 4-tą w gminie Krempna kotłownię ekologiczną. Obok szkoły w latach osiemdziesiątych wybudowano okazały budynek OSP i mleczarni. Wioska ma połączenie autobusowe /PKS/ z Jasłem.

Ożenna

Wieś przygraniczna, położona na wschód od Grabiu, po lewej stronie szosy biegnącej z Krempnej do Granicy Państwa.

Aktualnie jest tu 3 gospodarstwa indywidualne i obiekty po byłych gospodarstwach rolnych państwowych /ostatnio Iglopolu/. Obiekty te wraz z ziemią wydzierżawili byli pracownicy.

Wioska leży w górnym biegu Potoku Ryjak. Przez środek zabudowań przebiega niebieski szlak turystyczny w kierunku Ciechani. Tuż za wsią szlak pnie się zboczami góry Nad Tysowym, dawną drogą, której solidność pozwala przypuszczać, że właśnie tędy mógł wieść dawny szlak handlowy z przełęczy Beskid nad Grabiem do Krempnej i dalej do Żmigrodu. Po lewej stronie drogi biegnącej przez wieś idąc od strony Grabiu, około 100 m od skrzyżowania stoi duża rzeźba św. Rodziny. Jej cokół z przedstawieniami św. Mikołaja, Piotra i Pawła stoi za figurą.

Nazwa wsi pochodzi od słowa „ożyna", oznaczającego jeżynę. Wiadomo, że w roku 1581 Ożenna miała 3 dworzyszcza wołoskie i sołtysie. Wieś należała do Stadnickich.

W 1907 roku żyło tutaj 369 mieszkańców. Funkcjonowała czytelnia Proświty. Istniał przykomorek celny. Wioska nie przechodziła na prawosławie. W 1936 roku żyło tu 344 grekokatolików.

Większość mieszkańców wyjechała w 1945 roku do ZSRR. Pozostało 6 rodzin, które wysiedlono na ziemie zachodnie.

W latach siedemdziesiątych przy PGR istniał oddział zakładu karnego. Więźniowie pracowali przy produkcji rolnej i karczunku zarastających pól. Na południowo-zachodnim skraju wsi stoi strażnica graniczna /dawniej placówka WOP/. Poniżej strażnicy znajdowała się stara strażnica a później szkoła. Budynek ten od wielu lat stoi pusty i nadaje się tylko do rozbiórki.

Kiedyś odbywały się tam uroczystości święta WOP-u i inne uroczystości oraz zabawy. Naprzeciw tego budynku stoi sklep spożywczy wspólny dla mieszkańców Ożennej i tej części Grabiu. Na strażnicy mieszka kilka rodzin pracowników i emerytów.

Ciechania

To kolejna niezamieszkana wieś w Gminie Krempna. Przez jej środek przebiega niebieski szlak turystyczny z Ożennej do Huty Polańskiej. Wieś tę opisywał Stanisław Staszic przejeżdżając tędy w 1800 roku. Ciechania /po łemkowsku Tychania/ oznacza właściwie zacisze. Wieś leżała w dolinie potoku na zboczu Nad Tysowym. Istniała już w XVI wieku. Stanowiła własność Stadnickich. Stanowiła parochię wraz z oddalonym o 4 km Żydowskim. W roku 1880 mieszkało tu 340 grekokatolików, a wieś była własnością braci Thonet.

Ciechania została doszczętnie zniszczona podczas pierwszej wojny, ostała się tylko cerkiew. W roku 1928 około 1/3 wsi przeszło na prawosławie. Zbudowano wówczas prawosławną cerkiewkę.

Drewniana, grekokatolicka cerkiew p.w. św. Mikołaja, zbudowana w roku 1790. Miejsce po cerkwi znajduje się poniżej cmentarza, na którym przetrwało kilka nagrobków. Spotkać też można kilka kamiennych krzyży i kapliczkę z 1906 roku.

Z 1923 roku pochodzi opis wsi autorstwa Józefa Pawłusiewicza, byłego dowódcy strażnicy granicznej. Opis ten wiąże się z niecodziennym wydarzeniem, jakie miało tam miejsce, a którego był on mimowolnym świadkiem. Oto skrót relacji:

... Wioska Ciechania, oddalona od granicy cztery kilometry. Ciekawa to była wioska. Oprócz plebani grekokatolickiej, nie było tam ani jednej chaty z kominem. Wszystkie kryte słomą, zdawały się jakby przygniecione do ziemi swoim ciężarem nieproporcjonalnie dużych dachów. Dróżka do niej prowadziła wąska, kamienista, snadź przydatna widocznie do drewnianych wózków jej mieszkańców Łemków. Szkoły nie było tam żadnej. Dzieci uczęszczały do szkoły w Grabiu, oddalonym o sześć kilometrów. Wielu mieszkańców tej wioski nie tylko, że nigdy nie jechało w swym życiu pociągiem, ale go na oczy nie widziało, albowiem do najbliższego miasta Jasła dzieliła ich odległość pięćdziesięciu kilometrów. Mając w połowie drogi do Jasła miasteczko Żmigród, załatwiali tam swoje wszelkie sprawy związane z potrzebami skromnego życia...

... Ciechania, jak ogólnie mówiono była to „dziura odgrodzona od świata chińskim murem". Zimą Ciechania przy dużych opadach śniegu wyglądała jak z bajki. Zaspy śnieżne sięgały małych okienek kurnych chatek, od których śnieg odgarniano szuflami własnoręcznie sporządzonymi z drewna wierzbowego. Inaczej światło dzienne nie mogłoby zaglądać do ich wnętrza. O istnieniu życia zimą w tej biednej wiosce dawały znać odgłosy miarowych uderzeń cepów podczas młócenia owsa albo pianie koguta - zwiastuna zbliżającego się świtu, lub szczekanie psa na rabusia lisa, skradającego się do śpiących zagród po kurę. Najwyższym autorytetem czczonym przez mieszkańców wioski był staruszek ksiądz grekokatolicki od czterdziestu pięciu lat mieszkający obok cerkwi w również drewnianej plebani ze swoją córką Olgą i staruszką siostrą. Popadia, jego żona zmarła przed laty. Córka ukończyła gimnazjum w Przemyślu i wraz z ciotką prowadziła gospodarstwo. Ojciec posiadał opinię bogacza naładowanego dolarami i wydawało się dziwnym, że tak posażna córka wkracza już w staropanieństwo, nie mogąc doczekać się odpowiedniej partii.

Domniemane bogactwo stało się przyczyną tragedii, jaka rozegrała się na plebanii. Dokonano bowiem bandyckiego napadu rabunkowego. Oto co zastał autor relacji na plebanii, gdzie przybył na odgłos wołań o ratunek:

... Przekraczam z werandy próg sieni z zamiarem wejścia do pierwszych drzwi, gdzie mieściła się jadalnia, a później w następnym pokoju, gdzie znajdowała się sypialnia proboszcza i z chwilą, kiedy rzucam snop światła silnej służbowej latarki na progu wejścia do jadalni uderza mnie wstrząsający widok trupa Olgi. W koszuli nocnej leży na wznak w kałuży z przestrzeloną piersią. Oczy otwarte, twarz kredowo biała - tym bielsza, że odbija się od okalających ją kruczoczarnych włosów. Strach piekielny przed śmiercią przywarł do niej z jakąś straszliwą wyrazistością. Bokiem aby nie dotknąć zwłok Olgi, prześlizgnąłem się przez otwarte drzwi i wszedłem do jadalni. Odwróciłem się na chwilę i oświetliłem przejście towarzyszącemu mi żołnierzowi. Poszliśmy do sypialni proboszcza. Ten leżał martwy z podciągniętymi nogami, obok swego łóżka. Wyglądało jakby się przewrócił na prawy bok w pozycji klęczącej. Na zupełnie łysej czaszce widziałem dwa otwory po kulach. Prawy policzek do połowy zanurzony był w skrzepłej krwi. Palce u rąk ściskały kurczowo poły obszernej flanelowej piżamy. Może klęczał przed oprawcami i błagał o litość? Szybko opuściliśmy mieszkanie i znaleźliśmy się na podwórku plebanii, gdzie zebrała się już spora grupa mieszkańców Ciechani, wtórując lamentom zrozpaczonej siostrze po utracie najbliższych. Ocalała ona wychodząc nocą do obory na odgłosy zwierząt. Bandyci zamknęli ją w oborze od zewnątrz na skobel. Udałem się do placówki Huta Polańska z zamiarem zawiadomienia policji telefonicznie... A oto jak przedstawiał się w skrócie epilog tej ponurej zbrodni, która stała się przyczyną zatargów pomiędzy mieszkańcami Ciechani a mieszkańcami Huty Polańskiej. Ci ostatni byli posądzeni o nasłanie bandytów.

Placówka graniczna w Hucie Polańskiej mieściła się w budynku mieszkanki tej wioski, której mąż pracował w USA. Ona sama z córką, niejaką Haneczką i kilkorgiem młodszych dzieci mieszkała w starym budynku obok placówki. Wspomniana Haneczka często bywała u proboszcza w Ciechani i przyjaźniła się z jego córką Olgą, która uczyła ją sztuki pisania i czytania. Przez kilka miesięcy pracowała w Krakowie u lekarza w charakterze pomocy domowej, ale wkrótce powróciła do matki wydalona przez swoich pracodawców na wskutek podejrzenia o kradzież biżuterii. Ona to poznanym w Krakowie mężczyznom opowiedziała, że ksiądz ma dużo dolarów. Nocą zaprowadziła ich na plebanię. Mieli nie zabijać, tylko zabrać dolary a jej dać setkę za doprowadzenie na plebanię. Gdy usłyszała strzały - uciekła, gubiąc po drodze chustkę, która doprowadziła do jej zagrody. Nazwisk

oprawców nie znała. Ujęto ich w kilka miesięcy pod Krakowem. Po rozprawie sądowej wykonano na nich wyrok śmierci. Haneczka otrzymała półtora roku więzienia. Okazało się, że dolarów nie zrabowano, gdyż napastnicy nie zdołali ich odnaleść. Pomordowani nie przypuszczali, że grozi im śmierć i nie chcieli wydać ukrytych dolarów. Najpierw zastrzelili ojca, a córka w szoku zapewne nie potrafiła wskazać skrytki.

Zima 1928/29 była zimą stulecia w opisywanych stronach. Była niezwykle mroźna i śnieżna. Pokrywa sięgała kilku metrów. Stuletnie buki i jodły, zwłaszcza w dolinach rzek i kotlinach tzw. „mrozowiskach" wymarzły doszczętnie. Z drzew owocowych pozostały jedynie kikuty. Ucierpiała fauna i flora. Panował wielki głód wśród zwierza. Osobniki silniejsze pożerały słabsze. W lasach odnajdywano po kilka sztuk zamarzniętych saren lub jeleni przytulonych do siebie w poszukiwaniu ciepła.

Podczas drugiej wojny wieś stanowiła silny punkt oporu w systemie obrony niemieckiej. Wojska sowieckie zdołały jedynie uchwycić krótki odcinek przebiegającej w pobliżu wsi drogi z Krempnej do Grabiu. Ciechania pozostała w rękach niemieckich do stycznia 1945 roku. W okresie tych walk wieś została zniszczona. Mieszkańcom, którzy przeżyli nie pozostało nic. Wyjechali na teren sowieckiej Ukrainy.

W okresie socjalistycznej, państwowej gospodarki rolnej znajdował się tu ośrodek wypasu letniego bydła oraz bacówka owiec. W latach siedemdziesiątych budowano drogę przez Ciechań. Grunt najeżony był pociskami i innym wojennym żelastwem. Prace były bardzo niebezpieczne.

W latach osiemdziesiątych co roku urządzałem tu z dziećmi biwak. Raz chłopcy zameldowali mi, że w lesie leży bomba. Poleciłem niczego nie ruszać, udając się we wskazanym kierunku. Naprzeciwko mnie wyszło z lasu sześciu chłopców niosących na leszczynowych drążkach bombę lotniczą. Zamarłem w bezruchu. Chłopcy na mój widok stanęli jak wryci. Ponieważ na miejscu nie było telefonu, zgłosiłem obsłudze wypasu zaistniały fakt. Obiecano mi, że oni wiedzą jak sprawę załatwić, bo są w kontakcie z WOP-em. Polecili tylko, aby w nocy nie wychodzić z obozowiska. Około północy okolicą wstrząsnął potężny wybuch. Rano po ogrodzonej płotem z patyków bombie nie było śladu. Zapytałem pracowników wypasu, dlaczego tak postępują. Powiedzieli, że mają cichą umowę tak, aby nie ganiać co rusz saperów z dalekiego Przemyśla.

Zimą przejazd przez Ciechań drogą z Krempnej był bardzo utrudniony z powodu częstych zamieci i zawieruch śnieżnych. Sytuacja uległa poprawie z chwilą wybudowania drogi przez Rostajne. Do tego czasu całe zaopatrzenie wiosek i PGR-ów oraz oddziałów

zakładu karnego odbywało się przez Ciechań. Nieraz na śliskich, stromych podjazdach stały kawalkady pojazdów. Nie pomagały nawet łańcuchy na kołach. Raz jechałem wraz z legendą gór, wieloletnim dyrektorem PGR-u w Wyszowatce Mieczysławem Kmiecikiem. Podwładni ze względu na jego powiedzonka nazywali go najczęściej „Panie Wszelako". Słynął on z oryginalnego poczucia humoru. Stwarzał często sytuacje, które uczyniły go w okolicy sławnym. Widząc, że na czele sznura pojazdów znajduje się „buksujący" ciągnik, wypadł z samochodu z kożuchem w ręce. Wykrzykując na bezradnego traktorzystę rzucił kożuch pod tylne koło ciągnika. Ten ruszył z miejsca a za chwilę po nim inne pojazdy a na końcu my. Tylko z kożucha zostały strzępy. Kierowca współczuł szefowi, że ten poświęcił swój kożuch. Ten jednak odparł, że to nie był jego kożuch. Wówczas kierowca dopiero zorientował się, że jego kożuch nie leży na swoim miejscu. Wszyscy śmiali się, a kierowca nazajutrz otrzymał nowy kożuch z magazynu. Podobnych przypadków, o których krążyły mity których bohaterem był „Panie Wszelako" było mnóstwo. Wymagają one oddzielnego opracowania.

Dzisiaj na Ciechani przez cały rok jest bardziej cicho niż w całej dotychczasowej historii wioski. Po prostu powoli a systematycznie lasy zabierają to co kiedyś im wydarto.

Żydowskie

Pierwsza wzmianka o wsi pochodzi z 1541 roku. Mówi ona o jej sprzedaży przez Wojszyków Stadnickim. W XVII wieku Żydowskie /daw. Żydowsko/ było własnością Dembińskich, później w XIX wieku - Lewickich. Nazwa wsi wiąże się być może z tym, iż jej teren dzierżawiony był przez Żyda /Żydom nie wolno było posiadać ziemi na własność/.

W roku 1880 w Żydowskiem żyło 430 grekokatolików i 12 Żydów. Wieś należała do parafii unickiej w Ciechani.

Wieś położona była do czasu likwidacji po obydwóch stronach potoku Krempna aż do jego źródeł. Przez wieś przebiegał gościniec z Krempnej do Zborowa na Węgrzech. Do 1878 roku należało do okręgu sądowego w Dukli a następnie do Żmigrodu.

W okresie międzywojennym ok. 1/4 wsi przeszło na prawosławie. Postawiono wtedy cerkiew prawosławną.

Podczas bitwy dukielskiej, 12 września 1944 roku w rejon Żydowskiego przedarł się sowiecki I Korpus Kawalerii gen. Baranowa. Jego zadaniem było połączenie się z siłami powstańców słowackich po drugiej stronie granicy. 16 września korpus dostał się w okrążenie w rejonie wsi, przemieszczając się stopniowo na wschód. Korpus wyszedł z okrążenia ze

znacznymi stratami dopiero 25 września w okolicach Tylawy. Żydowskie pozostało w rękach niemieckich do stycznia 1945 roku.

Mieszkańcy Żydowskiego zostali wysiedleni. Obecnie są tam zabudowania po byłych PGR-ach. Największe obiekty /owczarnie na kilka tysięcy owiec/ i inne zabudowania przejął Magurski Park Narodowy z zamiarem utworzenia tu hodowli konia huculskiego. W latach siedemdziesiątych funkcjonował tu oddział zakładu karnego w Krempnej. Zimą działa tu orczykowy wyciąg narciarski. Panują dobre warunki śniegowe. Sporo zachowało się zdziczałych sadów, podobnie jak na Ciechani. Są to prawie jedyne ślady po zabudowaniach łemkowskich. We wsi zachowało się sporo interesujących pamiątek z przeszłości. Idąc szosą od strony Ciechani spotykamy po prawej stronie dwukondygnacyjną, murowaną kapliczkę z roku 1865; krzyż ją wieńczący stoi oparty o ścianę. 200 metrów dalej natrafiamy na kolejną podobną kapliczkę, bez daty. Dalej krzyż z 1908 roku. Niedaleko od mostku na rzece Krempna /zwany jest krzywym mostem, gdyż leży na podwójnym łuku drogi/, po lewej stronie szosy, na zarośniętej łące jest dawny cmentarz połemkowski z ładnymi kamiennymi nagrobkami, częściowo zdewastowanymi. Są tu rzeźbione, proste kamienne figury Chrystusa Ukrzyżowanego oraz piękny cokół z trzema płaskorzeźbami: św. Barbary, Matki Bożej i św. Jana. Na tym terenie stała „starodawna" cerkiew, o archaicznej bryle, nie przypominającej żadnej innej świątyni w okolicy. Jej ruiny stały jeszcze w latach pięćdziesiątych. W 1922 roku na sąsiednim placu postawiono nową cerkiew pod wezwaniem Wniebowstąpienia Jezusa Chrystusa. Miejsce po tej cerkwi to grupa starych lip na północ od wspomnianego cmentarza, za przepustem. Znajduje się tu kilkanaście nagrobków z początku XX wieku.

Jadąc od Krempnej do Żydowskiego przed wspomnianym krzywym mostkiem skręcała stara droga do Grabiu przez tzw. Słodkie.

Wieś Żydowskie leży w centrum Gminy Krempna. Do połowy lat siedemdziesiątych biegła tędy linia autobusowa z Jasła do Wyszowatki / z wyłączeniem zimy/. Trasa ta jest bardzo atrakcyjna widokowo choć stan nawierzchni drogi jest fatalny.

Huta Polańska

Jest to niezamieszkana /wyjątek stanowi jeden osadnik/ wioska, leżąca 4 km na południe od Polan pod słowacką granicą. Nazwa pochodzi od huty szkła, jaka istniała tu podobnie jak w Hucie Krempskiej. Wieś powstała w XVI lub XVII wieku. Wg. jednej wersji osiedliła się tu pozbawiona tytułów i majątków przez króla za rokosz szlachta z okolic Złotoryi. Wg. drugiej wersji osadzili się tu potomkowie konfederatów barskich. Wszyscy byli

mieszkańcy, których nazwiska kończą się na „ski" mieliby być pochodzenia szlacheckiego. Dawna huta była położona poniżej późniejszej szkoły a powyżej kościoła. Jej ślady odnajdywano w czasie orki, gdy pola były jeszcze uprawiane. Teraz tam jest łąka.

Zarówno ci, którzy byli pochodzenia szlacheckiego jak i pozostała połowa - chłopska, wiedli ciężki żywot uprawiając górską glebę, na której tylko owies się rodził. Wieś dawniej należała do Stadnickich, a pod koniec XIX wieku do braci Thonet. Podczas I wojny światowej Austriacy cofając się spalili pół wsi. Każdy poszkodowany otrzymał później od władz przydział drzewa na odbudowę gospodarstwa. Odbudowane domy nie dymiły już strzechą jak poprzednie, bo nie były dymne.

W 1904 roku wybudowano tu szkołę wraz z czytelnią. W szkole była kaplica, w której ksiądz z odległego blisko 30 km Żmigrodu odprawiał Msze św. co kilka tygodni. W pozostałe niedziele mieszkańcy chodzili do unickiej cerkwi w Ciechani. Tylko na śluby jeździło się do Żmigrodu. Chrzty i pogrzeby załatwiał ksiądz grekokatolicki z Ciechani. Ludność trudniła się rolnictwem i pasterstwem oraz wypalaniem węgla drzewnego.

Przed II wojną światową Huta Polańska liczyła 62 gospodarzy. Była to obok Huty Krempskiej druga enklawa polska w środku łemkowskich wiosek.

W latach poprzedzających II wojnę Światową mieszkańcy rozpoczęli budowę kościoła z kamienia, na wzór pustelni św. Jana z Dukli. Nadszedł czas wojny i świątynia prawie ukończona nie została poświęcona. W czasie działań wojennych 1944 roku kościół został częściowo uszkodzony, a po wysiedleniu wsi popadł w ruinę. /wg. jednej wersji blacha miała być skradziona/.

Do niedawna przy niebieskim szlaku granicznym stały jeszcze gołe, mocno uszkodzone mury, zarośnięte drzewami i krzewami. Wokół i w środku leżała gruba warstwa gruzu. Często wędrowałem z młodzieżą w tamte strony podziwiając uroki okolicy. Ruiny wydawały się być romantyczne. Były niemymi świadkami historii Huty Polańskiej.

W 1991 roku proboszcz parafii rzym. kat. Polany wraz z parafianami, byłymi mieszkańcami Huty i ich potomkami przy współpracy z Kołem Łowieckim „Zacisze" postanowił odbudować świątynię. Rozpoczęto od odkrzaczania i odgruzowania. W dniu 3.11.91roku pod ruinami kościoła po 50 latach odbyła się uroczysta Msza św. połączona z uroczystością żałobną na miejscowym cmentarzu położonym nad kościołem, cmentarz ten także odnowiono.

Wielu byłych mieszkańców nie ukrywało łez wzruszenia. Ksiądz Delekta doprowadził swoje dzieło odbudowy do końca. Wśród grupy zapaleńców, którzy wiernie mu pomagali

należy wymienić obecnych mieszkańców Myscowej: Krzysztofa Delimatę, Tadeusza Ziębę, Kazimierza Ziębę. Komitet odbudowy pozyskał fundusze od osób prywatnych i różnych instytucji. W trakcie odbudowy, którą ostatecznie ukończono w 1995 roku, co roku początkiem listopada odbywały się tu uroczystości już w uporządkowanym wnętrzu a następnie pod założonym i nakrytym blachą dachem. W dniu 12 listopada 1995 roku z udziałem ks. bp Kazimierza Górnego, ordynariusza rzeszowskiego odbyła się uroczystość poświęcenia odbudowanego z ruin kościoła.

Przygodnym turystom może to wydawać dziwne, że jest tu kościół a nie ma mieszkańców. Służy on byłym mieszkańcom, którzy spotykają się tu co roku oraz ich potomkom, gromadzącym się rokrocznie na miejscowym cmentarzu. Służy także członkom koła łowieckiego „Zacisze", którzy walnie przyczynili się do dzieła odbudowy.

W okresie okupacji wieś byłą przygranicznym punktem przerzutowym uciekinierów na zachód. Pisałem o tym w poprzednim rozdziale. Mieszkańcy Huty pomagali polskiej partyzantce operującej w okolicznych lasach. Niemiecka Placówka Graniczna mieściła się w szkole do czasu wybudowania nowego obiektu.

W szkole znajdowała się też stołówka dla załogi. W 1940 roku jedno pomieszczenie spełniało rolę klasy szkolnej. Naukę prowadził polski nauczyciel Urbański. Pochodził on z kresów wschodnich, skąd uciekł po zajęciu tych terenów przez sowietów w 1939 roku. W domach, w których przed wojną mieszkali polscy strażnicy graniczni mieszkali teraz Niemcy. W 1944 roku w trakcie walk o przełęcze beskidzkie toczyły się tu zacięte walki. Wieś była pod ciągłym ostrzałem. Mieszkańcy kryli się w lasach. Część uszła do Olchowca, gdzie byli już sowieci. Opustoszała wieś została doszczętnie zniszczona. Ocalały tylko 4 domy od strony Polan. Teraz gospodarstwa te zostały włączone do wsi Polany. Majątek, który zabrali ze sobą uciekinierzy z Huty umieścili w kościele. Gdy powrócili po niego po ustaniu walk przepadł bez wieści. Na pograniczu wsi Ciechania i Huta Polańska doszło do potyczki czołgów. Drogi były tak rozbite przez czołgi, że stanowiły szeroką jezdnię. Wszystkie mostki na drogach zostały wysadzone. Do dziś widoczne są przyczółki wykonane z kamienia na odcinku Huta Polańska - Ciechania.

Uciekinierzy z Huty ocalili tylko siebie - jak wspomina córka wymienionego z nazwiska nauczyciela. Po wojnie nie pozwolono im powrócić do Huty. Zresztą nie mieli do czego wracać. Rozproszyli się po sąsiednich miejscowościach zajmując domy po wysiedleńcach. Dziś spotykamy ich i ich potomków najczęściej w Myscowej, Tylawie, Mszanie, Polanach, Krempnej, Świątkowej.

W latach siedemdziesiątych krośnieńskie „Polmo” zlokalizowało tu ośrodek wypoczynkowy. Wykonano małą zaporę spiętrzającą wody tut. strumienia. Tamę przerwały groźne po obfitych opadach wody potoku. Zaniechano utrzymania ośrodka. Budynek ośrodka został wykupiony przez osadnika. W ostatnich latach w Hucie wybudowano osadę złożoną z kilku budynków wielorodzinnych zlokalizowaną w dawnym przysiółku tzw. Nowa Huta. Dzisiaj mieszkają tam pracownicy Magurskiego Parku Narodowego. Przy drodze do Ciechani leżał przysiółek tzw. Zakończiny. 2 km powyżej kościoła leżał przysiółek Huta Parysowska /parsowska/.

Polany

Jest to wieś położona Nad rzeką Wilsznia, prawym dopływem Wisłoki. Obecnie główna zabudowa wsi ciągnie się idąc od strony Olchowca, wzdłuż potoku Baranie i dalej wzdłuż rzeki Wilsznia, aż do jej ujścia do Wisłoki. Z racji dawnej swej wielkości wieś miała liczne przysiółki: Ostryszne /u ujścia Wilszni do Wisłoki/, Dobańci /pod górną Dobańce/ - utworzony po komasacji ukończonej w 1936 roku, Syhowatec /Suchować, przy drodze do Myscowej z centrum wsi, Roztoka/ ok. 1km w kierunku na Chyrową/. Zachowały się w opisach i tradycji niektóre nazwy pól i ról: Kosarzyska, Byrdziawy, Pasiky, Bzianec, Szybenyci.

We wsi, zwłaszcza od strony Huty, zachowało się kilka ciekawych domów z początku naszego wieku. Niektóre z nich podobnie jak w sąsiednich wioskach wykupują mieszkańcy miast i urządzają jako letnie dacze. Pozwala to zachować ich stary wygląd i niekiedy ocalić od wyburzenia. Przy drodze do Olchowca, po prawej stronie, na niewielkim wzniesieniu stoi kamienna kapliczka z 1863 roku z misternie kutym krzyżem.

Nazwa wsi może sugerować, że przed jej lokowaniem prowadzono na tym terenie wypasy na polanach. Dopiero później rozpoczynano budowę stałych gospodarstw. Potwierdzałby to nadany onegdaj Polanom przydomek „Myscowskie”. Czyżby ze starszej Myscowej mieli pochodzić pasterze wypasający stada na tut. polanach?

Wzmianka z 1581 roku wspomina o osadzie jako posiadłości Stadnickich, parafii Misczowa /Myscowa/. Posiadłość tą Stadniccy zachowali do XIX wieku. W 1624 roku wieś zniszczyli Tatarzy.

W 1880 roku mieszkało we wsi 1061 osób - 998 katolików obrządku wschodniego, 47 katolików obrządku łacińskiego i 16 Żydów.

Wówczas stała we wsi cerkiew drewniana. Dobudowano do niej murowane sanktuarium. Jej ruiny stały do lat siedemdziesiątych w bezpośrednim sąsiedztwie cerkwi murowanej /aktualnie kościoła rzym. kat./. Jej drewniana nawa i babiniec uległy spaleniu podczas I wojny światowej. Cerkiew była typu zachodniołemkowskiego, podobna do remontowanej chyrowskiej /we wsi Chyrowa/. W tym miejscu znajdują się także resztki dawnego cmentarza przycerkiewnego - dwa uszkodzone nagrobki z połowy XIX wieku.

Dawny cmentarz unicki położony jest przy drodze w kierunku Dukli na granicy wsi. Dziś stoi tam kilka ładnych kamiennych krzyży, w tym jeden z kamiennym cokołem, na którym wyryto płaskorzeźby Matki Bożej, św. Andrzeja i św. Mikołaja.

Pod koniec ubiegłego wieku wieś była własnością pana Maniawskiego. Był z niego niezgorszy hulaka. Często procesował się z miejscowym parochem Deskrebetowicz-Sieleckim. Pozywali się nawzajem do sądów. Na procesy jednak jeździli jedną bryczka gdyż tak wychodziło taniej. Przed śmiercią Maniawski zapisał część majątku polańskiej parochii. Cerkiew musiała się jednak procesować o spadek z krewnym Maniawskiego - panem na Osieku /koło Żmigrodu/. W wyniku decyzji sądu parafia otrzymała znaczą sumę pieniędzy, dzięki czemu można było rozpocząć budowę nowej świątyni.

Po Maniawskim cześć majątku kupili Żydzi, później bracia Thonet, założyciele wiedeńskiej fabryki mebli giętych. W Polanach zbudowali tartak parowy. Wyrabiało się tu m.in. drobne elementy do mebli. Tartak spłonął w czasie I wojny i nie został odbudowany. W okresie międzywojennym cześć wiejskich gruntów dostała się w posiadanie żydowskiej spółki Rosenthal-Barer z Dukli.

Podczas I wojny dolna część wsi została spalona. Do Thalerhofu wywieziono 5 osób. W 1920 roku na tyfus zmarło wielu mieszkańców wioski.

Po 1926 roku około połowy mieszkańców przeszło na prawosławie.

Postawiono wtedy niewielką cerkiewkę /na terenie dzisiejszej leśniczówki/, która spaliła się w 1944 roku. Między prawosławnymi a grekokatolikami dochodziło do awantur - wlewano ropę do studni, podrzucano zdechłe koty itp.

Po ukończeniu komasacji wieś rozciągnęła się znacznie. Pobudowano nowe domy w odległych częściach Polan. W ten sposób powstały nowe przysiółki. Do okresu drugiej wojny światowej było we wsi trzy karczmy żydowskie i dwa prywatne sklepy łemkowskie.

Podczas działań 1944 roku wieś ucierpiała mniej niż sąsiednie. W 1945 roku ludność wysiedlono do Związku Sowieckiego. Pozostałe rodziny wysiedlono w 1947 roku we wrocławskie i szczecińskie. Około 50 osób powróciło po latach do Polan.

W okresie walk 1944 roku nowa cerkiew została uszkodzona. Pożogi wojenne przetrwał akt fundacyjny świątyni. Wymieniony był w nim Maniawski jako fundator. Nie wiadomo co z owym dokumentem stało się później.

Dekretem Starostwa Powiatowego Krośnieńskiego z roku 1949 cerkiew przekazano Kościołowi rzymskokatolickiemu. Nie podjął on jednak odbudowy, nabożeństwa łacińskie odprawiano początkowo w domach prywatnych, a od 1962 roku w kaplicy wybudowanej z nieheblowanych desek.

W roku 1960 gospodarz z Polan Jan Gałczyk rozpoczął starania o powołanie we wsi parafii prawosławnej i odbudowę cerkwi. Wówczas rozpoczęła się trwająca do niedawna wojna religijna w Polanach. Zbierano podpisy mieszkańców Polan mówiąc, że chodzi o odbudowę cerkwi, ale nie informując o tym, iż ma być ona prawosławna. Władze początkowo odrzuciły podanie, bojąc się reaktywowania grekokatolicyzmu, ale w 1966 roku zgodziły się na utworzenie parafii prawosławnej i przekazały jej cerkiew /oczywiście bez zgody Kościoła katolickiego/. Świątynię odbudowano, znów z pomocą Ameryki, ale także przy udziale katolików z Polan. Remont zaczęto w 1965 roku, ukończono w 1971. Wtedy też przy okazji rozebrano kaplicę rzymskokatolicką. 28 listopada 1971 roku rzymskokatolicy pod wodzą proboszcza i za wiedzą biskupa rozbili zamki zakrystii i zajęli cerkiew. Ostateczne przejęcie przez nich świątyni nastąpiło po walkach w lutym 1972 roku. Proboszcz rzymskokatolicki ogłosił likwidację parafii prawosławnej. Cerkiew przemianowano na wezwanie Matki Boskiej Częstochowskiej. Zniszczony został ikonostas a ołtarz wyrzucony na pole, zabrano sprzęty liturgiczne. Z krzyży na bocznych kopułach odcięto drugie ramiona i ruskie poprzeczki.

Sprawa trafiła do sądu, który orzekł w 1982 roku wspólne użytkowanie cerkwi przez obie strony. Nigdy jednak do tego nie doszło. Nadal trwały spory i bijatyki. Proponowano prawosławnym /stanowiącym zdecydowaną mniejszość/, aby wybudowali sobie kaplicę. Sporządzono nawet stosowne plany i wydano pozwolenie. Kościół katolicki proponował częściowe pokrycie kosztów budowy. Prawosławni możliwość tę odrzucili - chcąc odzyskać cerkiew. Proponowano też wpuszczenie prawosławnych do cerkwi, ale bez księdza. Oczywiście taką propozycję zignorowano. Przez kilka lat liturgia prawosławna była odprawiana na placu cerkiewnym pod starą lipą, którą też ponoć wycięto. W wyniku apelacji zmieniono i orzeczono prawo Kościoła rzymskokatolickiego do wyłącznego użytkowania świątyni. Spór przycichł po śmierci Jana Gałczyka i wyjeździe niechętnego prawosławnym proboszcza. Aktualnie odprawiane są nabożeństwa przez ks. unickiego w spornej cerkwi. Prawosławnym pozostało uczęszczanie do cerkwi w Zyndranowej.

Z chwilą wprowadzenia nowego podziału administracyjnego w 1972 roku zlikwidowano gromadę Polany /ze wsiami Myscowa i Olchowiec/ podległą powiatowi krośnieńskiemu przyłączając Polany i Myscowę do Gminy Krempna a Olchowiec do Gminy Dukla.Polany były połączone z Krempną jedynie wąską i niepewną kładką na Wisłoce i kiepską drogą podmywaną i zalewaną co raz przez wezbrane wody Wilszni. Łączność autobusową miała w przeciwnym kierunku i nadal ciążyła do Krosna. Nikt specjalnie nie pytał wówczas o opinię mieszkańców co do przynależności terytorialnej. Most na Wisłoce, granicznej rzece z Krempną wybudowano dopiero w latach osiemdziesiątych wraz z budową drogi o nawierzchni asfaltowej. Wówczas uruchomiono linie autobusowe do Polan z Jasła przez Krempną i linię autobusową z Krosna do Krempnej przez Polany.

W latach pięćdziesiątych działała w Polanach podobnie jak w Krempnej spółdzielnia produkcyjna „Solidarność". We wsi jest ośmioklasowa szkoła podstawowa samorządowa. Jej budynek stoi naprzeciw budynku dawnej spółdzielni /punkt skupu żywca do niedawna/ po drugiej stronie rzeki Wilszni.

Ostatnio we wsi wybudowano okazały Dom Strażaka.

Myscowa.

I tak dotarliśmy do opisu ostatniej już miejscowości na obszarze gminu Krempna a zarazem do czasów drugiej wojny światowej największej i najzasobniejszej. Także była to i jest wieś o najstarszych tradycjach. Została lokowana na prawie wołoskim w 1420 roku. Jej osadźcą był Michał Wałach. Leżała w posiadłościach Wojszyków, a później w wyniku rodzinnych koligacji przeszła pod panowanie Stadnickich. Nazwa wsi pierwotnie Myślcowa pochodzi prawdopodobnie od imienia Myślec.

Od XVII wieku właściciele zmieniali się często - byli nimi kolejno Kochanowscy, Lubomirscy, Siemieńscy, Lewiccy, Potuliccy. W roku 1581 istniała już w Myscowej cerkiew parafialna. Zbudowana została podobno w początku XV wieku i przetrwała do 1796 roku, kiedy postawiono nową murowaną świątynię.

W roku 1880 wieś liczyła 1190 grekokatolików oraz kilku katolików obrządku łacińskiego i 6 Żydów.

Podczas pierwszej wojny świaowej, po wyparciu Rosjan pięciu mieszkańców Myscowej wywieziono do Thalerhoftu. Ludność cierpiała wtedy wielką biedę. Zdarzały się przypadki wypieku placków z mchu zrywanego z drzew. W latach 1928-1935

przeprowadzono we wsi komasację. Znaczenie powiększyła się dzięki temu zamożność wsi. Przeciętne gospodarstwo liczyło 12 morgów /ok.7 ha/.

Naprzeciwko cerkwi, po drugiej stronie potoku Myścówka, tuż koło drogi, na wzgórku stał do pierwszej wojny światowej dwór /potem w tym miejscu zbudowano leśniczówkę/. Na placu poniżej tego wzgórza, po drugiej stronie drogi do 1937 roku odbywały się co miesiąc jarmarki, na które zjeżdżali chłopi nie tylko z sąsiednich wsi, ale także z Słowacji, z okolic Preszowa. Handlowano tu zwierzętami. W tym samym miejscu organizowano festyny. Koło placu targowego stała do I wojny karczma, prowadzona przez Żyda. We wsi była jeszcze jedna gospoda w kierunku wsi Kąty.

Do czasów II wojny światowej stały tu dwa młyny wodne. Jeden z nich wytwarzał energię elektryczną na potrzeby gospodarstwa. Był też tartak i folusz.

Trudniono się tu kamieniarstwem, wykonując żarna i osełki a także figury i krzyże kamienne. Kamień przywożono z okolic Folusza jako że miejscowy był za twardy i łatwo się kruszył. Być może niektóre z nagrobków na cmentarzu pochodzą z tutejszych warsztatów. We wsi było aż sześciu kowali /Cyganów i Łemków/. Sporo osób zajmowało się też stolarstwem.

W okresie międzywojennym we wsi mieszkał Rosjanin Malcew, osiadły tu po pierwszej wojnie. Był jednym z komunistycznych agitatorów, który później zginął w Oświęcimiu. Po wybuchu drugiej wojny w Myscowej znajdowali pomoc zbiegli jeńcy sowieccy. Organizowali oni partyzantkę wespół z mieszkańcami wsi, ukrywającymi się przed wywózką na roboty do Niemiec. W 1943 roku w sierpniu powstał we wsi oddział „Bojcy ża Sowiety" pod dowództwem mjr Aleksandra Burdowa. W jego formowaniu wziął udział łemkowski działacz komunistyczny Grzegorz Wodzik. W 1944 roku pojawił się w okolicy sowiecki oddział partyzancki im. Czapajewa, z którym przed nadejściem frontu odeszli miejscowi partyzanci.

Mieszkańcy Myscowej, choć przez cały okres międzywojenny nie porzucili wiary i nie przeszli na prawosławie, dalecy byli od utożsamiania się z nacjonalistyczną ideologią ukraińską. Toteż gdy po wybuchu wojny miejscowy paroch rozpoczął agitację proukraińską, chłopi niemalże zbojkotowali jego kazania. Ksiądz podobno denuncjował mieszkańców, zaangażowanych w komunistyczną partyzantkę. Po kilkukrotnych bezskutecznych ostrzeżeniach, wobec stałej współpracy duchownego z Niemcami, partyzanci zabili go w 1943 roku.

Podczas bitwy dukielskiej skrajem wsi od strony Ostrysznego przebiegała linia frontu. Prawie cała wieś była w rękach niemieckich. Okres ten opisywałem wcześniej. W 1945 roku

95% mieszkańców wyjechała „na sowiety". Resztę mieszkańców wysiedlono dopiero w 1948 roku w okolice Legnicy i Lubina. We wsi pozostały nieliczne osoby. Gospodarstwa zostały w części zajęte przez Polaków ze spalonej Huty Polańskiej, a ze strony Kątów przez mieszkańców Kątów. Po 1956 roku powróciły z zachodu tylko dwie rodziny Łemkowskie.

Z Myscowej pochodził Jan Dyki /1919-1975/, ludowy poeta, który spędził na emigracji ponad 35 lat. Jego marzeniem był powrót do rodzinnej wsi. Udało mu się to na trzy lata przed śmiercią. Myscowa i Łemkowszczyzna to jeden z częstych tematów jego wierszy.

„Bo nasza Łemkiwszczyzna, prekrasna okołyca
ne zastupyt nam jej żadna zahranyca."

Myscowa była dawniej jedną z największych wsi. Ciągnęła się wzdłuż potoku Myścówka, a potem ok. 3km w dół Wisłoki, po obu jej brzegach. Dziś po lewej stronie Wisłoki pozostało tylko kilka budynków, ale są najciekawsze. Niektóre z budynków zachowały jeszcze sposób malowania glinką o barwie ciemnobrązowej lub żółtej z jasnoniebieskimi pasami pokrywającymi szpary między belkami zrębu. Najstarszy datowany budynek pochodzi z 1874 roku. Nieliczne połemkowskie chyże uratował od niechybnej rozbiórki zakaz wznoszenia nowych domów, związany z planami budowy zapory na Wisłoce, obowiązujący przez wiele lat. W ostatnich latach połączono wioskę z siedzibą gminy drogą asfaltową z mostem na Wisłoce. Do niedawna wieś ta była praktycznie od ostatniej wojny odcięta od świata. Prowizoryczne kładki na Wisłoce od strony Kątów i Krempnej często były zrywane w czasie powodzi. W okresie wezbranych wód rzeki, co w górach zdarza się często, oraz zimą wieś była odcięta. Aktualnie jest połączenie autobusowe z Jasłem i Krosnem. Po wielu latach milczenia znów poważnie mówi się o budowie zapory i zalaniu wioski. Prowadzone są wiercenia gruntu i aktualizowana jest dokumentacja. Ja osobiście uwierzę w przedsięwzięcie jak zobaczę pierwsze prace w terenie. Do tego czasu jeszcze sporo wody upłynie w Wisłoce. Inwestycję pozytywnie zaopiniowała Dyrekcja Magurskiego Parku Narodowego.

Poszczególne części wsi mają swoje nazwy. I tak idąc od cerkwi w dół Wisłoki mijamy dwa przysiółki - Klucz i na końcu, przed samymi Kątami - Kręcisz. Przy drodze do Krempnej leży Wola, a nad Myscówką, w kierunku Hyrowej - Bucznik. Niektóre nazwy potoków to Syplakanskyj, Hawczanskyj, Romani.

Obok cerkwi waliła się przez wiele lat dzwonnica drewniana o konstrukcji słupowej, pochodząca co najmniej z XVIII wieku. Jej stan był gorzej niż rozpaczliwy. Zwracał uwagę zwisający z jej szczytu piękny kuty krzyż żelazny, wyjątkowo misternej roboty. W 1984 roku

do dzwonnicy - jak na ironię - przybito tabliczkę „Obiekt zabytkowy”. Były podobno pieniądze na jej całkowitą rekonstrukcję, ale nie znaleziono ponoć wykonawcy. W czerwcu 1986 roku dzwonnica nie oparła się silnej wiosennej burzy. Jej szczątki szybko usunięto, a krzyż przepadł bez wieści. Na miejscu starej dzwonnicy postawiono nową murowaną, której konstrukcja szczęśliwie współgra z charakterem świątyni.

Około 400 metrów od cerkwi, przy drodze do Polan, znajduje się cmentarz. Na jego terenie stoi kaplica p/w św. Mikołaja, obecnie w ruinie. Na starszej części cmentarza przeważają nagrobki kamienne, najstarsze z lat 1880-tych. Naprzeciw cmentarza stoi murowana kapliczka z przełomu XIX i XX wieku.

Wieś posiada 8-klasową szkołę podstawową, mieszczącą się w dawnym budynku murowanym, piętrowym wzniesionym siłami mieszkańców w 1937 roku. Mieścił się tu sklep /tzw. kooperatywa/ i mleczarnia. Na piętrze w dużej sali odbywały się przedstawienia i zebrania. Dawniej na ścianie frontowej budynku pod datą budowy była tabliczka z napisem /trud selański/, co by oznaczało /wysiłkiem wioski/.

Dzisiaj przyszły los mieszkańców wioski jest nadal niepewny. Czyżby nad wsią ciążyło jakieś fatum za zabicie księdza w 1943 roku? Jeśli tak to dotyczy ono miejsca a nie ludzi, których rzucił tu los i z tą sprawą nie mieli nic wspólnego. I tak skończyliśmy wędrówkę po Krempnej i jej przepięknej okolicy odbywaną raczej w przeszłości niż w teraźniejszości.

Bibliografia:

1. Bobulski S.: Nasze cmentarze z I wojny światowej. Sobolów 1989.
2. Brykowski R.: Łemkowska drewniana architektura cerkiewna w Polsce, na Słowacji i Rusi Zakarpackiej. Warszawa 1986.
3. Chomiak R.: Nasz łemkowski los. Nowy Sącz 1995.
4. Czajkowski J.: Zagroda i dom w Beskidzie Niskim i na Pogórzu. Sanok 1983.
5. Długasszek R.: U źródeł Wisłoki. Warszawa 1991
6. Duź-Fajfer H.: Łemkowie w Polsce. Płaj Nr 9.1994
7. Daszkiewicz A.: Ruch oporu w rejonie Beskidu Niskiego 1939-1944. Warszawa 1975
8. Frodyma R.: Cmentarze wojskowe z okresu I wojny światowej w rejonie Beskidu Niskiego i Pogórza. Warszawa 1989
9. Garbacik J. /red/: Studia z dziejów Jasła i powiatu jasielskiego. Kraków 1964

10. Grzesik W. Traczyk T.: Od Komańczy do Bartnego. Warszawa 1992
11. Hałuszko M.: Centralny obóz pracy w Jaworznie. Magury 1993
12. Jarosławycz W.: Historia parafii w Świątkowej Wielkiej. Magury 1988
13. Kalupa M.: Polak-Węgier dwa bratanki?... Magury 1990
14. Karpiński A.: Kościół wyznania ewangelicznego na Łemkowczyźnie. Płaj nr 10. 1995
15. Kłos S.: Krosno i okolice. Przewodnik. Warszawa 1987
16. Kotula F.: Po Rzeszowskim Podgórzu błądząc. Kraków 1974
17. Kroh A.: Łemkowie. Nowy Sącz 1990
18. Kroh A.: Piękne odpoczywanie. Nowy Sącz 1991
19. Krygowski W.: Beskid Niski. Warszawa 1967
20. Ks. Sarna W.: Opis powiatu krośnieńskiego
21. Ks. Sarna W.: Opis powiatu jasielskiego. Jasło 1908
22. Leskowski M.: Rozwiązanie kwestii mniejszości ukraińskiej w Polsce 1944-1947
23. Martyniewicz J.: Kurna chata występująca w Bieszczadach i Beskidzie Niskim. Sanok 1983
24. Mastej A.: Zabytkowe cerkwie w Jasielskim. Rocznik jasielski 1970-1971
25. Molar F.: Wspomnienia korespondenta wojennego. Magury 1990
26. Myśliwy P.: Beskidy Wschodnie. Gdańsk 1992
27. Okoń M.: Beskidy, część wschodnia. Kraków 1987
28. Olszański T.A.: Austriackie represje w Galicji. Obóz w Thalerhofie
29. Olszański T.A.: Drogi Tożsamości Łemków. Magury 1990
30. Olszański T.A.: W lasach zachodniej Łemkowszczyzny. Magury 1993
31. Olszański T.A.: Święty Maksym Sandowycz. Płaj 1994
32. Ostrowska A.: Wyznaniowe dzisiaj Łemkowszczyzny. Magury 1990
33. Pawluś J.: Materiały do historii Huty Polańskiej. Magury 1993
34. Pawłusiewicz J.: Na dnie jeziora. Warszawa 1991
35. Pieracka K.: Na szlakach Łemkowszczyzny
36. Pietrus A.: Na tułaczce. Płaj.1994 Nr 9.
37. Reinfuss R.: Śladami Łemków. Warszawa 1990
38. Rieger J.: Łemkowie i ich język. Sanok 1983
39. Szanter Z.: Skąd przybyli przodkowie Łemków? Magury 1993
40. Szanter Z. Tandos B. Tur. J.: Sztuka sakralne na terenach łemkowskich i bojkowskich. Sanok 1983

41. Szymczyk W.: Przez Dolinę śmierci i Przełęcz Dukielską. Rzeszów 1984
42. Trajdos T.M.: Cerkwie łemkowskie w Polsce. Magury 1990
43. Trajdos T.M.: Osadnictwo na Łemkowszczyźnie. Magury 1990
44. Wieliczko M.: Jasielskie w latach drugiej wojny światowej. Warszawa 1974
45. Wieliczko M.: Jasło i okolice. Warszawa 1966
46. Wielocha A.: Nie żałuję że zostałam. Magury 1993

Spis treści:

Wstęp
I. Położenie geograficzne, klimat, fauna i flora (s.2)
II. Początki osadnictwa, pochodzenie Łemków i ich kultura (s.7)
III. Religia i sztuka sakralna Łemków (s.50)
IV. Zwyczaje i obyczaje wsi łemkowskiej (s.77)
V. Zawieruchy wojenne, kształtowanie odrębności narodowej Łemków (s.116)
VI. Cmentarze żołnierskie z okresu I wojny światowej (s.238)
VII. Opis miejscowości
1. Krempna (s.255)
2. Huta Krempska (s.263)
3. Kotań (s.271)
4. Świątkowa Mała (s.273)
5. Świątkowa Wielka (s. 280)
6. Swierzowa Ruska (s. 287)
7. Rostajne (s. 290)
8. Wyszowatka (s. 292)
9. Grab (s. 294)
10. Ożenna (s. 297)
11. Ciechania (s. 298)
12. Żydowskie (s. 303)
13. Huta Polańska (s. 305)
14. Polany (s. 310)

15. Myscowa (s. 313)
VIII. Bibliografia (s. 318)
IX. Spis treści (s. 320)

Bibliografia dotyczy całego opracowania, podobnie jak spis treści.